

ADAM DOBOSZYŃSKI

GOSPODARKA NARODOWA

**II WYDANIE
przejrzane i uzupełnione**

W A R S Z A W A 1 9 3 6

**SKŁAD GŁÓWNY W ADM. „MYŚLI NAR.”
WARSZAWA ALEJA JEROZOLIMSKA 17**

GOSPODARKA NARODOWA

Dużo trzymał masy a żyłach i ich roli. —
określał, wypracowywał, przemysłowy
systemy i t. d. Za okres fantazyj
Riviera budował program gospodarczy państwa
na pięcioletniach torach a programem
„^{autorski} Kewelskiego” wysłaje nie by w obecnym
układzie nit i stonumów zupełnie
niezależny, Autent. Sam. Zamiast więc
się do ^{istotnej, gromadzącej program} pracy na swoim terenie (głównie =
okres pracy, kłosa, olejów, ręk. praca
faktoria „zrealiz. wprawy” za który ponosi
od 24 lat kierownictwo, brzoje nie wynika
pracy. —

ADAM DOBOSZYŃSKI

GOSPODARKA NARODOWA

II WYDANIE
przejrzane i uzupełnione

In. Komin. Główny
(1936)

W A R S Z A W A 1 9 3 6

SKŁAD GŁÓWNY W ADM. „MYŚLI NAR.”
WARSZAWA, ALEJA JEROZOLIMSKA 17



CM 313700

Drukarola
T. DOBRZAŃSKIEGO
w Piotrkowie Tryb.

Wpisano do Księgi Akcesji

:

Akc. D1 nr/2011/.....

127 CM

PRZEDMOWA DO I WYDANIA.

Zbyt często słyszy się w Polsce żalosne twierdzenie, że mamy do wyboru tylko dwie możliwości: kapitalizm lub bolszewizm.

Twierdzenie to nietylko żalosne, lecz przedewszystkiem nieprawdziwe. Dylemat, przed którym stoimy, brzmi: albo materializm (którego współczesne dwa wcielenia zwa się kapitalizmem wzgl. marksizmem*) — albo ustrój narodowy.

Jeszcze częściej słyszy się stereotypowy zarzut, że polski ruch narodowy niema „programu” gospodarczego. Ci, którzy ten zarzut wysuwają, dodają niezwłocznie ze złośliwym uśmiechem, że w XX wieku niemoże dojść do władzy żaden obóz polityczny, który nieposiada wyraźnego oblicza społeczno-gospodarczego.

Chcąc odpowiedzieć tym malkontentom nie ograniczyłem się przeto do zapoznania czytelnika z ogólnymi zasadami gospodarki narodowej, lecz naszkicowałem również konkretne

* Istnieją może jeszcze ludzie, których powyższe twierdzenie zadziwi. Oddaję przeto głos jednemu z najsłynniejszych pisarzy współczesnych:

„Społeczeństwo burżuazyjne poczęło w swem łonie socjalizm, ono nas do niego doprowadziło. *Socjalizm to kość z kości i krew z krwi kapitalizmu*”.

„Socjalizm nie jest niczem innem jak tylko drugim obliczem indywidualizmu, rezultatem rozkładu indywidualistycznego, rozpadu powodowanego przez indywidualizm. Na drogach atomizacji społeczeństwa czyha socjalizm jak wewnętrzna konieczność dialektyczna; *istnieje system zasad, które nie mogą doprowadzić gdzieindziej jak tylko do socjalizmu*. Socjalizm i indywidualizm stoją w jednakowej sprzeczności z pojęciem organicznem świata”. (Mikołaj Bierdiajew, *Nowe Średniowiecze*, tłum. francuskie, Paryż, Librairie Plon, 1930, str. 269 i 62).

zastosowanie tych zasad do współczesnej rzeczywistości polskiej. Tak potężna fala ideowa, jak nowoczesny ruch narodowy, musi oczywiście poczekać ze sprecyzowaniem niektórych kwestyj aż do chwili, gdy jego program przejdzie z dziedziny teorii na warsztat życia. Dojrzeją wtedy pewne problemy, dziś jeszcze mglisto obrysowane. Ten i ów szczegół nabierze innego oświecenia. Na temat różnych drugorzędnych spraw będziemy się gorąco spierali. Ale przypuszczam że i to, co już obecnie wiemy o przyszłej organizacji Państwa Narodowego, wystarczy, by stłumić raz na zawsze wątpliwości co do istnienia lub nieistnienia narodowego „programu” gospodarczego. Obawiam się tylko że ci, którzy twierdzili że programu tego nie ma, powiedzą po przeczytaniu tej książki, że go jest za dużo...

Mając temat bardzo obszerny potraktowałem go z musu stenograficznie. Czytelników, którzy interesują się specjalnie tem lub owem z poruszonych tu zagadnień, odsyłam do cytowanych przezemnie dzieł.

Pracę moją podzieliłem na dwie części. W pierwszej części podaję zasady ogólne ekonomji narodowej, pokrywające się w całości z odwieczną nauką Kościoła Katolickiego. T. zw. „cywilizacja zachodnia” wyrosła na podłożu chrześcijaństwa, toteż współczesne prądy narodowe opierają się zgodnie na zasadach chrześcijańskiej moralności gospodarczej.* Tem silniej staje na tej podstawie polski ruch narodowy, jako że *polskość stanowi pojęcie nierozdzielnie od katolicyzmu.*

* Wbrew szeroko rozpowszechnionym poglądom gospodarcza ideologia hitleryzmu wypływa również z zasad chrześcijańskich, a nie socjalistycznych (np. stosunek hitleryzmu do własności, rodziny, lichwy, organizacji społeczeństwa i t.p.). Inna rzecz, że hitleryzm nie przystąpił do tej pory z dostateczną energją do wprowadzenia tych zasad w życie, i to może się stać przyczyną jego upadku.

W drugiej części mej pracy omawiam problemy związane z organizacją Polskiego Państwa Narodowego, gdyż zastosowanie uniwersalistycznych zasad, które podaję w części pierwszej, będzie w każdym kraju z natury rzeczy wyglądało odmiennie.

Celem uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień stwierdzam, że ogłaszając mą pracę nie wyrażam oficjalnych poglądów żadnego z istniejących narodowych ugrupowań politycznych.

W końcu muszę usprawiedliwić się, że niektóre myśli powtarzam po kilka razy. Czynię to, ponieważ chciałbym czytelnika nie tylko objaśnić, ale i przekonać.

Lipiec 1934.

Adam Doboszyński.

PRZEDMOWA DO II WYDANIA.

Drugie wydanie oddaję w ręce czytelników w zasadzie bez zmian. Gdzieś tam dodałem jakieś objaśnienie u dołu stronicy, kilka zestawień cyfrowych dociągnęłem do chwili obecnej, pozatem przybyły trzy nowe ustępy, a to: „De-koncentracja wytwórczości“, „Spółdzielczość“, „Imponderabilja w gospodarce“.

Maj 1936.

Adam Doboszyński.

C Z Ę Ś Ć I

CHRZEŚCIJAŃSKIE
ZASADY GOSPODARCZE

ROZDZIAŁ I.

LIBERALIZM.

Liberalizm wyrósł na tle dziwacznej teorii ośmnastego wieku, głoszącej, że człowiek rodzi się dobry, i że wystarczy dać mu całkowitą swobodę rozwoju, by drogą automatycznej gry szlachetnych strun w jego naturze dojść do wspaniałego rozkwitu ludzkiego społeczeństwa.

Liberalnej teorii przeciwstawia się chrześcijańska doktryna o człowieku. Według nauki Chrystusa, w człowieku ścierają się bezustanku dobre i złe popędy. Zło może być przewyciężone jedynie drogą bezustannego, świadomego wysiłku. Przeznaczeniem rodzaju ludzkiego jest ta codzienna walka, to stałe napięcie moralne, fizyczne i intelektualne, mające na celu osiągnięcie dobra. Człowiekowi dane są rozum i wolna wola, jako środki w tej walce. Lecz samo ich działanie nie wystarcza, należy jeszcze w życiu codziennem przestrzegać szeregu zasad, ujętych w system moralności chrześcijańskiej.

Co się odnosi do jednostki, odnosić się musi również i do zbiorowości. Społeczeństwo stanowi pewnego rodzaju organizm wyższego rzędu, winno również toczyć stałą walkę o dobro i przestrzegać zasad moralnych. Zarówno w życiu poszczególnego człowieka, jak i ludzkiej zbiorowości, całkowite puszczenie cugli musi doprowadzić do triumfu zła. Sławna zasada liberalna „laissez faire, laissez passer“ wyzwala bestję. Wolność i dobrobyt, naczelne cele, do których dąży ludzkość w życiu doczesnem, są cennymi dobrami, muszą więc być okupywane stałym wysiłkiem zarówno indywidualnym, jak i zbiorowym. Tam gdzie każdemu wolno wszystko, gdzie żadne zasady moralne nie obowiązują, wolność zanika, ludzie się łączą w grupy i gnębią resztę swych współobywateli. Każdy silniejszy człowiek

zagarnia ile się da, i ujarzmia najbliższe swe otoczenie: każe oddawać sobie owoce jego pracy, pozbawia je wolności, monopolizuje w swem ręku władzę i dobra materialne. W ukrytej formie wraca niewolnictwo, nadmiar nieprawości budzi reakcję i zagraża istnieniu samego społeczeństwa.

KAPITALIZM.

Liberalizm jest doktryną, dyktującą zasady postępowania we wszystkich dziedzinach życia—jest t. zw. „światopoglądem”. W dziedzinie gospodarczej, stosując zasadę niekrępowanej niczem wolności indywidualnej, prowadzi do ustroju *zwanego kapitalizmem. Charakterystyczną cechą tego ustroju jest skupianie się własności w niewielu rękach.* Początkowo dzieje się to w formie zamaskowanej, przy pomocy kredytu, później już jawnie, przez koncentrację produkcji i kapitału. W miarę rozwoju systemu kapitalistycznego, coraz liczniejsze rzesze wyzuwane są z własności i skazane na życie w zależności nieledwie niewolniczej, pod stałą grozą utraty chleba. Swoboda współzawodnictwa, mająca być główną dźwignią dobrobytu w myśl teorii liberalnej, powoli zamiera, wypierają ją zmywy wytwórców, prowadzące do monopolizacji rynków. Utrzymanie prywatnych monopolów staje się możliwe jedynie przy równoczesnem opanowaniu władzy państwowej. Koncentrujący się coraz silniej kapitał finansowy i przemysłowy uzyskuje więc, drogą przekupstw, fałszowania wyborów i finansowania przewrotów politycznych, decydujące wpływy w państwie, i używa ich na pomnożenie swoich zysków. Spekulacja rozsądza wiązania organizmu gospodarczego, raz za razem pojawiają się kryzysy, które paraliżują mechanizm produkcji i wymiany, i wyrzucają na bruk miliony bezrobotnych. Coraz trudniej utrzymać ład społeczny, więc państwo interwenjuje coraz częściej, wypłaca zasiłki, organizuje roboty publiczne, podwyższa bezustanku podatki, samo staje się wkońcu bankierem i przedsiębiorcą. Cykl rozwoju w ustroju liberalnym dobiega teraz kresu, naprzeciw siebie stoją dwa wrogie obozy; z jednej strony anonimowy kapitał, który się już zdążył utożsamić z państwem, związany z niem tysiącem widzialnych

i niewidzialnych nici, panujący coraz słabiej nad siłami, które rozpętał; z drugiej strony masy proletariatu rąk i mózgu, bez własności i bez jutra, zdane na łaskę i nie-łaskę rządzących spekulantów, i oddanej bezwólnie na ich usługi armji urzędników państwowych i „działaczów“ społecznych. Krąg nowoczesnej pańszczyzny się zamyka, absurd panujących stosunków staje się oczywisty dla każdego, i społeczeństwo staje wobec dylematu: albo zawrócić z drogi do zasad chrześcijańskiej moralności społecznej i gospodarczej, albo — doprowadzić do logicznego kresu cykl porażony z zasad liberalnych, zakończyć proces monopolizacji i koncentracji, grupując wszelką własność w ręku zbiorowości, i stworzyć stan rzeczy, w którym jedynie państwo pozostanie na placu jako właściciel i przedsiębiorca, a wszyscy obywatele staną się proletariuszami. Ustrój taki, jaki stara się w naszych oczach zrealizować państwo bolszewickie.

RELIGJA „POSTĘPU”.

Przeróżne teorie syndykalistyczne, socjalistyczne czy komunistyczne, zamierzały uspołecznic środki produkcji w różnych rozmiarach i na rozmaite sposoby. Żadna z nich nie potrafiła się skonkretyzować w sposób uchwytny i możliwy do zrealizowania w praktyce, toteż możemy je już dziś uważać za przebrzmiałe. Konkretnym i zrozumiałym dla każdego jest natomiast system bolszewicki. Jest to system kapitalizmu państwowego, logiczne i bynajmniej nie utopijne końcowe stadium rozwoju w społeczeństwie liberalnem.

Katastrofalne rezultaty bolszewizmu usprawiedliwiają niezmiennie jego zwolennicy argumentem, że Rosja nie przeszła uprzednio przez pośrednie stadia gospodarki kapitalistycznej, nie może więc być uważana za kraj dojrzały do całkowitego uspołecznienia produkcji. W jaki natomiast sposób kapitalizm państwowy ma dać szerokim masom warunki życiowe lepsze, niż dają obecne rządy nielicznych grup wysoce skoncentrowanego kapitału, tego nam nie mówią zwolennicy społecznej przebudowy. Rzecz charakterystyczna, że im bliżej tej przebudowy, tem mniej słyszymy argumentów realnych, tem więcej dyskusja zaczyna nabierać akcentów mistycznych, jakiejś dziecinnie naiwnej

wiary, cechującej niezmiennie wszelkie religie w pierwszym stadium ich rozpowszechniania. Logicznie rzeczy biorąc, kapitalizm państwowy powinien mieć wszystkie ujemne strony obecnych ustrojów wielkokapitalistycznych, plus cały jeszcze szereg innych braków. Obecny proletariusz jada jeszcze jako tako i ma jeszcze pewien ułamek swobody, w państwie proletarjackim zabraknie mu niezawodnie i jednego i drugiego. Ale choć głodny i ostatecznie pozbawiony wolności — będzie miał wiarę! Stanie się gorliwym wyznawcą religii naszych czasów — religii „postępu“. Ten sam zapał, który ożywiał męczenników w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, będzie go krzepił. Z głębi wierzącej duszy, z uśmiechem na ustach, będzie znosił ucisk i niedostatek większy od tego, który zwalcza dzisiaj, śpiewając „Czerwony sztandar“ na barykadach.

Światopogląd liberalny przechodzi swój cykl ewolucyjny nie tylko w dziedzinie gospodarczej — od wolnej wymiany do kolektywizmu — ale i we wszystkich innych dziedzinach ludzkiego myślenia i odczuwania. Umierając, wytłania z siebie nową religję* — religję „postępu“. Jest to wiara równie irracjonalna jak wszelkie wiary, i argumentami zwalczyć jej niepodobna. Rozporządza zastępami fanatycznych zwolenników, ma swych męczenników i swych apostołów. Nie zwalczą jej teoretyczne rozumowania społeczne czy gospodarcze. Zwalczyć ją może tylko inna wiara.

Wiarą tą jest wiara w Chrystusa, i w głoszoną przez Niego moralność. Wychodząc z zaprzeczenia chrześcijańskiej nauki o człowieku, musiał liberalizm wydać z siebie

* Werner Sombart pisze w niezmiennie ciekawej książce p. t. „Żydzizm i życie gospodarcze“ (tom. pol. Warszawa, Wende i S-ka, 1913, str. 276: „Liberalizm należy do tej samej rodziny co judaizm: kapitalizm, liberalizm, judaizm są ściśle z sobą spokrewnione“.

Piszę się oburzać pod powyższą tezę, lecz nie mogę jej rozpatrywać w tej pracy, poświęconej wyłącznie problemom gospodarczym. Dlatego ograniczam się w moich rozważaniach do współczesnego wytworu ducha żydowskiego, religii „postępu“, choć można niewątpliwie nawiązać obecny konflikt do odwiecznej walki między chrystjanizmem a judaizmem, i rozpatrywać sprawę na szerokim tle historycznym i filozoficznym. Czytelnik, interesujący się tym problemem, znajdzie w „Zmierzchu Izraela“ Henryka Rolickiego, Warszawa, 1933, str. 411 i następne, obfita bibliografię dzieł żydoznawczych.

religję, która staje dziś do ostatecznej rozgrywki z religją Chrystusową. W całym świecie naszej cywilizacji toczy się już ta walka. Każdy człowiek musi się zdecydować, po której stronie staje. Tym, którzy nie widzą jeszcze tego dylematu, bieg wypadków otworzy oczy w bardzo niedługim czasie.

Niniejsza książka przeznaczona jest dla ludzi, którzy szukają ulepszenia tego świata na drodze wskazań chrześcijaństwa. Argumentów swoich nie będzie więc szukać w dyalektyce historycznej, ani w kategorjach czystego rozumu, lecz w objawionych nam prawdach o człowieku, oraz w ustalonych przez Kościół zasadach moralności chrześcijańskiej. Autorytetem, na którym się oprze, będzie św. Tomasz z Akwinu, nie tylko dlatego, że był wielkim myślicielem, ale przede wszystkim dlatego, że był Święty.

ROZDZIAŁ II.

TROCHĘ HISTORJI.

Pierwszą próbę zorganizowania ustroju społecznego i gospodarczego, opartego na zasadach etyki chrześcijańskiej, podjęto w średniowieczu. Próbę tę, o ile uwzględnić ówczesny stan wiedzy i moralności, należy uważać w dużej mierze za udaną. Przez sześćset lat, do końca XVIII wieku, historia roi się od walk na tle religijnem czy politycznem, nie słyszymy natomiast o rewolucjach na tle społecznem, z wyjątkiem tych nielicznych wypadków, o znaczeniu czysto lokalnem, gdy nazbyt jaskrawo pogwałcono zasady chrześcijańskiego ustroju. Przy obecnym wysokim stanie naszej wiedzy i cywilizacji nie umiemy poradzić sobie z problemami, które w dużym stopniu rozwiązało średniowieczne społeczeństwo, wyłaniające się w stanie zupełnie surowym, zarówno pod względem intelektualnym, jak i moralnym, z „ciemnych wieków”, następujących po upadku cesarstwa rzymskiego. Może nie zawsze umiano trafnie zastosować zasady św. Tomasza, inoże zbyt często względy polityczne, przemoc władców i stanów, pacyły funkcjonowanie systemu. Lecz stworzone wówczas zręby społeczne okazały zadziwiającą odporność na zmienne koleje losów gospodarczych świata. Dziś jeszcze możemy uważać te społeczeństwa za najzdrowsze pod względem struktury gospodarczej, które z biegiem wieków najmniej odbiegły od swego średniowiecznego pierwowzoru.

Kiełkujące w ciągu XVI i XVII wieku prądy myśli, (czerpiące swe soki z ducha Narodu Wybranego, podobnie jak i Reformacja), doprowadziły w XVIII stuleciu do sformułowania się doktryny liberalnej, i do jej triumfalnego zastosowania w społeczeństwach Zachodu. Liberalizm zniósł pozostałości średniowiecznego ustroju, rzucając kształtowanie się nowych form społecznych i gospodarczych na los ślepej gry indywidualnych wysiłków i przypadku.

Niejednen czytelnik może mi zarzucić, że w zbyt ciemnych barwach odmalowałem w pierwszych ustępach tej książki zarówno liberalizm, jak i jego twór pochodny, kapitalizm. Historia pierwszych kilkudziesięciu lat rozwoju społeczeństw liberalnych zdaje się potwierdzać ten zarzut, dając mu wszelkie pozory słuszności.

Ale taki zarzut nie wydaje mi się uzasadniony. Liberalizm, jako doktryna zasadniczo amoralna, dorwał się do władzy w społeczeństwach, przesiąkniętych do głębi zasadami etyki chrześcijańskiej. Rzecz ciekawa, o ile trwalszą moralność chrześcijańska okazała się w niektórych krajach od samej wiary. We Francji, połowa ludności od stu lat stała się zupełnie areligijna, w Anglii współczesnej nawet część duchownych protestanckich przestało wierzyć w istnienie Boga. Mimo to, zarówno we Francji, jak i w Anglii, zasady etyki chrześcijańskiej wykazują zadziwiającą odporność przeciw rozkładającym wpływom liberalizmu. Te moralne „nałogi”, wpojone w ciągu długich wieków, paraliżowały początkowo najgorsze strony doktryny liberalnej, nie pozwalając rozwinąć się brutalnym cechom natury ludzkiej w całej ich istotnej bezwzględności, dając możność zastosowania dobrym stronom liberalizmu, a hamując działanie złych. Tym „nałogom” moralnym zawdzięcza ludzkość pewne dodatnie rezultaty osiągnięte w ubiegłym wieku, zawdzięcza również liberalizm tak liczne jeszcze rzesze zwolenników, nie mogących się zorientować w fakcie, że prawdziwe sukcesy odnosił liberalizm w tych dziedzinach, w których współdziałały motywy zasadniczo sprzeczne z samą jego doktryną.

Dopiero gwałtowny wstrząs, spowodowany przez wielką wojnę, wyzwolił za jednym zamachem szereg ciemnych sił liberalizmu, trzymanyh skutecznie na uwięzi przez cały wiek XIX, i w ciągu niewielu lat doprowadził do stanu społecznego i gospodarczego, który społeczeństwa liberalne powinny były osiągnąć o 50 lat wcześniej (jak to przewidywał Marks), gdyby nie hamujące działanie momentów etycznych. Ale nawet w zdemoralizowanym do głębi świecie współczesnym tli jeszcze sporo idealizmu, tkwiącego swemi korzeniami w wiekach ubiegłych. Fakt, że zajadli wrogowie chrześcijaństwa głoszą z takim

zapalem hasła pokoju i sprawiedliwości społecznej, wywodzące się przecież w prostej linii z Chrystusowego przykazania „Kochaj bliźniego twego”, stanowi dodatkowy dowód twierdzenia, że świat liberalny nie potrafił wyłonić z siebie żadnych wartości istotnie dodatnich, poza momentami rozprężenia i chaosu.

Upadek średniowiecznego ustroju społecznego, i początkowe pozorne sukcesy liberalizmu, zaskoczyły myśl chrześcijańską i zdeзорientowały Kościół katolicki. Dopiero w połowie XIX wieku, kiedy złe strony rozwoju społeczeństw liberalnych zaczęły się już wyraźnie zarysowywać, przystąpiono do poważnej pracy nad sprecyzowaniem doktryny społecznej, opartej o zasady i odwieczne doświadczenia Kościoła, a dostosowanej do zmienionych warunków ekonomicznych i politycznych świata. Poczynając od Le Play'a i jego szkoły, długi szereg myślicieli katolickich pracuje nad teorią nowego ustroju. Encyklika „Rerum Novarum” z roku 1891 pieczętuje autorytetem Stolicy Apostolskiej pierwsze osiągnięte wyniki.

W ostatnich czterdziestu latach, nad problemami społeczno-gospodarczymi pracuje równolegle myśl katolicka, oraz budzące się prądy nacjonalistyczne. Teorie gospodarcze faszyzmu i hitleryzmu rozwiązują już pewne zagadnienia gospodarcze, choć faszyzm nie pokusił się jeszcze o pełną realizację nacjonalistycznych zasad ekonomicznych, a hitleryzm w ich praktycznym zastosowaniu stanowi nadal zagadkę przyszłości. Encyklika „Quadragesimo anno” ustala w roku 1931 szereg dalszych tez Kościoła, rzucając jaskrawe światło na zasadniczą zbieżność poglądów społecznych katolickich i narodowych. W Anglii zawiązuje się ruch „dystrybutystyczny” Chestertona. We wszystkich społeczeństwach, wchodzących w krąg cywilizacji białej rasy, praca nad ustaleniem zasad nowego ustroju zdaje się wchodzić w fazę końcową.

HOMO OECONOMICUS.

Konstatując generalne bankructwo doktryny liberalnej, a w szczególności bankructwo jej zastosowania na polu go-

spodarczem, nie należy jednak dążyć do całkowitego wykreślenia dorobku myślowego ostatnich stu pięćdziesięciu lat.

Rzecz w tym, że rozwój wiedzy ekonomicznej nie ustępował w tym czasie postępowi, osiągnięty przez pozostałe działy nauki, i choć kierowany często na fałszywe tory, może się poszczycić trwałem pogłębieniem naszego zrozumienia procesów gospodarczych. Narodowa ekonomja nawiązuje do obecnego stanu wiedzy, i przyjmuje go za podstawę, którą należy poddać rewizji i uzupełnić.

Ale rewizja ta musi sięgnąć samych fundamentów. Wychodząc z fałszywych założeń, nie można dojść do słusznych wniosków. Ekonomja liberalna osiągnęła wysoki poziom *metody* w rozumowaniu gospodarczem, i to pozostanie dorobkiem trwałym. Natomiast większość jej założeń ulegnie zmianie.

Zacznijmy od punktu wyjścia wszelkiej wiedzy społecznej, od człowieka. Ekonomja liberalna stworzyła sobie sławną fikcję człowieka, jako podmiotu działalności gospodarczej, i nazwała tę fikcję „homo oeconomicus”. To teoretyczne zwierzę o ludzkiej postaci kieruje się w swej działalności gospodarczej żądzą możliwie dużego zysku. Ma również, zgodnie z teorią liberalną, wrodzony pęd do wolności i indywidualne instynkta starego odyńca, krążącego samotnie po ostepie.

Tę sylwetkę psychiczną uznali liberalni ekonomiści za dostatecznie uproszczoną, by umożliwić budowę teorii, a równocześnie za dostatecznie wierne odbicie głównych motywów, kierujących człowiekiem w jego zabiegach o chleb codzienny — by ta teoria była słuszną.

Niestety, a raczej na szczęście, „homo oeconomicus” niema nic wspólnego z rzeczywistością. W tem zasadniczem pojęciu ekonomicznem wszystkie przesłanki są fałszywe.

a) Ekonomista, chcący ująć w teorię naukową objawy życia gospodarczego jaskółek lub bocianów, nie mógłby przejść do porządku dziennego nad faktem ogólnie znany, że jaskółki wzgl. bociany żyją parami, i że uwicie gniazda i wychowanie potomstwa uważają za najważniejsze zadanie swego istnienia. Zgoła inaczej musiałaby się teoria ekonomiczna ustosunkować do kukułki, która, jak wiadomo, z zasady podrzuca swe młode do cudzego gniazda.

Jak żyje człowiek? Zdania są podzielone, z historii znamy i wielożeństwo i wielomęstwo, patriarchat i matriarchat, harem i celibat. Możemy jednak ustalić niezbitą faktę: po pierwsze, że poczynając od pewnego stopnia kultury wzwyż, ludzie zawsze żyli parami; po drugie, że według nauki Chrystusa, powinni żyć parami. Do tego prostego stwierdzenia musi się zastosować ekonomja, i przyjąć jako podstawowe założenie, że *komórką gospodarczą najniższego stopnia nie jest samotny człowiek, lecz rodzina.*

Ekonomja liberalna poszła odwrotną drogą, która „dziwnym trafem“ prowadzi prosto do bolszewickich pojęć o dziecku i kobiecie. Wychodząc z liberalnego założenia, że człowiek „solo“ stanowi podstawowy element życia gospodarczego, dochodzimy logicznie:

1) do zaprzeczenia racji bytu placówek gospodarczych, opartych na współpracy całej rodziny (gospodarstwo chłopskie, sklepik, drobny warsztat i t.p.);

2) do pracy kobiet i dzieci po fabrykach, co pociąga za sobą rozbięcie rodziny i bezrobocie części mężczyzn, których miejsce zajęły kobiety; a to z kolei uniemożliwia licznym ludziom zawieranie małżeństw, do których brak im podstaw materialnych;

3) do genialnego odkrycia, że według zasad „naukowej“ organizacji pracy lepiej się „kalkuluje“, gdy dzieci wychowuje się masowo i posiłki sporządza się masowo (system bolszewicki), niż gdy wychowanie dzieci i prowadzenie gospodarstwa domowego odbywa się oddzielnie dla każdej rodziny; wiadomo przecież, że masowy wyrób jest tańszy a przez to bardziej „nowoczesny“ od produkcji indywidualnej...

Ekonomja chrześcijańska, nie służąc ideologii „postępu“ i „reformy seksualnej“, rezerwuje dla rodziny odpowiednie miejsce u samych podstaw ustroju gospodarczego.

b) Sprowadzenie motywów działalności gospodarczej wyłącznie tylko do chęci zysku jest założeniem zarówno nie-trafnym, jak niebezpiecznym. Problem zysku rozważę osobno w następnym rozdziale, pokuszę się tam również o zdefiniowanie pojęcia „zysku“. W tym miejscu ograniczę się do stwierdzenia, że nie jest możliwe oddzielenie działalności gospodarczej przeciętnego człowieka od szeregu innych wątków, składających się na jego życie. Powody „pozago-

spodarcze" każą nieraz człowiekowi działać z wyraźnym uszczerbkiem dla jego korzyści materialnych (np. miłość, przywiązanie do ziemi, lenistwo, ambicja, patriotyzm, wiara, zamiłowanie do pewnego zawodu itd.). Jeśli te motywy zaznaczają się często i z wielkim naciskiem, i wywierają poważny wpływ na kształtowanie się gospodarki, nie wolno teorii ekonomicznej pomijać ich w swych rozumowaniach, pod tym jedynie pretekstem, że są to motywy „pozagospodarcze“.

c) Homo oeconomicus dąży jakoby do wolności. Jednak doświadczenie uczy, że w człowieku bierze przeważnie górę potrzeba podporządkowania się, dyscypliny i hierarchji.

d) Indywidualizm człowieka, prowadzący nieraz do anarchji w dziedzinie politycznej, w sprawach gospodarczych objawia się przeważnie w stopniu słabszym, niżby należało. W sprawach materialnych ludzie dążą naogół do łączenia się i współpracy, ze szkodliwem często dla ogółu rezygnowaniem z indywidualnych ambicji gospodarczych. W rezultacie okazuje się, że wolna konkurencja nie jest objawem samorzutnym w społeczeństwie, ale należy ją często wywoływać i chronić ją przed zanikiem, z chwilą, gdy się uważa jej istnienie za niezbędnie pożądane dla prawidłowego funkcjonowania ustroju.

e) Niekrepowana niczem swoboda gospodarcza nie prowadzi do wyrównania różnic w położeniu społecznem i gospodarczem poszczególnych ludzi, jak to twierdził liberalizm. Równość zanika o wiele szybciej w ustroju liberalnym, jak w ustrojach bardziej planowych. Przyrodzone różnice w majątku i zdolnościach, pozostawione zupełnie swobodnej grze, doprowadzają w szybkim tempie do stosunków szkodliwych gospodarczo i niezdolnych społecznie.

Tych zarzutów przeciw liberalnemu uproszczeniu sylwety człowieka możnaby wytoczyć jeszcze cały szereg. Fakt zostaje faktem: „homo oeconomicus“ umożliwia układanie przejrzystych teoryj, ale niema nic wspólnego z żywym człowiekiem, i dlatego teorie zawieszone na nim muszą być fałszywe. Na świecie istnieje tylko „homo“, istota bardzo skomplikowana, i chcąc, czy nie chcąc, musimy się liczyć z jej zawiłymi właściwościami. Ekonomia musi zrezygno-

wać z uproszczonych formułek, z równań pierwszego stopnia, i upodobnić się do astronomji, która w miarę swego rozwoju operuje równaniami coraz wyższego rzędu, uwzględniającemi coraz to więcej sił działających.

Nie rezygnujemy więc z metody, stosowanej przez współczesną ekonomję. Żądamy tylko wprowadzenia szeregu poprawek, uwzględniających z jednej strony psychologiczne strony natury ludzkiej, stwierdzone przez obserwację i doświadczenie, a z drugiej strony i moralne cele, do których dąży społeczeństwo jako całość, i które również oddziałują jako niezależne siły na grawitację praw ekonomicznych.

Zadania ekonomji się skomplikują, ale przestanie ona wreszcie dezorjentować rządzonych i rządzących, a zacznie oddawać te praktyczne usługi, które inne gałęzie wiedzy oddają ludzkości już oddawna.

GOSPODARKA WOLNA CZY PLANOWA.

Klasyczny spór, czy gospodarka ma być wolna, czy planowa, znajduje i znajdować zawsze będzie w zastosowaniu życiowem rozwiązanie pośrednie.

Ekonomiści liberalni głoszą, że wszelkie odstępstwo od ich zasad pociąga za sobą automatycznie dalsze odstępstwa, krąg odstępstw rozszerza się coraz bardziej, póki wolność gospodarcza nie zniknie całkowicie, wzgl. póki społeczeństwo, doprowadzone przez planowość do kompletnego zubożenia, nie wróci do zupełnej swobody gospodarczej. W myśl tego rozumowania, dzieje gospodarcze poszczególnych społeczeństw powinnyby się przedstawiać jako okresy wyraźnie planowe lub wyraźnie liberalne, ze stosunkowo krótkimi stadjami przejściowemi. Tymczasem dzieje dowodzą, że ustrojów zdecydowanie nastawionych na jeden lub drugi system było w historii bardzo niewiele, przeważały natomiast stale ustroje mieszane, o zmiennej proporcji elementów wolnych i planowych.

Prof. Rybarski* pisze: „Jeżeli więc równocześnie mogą obok siebie istnieć państwa, z których jedno np. w całości przeprowadzają ideę planowego gospodarstwa, a inne stoją na gruncie wewnętrznej swobody gospodarczej i prywatnej własności, to czy nie można pójść jeszcze o krok dalej w tym rozumowaniu i powiedzieć: także i w granicach jednego gospodarstwa narodowego może się wytworzyć kombinacja gospodarki planowej i wolnej... Mówi się o tem, że np. wielki przemysł, który dziś już jest skartelizowany, przejdzie pod planową gospodarkę, a średni i drobny przemysł a zarazem rolnictwo, utrzyma się jako forma wolnej gospodarki“. A potem prof. Rybarski dodaje: „Ale ta sprawa nie przedstawia się tak prosto. Niewątpliwie w danym momencie, w dobie przejściowej, istnieją obok siebie jedno i drugie pierwiastki, przymus kombinuje się z gospodarczą wolnością. Jednak niełatwo wyobrazić sobie trwały kompromis między temi dwiema ideami. Oczywiście, że w życiu gospodarczem te idee nigdy nie występują w całej czystości; nie było jeszcze kraju pod każdym względem liberalnego, ani komunizmu bez śladu prywatnej własności. Ale w gospodarstwie narodowym musi, na dłuższą metę, mieć zdecydowaną przewagę jedna lub druga zasada. Ustrój gospodarczy państwa nie może być pod ciągłym znakiem zapytania, w ciągłej walce o swoje podstawy. Bez usunięcia niepewności nie złagodzi się przesilenia gospodarczego, zwyciężyć musi jedna lub druga zasada. A nawet jest w interesie gospodarstwa społecznego, by ta walka nie trwała zbyt długo, bo ciągle zataczanie się od jednej ściany ku drugiej nie jest objawem powrotu do równowagi“.

Ostatni ustęp musi wywołać melancholijne refleksje. Dzieje ludzkości są w każdej dziedzinie dążeniem do harmonii, której się jednak nigdy nie osiąga. A jeśli się ją nawet osiągnie, czyli, by wrócić do ekonomji, o ile się zrealizuje czysty liberalizm, czy stuprocentową planowość, to widzimy w niedługim czasie rozkład danego ustroju, jak się to stało w naszych oczach z liberalizmem zachodnio-europejskim i amerykańskim, i zaczyna się na nowo zataczanie od jednej ściany do drugiej, będące dowcipnym

* „Przyszłość gospodarcza świata“ 1932, str. 207.

i prawdziwym obrazem odwiecznej rzeczywistości na naszej planecie.

W tem zataczaniu leży punkt ciężkości całego problemu. Prowadzenie samochodu po gościńcu wymaga ciągłego wyężenia uwagi i bezustannego kręcenia kierownicą. Maszyny, któraby raz nastawiona, jechała do celu bez pomocy ludzkiej ręki i ludzkiego rozumu, nikt jeszcze nie wynalazł, ale ten fakt nie zraża nikogo do posiadania samochodu, zmusza natomiast do gruntownego opanowania sztuki prowadzenia. Można ten przykład zastosować i do ekonomji. Wynalezienie systemu gospodarczego, któryby się w nieskończoność automatycznie sam regulował, jest czystą utopją, i niema sensu do tego dążyć. Ciągłemu zataczaniu należy przeciwstawić ciągły wysiłek. Możemy z biegiem czasu doprowadzić do tego, że będziemy coraz bliżej oscylowali koło naszej linii wytycznej, że rozpiętość naszych wahań będzie coraz to mniejsza. Wymaga to oczywiście planowego wprowadzania w życie pewnych zasad. Trudność w tem, by te zasady były absolutnie niezienne. Jeśli będziemy zmieniali wytyczne naszego planu co kilka lat, będziemy się zataczali coraz to więcej, i organizm gospodarczy nie dojdzie do pożądanego stanu możliwie małych wahań.

Tu leży niebezpieczeństwo planowości, opartej na zmiennych poglądach różnych szkół ekonomicznych i społecznych. Ale zasady moralności chrześcijańskiej są odwieczne, przyjęcie ich za wytyczne przy organizacji społeczeństwa zataczaniem się nie grozi, wymaga tylko ciągłego natężenia uwagi i wysiłku, ustawicznego łamania przeszkód, i zwalczania złych pomysłów i złych instynktów. Jednem słowem wymaga w życiu zbiorowem tego, co każdy z nas robi na codzień w swem życiu prywatnem. Wiemy, że uniknąć się tego nie da.

A więc ustrój planowy? Bynajmniej. Stuprocentowa planowość musi (choćby ze względów czysto praktycznych), dążyć do upraszczania problemów gospodarczych, oraz do zmniejszania ilości samodzielnych placówek; a to się osiąga przez koncentrację produkcji i własności. Ustrój chrześcijański, oparty na uwłaszczeniu mas, czyli na stworzeniu możliwie jaknajwiększej ilości samodzielnych warsztatów,

z natury rzeczy opierać się musi na daleko idącej swobodzie gospodarczej. *Wolność gospodarcza jednostek, przy planowości moralnej społeczeństwa* — to definicja najlepiej może ujmująca właściwy stan rzeczy. Mówiąc stylem ekonomistów, będzie to *umiarkowany interwencjonizm, o założeniach moralnych, a nie gospodarczych*. Ustrój wolnej wymiany i prywatnej inicjatywy, którego automatycznemu zwyrodnieniu przeciwstawiać się będzie świadoma wola zbiorowości.

Istnieje specyficzny klan pesymistów, który na sam dźwięk słowa „interwencja” załamuje ręce i rozdziera szaty. „Skoro raz wejdziemy na drogę interwencjonizmu, to nigdy niewiadomo, jak daleko nas to zaprowadzi”. To ich motyw przewodni. Owszem, wiadomo. Tak daleko, jak daleko uznamy za wskazane się posunąć. Proszków na ból głowy zażywa się od czasu do czasu, i wtedy okazują się pożyteczne. Zażywane na codzień, działałyby zabójczo. Ciekawe, że ci sami ludzie, którzy się tak panicznie boją *nadmiernej* interwencji, okazują o wiele mniejszą odrazę do *nadmiernej* swobody, która się tylokrotnie okazała zgubną, zarówno w polityce, jak i w gospodarce, i to szczególnie dla nas, Polaków. Mielśmy już w Polsce ustrój quasi—liberalny w XVI wieku, i w tymże wieku urodziła się nam pańszczyzna (patrz Rozdział XI). Muszę ponownie wrócić do tego, co już podkreśliłem na początku tej książki. *Spółeczeństwo winno stale nad tem pracować, by jego ustrój gospodarczy nie wyrodniał. Ten rodzaj zbiorowej troski nazywamy interwencją*. Jeśli społeczeństwo będzie się dobrze pilnować, to interwencji nie będzie ani za dużo, ani za mało, ale w sam raz tyle, ile trzeba. A jeśli społeczeństwo nie potrafi sobie poradzić z problemami gospodarczymi, to w każdym ustroju będzie mu źle, z tą różnicą, że w systemie chrześcijańskim znajdują się pewne hamulce samoczynne przeciw zbyt szybkiemu degenerowaniu się ustroju (patrz Rozdział VII „Uwłaszczenie mas”), podczas gdy zarówno w systemie liberalnym, jak i kolektywistycznym, nawet krótkotrwałe opanowanie rządów przez ludzi pozbawionych skrupułów, prowadzi niezwykle szybko do katastrofy gospodarczej.

Chrześcijański ustrój średniowiecza przechodził w różnych odmianach chorobę nadmiernego interwencjonizmu, historia

nam te fakty przekazała, możemy z nich wyciągnąć wnioski i unikać błędów, nieraz już popełnianych. Lecz doświadczenie wieków i postępy wiedzy pouczają nas, że nadmierna swoboda jednostki jest równie szkodliwa, jak zbyt daleko posunięta interwencja zbiorowości. Utrzymanie złoto tego środka między temi dwiema skrajnościami stanowi cel niewątpliwie trudny, lecz jedyny, do którego naprawdę *warto* dążyć.

ROZDZIAŁ III.

SPRAWIEDLIWOŚĆ WYMIENNA I ROZDZIELCZA.

„Dwa są rodzaje sprawiedliwości”— pisze Św. Tomasz*—: „jedna wymienna, która normuje wzajemne stosunki między dwiema osobami; druga rozdzielcza, według której dzieli się dobra wspólne stosownie do pewnej proporcji”.

„... przy wymianie... powinienem wyrównać wartości dwóch rzeczy w taki sposób, bym tyle samo zwrócił drugiej osobie, o ile się powiększyła moja własność kosztem jej własności”.

„...stosownie do zasad sprawiedliwości rozdzielczej, należy dać pewnej osobie o tyle więcej przy podziale wspólnych dóbr, o ile dana osoba ma wyższy stan w społeczeństwie. Który to stan osiąga się w społeczeństwie rządzone przez najlepszych proporcjonalnie do czyjejś cnoty, w społeczeństwie oligarchicznym proporcjonalnie do czyjegoś bogactwa, w demokratycznym proporcjonalnie do wolności, której ktoś zażywa, a w innych stosownie do innych kryterjów...”

„...Należy jednak zauważyć, że tak samo, jak przy wydatkach osób prywatnych zaleca się umiarkowanie, zaś rozrzutność uważa się za winę, tak samo należy zachować właściwą miarę przy rozdziale wspólnych dóbr; w czym należy się kierować sprawiedliwością rozdzielczą”.

W społeczeństwie chrześcijańskim dwa czynniki rozstrzygają o „stanie”** człowieka: rodzina, do której należy, i jego praca. Te dwa czynniki decydują o ilości dóbr, która powinna przyspaść jednostce przy ogólnym rozdziale

* Summa Theologica 2, 2 qu. LXI a. 1, a. 2.

** Słowo „stan” należy rozumieć w jego znaczeniu staropolskim: stan mieszczański, stan chłopski. Współczesne wyrażenia „klasa” i „warstwa” mają znaczenia nieco odmienne. Patrz rozdział XIII.

bogactw: rodzina jest źródłem przydziału dóbr już istniejących, dziedziczonych, a praca stanowi legitymację do pobierania odpowiedniej części w masie dóbr, bieżąco wytwarzanych przez całe społeczeństwo.

Sprawiedliwość rozdzielcza rezerwuje w ogólnej masie dóbr pewną część, przeznaczoną na wspomóżenie tych nie-szczęśliwych, którym nicby się nie należało, gdyby ograniczyć przydział dóbr do mechanicznego działania rozdzielczych praw gospodarczych (patrz Rozdział XIX).

W praktycznem zastosowaniu gospodarczem, sprawiedliwość wymienna wyraża się głównie w pojęciu „godzwej ceny“, a sprawiedliwość rozdzielcza w pojęciu „słuszszej płacy“. Problemy te, oraz związaną z niemi sprawę rozdziału dóbr, omawiam szerzej w Rozdziale XIII.

PRACA.

„Praca fizyczna ustanowiona jest dla czterech celów” — powiada Św. Tomasz. — „Po pierwsze i przedewszystkiem dla zapewnienia człowiekowi utrzymania... Po drugie dla zapobieżenia nieróbstwu, z którego wynika wiele złego... Po trzecie dla pohamowania żądz, jako że praca umartwia ciało... Po czwarte zaś dla dawania jałmużny...”*

Praca jest więc nie tylko potrzebna człowiekowi, który musi zarabiać na swe utrzymanie. Konieczna jest również dla człowieka majątnego, by utrzymać jego równowagę psychiczną i zmysłową. Praca każdego człowieka musi wreszcie pozostawić pewien nadmiar, pewną „nadwartość“ przeznaczoną na wspomóżenie tych, którzy pracować nie mogą i znajdują się w nędzy.

Czy Św. Tomasz uznaje tylko pracę fizyczną, zapyta czytelnik? Byłoby to niepojęte, jako że sam spędził żywot nad książkami.

Nic. Św. Tomasz precyzuje niezwłocznie swoją myśl:

* S. Th. 2, 2 qu. 187, a. 3.

„Należy jednak mieć na uwadze, że w pojęciu pracy fizycznej mieszczą się wszelkie rodzaje zajęć, któremi ludzie w sposób godziwy zarabiają na swe utrzymanie...”

Praca może więc być fizyczna, umysłowa, organizacyjna, kierownicza, artystyczna i t.d. Wszystkie rodzaje pracy są równouprawnione, z tem jedynem zastrzeżeniem, by były godziwe, czyli zgodne z zasadami prawa i moralności.

Rzecz oczywista, że w żadnym społeczeństwie nie pracują wszyscy. Nie pracują ludzie w dzieciństwie ani w starości. Nie pracują chorzy, ani ułomni. Często nie pracują w sposób normalny ludzie nieprzeciętni, których pozorna bezczynność jest koniecznym składnikiem życia ludzkości. Poza tem nie pracują jeszcze zastępy takich, którzy powinni by pracować. W społeczeństwie doskonałem, kategorja tych istotnych nierobów powinna by całkowicie zniknąć.

Ale społeczeństwo doskonałe nigdy się zapewne nie urzeczywistni. Ustrój może być tylko mniej lub więcej zbliżony do doskonałości. *Miarą tego zbliżenia, miarą doskonałości ustroju społecznego jest więc odsetek ludzi pracujących.* Im wyższy ten odsetek, tem lepiej zorganizowane społeczeństwo.

Ustawy zmuszające ludzi do pracy są bezcelowe. Ale ustrój społeczny może popierać pracujących, lub próżnujących. Oczywiście ustrój jest tylko odbiciem dążności danego społeczeństwa. Naród, który zdecydowanie postanowi uprzywilejować pracę w stosunku do nierobstwa, znajdzie bez trudności właściwe środki i sposoby.

Należy zauważyć, że chrześcijańskie pojęcie „stanu” jest nierozdzielnie związane z pojęciem pracy. Człowiekowi należy się przy rozdziale dóbr produkowanych codziennie przez społeczeństwo, udział stosowny do jego „stanu” nie dlatego, że ma majątek, ale że wykonuje pracę swego stanu. Im wyższy stan, tem więcej obowiązki naberają charakteru społecznego, tem więcej uwydatnia się rola właściciela jako „mandatarjusza społeczeństwa”, powołanego do zarządzania swoją własnością w taki sposób, by jaknajwiększej ilości swych współobywateli dać możność do pracy i zarobku. W chrześcijańskim ustroju nie jest do pomyślenia właściciel fabryki, który zmniejsza ilość swych

robotników i swej produkcji w tej myśli, by przez wytworzenie sztucznego głodu towarów podnieść ceny i zrealizować większe zyski. W miarę postępu techniki możemy sobie wyobrazić teoretyczną możliwość, że za paręset lat np. pracą połowy ludzi, trwającą dwie godziny dziennie, będzie można zaspokoić potrzeby całej ludzkości. Druga połowa ludzi mogłaby więc nic nie robić. Ideał taki, pociągający może dla wyznawców „religji postępu“, stoi w sprzeczności z doktryną chrześcijańską. Według niej, każdy człowiek musi odpracować codziennie swoje quantum, wydać z siebie tę ilość produktywnego wysiłku, która jest nieodzownym warunkiem jego równowagi fizycznej i duchowej. Wszelki wyzysk cudzej pracy musi być tępiony—myśl chrześcijańska popiera gorąco ustawodawstwo, normujące czas i warunki pracy. Ale usuwanie się od pracy—praktykowane obecnie w najwyższych i najniższych warstwach społeczeństwa—świadczy tylko o spaczeniu pojęć u tych, którzy je praktykują, i o wadliwej budowie społeczeństwa.

W pojęciu „stanu“ wiążą się nierozdzielnie dwa czynniki: praca i rodzina. Dzieci się chowają na stopie stanu, do którego weszły przez urodzenie. Współczesny system jednego dziecka pozwala dziecku zamożnych rodziców żyć przez całe życie bez pracy, utrzymując się nadal na stopie swego stanu. W chrześcijańskiej rodzinie, „la famille nombreuse“ (licznej rodzinie), otrzymuje każde dziecko znacznie mniej w spadku, niż mieli rodzice, musi więc przez całe życie intensywnie pracować, chcąc nie tylko utrzymać się w swym stanie, lecz z kolei dzieci swe na tej samej stopie wychować. *Chrześcijańskie zasady społeczne i moralne, czy chodzi o własność, o której za chwilę pomówimy, czy o zysk lub organizację społeczną, sprowadzają się więc stale do wspólnego mianownika, którym jest praca.*

WŁASNOSC.

* ...Dwa prawa przysługują rodzajowi ludzkiemu w stosunku do dóbr zewnętrznych (*res exteriores*): jednym z tych

* S. Th. 2, 2, qu. LXVI, a. 2.

praw jest możność zarządzania i rozporządzania; co do tego prawa godzi się, by poszczególny człowiek posiadał dobra na własność. Jest to bowiem z trzech powodów konieczne dla życia ludzkiego: po pierwsze, ponieważ każdy zabiega z większą starannością koło rzeczy, która stanowi jego wyłączną własność, niż koło rzeczy, która jest wspólna wszystkim lub wielu; po drugie, ponieważ zdarza się przy większej ilości zarządzających, iż każdy poszczególny człowiek spycha na innych troskę o to, co stanowi własność wspólną; mówiąc innemi słowy, sprawy ludzkie załatwiają się w lepszym porządku, jeżeli poszczególnym jednostkom przypada zadanie zarządzania jakąś ściśle określoną rzeczą, panuje natomiast zamieszanie, jeżeli bez odpowiedniego podziału odpowiedzialności ktokolwiek bądź czemkolwiek bądź zarządza; po trzecie, ponieważ ludzie żyją w lepszej zgodzie, gdy każdy zadawala się swoją własnością. Jako że widzimy częste spory między tymi, którzy coś posiadają wspólnie i bez odpowiedniego podziału. Drugiem natomiast prawem, przysługującym rodzajowi ludzkiemu w stosunku do dóbr zewnętrznych, jest ich używanie; odnośnie zaś do tego prawa, nie powinien człowiek mieć dóbr zewnętrznych za swoje, lecz za wspólne, to znaczy że dobra te mają być zarządzane w taki sposób, by z łatwością mogły być użyte przez właściciela na korzyść innych ludzi, będących w potrzebie".

„...wspólność dóbr wywodzi się z prawa naturalnego, nie jakoby prawo naturalne nakazywało wspólne posiadanie wszystkich dóbr, i jakoby człowiekowi nie było wolno posiadać dóbr na swoją wyłącznie własność; lecz dlatego, że prawo naturalne nie zawiera żadnych przepisów co do przydziału dóbr na własność poszczególnym ludziom, a przydział ten następuje raczej stosownie do porozumienia się ludzi między sobą, co należy do zakresu prawa pozytywnego... Stąd wniosek, że posiadanie dóbr na własność przez poszczególnych ludzi nie jest sprzeczne z prawem naturalnem, lecz stanowi uzupełnienie prawa naturalnego, wprowadzone dodatkowo przez rozum człowieka“.

„...Człowiek, który udaje się wcześniej od innych na miejsce widowiska i przygotowuje dla nich drogę, działa godziwie; działałby natomiast niegodziwie, gdyby innym wzbraniał dostępu; podobnie właściciel działu niegodziwie, gdy

wszedłszy w posiadanie rzeczy. która w swem pierwotnem założeniu była wspólna, użycza innym korzyści z niej płynących; grzeszy natomiast, gdy bez względu na okoliczności wzbrania innym korzystania z danej rzeczy".

Zrekapitulujmy poglądy Św. Tomasza na prawo własności: istnieje pewien zasób dóbr, stworzonych przez Boga do ogólnego użytku wszystkich ludzi. Prawo naturalne nie daje nam wskazówki, czy te dobra mają się znajdować pod zarządem zbiorowym, czy indywidualnym. Właściwym źródłem przydziału dóbr na własność prywatną jest prawo pozytywne, ustanowione przez ludzi celem unormowania problemów, co do których ani prawo boskie, ani prawo naturalne, nie wypowiadają się.

Św. Tomasz uważa własność indywidualną za instytucję zarówno godziwą, jak i celową, ze względu na właściwości wrodzone naturze ludzkiej. Lecz posiadaczowi przysługuje tylko rola kapitana na okręcie powierzonym jego pieczy: ma baczyć na porządek na statku i na właściwy kurs, wydawać wszelkie niezbędne zarządzenia i ponosić pełną odpowiedzialność, zaco, zgodnie z zasadami sprawiedliwości rozdzielczej, należy mu się utrzymanie odpowiednie jego stanowisku; wszystkie inne korzyści z używania statku przypadają prawemu właścicielowi tego statku, w naszym wypadku ogółowi ludzi.

Wyobraźmy sobie utopijny ustrój, w którym bogactwa natury podzielonoby po równych częściach między wszystkich ludzi: każdy miałby wówczas prawo do wyłącznego użytkowania swej części, bez obowiązku oglądania się na innych. Ale Św. Tomasz jest zbyt głębokim znawcą natury ludzkiej, by przypuścić możliwość istnienia ustroju, opartego na zupełnej równości. Rozpatruje więc tylko dwie możliwe alternatywy: własności zbiorowej, oraz własności powierzonej części ludzi, i wypowiada się za tą drugą możliwością, uważając ją za *korzystniejszą dla ogółu*.

Własność bogactw materialnych powinna więc być indywidualna, lecz obciążona „hipoteką społeczną” na rzecz nieposiadających.

Przydział tej własności jest kwestją prawa pozytywnego, powinien więc odpowiadać zasadom, które rozum ludzki uznaje za najbardziej celowe.

Co rozumie Św. Tomasz pod wyrażeniem „res exteriores“?

Stosownie do ściśle filozoficznych kryteriów, są to niewątpliwie wszelkie dobra materialne, zarówno ziemia, jak i maszyna czy towar w sklepie. Wszystkie te dobra są jednakowo obciążone „hipoteką społeczną“.

Gdy przechodzimy z kolei do rozpatrzenia, w jaki sposób te dobra powinny być rozdzielone między poszczególnych ludzi, wychodzimy z dziedziny filozofji, i dostajemy się w kompleks praktycznych zagadnień gospodarczych. Część tych dóbr dostał rodzaj ludzki w posagu: jest to ziemia, oraz bogactwa organicznie z nią związane, jako to fauna i flora, naturalne siły napędne (słońce, wiatr, siły wodne), oraz bogactwa podziemne. Dominującym elementem jest tu ziemia, będziemy więc określać tę grupę dóbr w dalszych naszych rozważaniach jako „ziemię“.

Drugą grupę dóbr stanowią przedmioty, które powstały w głównej mierze dzięki pracy i przemyślności ludzkiej. Te dobra określamy potocznie jako „kapitały“. Według teologicznych pojęć, są one tak samo darem Bożym jak i ziemia. Z gospodarczego punktu widzenia zachodzi jednak między nimi poważna różnica: jedno człowiek otrzymał bez współudziału swej pracy, drugie sporządził wprowadzając przy pomocy sił i bogactw natury, ale przeważa w ich wartości składnik ludzkiej pracy. Nie odbiegniemy daleko od prawdy, określając współczesny kapitał jako skondensowaną ludzką pracę.*

Problem przydziału bogactw przybiera więc dwa oblicza: jak długo chodzi o „ziemię“, pierwotny jej przydział musiał z natury rzeczy być arbitralny. Gdy jednak mowa o „kapitale“, który powstaje bez ustanku w naszych oczach, mamy logiczne i niewątpliwie moralne kryterjum jego przydziału: jest to jakość i ilość włożonej w niego pracy.

* Patrz Rozdział XIII (Narodowa teoria wartości).

Podział dóbr na ziemię i kapitał, usankcjonowany w ekonomji przez Adama Smitha,* znajduje również aprobatę Św. Tomasza.

„...posiadanie dóbr zewnętrznych (*res exteriores*)” — powiada Akwinata** — „jest przyrodzone rodzajowi ludzkiemu. Ta zaś przyrodzona zwierzchność nad resztą istot i rzeczy stworzonych przez Boga (*creaturae*)...”

A więc „*res exteriores*”, które stanowią w swem pierwotnem założeniu wspólną własność wszystkich ludzi, są to rzeczy stworzone przez Boga *bez współdziału pracy ludzkiej*. Natomiast tam, gdzie zapobiegliwość człowieka przyczynia się do zwiększenia jego majątku, Św. Tomasz uznaje wzrost legitymacji prawnej do posiadania. „...*Majątek kupiony za pieniądze nabyte drogą lichwy*” — mówi Św. Tomasz*** — „należy się nabywcy, nie dlatego, że zapłacił za niego pieniądze lichwiarskie, bo to stanowi tylko tytuł poboczny do jego własności, ale z powodu jego zapobiegliwości i wysiłku, związanych z nabyciem majątku, co stanowi jego tytuł główny do własności; nabywca takiego majątku ma więc większe prawo do majątku nabytego za pieniądze lichwiarskie, niż miał do samego tego pieniądza”.

Praca zwiększa więc tytuł do własności. Dobra, w których niema współczynnika pracy, są z natury rzeczy wspólne. Przydział ich na własność poszczególnym ludziom jest pożyteczny ze względów praktycznych, lecz mniej lub więcej arbitralny. Im więcej natomiast pracy człowieka, tem więcej legitymacji do posiadania. Towar, którego cała wartość, praktycznie biorąc, składa się z pracy (bo cena surowca i maszyn wyraża naogół też tylko wartość włożonego w ich produkcję wysiłku), powinien więc przypadać automatycznie na własność temu lub tym, którzy go wytworzyli. Ogół nie może z tytułu prawa naturalnego rościć pretensji do posiadania towaru, może już tylko żądać od jego właściciela spełnienia społecznych obowiązków, związanych z wszelkiem posiadaniem.

* autora książki p.t. „Bogactwo narodów” wydanej w r. 1776. Adam Smith uważany jest za „ojca” ekonomji liberalnej.

** S. Th. 2, 2, qu. LXVI.

*** S. Th. 2, 2, qu. LXXVIII, a. 3.

Możemy więc sformułować drugą zasadę: *Prawo do własności wzrasta w stosunku do włożonej pracy.*

Z Y S K.

„...żądza zysku, która nie zna granicy, lecz rośnie w nieskończoność”.*

„Godzi się wszystkim handlować rzeczami, mającemi związek z koniecznościami życiowemi: ale handel, obliczony w rzeczywistości tylko na zysk, jest w samem swem założeniu haniebny, o ile nie stawia sobie jakichś uczciwych celów.”

„Jak powiada Filozof**, wymiana rzeczy może być dwojakiego rodzaju: jedna zupełnie naturalna i konieczna, przez co rozumie się wymianę rzeczy za rzecz, wzgl. rzeczy za pieniądze, celem zaspokojenia potrzeb życiowych... Drugi zaś rodzaj wymiany polega na wymianie pieniędzy w zamian za pieniądze czy też jakichkolwiek rzeczy wzamian za pieniądze, nie dla zaspokojenia potrzeb życiowych, ale w pogoni za zyskiem... Pierwszy rodzaj wymiany godzien jest pochwały, ponieważ służy koniecznościom przyrodzonym. Drugi zaś rodzaj słusznie się gani, jako że w samem swem założeniu służy żądzy zysku, która nie zna granicy, lecz rośnie w nieskończoność”.

„...nic nie stoi na przeszkodzie przeznaczeniu zysku dla jakiegoś celu koniecznego i uczciwego, i w ten sposób handel wraca do swej godziwej postaci. Naprzykład jeśli ktoś przeznacza umiarkowany zysk, osiągnięty w handlu, na utrzymanie swej rodziny, lub na pomoc dla ubogich, czy też jeśli ktoś oddaje się handlowi dla celów użyteczności publicznej, to znaczy by nie zabrakło rzeczy niezbędnych dla życia ojczyzny. I oczekuje zysku, nie jako celu dla którego działa, ale jako wynagrodzenia za swą pracę”.

W sprawie zysku rozchodzą się ostatecznie poglądy Św. Tomasza i zapatrywania ekonomistów liberalnych. „Zysk to jest różnica na moją korzyść między tem, co dałem, a tem co otrzymałem wzamian”—mówią ekonomiści. „Dwa są rodzaje zysku”—odpowiada im. Św. Tomasz. „Jeden

* S. Th. 2, 2 qu. LXXVII.

** t. zn. Arystoteles, przyp. autora.

zysk jest godziwy, i przynosi korzyść społeczeństwu. Drugi zysk jest szkodliwy, i demoralizuje nie tylko tego, który za nim goni, ale w swej niepohamowanej żądzy krzywdzi materialnie, a zarazem demoralizuje, całe jego otoczenie“.

„Jak odróżnić w praktyce jeden zysk od drugiego?“ — zapytuje ekonomista. „Zakażmy wszelkiego dążenia do zysku, to życie gospodarcze zamrze, i skutki będą katastrofalne. Jeśli mamy jednak korzystać z usług ludzi handlujących dla zysku, to nie możemy się bawić w subtelne rozróżniania natury moralnej“.

Św. Tomasz uśmiecha się z pobłażaniem. „...*Ustawy ludzkie nie grożą karami za pewne grzechy** — odpowiada ekonomistom — „ze względu na warunki życia ludzi niedoskonałych, z powodu których dużo korzyści by się traciło, gdyby ściśle zapobiegać wszystkim grzechom, przy pomocy odpowiednich kar“.

Powyższe zdanie brzmi tak nieprawdopodobnie w ustach średniowiecznego moralisty, że nie jeden z czytelników zmieni po jego przeczytaniu swój dotychczasowy pogląd na Św. Tomasza, i nabierze zwiększonego szacunku dla jego znajomości ludzkiej natury. Lecz ekonomista zdążył już ochłonąć ze swego zdziwienia, i usiłuje zamknąć dyskusję.

„Skoro więc nie możemy tych rzeczy uregulować drogą prawną, musimy zostawić życie jego naturalnemu biegowi“.

„Przepraszam“ — powiada Święty — „ustawy bywają niewykonalne, a takie ustawy szkodzą więcej, niż pomagają. Nie będziemy więc tępić nadmiernych zysków przy pomocy sędziego i policjanta. Ale mamy różne inne możliwości, by przeciwdziałać w społeczeństwie psychozie pogoni za zyskiem, która wydaje u was skutki tak opłakane. Słyszałem, że macie u siebie instytucję, zwaną giełdą pieniężną. Możliwe, że oddaje ona pewne usługi, ale jest oficjalnym zerowiskiem ludzi goniących za spekulacyjnym zyskiem, i jako takie ognisko demoralizacji wyrządza ogromne szkody. Skasujcie tedy tę instytucję, i obmyślcie inne sposoby, by oddawane przez nią usługi utrzymać dla społeczeństwa. Słyszałem również o tem, że w niektórych narodach duch kupiecki tak się rozpowszechnił, że wię-

* S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1. ad 3.

kszość ludności oddaje się handlowi, co z natury rzeczy musi prowadzić do takiego wzmożenia pogoni za zyskiem, że wszystkie wiązania moralne się rozprzegają. W społeczeństwie powinien handlować tylko nieznaczny odsetek ludzi, jak to było za moich czasów, wtedy większość, pracująca z widokiem na osiągnięcie dochodów proporcjonalnych do włożonej pracy, trzyma w ryzach spekulujące jednostki. Mogłbym wam jeszcze przytoczyć szereg sposobów, jak sprowadzić psychozę zysku do rozmiarów społecznie nieszkodliwych. Niestety, wiem, że rozmowa ze Świętym, takim jak ja, jest wysoce męcząca, więc ograniczę się do tych kilku uwag, a wy sobie już sami obmyślcie resztę...”

W społeczeństwie liberalnem praca jest tylko jednym ze środków, i to mało skutecznym, do osiągnięcia zysku. Zysk jest celem samym w sobie, należy do niego dążyć wszelkimi sposobami, byle pozostać w jakiej takiej zgodzie z kodeksem karnym.

*W społeczeństwie chrześcijańskim nie może być dochodu bez pracy. W myśl zasad sprawiedliwości wymiennej, powinien być dochód proporcjonalny do jakości i ilości wysiłku, t. zn. powinien stanowić godziwe wynagrodzenie za wykonaną pracę (oczywiście uwzględniając „stan“ do którego należy pracujący). Do tego rodzaju dochodu dąży większość ludzi — tej też kategorii dochodu powinny sprzyjać nasze instytucje prawne i społeczne. Całe warstwy ludności nie wiedzą o tem, że według terminologii ekonomicznej pracują jakoby dla zysku. Chłop, rzemieślnik, sklepikarz, lekarz czy inżynier, *pracują na swoje utrzymanie*, jeśli skonsumują mniej niż zarobią, odkładają oszczędności. Słowo zysk nie figuruje bynajmniej w ich słowniku. Normalne dążenie człowieka do podniesienia swej stopy życiowej niema również nic wspólnego z dążeniem do „zysku“.*

W praktyce życiowej, dążenie do zysku utożsamia się z dążeniem do dochodu bez pracy. Zysk jest ideałem — i to ideałem niemoralnym. Należy dodać, że jest to ideał wrodzony stosunkowo nielicznym jednostkom, dopiero dźwignięty na wyżyny mistyczne przez liberalizm, odpowiednio rozreklamowany i „naukowo“ promowany na pramoty w

ludzkiej działalności, potrafił stać się narkotykiem, którym oszalała większość ludzi. Usankcjonowanie spekulacyjnych zysków, co gorzej, złożenie zaszczytów i władzy z zasady w ręce ludzi, których legitymacją jest nie rodzaj pracy, ale suma majątku, stało się cechą charakterystyczną naszych czasów. Jest to objaw, z którym należy czempredziej skończyć, i to zarówno w polityce, jak i w ekonomii.

Sto pięćdziesiąt lat temu napisał Adam Smith: „...każdy człowiek powinien mieć całkowitą swobodę załatwiania swych własnych spraw na swój własny sposób, byle nie gwałcił praw sprawiedliwości.” Współcześni jego wyznawcy identyfikują sprawiedliwość z kodeksem karnym, oczywiście po odpowiednim przykrojeniu tegoż kodeksu do swoich potrzeb. Powyższa definicja Smitha może służyć również jako motto w ustroju chrześcijańskim, tylko pojęcie sprawiedliwości będzie trochę inne. Za człowieka sprawiedliwego nie będziemy uważali automatycznie każdego, kto przypadkiem nie siedział jeszcze w kryminale.

We współczesnym przedsiębiorstwie uważa się za zysk dopiero tę część przychodu, która pozostaje po opłaceniu surowców, robocizny, po oprocentowaniu całego kapitału użytego do produkcji, oraz po wynagrodzeniu pracy kierowników i organizatorów. Tak pojęty zysk stanowi niewątpliwie dochód bez pracy. Ten sam charakter mają również wszelkie zyski natury spekulacyjnej. W dalszych rozważaniach gospodarczych będę więc używał słowa dochód, lub słowa zysk, w zależności od tego, czy będzie mowa o wynagrodzeniu związanym z wykonaną pracą, czy o dochodach sprzecznych z zasadą sprawiedliwości wymiennej, kiedy ktoś bierze, niczego wzamian nie dając.

Św. Tomasz pisze: ** „...prawo ludzkie obowiązuje nie tylko cnotliwych, lecz ogół ludzi, wśród których jest wielu pozabawionych cnoty. Z tego powodu prawo ludzkie nie może

* „Bogactwo Narodów” IV. 9.

** S. Th. 2, 2 qu. LXXVII a. 1. ad 1.

zabronić wszystkiego co jest przeciwne cnocie, lecz zadowala się zakazem zbrodni uniemożliwiających współzycie ludzi, tolerując inne występki, nie jakoby się na nie zgadzało, ale w tem rozumieniu, że ich nie karze. Przeto prawo niejako dozwala, w tem rozumieniu, że nie przewiduje za to kary, jeśli sprzedający sprzeda swój towar wyżej jego istotnej wartości, względnie kupujący kupi taniej, o ile nie stosują przy tem metod oszukańczych. Chyba że różnica między ceną a istotną wartością jest nadmiernie duża; wtedy bowiem nawet prawo ludzkie zmusza do zwrotu, np. jeśli ktoś jest pokrzywdzony ponad połowę słusznej wartości. Lecz prawo boskie nie puszcza bezkarnie niczego, co się sprzeciwia cnocie. Prawo boskie uważa więc za rzecz niegodziwą, jeśli przy kupnie i sprzedaży nie przestrzega się sprawiedliwych zasad równowartości; ten przeto, który pobrał więcej, powinien wynagrodzić poszkodowanego, o ile szkoda jest znaczna. Muszę bowiem zauważyć, że godziwa cena różnych rzeczy nie da się ściśle określić, lecz polega raczej na przybliżonym szacunku; z tego względu umiarkowane podniesienie lub obniżenie ceny nie wydaje się być w sprzeczności z zasadą sprawiedliwej równowartości".

Powyższe rozumowanie Sw. Tomasza wydaje nam się bardzo banalne, poprostu dlatego, że tak samo rozumuje u nas każdy chłop czy sklepikarz. Każdy sędzia w Polsce potrafi na chłopski rozum orzec, czy jakaś transakcja odpowiada zasadom słuszności, czy też nie. Poczucie „sprawiedliwej równowartości“, spuścizna po długich wiekach cywilizacji chrześcijańskiej, tkwi jeszcze bardzo żywo w naszym narodzie. *To jest zasadnicza podstawa, na której musimy oprzeć nasz ustrój gospodarczy.*

ROZDZIAŁ IV.

„Bratu twemu nie będziesz pożyczał
na procent ani pieniędzy, ani zboża,
ani jakiegokolwiek innej rzeczy—jeno
gojowi”.

(Deuter. XXIII. 19).

ODSETKI.

Studjując stosunek Kościoła do spraw gospodarczych, napotykaemy w ciągu bez mała dwu tysięcy lat stale jeden i ten sam problem, stanowiący punkt centralny wszelkich rozważań: problem pobierania odsetek od pożyczonych pieniędzy. Współczesny umysł, wyszkolony na ekonomicznej doktrynie liberalnej, nia w pierwszej chwili wrażenie jakby jakiejs zbiorowej sugestji, ciągnącej się poprzez długie wieki. Że kapitał niesie odsetki — to się nam wydaje rzeczą tak naturalną i zrozumiałą jak np. fakt, że w tramwaju płacimy za bilet. W podręcznikach ekonomji kwestja rentowności kapitału stanowi zazwyczaj jeden z krótszych rozdziałów. A jednak dziwna zgodność, z jaką najgłębsi myśliciele katoliccy odnosili się w ciągu tysiącleci do tego problemu, i wysuwali go na plan pierwszy w rozważaniach gospodarczych i ówczesnej nauce Kościoła, zmusza nas do postawienia pytania: dlaczego Kościół przywiązywał taką wagę do tej sprawy, i o ile stanowisko jego było uzasadnione?

Najpierw trochę historii. A więc przez pierwsze tysiąc lat istnienia Kościoła, uczeni teologowie odrzucali zgodnie jakikolwiek procent od kapitału. Pobieranie odsetek uważano za grzech. W pierwszych wiekach średniowiecza przeprowadził Kościół we wszystkich państwach chrześcijańskich, a więc praktycznie biorąc, w całym ówczesnym świecie cywilizowanym, ustawowy zakaz pobierania odsetek od pożyczonych pieniędzy. Żydzi, których przepisy religijne nie pozwalają pobierać odsetek od braci w Izraelu,

ale wyraźnie zalecają pobieranie procentów od gojów, korzystali szeroko z tego prawa, to też większość zamieszek antyżydowskich w średniowieczu, wypędzenie ich z Anglii i Francji, i specjalne ustawodawstwo dla Żydów (w Polsce np. statut kaliski) obracają się stale koło kwestji, czy zakaz pobierania procentu ma obejmować również i Żydów, czy też Żydzi mają być z pod niego wyjęci. Dzięki Żydom, kwestja lichwy (bo Kościół nawet w swej nomenklaturze nie odróżniał lichwy od umiarkowanego procentu) stanowiła wiecznie aktualny temat dyskusji, tembardziej, że ożywiające się coraz bardziej międzynarodowe stosunki handlowe miały stałą tendencję do wymykania się z pod surowej doktryny Kościoła. Teologia scholastyczna, tłumacząc stanowisko Kościoła, zaczyna stopniowo przewidywać pewne wypadki, w których za pożyczanie kapitału należeć się będzie pewne odszkodowanie, nie mogące atoli mieć znamion zysku. Jeden z najobszerniejszych rozdziałów „Summa Theologica” Św. Tomasza zajmuje się lichwą, a tezy przez niego postawione, rozwijane dalej przez poszczególnych teologów, skonkretyzowały się ostatecznie w tym kierunku, że Kościół uznał konieczność odszkodowania za pożyczony kapitał w następujących wypadkach:

1) *damnum emergens* (odszkodowanie za straty istotnie wynikające z niezwrócenia pieniędzy w terminie);

2) *periculum sortis* (odszkodowanie za ryzyko związane z obawą, że dłużnik może zbankrutować, umrzeć, i t. p.);

3) *lucrum cessans, secundum personarum et negotiorum conditionem* (odszkodowanie nie za przypuszczalne zyski, jakie dane pieniądze mogłyby ewentualnie przynieść właścicielowi, bo to byłby już właściwy procent, ale odszkodowanie za straty rzeczywiście powstające w konkretnych interesach danego wierzyciela, przez to, że pozbawił się pożyczonej gotówki — co powinno być rozpatrzone od wypadku do wypadku).

W powyższych trzech ewentualnościach zasada arystotelesowska, że „pieniądz nie rodzi”, podtrzymana jest w całej swej surowości. W ten sposób ujęte, ostateczne stanowisko Kościoła, znalazło swój wyraz w uchwałach szeregu synodów z XVI i XVII wieku. Nawet przywódcy du-

chowi Reformacji, z wyjątkiem Kalwina, zachowali w tej sprawie całkowitą solidarność ze stanowiskiem Kościoła katolickiego.

Ale fale indyferentyzmu religijnego były coraz to silniej w mury doktryny kościelnej. Nowoczesny rozwój gospodarczy żądał kapitałów za wszelką cenę. Jedno państwo po drugim zezwalało na pobieranie ustawą określonych procentów, utrzymując nadal karalność lichwy. Katolicy stosowali się w sprawie odsetek coraz rzadziej do nauki Kościoła. Wprawdzie Papież Benedykt XIV podtrzymuje jeszcze w Encyklice „*Vix pervenit*“ (rok 1745) w całej rozciągłości naukę Ojców Kościoła, ale już w roku 1830 Papież Pius VIII odpowiada na zapytanie biskupa z Rennes, że nie należy niepokoić przy spowiedzi — „*non esse inquietandos*“ — ludzi pobierających odsetki, pod warunkiem, że wyrażą gotowość poddania się orzeczeniu Stolicy Apostolskiej, które w tej sprawie będzie wydane.

Blisko sto lat czekał świat katolicki na to orzeczenie. W międzyczasie szereg państw poznało nawet te przepisy, które krępowały właściwą lichwę, wprowadzając zgodnie z doktryną liberalną całkowitą swobodę pobierania dowolnych odsetek. Wobec niepomysłnych wyników tej reformy, niektóre z państw przywróciły po paru latach ustawodawstwo skierowane przeciw lichwie. Kościół katolicki zachowywał się biernie. Wreszcie wydano w roku 1917 nowy „*Codex Juris Canonici*“, w którym znalazł się artykuł 1543 treści następującej:

„Jeżeli się daje komuś rzecz wymienialną (*res fungibilis*) w tym celu, by się stała jego własnością, a następnie zostało zwrócone tyleż samo w tym samym rodzaju, nie wolno pobrać żadnego zysku z racji umowy; lecz przy użyczeniu rzeczy wymienialnej nie jest samo przez się niedozwolone pobierać zysk dopuszczony prawem, chyba że wiadomo, iż ten zysk jest nadmierny, lub nawet zysk większy od dozwolonego prawem, jeżeli tylko przemawia za tem jakiś sprawiedliwy, i będący w odpowiednim stosunku od oddanej przysługi, tytuł“.

Można śmiało wyrazić przypuszczenie, że nazwiska uczonych teologów, którzy układali powyższy artykuł, nie przejdą do historii na równej stopie z nazwiskami Ojców

i Doktorów Kościoła. Zdaje się, że właściwa interpretacja tego artykułu wygląda w ten sposób: w pierwszej części Kościół podtrzymuje teoretycznie w całości odwieczny swój zakaz pobierania odsetek; w drugiej zaś części kapituluje w praktyce, nie czując się na siłach walczyć z prądem czasu, i nie chcąc narażać zarówno spowiedników, jak i ich owieczek, na rozterkę duchową, przekraczającą ich duchowe możliwości.*

Wobec takiego stanowiska Kościoła, pewna atawistyczna odraza do kredytu i procentów, która tkwiła jeszcze z dawnych czasów w społeczeństwach chrześcijańskich, a w szczególności stosunkowo do niedawna w społeczeństwie polskim, zanika w szybkim tempie, i wielu wierzących katolików zaczyna już uważać, że jaskrawa nawet lichwa niema nic wspólnego z moralnością, byle pozory były zachowane.

Chcąc zrozumieć motywy, kierujące Kościołem w jego walce przeciw odsetkom od kapitału, najwygodniej sięgnąć do „Summa Theologica” Św. Tomasza z Akwinu, stanowiącej niewątpliwie szczytowy punkt w rozwoju i ujęciu myśli katolickiej. Współczesna „rehabilitacja” Św. Tomasza przypomina żywo zainteresowanie „prymitywami” w malarstwie, tak charakterystyczne dla naszej epoki. Podobnie jak obraz Fra Angelico lub Botticelliego, „Summa” Św. Tomasza wykazuje pod pozorami średniowiecznej naiwności tak głębokie pokłady myśli — chciałoby się prawie powiedzieć artyzmu — że czytelnik wgłębiający się w poszczególne zdania, mające nierzadko na pierwszy rzut oka wszelkie pozory komunalów, zaczyna odkrywać w nich coraz to dalej sięgające perspektywy. Myśl Arystotelesa, sumująca w sobie doświadczenia świata starożytnego, przeszczepiona na światopogląd chrześcijański, i przefiltrowana przez tysiąc lat doświadczenia Kościoła katolickiego, znalazła w filozofii Akwinaty syntezę, nie mającą równej sobie w żadnej innej epoce. Współczesny świat wydaje się być różny od świata, w którym żył i myślał Św.

* Mogę podać jaskrawy przykład: Kongregacja Propagandy oficjalnie zezwoliła katolikom chińskim na pobieranie 20% do 30% rocznie!

Tomasz. Ale zasady, obowiązujące w społeczeństwie ludzi, nie zmieniły się ani o jotę. Społeczeństwo to stoi dziś niezawodnie wyżej pod względem realizacji zasad moralnych w życiu zbiorowym, lecz zawdzięcza to dwiętnastu wiekom oddziaływania moralności chrześcijańskiej. Pewne przepisy tej moralności, jak np. te, które się odnoszą do odsetek od kapitału, zostały zarzucone w praktyce, ale dowód pozostaje jeszcze do przeprowadzenia, czy istotnie nie były słuszne.

Jakiż jest właściwy sens zakazu odsetek? Odsetki, według nauki Kościoła, stanowią grzech przeciw sprawiedliwości wymiennej, „*iustitia commutativa*“. Człowiek pożyczający ma prawo do zwrotu tylko tej sumy, którą pożyczył, wszystko co otrzyma ponadto stanowi zysk niesprawiedliwy, dochód bez ekwiwalentu. Otrzymując coś, muszę dać wzamian jakiś ekwiwalent, którym może być albo moja własność, albo moja praca. *Tertium non datur*. Odsetki nie stanowią ani zwrotu własności, ani zapłaty za pracę, są więc wzbogaceniem niesłusznym, tembardziej niemoralnym, że człowiek dający pożyczkę, jest silniejszy od pożyczającego, ma nad nim przewagę płynącą z posiadania kapitału, i wyzyskuje ją do wymuszenia nienależnego sobie zysku. Ten, kto żąda odsetek, grzeszy. Nie grzeszy natomiast człowiek, zmuszony koniecznością do pożyczania wzamian za odsetki. Jednem słowem, odsetki w życiu społecznym stanowią stały haracz, nałożony przez silniejszych na słabszych, co oczywiście sprzeciwia się moralności.

Powyższemu rozumowaniu przeciwstawia się często pogląd, że kilka, czy kilkanaście procent rocznie zysku, choćby nie miało nawet głębszego moralnego uzasadnienia, nie może być powodem zakazu pobierania odsetek, odgrywających tak twórczą jakoby i błogosławioną rolę w życiu gospodarczym. Lichwa, owszem, na to zgadzają się niektórzy ekonomiści, kilkadziesiąt procent rocznie, jest gospodarczo szkodliwa, ale kilka, czy kilkanaście procent rocznie, nie może mieć nic wspólnego z moralnością, skoro daje praktycznie dobre skutki. Rozważmy ten argument, idąc po linii rozumowania Kościoła. Oczywiście, im wyższy procent, tem większa krzywda. Ale szkoda społeczna, wynikająca z nieznacznego nawet procentu, da się najlepiej zobrazować na

następującym przykładzie: Powiedzmy, że wielbłąd nosi stale pewien ciężar, dostosowany do jego siły. Nałożmy na niego kilkadziesiąt procent ciężaru więcej: niewątpliwie zginie w krótkim czasie. To jest lichwa. Ale nałożmy na niego tylko kilka procent ciężaru więcej, niż powinien normalnie nieść. Wielbłąd będzie chodził nadal w karawanie, lecz będzie chudy i będzie powłóczył nogami, straci swój wielbłądzi temperament i swoją wielbłądzą radość z życia. Podobnie się dzieje w społeczeństwie, w którym mniejszość pobiera odsetki, a większość na nie pracuje. Społeczeństwo takie może żyć w tym stanie przez tysiąc lat, ale większość jego członków będzie biadała stale nad swoim losem i żądała słusznie jego poprawy. Czasem się zdarzy, że wszyscy wszystkim płacą odsetki, jak się to dzieje obecnie w Polsce. Wówczas nazywamy to kryzysem gospodarczym, i chodzimy wszyscy z wielbłądziejimi minami.*

Ale przejdźmy do argumentów Św. Tomasza. Cytuje on jako przykład wino. Jedyny możliwy użytek wina polega na jego wypiciu. *„Przeto gdyby ktoś chciał sprzedać osobno wino, a osobno użytek tegoż wina”* – powiada Św. Tomasz** — *„sprzedałby dwukrotnie to samo, czyli sprzedałby to czego nie ma, co stanowi oczywisty grzech przeciw sprawiedliwości. Analogicznie popełnia niesprawiedliwość ten, który pożycza wino, żądając podwójnego odszkodowania: jednego w formie zwrotu takiego samego wina, drugiego zaś w formie zapłaty za użycie (usus), która to zapłata nosi nazwę odsetek (usura)”. Znamy natomiast zdaniem Św. Tomasza rzeczy, których użycie nie jest równoznaczne z ich zniszczeniem (wzgl. zużyciem). Taką rzeczą jest np. dom mieszkalny, który jest przeznaczony do stałego używania go w celach mieszkalnych, a nie do jednorazowego zużycia. Otóż wynajęcie domu, przy równoczesnem zachowaniu dla siebie jego własności, uważa Św. Tomasz za rzecz godziwą.*

* Za argument starczy również następujące zestawienie: o ile wypóżyć jednego złotego na 4% rocznie, i dodawać co pół roku odsetki do kapitału, to po stu latach urośnie nasz złoty do 52-ch złotych. Przy odsetkach po 8% rocznie, rozmnoży się jeden złoty po stu latach do pięknej sumki 2550 złotych! Ten prosty rachunek tłumaczy karierę rodu Rotszyldów, i wiele, wiele innych rzeczy...

** S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1.

Jeszcze jaśniej tłumaczy on swoją myśl na następującym przykładzie:*** „...główny sposób użycia srebrnych naczyń nie polega na ich zużyciu, przeto wolno godziwie sprzedać użytek tych naczyń, zachowując ich własność dla siebie. Głównym natomiast sposobem użycia srebrnych pieniędzy jest ich wydawanie, to znaczy ich wymiana na inne przedmioty; z tego względu nie godzi się sprzedawać ich użytku, żądając zarazem zwrotu całej sumy, którą się pożyczło. Należy jednak mieć na uwadze, że drugim sposobem użycia srebrnych naczyń może być ich użycie do celów wymiennych, a takiego ich użytku nie godzi się sprzedawać. Analogicznie może istnieć jakiś inny sposób użycia srebrnych monet, np. gdyby ktoś wynajął monety znaczne do celów ozdoby, lub celem złożenia ich jako zastawu; tego zaś rodzaju użytek pieniądza wolno godziwie sprzedawać*.

Uważny czytelnik, nie zrażony djalektyką scholastyczną Św. Tomasza, włączy się w jego myśl i wywnioskuję, że Św. Tomasz potępia odsetki od pożyczek przeznaczonych na cele konsumpcyjne, dopuszcza natomiast odszkodowanie za pożyczenie przedmiotów o przeznaczeniu trwałym. Mówiąc stylem współczesnym, Św. Tomasz potępia bezwzględnie kredyt konsumpcyjny. Pierwszy wniosek zasadniczy, niezmiernie aktualny w epoce, w której problem kredytu konsumpcyjnego stoi na pierwszym planie dyskusji ekonomicznej. Większość ekonomistów, dopatrujących się jednej z głównych przyczyn obecnego kryzysu gospodarczego w przeroście kredytu konsumpcyjnego (np. sprzedaż towarów codziennego użytku na weksle i raty), stanie w tej sprawie zdecydowanie po stronie Św. Tomasza. Przeciętny człowiek, laik zarówno w teologii jak i w ekonomii, uważa również na chłopski rozum, że należy najpierw zarobić, a później kupić, i że wszelkie karkołomne sztuki kredytowe, prowadzące ostatecznie do tego, iż większość ludzi pracujących jest zadłużona do wysokości jedno- lub dwurocznego swego dochodu, muszą wcześniej czy później doprowadzić do katastrofy gospodarczej.

— Zgoda, że kredyt konsumpcyjny jest szkodliwy — powie czytelnik. — Ale co to ma wspólnego z odsetkami od pożyczonych pieniędzy? Przecież przeważająca większość

*** Sum. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1.

pożyczek idzie współcześnie na cele produkcyjne. Ustawodawca nie może się bawić w rozróżnianie, czy pożyczam komuś tysiąc złotych na zakup paru zbytecznych ubrań, czy też na zakup maszyny, którą mój dłużnik będzie wyrabiał zysk, zawierający dochód dla niego i odsetki dla mnie. W średniowieczu większość pożyczek miała cele konsumpcyjne, i pieniądź istotnie służył przeważnie do wymiany. Lecz dziś pieniądź jest kapitałem, a kapitał jest równoznaczny z narzędziem produkcji. Tego Św. Tomasz nie przewidział, i z tego względu jego teorie nie są już obecnie aktualne.—

Oddajemy znowu głos Św. Tomaszowi. Niech się broni sam.* *„...pożyczający pieniądze przenosi posiadanie ich na tego, który od niego pożycza; ten przeto, któremu pieniądze pożyczono, posiada je na własne ryzyko, i obowiązany jest oddać je w całości: stąd wniosek, że nie wolno wierzycielowi żądać więcej niż pożyczył. Natomiast człowiek, który powierza swe pieniądze czy to kupcowi, czy wytwórcy, w formie jakiegokolwiek rodzaju spółki, nie przenosi na tego kupca czy wytwórcę posiadania swoich pieniędzy, przeciwnie, te pieniądze pozostają nadal jego własnością; skutkiem tego kupiec handluje temi pieniędzmi na ryzyko ich właściciela, podobnie wytwórca na jego ryzyko używa tych pieniędzy do produkcji; wobec takiego stanu rzeczy, wolno pożyczającemu godziwie domagać się części zysku, płynącego z danego przedsiębiorstwa, jako że zysk ten płynie z jego własności”.*

Przecieramy oczy ze zdumienia: czy te słowa wyszły z pod pióra teologa, czy ekonomisty? Forma jest może trochę scholastyczna, ale myśli nie powstydziliby się sam Adam Smith.

O ile w poprzednio cytowanych ustępach wychodził Św. Tomasz z chrześcijańskich pojęć sprawiedliwości i pracy, o tyle wprowadza obecnie do dyskusji pojęcie własności w rozumieniu chrześcijańskim, i to w całej jego rozciągłości. Myśl katolicka przyznaje własności duże uprawnienia, ale tylko pod warunkiem nierozrywania więzów osobistych, łączących właściciela z posiadanym przedmiotem. Jeśli te więzy rozrywam, ogłaszając zupełne desinteresement co do tego, co się będzie działo przez pewien czas z moją własnością, i przerzucając tchórzliwie całe ryzyko na cudze barki, nie wolno mi odebrać więcej, niż pożycz-

* Sum. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 2 ad. 5.

łem. Jeśli natomiast wchodzę z moim kapitałem jako spółnik do cudzego przedsiębiorstwa, zachowuję z moją własnością kontakt osobisty (a kontakt ten stanowi, w myśl ideologii chrześcijańskiej, rodzaj posłannictwa o charakterze moralno-społecznym); dzielę się ryzykiem, a więc mam prawo dzielić się i zyskami; mam pewność, że chodzi o produkcyjne użycie kapitału, a nie o konsumpcję (zgodnie z poprzednią tezą); a wreszcie, mając udziały w jakimś przedsiębiorstwie, nie mogę zarabiać bez pracy, co stanowi poważne plus natury etycznej.

Ostatnie zdanie wygląda na paradoks. Jakto, zapyta czytelnik, czyż obcinanie kuponów od akcji można nazwać pracą? Życie współczesne dało już dawno odpowiedź na to pytanie, i to w sensie twierdzeń Św. Tomasza. Weźmy na przykład nasze polskie stosunki. Mamy przeważnie dwa rodzaje spółek: z ograniczoną odpowiedzialnością, oraz akcyjne. W spółkach z ogr. odp. każdy spółnik z reguły musi się zajmować aktywnie interesami przedsiębiorstwa, w przeciwnym bowiem razie nie tylko nie widzi zysków, ale traci to co włożył. Historia stara jak świat, każdy z nas widział przykłady tej starej prawdy dokoła siebie.

A spółki akcyjne? Właściciel dużego pakietu akcji musi się intensywnie zajmować danym przedsiębiorstwem, wchodzi do władz spółki i zabiega koło jej rozwoju. Jeśliby chciał spocząć na laurach i obcinać kupony, wyjdzie z torbami. Nie tłucze wprawdzie kamieni na drodze, ale wiemy przecież, że praca organizacyjna i kierownicza jest również pracą według pojęć chrześcijańskich. A drobny akcjonariusz? Któż z nas nie zna typowego drobnego akcjonariusza, który wyciąga smętnie z biurka stosy bezwartościowych akcji, i użala się, że go „wykiwano”. Sam sobie winien, bo chciał zarabiać bez pracy. Kilka akcji daje zysk nieduży, niewymaga więc wielkiej pracy, ale tego minimum zabiegów, które nazywamy chodzeniem koło własnych interesów. Drobny akcjonariusz musi się interesować losami danego przedsiębiorstwa, popierać je, chodzić na walne zebrania i bronić się, by go nie oszukano. Jest to zarówno w jego własnym interesie, jak i w interesie przedsiębiorstwa. To stanowi jego pracę, i jeśli się od niej usuwa, sam sobie musi przypisać winę swoich strat.

Dochodzimy więc do sformułowania drugiej tezy:
Kapitały nie powinny krążyć w życiu gospodarczem w formie pożyczek, lecz w formie udziałów.

Czy Św. Tomasz żąda ustawowego zakazu pobierania odsetek?

Nie. Św. Tomasz zna lepiej od współczesnych doktrynerów naturę ludzką i mechanizm życia zbiorowego, i nie ludzi się co do skuteczności ustawowych zakazów. W najlepiej nawet zorganizowanym społeczeństwie zachodzić będą wypadki, że poszczególni ludzie przyciśnięci nędzą, chorobą czy wyjątkową koniecznością, zmuszeni będą uciekać się do pożyczania. Nie zawsze znajdą człowieka o miłosiernem sercu, który im pożyczy, nie żądając procentu. *„Człowiek nie zawsze obowiązany jest udzielić pożyczki”* (oczywiście bezprocentowej, przyp. autora) — powiada Św. Tomasz* — *„I z tego powodu udzielenie pożyczki zalicza się do rad... jako i miłowanie nieprzyjaciół jest jeno radą...”* Najgłębszych wskazań moralnych, wymagających od człowieka prawdziwego heroizmu, nie można wymusić, można je tylko doradzić i stworzyć atmosferę przychylną ich realizacji. Natura ludzka jest ułomna, i grzesznicy zawsze się znajdują. Na tem polega różnica między państwem a Kościołem, że państwo wymusza siłą posłuch dla swoich ustaw, a Kościół daje wskazania moralne, rezygnując w niektórych sprawach nawet ze swej egzekutywy, której trybunałem jest konfesjonał. Dlatego też ustawy państwowe, jako bezwzględniejsze w działaniu od wskazań moralnych, nie mogą obejmować pewnych problemów, będących tylko wewnętrzną sprawą między człowiekiem a jego sumieniem. *„...Ustawy ludzkie nie przewidują kary za pewne grzechy”* — pisze Św. Tomasz* — *„ze względu na niedoskonałość wrodzoną człowiekowi, z powodu której traciłoby się dużo korzyści, gdyby ściśle zapobiegano wszystkim grzechom przy pomocy odpowiednich kar. Z tego też powodu prawo ludzkie pozwala na odsetki, nie jakoby uważało, że się sprawiedliwie należą, lecz by nie udaremnić korzyści możliwych dla wielu...”* Nawet w ustroju gospodar-

* Sum. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1 ad 4.

czym, w którym ogół stosować się będzie do wskazań Św. Tomasza, zachodzić będą nagle konieczności gospodarcze, wymagające zaciągnięcia pożyczki oprocentowanej — „by nie udaremnić korzyści możliwych dla wielu“. Dlatego zakaz pobierania odsetek musi pozostać tylko w dziedzinie moralnej, a nie ustawodawczej, jako i nakaz miłowania nieprzyjaciół. Ale jeśli ludzkość cała organizuje się dla miłowania nieprzyjaciół, tworząc w tym celu tysiące różnych organizacji z Ligą Narodów na czele, dlaczego nie miałyby się organizować, by zmniejszyć do minimum plagę lichwy i jej młodszych braci, odsetek? Tak, jak bezpieczeństwo życia w pewnym kraju stanowi niewątpliwy miernik poziomu jego moralności publicznej, tak samo wysokość stopy procentowej stanowi pewnego rodzaju termometr, wskazujący stopień nieprawości w danym ustroju gospodarczym... Między niepobieraniem odsetek, a pobieraniem ich zawsze i wszędzie i w dowolnej wysokości, istnieją jeszcze różne możliwości pośrednie. Myśl Św. Tomasza możnaby więc wyrazić w następującej formule: *ustroj gospodarczy powinien być tak zorganizowany, by sprowadzić do minimum ilość wypadków, w których pożyczanie wzamian za odsetki staje się koniecznością*.

A postęp techniczny, a dynamika życia gospodarczego? Jak mobilizować kapitały dla produkcji i wymiany? Na to Św. Tomasz dał nam odpowiedź bardzo wyraźną. Nie kredyt, lecz osobisty udział w przedsiębiorstwie. Nie jest to zadanie pod żadnym względem rewolucyjne. W istocie, sposób finansowania produkcji jest również jednym z mierników doskonałości ustroju gospodarczego. We Francji i w Anglii ludzie, chcący uruchomić nowe przedsiębiorstwo, zakładają spółkę, spółka chcąc powiększyć swoją produkcję szuka nowych spółników, lub wypuszcza nową emisję akcji. Natomiast w Polsce od szeregu lat żadnych akcji nie emitowano... a przedsiębiorstwa powstają i rozwijają się obecnie wyłącznie drogą pożyczania na warunkach lichwiarskich. Emisje akcji nie są możliwe, gdyż na tym interesie zdążono już nabrać i zrazić całe społeczeństwo.

Nawet lichwa stała się już u nas interesem wysoce niepewnym. Trzeba będzie niebawem posłuchać Św. Tomasza...

Przechodzimy z kolei do najdrażliwszej sprawy. A więc wszelki, najbardziej nawet umiarkowany procent, jest według Św. Tomasza niemoralny?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, musimy oddzielić Św. Tomasza-ekonomistę od Św. Tomasza-moralisty. Moralista wie, że pieniądź działa jak narkotyk: wprowadzie użyty w małych dawkach nie szkodzi, ale nie można nigdy przesadzić w ostrzeganiu ludzi przed narkotykami, by im czasem nie przyszła myśl zdrożna spróbować, jak narkotyk smakuje. Dlatego Św. Tomasz powtarza tylokrotnie zakaz pobierania odsetek od pieniędzy. Ale tłumaczy przy tem ustawicznie, że pieniądź służy do wymiany i tylko do wymiany... i tylko do wymiany. Św. Tomasz zbyt często to powtarza, by w nas nie powstało podejrzenie, że pieniądź może służyć i do innych celów — i co gorsza, że Św. Tomasz-ekonomista doskonale o tem wie, lecz ze względów pedagogicznych boi się głośno o tem mówić. Mruga więc tylko jednym okiem w stronę uczonych w piśmie, i prosi ich między wierszami, by się wczuli w jego trudną sytuację i nie posadzili go o ekonomiczne nieuctwo. Rozumiemy jego zakłopotanie, bo uczeni mogliby mu przecież zarzucić, że „iustitia commutativa” nie może się odnosić tylko do praw dłużnika, lecz musi również chronić i praw wierzyciela. Zdarza się przecież często, że dłużnik zwraca nominalnie tę samą ilość pieniędzy, którą pożyczył, ale że pieniądze tymczasem straciły na wartości. W takim wypadku „iustitia commutativa” byłaby oczywiście pogwałcona, i to na niekorzyść wierzyciela. Mogą zachodzić i inne wypadki. Św. Tomasz-ekonomista wie o tem doskonale, co wynika z następującego ustępu: *
„...wierzyciel może bez grzechu przewidzieć w umowie, którą zawiera ze swym dłużnikiem, wynagrodzenie szkody, wynikającej z faktu, że pozbawia się czegoś coby mu się należało; nie jest to bowiem równoznaczne ze sprzedawaniem użytku pieniędzy, lecz z uniknięciem szkody, skoro się może przecież zdarzyć, że biorący pożyczkę unika większej szkody od tej, którą ponosi dający; dłużnik wynagradza więc ze swych korzyści szkodę wierzyciela”. Ale Św. Tomasz-moralista dodaje niezwłocznie: „Nie wolno jednak wierzycielowi za-

strzec sobie w umowie wynagrodzenia za szkodę, której ktoś się dopatruje w tem, że nie będzie ciągnął zysku ze swych pieniędzy; gdyż nie powinien sprzedawać tego, czego jeszcze w danej chwili nie ma, i czego na skutek różnych przeszkód mógłby w przyszłości nie otrzymać".

"Justitia commutativa" chroni więc także wierzyciela. Jeśli ponosi on uszczerbek faktyczny, a nie tylko domniemany, a dłużnik nie przejada tylko pożyczonych pieniędzy, ale na nich zarabia, powinien wierzycielowi dać odszkodowanie. Wygląda to bardzo podobnie do procentu, jeśli odrzucić scholastyczne formułki. Morfiny wolno użyć po operacji, lecz nie wolno jej używać na codzień. Św. Tomasz dopuszcza więc w niektórych wypadkach coś bardzo podobnego do procentu, lecz tylko za receptą lekarza.

Możnaby jednak symulować chorobę. Powiedzmy, że mam gotówkę. Nie wolno mi jej pożyczyć na procent. Ale przypuśćmy, że kupuję za nią ziemię. Ktoś się zwraca do mnie o pożyczkę. Sprzedaję ziemię i pożyczam pieniądze, żądając tyle procentu, ile mi ta ziemia dawała dochodu. Interes wydaje się być czysty, i nie powinien budzić zastrzeżeń Św. Tomasza.

Ale nasz Święty uśmiecha się z politowaniem. Owszem, wolno żądać odszkodowania za te pieniądze, lecz tylko w wysokości dochodu z ziemi pomniejszonego o wartość pracy właściciela na tej ziemi, bo przecież właściciel musiał pracować chcąc mieć dochód z ziemi, a teraz pożyczył swoje pieniądze i nic nie robi. Nie zapominajmy jednak, że w prawidłowym ustroju a la Św. Tomasz ziemia jest tylko warsztatem, na którym właściciel może pracować, zarabiając na utrzymanie stosownie do swego stanu. Jeśli nie pracuje, ziemia żadnego dochodu nie da.

Podstęp nie przydał się więc na nic. Procentu nie będzie.

Tu czytelnik zaczyna się burzyć. Jakto, woła, odkąd to ziemia bez pracy nie daje dochodu? Dość tych paradoksów.

To nie paradoks, kochany czytelniku! Św. Tomasz mówi o ustroju idealnym, którego na świecie zapewne nigdy nie będzie, co nie znaczy, że nie mamy się starać o takie przekształcenie naszych form gospodarczych, by się jaknajwięcej nie zbliżyć do ideału Św. Tomasza. Ale rozpatrzmy kilka przykładów, które mamy pod ręką. Większa własność

rolna dawała przed wojną na ziemiach polskich przeciętnie 4% od kapitału, o ile właściciel osobiście gospodarował (praca według stanu), a 2%, gdy ziemia była w dzierżawie (jeśli uwzględnić niszczenie budynków i jałowienie ziemi przez dzierżawcę). Te dwa procent stanowiły więc czysty dochód z ziemi. Musimy mieć jednak na uwadze, że w trzech cesarstwach, do których należały ziemie polskie, rządziła kasta ziemian, ustrój gospodarczy był więc zwichnięty na jej korzyść, i to się wyrażało właśnie w owych dwu procentach dochodu z ziemi bez pracy. Dziś, kiedy ziemianie w niepodległej Polsce zostali odsunięci od władzy, i stanowią warstwę raczej upośledzoną, dochód z ziemi, bez osobistej pracy właściciela, nietylko jest trudny do osiągnięcia, lecz przeciwnie, właściciel nie zarabia często na swym warsztacie nawet na własne utrzymanie. W Anglii czy Francji, dochód z ziemi bez pracy stał się już oddawna rzeczą w dużej mierze nierealną.

Podobnie ma się sprawa z udziałami i akcjami (o nich już wspominałem). Jeśli chodzi o domy czynszowe, to dają one jeszcze po części dochód bez pracy, ale skutkiem wzrastających obciążeń podatkowych, oraz specjalnego ustawodawstwa o ochronie lokatorów, schodzą i czynsze z domów już w niejednym wypadku do rzędu powolnego przejadania kapitału.* Jedyną kategorią własności, która daje w naszej epoce ogromne zyski, nie stojące w żadnej proporcji do włożonej pracy, są kapitały ulokowane w skoncentrowanym przemyśle. Ale są to zyski o charakterze specjalnym, więcej politycznym niż gospodarczym (patrz Rozdział V), nie możemy ich przeto uważać za dochód z własności, gdyż z tej samej maszyny, która niesie ogromne dochody, pokąd się kręci w skartelizowanej fabryce, nie udałoby się zapewne wydobyć jakiegoś istotnego, a nietylko pozornego zysku, oddając np. tę maszynę w dzierżawę. Naogół biorąc, rozwój ekonomiczny w ostatnich latach idzie w kierunku utrudnienia dochodu bez pracy z tradycyjnych form własności (ziemia, domy, akcje i t. p.), natomiast sprzyja zyskom z kapitalistycznych „kombinacyj”. Większość niesprawiedliwości naszego obecnego

* Patrz Rozdziały VI i XVIII.

ustroju polega nie na uprzywilejowaniu własności (bo to należy już przeważnie do przeszłości), ale na uprzywilejowaniu pewnych sposobów zarabiania (i to przeważnie tych mniej godziwych) na niekorzyść innych. Zgodnie przeto z ideologią Św. Tomasza można postawić tezę, że *w idealnem społeczeństwie własność nie powinna dawać dochodu bez pracy, a każda praca winna dawać dochód proporcjonalny do ilości i jakości włożonego w nią wysiłku. Dochód, który się da osiągnąć bez pracy w pewnym dziale gospodarczym, stanowi przeto miernik zwyrodnienia tego działu w całokształcie ustroju ekonomicznego danego kraju.*

Lecz wróćmy do sprawy odsetek. Możliwy dochód z własności nie może więc stanowić ogólnie obowiązującego tytułu do żądania odsetek od pożyczonych pieniędzy, choćby nawet stanąć na stanowisku Św. Tomasza-ekonomisty, a nie moralisty. *Wszelkie natomiast wypadki zmniejszenia się wartości pożyczonej sumy, uprawniają niewątpliwie do odszkodowania, o ile sprawiedliwości wymiennej ma się stać zadość.*

Specjalnie gwałtowne wahania w wartości pieniądza wymagają oczywiście osobnego rozpatrzenia w każdym poszczególnym przypadku. Ale nawet przy niezmiennej wartości pieniądza w stosunku do złota, obserwujemy fakt stałej, bardzo zresztą powolnej dewaluacji pieniądza. Nie jest to właściwie dewaluacja pieniądza, lecz dewaluacja złota w stosunku do stopy życiowej. Naocznie można się o tem przekonać, porównując pobory urzędników państwowych w ciągu wieków wyrażone w złocie, wartość ziemi w różnych okresach historii i t. p. Równocześnie wydaje się być prawdą, że cena pszenicy wyrażona w złocie niewiele się zmieniła od czasów rzymskich (jeden z głównych argumentów zwolenników waluty złotej). Oba te sprzeczne napozór objawy tłumaczą się bardzo jasno. Za czasów rzymskich wydatek na chleb stanowił w budżecie przeciętnej rodziny pozycję główną, dziś stanowi nieznaczny procent. Dewaluacja wartości złota wyraża się w tej właśnie różnicy. Ale weźmy przykład bardziej przejrzysty. Ktoś sprzedał za czasów napoleońskich swój majątek ziemski, i uzyskaną sumę ulokował w złocie na umiarkowany procent. Z procentu tego żył początkowo na równej stopie z ludźmi swego stanu. Z biegiem lat musiał się ograni-

czać w wydatkach coraz bardziej, a dziś jego wnuk, czy prawnuk, chcąc odkupić majątek sprzedany przez pradziada, musiałby dać zapewne około trzy razy tyle złota, ile uzyskał jego przodek.

Inny przykład. Stałym motywem przewodnim w opowiadaniach starych ludzi jest skonstatowanie faktu, jak „tanio” było za ich młodych lat, a jak „drogo” jest obecnie. „Mój mąż” — powiada babka — „miał pensji tyle i tyle, i żyliśmy wygodnie, a wy macie teraz o tyle więcej i nie możecie związać końca z końcem”. Babcia nie może zrozumieć prostego faktu, że za jej czasów stopa życiowa była niższa, więc i mniejsza pensja wystarczała.

Dewaluacja złota nie wyraża się więc we wzroście cen towarów bieżącego użytku w stosunku do złota, ale we wzroście stopy życiowej, i analogicznym wzroście wartości warsztatów produkcji. Jednym słowem, chcąc żyć stale na stopie danego stanu, należy mieć dochody, które wyrażone w złocie idzie stale w górę. Ubożeć, to nie znaczy mieć malejące dochody, ale nie nadążać za stopą życiową swego stanu.

Zestawienia cyfrowe na poparcie powyższego twierdzenia przekroczyłyby ramy tej pracy. Nam wystarczy stwierdzenie, że zarówno wartość warsztatów, jak i wysokość poborów, wyrażone w złocie, zwiększają się ustawicznie, z szybkością proporcjonalną do wzrostu stopy życiowej. W ciągu ostatniego wieku zwiększyły się kilkakrotnie. Dłużnik, który pożyczone pieniądze lokuje w ziemi czy w produkcji, korzystałby z tej dewaluacji złota, a wierzyciel traciłby co roku pewien ułamek swego majątku. Byłaby to kara za jego dobre serce, bo przecież pożyczył bezprocentowo (tylko o takich pożyczkach w tej chwili mówimy), postąpił moralnie i po chrześcijańsku, nie powinien więc wychodzić na tym gorzej, niż gdyby poprostu kupił dom czy ziemię.

„Iustitia commutativa” wymagałaby więc przy pożyczkach w złocie, płacenia odsetek w wysokości mniej więcej 1% rocznie (1% rocznie odpowiada na procent składany trzykrotnemu zwiększeniu wartości w ciągu wieku). Dopiero otrzymując takie odsetki, wierzyciel przestaje tracić co roku pewien ułamek swego kapitału.

Stałym motywem pokrzywdzenia wierzyciela jest poza-tem dewaluacja pieniądza obiegowego w stosunku do sa-mego złota. Wprawdzie w niektórych krajach wolno wie-rzycielowi pożyczać w złocie, a nie w walucie obiegowej, ale życie przekreśla przeważnie takie umowy, tak że każdy wierzyciel, pożyczający na dłuższy termin swoje pienią-dze, musi się liczyć z możliwością ich częściowej dewa-luacji.

Pewne wskazówki odnośnie do tempa odwiecznej dewa-luacji pieniądza możemy wyciągnąć z historii funta angielskiego i franka francuskiego. Przodek obecnego franka, t. zw. livre, miał za czasów Karola Wielkiego (IX wiek) wartość jednego funta srebra. Adam Smith oblicza, że livre w roku 1776 zdewaluowany był 66-krotnie. Z końcem XVIII wieku złoto zajęło miejsce srebra jako zasadniczy kruszec obiegowy. W roku 1776 złoto miało wartość piętna-ście razy wyższą od srebra. W roku 1933 funt złota ko-sztował 6250 franków. *Wartość franka zdewaluowała się więc w ciągu jedenastu wieków przeszło 400-krotnie.* Funt angielski około roku 1300 miał wartość funta srebra, a w ro-ku 1776 zdewaluowany był według obliczeń Adama Smitha 3-krotnie. W roku 1933 funt złota kosztował około 75 fun-tów szterlingów, to znaczy, że *funt szterling zdewaluował się w ciągu sześciu wieków 5-krotnie.* Jak widzimy, spadek wartości pieniądza nie u wszystkich narodów przebiega jednakowo, jest jednak objawem stałym. Samo tempo tego spadku pozwala wyciągnąć ciekawe wnioski co do szcze-gólnej właściwości, którą możnaby określić jako „tempe-rament gospodarczy“ pewnego narodu. Oczywiście nie jest tu bez znaczenia również przebieg dziejów danego kraju, oraz „pech“ lub szczęście, które odgrywają podobnie znaczną rolę w życiu narodów, jak i w życiu poszczegół-nego człowieka.

Jeśli chodzi o Polskę, to mam pod ręką tylko cyfry z XVI i XVII wieku. Według prof. Rutkowskiego,* złoty dukat przedstawiał w roku 1501 wartość 32 groszy pol-skich, a w roku 1702 wartość 540 groszy. Wynika z tego dewaluacja 17-krotna, w ciągu 200 lat.

* Rutkowski, Zarys gospodarczych dziejów Polski, 1923, str. 221.

Jako że livre francuski dewaluował się prędkiej od funta szterlinga, stopa procentowa była we Francji stałe znacznie wyższa od stopy angielskiej. A może naodwrot, dewaluacja postępowała we Francji szybciej dlatego, że społeczeństwo odrabiało w ten sposób skutki lichwy! *Oba te objawy – dewaluacja pieniądza, naprawiająca ujemne skutki lichwy, oraz wysokie odsetki, powodowane chęcią zaasekurowania się od dewaluacji – są tak nieodłącznie z sobą związane, że trudno orzec, który z nich jest przyczyną, a który skutkiem.* W Polsce, życie gospodarcze było w XVII wieku całkowicie w rękach Żydów, nie więc dziwnego, że chory organizm gospodarczy bronił się przed lichwą przy pomocy rekordowo szybkiej dewaluacji pieniądza.

Funt szterling, licząc na procent składany, tracił więc w ciągu wieku przeciętnie czwartą część swej wartości, livre francuski połowę, grosz polski trzy czwarte. Sprawiedliwość względem wierzyciela wymagałaby więc wynagrodzenia mu tej prawdopodobnej straty, a wynagrodzenie to wyrażałoby się w wysokości 0,3% do 1,5% rocznie.

Przy kredycie nie zabezpieczonym hipotecznie należałoby się również wierzycielowi pewna premja za poniesione ryzyko, gdyż zawsze pewna część wierzycieli traci część wzgl. całość swej należności skutkiem popadnięcia dłużnika w niewypłacalność. Oczywiście, im większa lichwa, tem większa musi być premja za ryzyko. W kraju o zdrowej strukturze gospodarczej taka premja nie powinna jednak przekraczać 1% do 2% rocznie od sumy pretensji.

Jako słuszny składnik odsetek należałoby wkońcu uznać i wynagrodzenie instytucyj (banki, tow. kredytowe i t. p.), pośredniczących przy udzielaniu kredytu. Składnik ten (bez premji za ryzyko) nie powinien przenosić 1% w stosunku rocznym.

Jako stopę procentową, zgodną w obecnem stadjum rozwoju ludzkości z pojęciem sprawiedliwości wymiennej, możemy więc przyjąć 2% do 3% rocznie przy kredycie zabezp. hipotecznie, a udzielonym wprost przez wierzyciela dłużnikowi, do 4% rocznie, o ile pośredniczy w tem jakaś instytucja, o 1% do 2% więcej, o ile zabezpieczenie nie jest murowane.

O ile ryzyko staje się tak duże, że 1% do 2% rocznie nie wystarcza jako premja, pożyczka nabiera cech speku-

lacji, staje się bezwzględnie szkodliwa społecznie, i powinna być zastąpiona przez udział.

Wprowadzie powyższe normy mogą obecnie uchodzić za mniej więcej godziwe, nie osłabia to jednak zasady, że należy jaknajbardziej ograniczyć ilość wypadków, w których pożyczanie staje się koniecznością. Jeden procent rocznie, pobierany ponad sprawiedliwą normę, prowadzi już do potrojenia kapitału w ciągu wieku, a więc do powstania nowej niesprawiedliwości społecznej, a wszelkie obliczenia tego rodzaju nie są przecież matematycznie ścisłe. Niebezpieczeństwo pobierania odsetek będzie więc zawsze duże. *W ustroju idealnym, w którym wartość pieniądza i stopa życiowa byłyby zupełnie niezmiennie, i wszelkie ryzyko wykluczone, musiałaby obowiązywać zasada niepobierania procentów w swej doktrynalnej czystości, zgodnie z nauką Kościoła.* Powyższe normy stanowią więc tylko matematyczny wyraz niemożliwej obecnie do uniknięcia niedoskonałości urządzeń ludzkich, a zarazem cel, do którego w społecznych warunkach należy dążyć.

Przy sposobności muszę się jeszcze rozprawić ze sławnym argumentem, pokutującym w różnych podręcznikach ekonomicznych, jakoby ludzie oszczędzali tylko dlatego, że mają nadzieję wypożyczyć swój kapitał na procent, i zapewnić sobie na przyszłość dochód bez pracy. W myśl tej teorii, im niższa stopa procentowa, tem mniej mają ludzie bodźca do kapitalizacji. Gdyby kapitały przestały nieść odsetki, to ludzie wogóle przestaliby oszczędzać..

Konia z rzędem temu, kto potrafi udowodnić słuszność tego twierdzenia. Obserwacja życia dowodzi, że rzeczy mają się wręcz odwrotnie.

1) Im wyższa stopa procentowa w jakimś kraju, tem mniej ludzie oszczędzają.

Uwaga: Wysoka stopa procentowa jest objawem choroby organizmu gospodarczego. Jednym z objawów tej choroby, a często zarazem jedną z przyczyn, jest słaba kapitalizacja. Im niższa stopa procentowa, tem zdrowsze gospodarstwo, tem więcej narasta oszczędności.

2) Większość ludzi oszczędza z myślą o „czarnej godzinie”. Względ na ewentualne odsetki nie odgrywa tu znaczniejszej roli. Istnieje pozatem sporo jednostek w każdym społeczeństwie, które oszczędzają przez chciwość, sknerstwo, chęć rozszerzenia swego warsztatu, chęć nabycia własnego domu, żądę pewnej władzy nad otoczeniem, którą dają pieniądze, niezdolność do podnoszenia swej stopy życiowej w tem samym tempie, w którym wzrastają ich dochody, chęć wyposażenia dzieci i t. p. i t. p. Motywów do oszczędzania jest mnóstwo, ale większość tych motywów nie ma nic wspólnego z perspektywą niższych lub wyższych odsetek.

3) Prawdziwие skutecznyи bodźcem do intensywniejszego oszczędzania może być tylko myśl, że w razie choroby, czy na starość, nie będę mógł żyć z cudzej pracy (w formie wypożyczenia moich pieniędzy na procent), ale że będę musiał poprostu przejadać mój kapitał. Ta myśl może rzeczywiście nakłonić ludzi do silniejszej kapitalizacji, bo kapitał, który przejadam, nie trwa wiecznie, muszę się przeto starać, by go było jaknajwięcej.

Argument o związku między wysokością stopy procentowej a narastaniem oszczędności, wylął się w głowach ludzi, zainteresowanych w podsycaniu lichwy, i oni to pieczołowicie go propagują.

Dziwnym na pozór zbiegiem okoliczności, godziwa stopa procentowa, do której oznaczenia doszliśmy w poprzednim rozdziale, odpowiada w przybliżeniu stopie procentowej, pobieranej faktycznie w społeczeństwach zachodnich od długiego szeregu lat. Kraje te praktykują oddawna liberalizm gospodarczy. Stopa ta uważana tam jest za normalną, i jak doświadczenie wykazuje, w rzeczywistości daje skutki dodatnie, skierowując kapitały, żądne wyższego wynagrodzenia, bezpośrednio do produkcji, co znów odpowiada intencjom Sw. Tomasza.

W tem miejscu czytelnik, holdujący ekonomji liberalnej, uśmiecha się triumfalnie i powiada: „Oczywiście, było do przewidzenia, że rezultaty zupełnej swobody gospodarczej muszą na tym punkcie pokrywać się z postulatami moralnemi Kościoła. Przecież teoria liberalna głosiła zawsze, że w społeczeństwie liberalnem podaż kapitałów wzrasta nie-

ograniczenie, a skutkiem wzrostu tej podaży spada stopa procentowa pieniądza aż do tak niskiego poziomu, że kapitał pożyczony przestaje dawać jakikolwiek realny dochód. Stąd wniosek, drogi sercu każdego liberała, że społeczeństwa, w których własność daje dochód bez pracy i stopa procentowa jest lichwiarska, powinny wprowadzić u siebie całkowity liberalizm gospodarczy, poczem obie te anomalje znikną w krótkim czasie. Do osiągnięcia tego celu wystarcza słuchać Adama Smitha, nie potrzeba mętnej scholastyki Sw. Tomasza“.

Czytelnik mało obeznany z ekonomją zdziwi się może, że ludzie na Zachodzie pożyczają pieniądze, które choć na pozór dają pewien procent, w rzeczywistości według naszych poprzednich obliczeń nie niosą żadnego istotnego dochodu, gdyż odsetki pokrywają tylko ryzyko i dewaluację pieniądza. Człowiek, pożyczający swoje pieniądze na kilka procent, powinienby tem samem ten procent składać, o ile nie chce ubożeć. Zaś jeśli go przejada, to wbrew pozorom żyje z kapitału.

Wniosek jest słuszny. Francuz czy Anglik, kupujący renty państwowe lub składający swe pieniądze do banku, i wydający odsetki, w istocie żyje z kapitału. Po trzydziestu latach takiego próżniaczego żywota stracił poważną część swego majątku, i nie może już utrzymać stopy życiowej swego stanu. Ale trudno komuś zakazać, by nie żył ze swego kapitału. Ludzie starzy lub chorzy mają niewątpliwie do tego prawo. *Kapitał powstaje drogą pracy, jest niejako skondensowaną pracą, pracą in potentia. Wydając go, mogę kupować dla siebie pracę innych. Czego mi niewolno, to żądać, bym za mój kapitał dostawał cudzą pracę nie uszczuplając tego kapitału, wzgl. nie dając wzamian mojej własnej pracy.*

Nie można więc nikomu zakazać żyć z kapitału. Dawniej ludzie wyjmowali poprostu dukaty ze skrzyni i wydawali je. Ci ludzie wiedzieli, że żyją z kapitału. Większość natomiast Francuzów czy Anglików, żyjących z procentu od kapitału, łudzi się, że nie uszczupla swego majątku. Ale jest to tylko złudzenie. Trudno się tu powstrzymać od uwagi, że złudzenie może mieć swe dodatnie gospodarczo strony.

Ale oddajemy z powrotem głos naszemu liberałowi. „Polska” — powiada on — „ma wyższą stopę procentową od Zachodu, ponieważ premja od ryzyka straty pieniędzy i od dewaluacji jest znacznie wyższa niż na Zachodzie. Pozatem kapitału jest za mało w stosunku do naszych potrzeb, skutkiem tego kapitał ten jest tak drogocenny, że daje istotnie pewien dochód bez pracy. Nasza stopa procentowa jest więc wyższa od stopy procentowej Zachodu również i o ten składnik zysku bez pracy. Ustabilizujmy jednak nasze stosunki polityczne, gospodarcze i walutowe, by zmniejszyć ryzyko, i prowadźmy przez szereg lat całkowicie liberalną politykę gospodarczą, w której kapitały będą mogły swobodnie narastać, a dojdziemy rychło do równie niskiej stopy procentowej, jaką mają Francuzi lub Anglicy”.

Tyle razy słyszeliśmy już tę piosenkę z ust najpoważniejszych naszych ekonomistów, że nie ośmieliłbym się podać ją w wątpliwość, gdybym nie mógł powołać na świadka tak bądź co bądź poważnego autorytetu, jak „samego” Adama Smitha.

Adam Smith w następujący sposób opisuje stan Holandji w roku 1776: * „...Holandja jest krajem bogatszym od Anglii, w stosunku do jej obszaru i ludności. Rząd pożycza tam na dwa procent, a prywatne osoby o dobrym kredycie na 3 procent. Wynagrodzenie za pracę jest podobno wyższe w Holandji niż w Anglii, a Holendrzy zadowolają się w handlu mniejszym zyskiem, niż jakikolwiek inny naród w Europie, co jest rzeczą ogólnie znaną... W kraju, który nagromadził cały potrzebny mu zasób bogactwa, gdzie w każdej poszczególnej gałęzi gospodarstwa jest już maksymalna ilość kapitału, mogąca tam znaleźć zatrudnienie, zwyczajna stopa czystego zysku byłaby tak mała, a bieżąca stopa procentowa, którą możnaby opłacać z tego zysku, byłaby tak niska, że nikt, poza najbogatszymi ludźmi, nie mógłby żyć z odsetek ze swych pieniędzy. Wszyscy ludzie o małym lub średnim majątku byłiby zmuszeni do zajęcia się osobiście zatrudnieniem swego kapitału. Byłoby konieczne, by każdy człowiek zajął się interesami, lub zabrał się do jakiejś pracy. Holandja wydaje się być już blisko takiego stanu. Uchodzi tam za rzecz „niemodną” nie oddawać się jakiejs

* „Bogactwo Narodów”, I.9.

pracy.. Konieczność zmusza prawie wszystkich do tego, a obyczaj wszędzie reguluje modę. Tak jak wydaje się rzeczą śmieszną chodzić bez ubrania, podobnie nie wypada w pewnej mierze być bez zajęcia, skoro wszyscy inni pracują“.

Zapamiętajmy to sobie dobrze: w roku 1776 płacił rząd w Holandji 2%, prywatni ludzie 3%. W tym samym czasie płacił rząd w Anglii 3% (jak pisze Smith), a ludzie prywatni 3,5% do 4,5%. Legalna stopa procentowa wynosiła wówczas w Anglii 5%, powyżej tego zaczynała się lichwa, karana przez ustawę.

Według rozumowania Smitha, powinna była Angja, drogą automatycznego, działania ustroju liberalnego, dojść do tego samego stopnia nasycenia kapitałem co Holandja, w którym to momencie każdy Anglik musiałby zabrać się do pracy. Tymczasem co widzimy? W roku 1936 Anglja jest niewątpliwie znacznie bogatsza, niż była Holandja w roku 1776. Mimo to rząd pożycza na 3,5%, prywatni ludzie na 4,5% do 6%, a ilość ludzi nie pracujących, czy dlatego, że nie potrzebują, czy też dlatego, że nie mają gdzie, jest rekordowa.

Widać więc z tego, że Holandja była w roku 1776 niewątpliwie blisko sprawiedliwego ustroju społecznego, ale że doszła do tego stanu dzięki innym okolicznościom, a nie dzięki praktykowaniu liberalizmu, którego teorie zaczynały dopiero świtać w niektórych głowach. Z drugiej strony widzimy, że Anglja jest po 150 latach panowania liberalizmu bardziej niż w roku 1776 oddalona od tego stanu, który Adam Smith i współcześni ekonomiści uważają za naturalną konsekwencję oddziaływania liberalnych zasad gospodarczych. Jest to swego rodzaju „triumf“ liberalizmu, jako że Anglja miała wszelkie dane do zrealizowania sprawiedliwego ustroju, dzięki wysokiemu poziomowi moralności prywatnej i publicznej, oraz dzięki bogactwu kraju i zaletom jego mieszkańców.

Możemy się więc krzepić nadzieją, że za 150 lat, o ile wprowadzimy u nas ustrój liberalny, stopa procentowa wynosić będzie w Polsce 15%, a trzecia część Polaków będzie bez pracy.

Polska w roku 1936 nie jest o wiele uboższa na głowę ludności od Holandji z roku 1776. Ale stopa procentowa jest u nas cztery razy wyższa.

Jest to skutkiem braku kapitałów, powiadają ekonomiści. Kapitały, są to towary. Zarówno artykuły konsumpcyjne, jak i narzędzia produkcji. Wiemy jednak wszyscy, że nie-brak nam ani towarów, ani narzędzi produkcji. Względnie— że mamy ich dosyć do życia na naszej skromnej stopie, a brak nam, by żyć na stopie wyższej.

Chłop polski nie żyje dziś w Polsce lepiej, niż żył chłop holenderski z końcem XVIII wieku. Natomiast pewne warstwy jeżdżą samochodami, podczas gdy też same warstwy jeździły wówczas w Holandji bryczuszką w jednego konia.

Brak nam więc kapitału na zrealizowanie *dziś* stopy życiowej Zachodu dla wszystkich warstw ludności. Stopę tę realizuje dla siebie warstwa uprzywilejowana w ten sposób, że każe sobie płacić przez resztę ludności daninę w formie wysokich odsetek.

Nie brak nam natomiast kapitału na zrealizowanie *dziś* wcale sprawiedliwego ustroju, jakim się cieszyła Holandja w roku 1776. Możemy ten ustrój zrealizować u nas każdej chwili, o ile wszystkie warstwy społeczne zdecydują się wzajemnie powyrownywać swe stopy życiowe do poziomu holenderskiego A. D. 1776. Na pociechę należy zauważyć, że poziom ten, jeśli chodzi o warstwy zamożne, nie był wcale taki zły. Wątpię, by nasza inteligencja, ziemiaństwo czy kupiectwo, musiały coś spuścić z tonu przy takim „wyrównaniu”. Cały ciężar obecnej niesprawiedliwości naszego ustroju ma na celu umożliwienie zachodnio - europejskiej stopy życiowej dla tej pasorzytniczej warstwy, która nie zasługuje na wiele względów, tembardziej, że Polak należy w niej do rzadkości.

Sprawadzenie stopy procentowej do godziwej wysokości można więc zrealizować zawsze i wszędzie, bez względu na ilość posiadanych przez społeczeństwo kapitałów, a to przez szarmonizowanie poziomów życiowych poszczególnych warstw społecznych na wysokości, odpowiadającej zasobom gospodarczym danego kraju. Wysoka stopa procentowa świadczy tylko o tem, że rządząca warstwa społeczna żyje w danym kraju nad stan.

Podnoszenie stopy życiowej powinno następować w godziwym ustroju równomiernie dla wszystkich warstw społecznych, przyczem miarą tej godziwości jest niezmiennie i stale niski poziom pobieranych odsetek.

Podkreślam raz jeszcze: nie chodzi o zniwelowanie stopy życia wszystkich warstw, lecz o godziwą proporcję. W Holandji ówczesnej byli też farnale i milionerzy. Mimo to ówcześni Holendrzy nie wykazywali skłonności do rewolucji, przyjęli w ćwierć wieku później „oswobodzicieli” francuskich w sposób zgoła nie entuzjastyczny, i pozbyli się ich, skoro tylko okoliczności im na to pozwoliły.

Wolę sprawiedliwy ustrój na stopie życiowej ósmnastego wieku — od stosunków we współczesnej Polsce. Nie podoba mi się, że pan Berlinerblau jeździ Rolls-Royce’em model 1936, podczas gdy polski chłop gotuje się w chałupie model 1776 do rewolucji model 19..?

ROZDZIAŁ V.

ZYSK Z KAPITAŁU.

Sw. Tomasz radzi nie pożyczać pieniędzy na procent, ale lokować je w wytwórczości w formie udziałów.

W porządku—powie czytelnik.—Ta rada mi się podoba, jest zresztą w zgodzie z zasadami ekonomji. Gdybyśmy się w Polsce do niej stosowali, uzdrowilibyśmy w znacznym stopniu nasze stosunki gospodarcze. Na zachodzie ludzie nie przestali nigdy postępować w myśl tej zasady, toteż znajdują się w sytuacji lepszej od naszej. Ale—ich system daleki jest również od doskonałości. W dywidendach przedsiębiorstw przemysłowych mieści się również sporo dochodu bez pracy. Marks miał nie mało racji, mówiąc o wyzyskiwaniu pracy robotnika. Ostatecznie może być społeczeństwu obojętne, czy wyzysk odbywa się w formie uproszczonej, pod postacią procentów, czy też w formie bardziej zamaskowanej, pod postacią nadmiernych zysków z wytwórczości. Skutek jest podobny: kto inny pracuje, a kto inny zagarnia. —

Niemąło jest słuszności w takim postawieniu sprawy, Rozważymy więc z kolei następujący problem: przypuśćmy, że właściciel pewnego kapitału nie pożycza go na procent, lecz lokuje ten kapitał bezpośrednio w produkcji (t. zn. uruchamia za te pieniądze własną fabrykę, lub przystępuje do istniejącego już przedsiębiorstwa w charakterze udziałowca lub akcjonariusza). Czy dochody tego kapitalisty będą godziwe *w każdym wypadku*, jakby się to mogło zdawać po pobieżnem zapoznaniu się z doktryną Św. Tomasza?

Rozpatrzmy ten problem na żywym przykładzie, wziętym z codziennego życia gospodarczego. Przypuśćmy, że dwóch kapitalistów ma płynną gotówkę. Jeden ma miljon złotych, i drugi ma miljon złotych, i obaj zastanawiają się, w jaki

sposób ulokować swoje pieniądze. Po dłuższym namyśle, jeden z nich kupuje za swój milion fabrykę drożdży, istniejącą już oddawna, i będącą w pełnym ruchu. Drugi kapitalista jest człowiekiem bardziej przedsiębiorczym, i woli iść mniej utartym szlakiem. Zakłada wytwórnię awjonetek sportowych, i inwestuje swój milion w tę wytwórnię.

Obaj kapitaliści angażują buchalterów, którzy z końcem roku robią im bilanse. Jak wiadomo, honorowe miejsce w każdym bilansie zajmuje rachunek „zysków i strat”. Powiedzmy, że oba przedsiębiorstwa dały w ciągu roku po dwieście tysięcy czystego zysku. Jak ocenić, czy ten zysk przekracza, czy też nie przekracza godziwej miary?

Obaj kapitaliści mieli dużo pracy i kłopotu z prowadzeniem swych przedsiębiorstw, i ponieśli pewne ryzyko, bo przecież zdarza się nieraz, że przemysłowiec bankrutuje i traci swój kapitał. Zamiast się narażać na te tarapaty, mogli złożyć swoje pieniądze do banku i pobierać spokojnie *odsetki*. Powiedzmy, że bank płaciłby im pięć od sta. Każdy z nich miał w ciągu roku 50.000 odsetek ze swego miliona. Dopiero to, co zarobił powyżej tych pięćdziesięciu tysięcy, stanowi jego właściwy zysk z wytwórczości. W naszym wypadku, ten zysk wynosi 150.000 złotych.

Obaj kapitaliści niewątpliwie pracowali, organizując i prowadząc swoje wytwórnie. Coś im się za tę pracę należy, jakieś wynagrodzenie. I to należy im się wynagrodzenie stosowne do ich stanu, a więc dość wysokie, bo są poważnymi przemysłowcami, a więc ludźmi na odpowiedzialnych stanowiskach społecznych. Nasz problem sprowadza się więc do pytania: Czy 150.000 złotych nie stanowi zbyt wysokiego *wynagrodzenia za wysilek i ryzyko* naszych przedsiębiorców?

Spróbujmy podejść do tej sprawy na zdrowy ludzki rozum. Przypuszczalnie jakieś 40.000 zł. rocznie stanowiłoby odpowiednie wynagrodzenie za trudy każdego z tych przemysłowców. Jest to mniej więcej tyle, ile pobiera minister, a sześć razy więcej, niż pobierają buchalterowie naszych kapitalistów. Proporcja wydaje mi się słuszna. Ten i ów z moich czytelników będzie może raczej zdania, że wystarczyłoby naszym znajomym po 30.000 zł., wzgl. że nie mogą

żyć na stopie poważnego przemysłowca poniżej 50.000 zł. Możliwe, ale to są rzeczy nieistotne. Ja osobiście przyznałbym fabrykantowi drożdży 30.000, a fabrykantowi awjonetek 50.000, jako że jeden przyszedł do gotowego, a drugi organizował, głowił się i ryzykował. Tak czy owak, zostaje około 100.000 zł., których „godziwość“ wydaje nam się jeszcze wątpliwa. Decydującym momentem będzie tu rodzaj wytwórczości. Ten z naszych przemysłowców, który kupił fabrykę drożdży, niewątpliwie wybrał linię najmniejszego oporu, gdyż jest to rodzaj fabrykacji od dawien dawna uprawiany, bez ryzyka, i nie wymagający wybitniejszych zdolności organizacyjnych. Fabrykant drożdży zarobił niewątpliwie o sto tysięcy za dużo. Drugi natomiast kapitalista puścił się na wyrabianie awjonetek, a więc na rodzaj produkcji dotychczas przez nikogo w kraju jeszcze nie uprawiany, i skutkiem tego ogromnie ryzykowny. Temu przemysłowcowi nie żałowałbym tych stu tysięcy, gdyż może się łatwo zdarzyć, że za rok czy dwa ktoś inny wynajdzie jakiś bardziej udoskonalony typ awjonetki, nasz przemysłowiec będzie musiał zreorganizować całą swoją produkcję, i ponieść poważne straty. Musi więc zebrać pewne rezerwy, by się zabezpieczyć od utraty całości lub części swego kapitału.

Dochodzimy więc do wniosku, że w rozpatrywanym wypadku fabrykant awjonetek zarobił w sam raz, a fabrykant drożdży zarobił o sto tysięcy za dużo, czyli zarobił dwa razy więcej, niż mu się godziwie należało. Czem się to tłumaczy?

Tłumaczenie jest bardzo proste. Nasz fabrykant drożdży zrealizował zyski niezwykle wysokie, ponieważ wszedł w zmwę z innymi producentami drożdży, zawiazali kartel, uzyskali poparcie rządu i od szeregu lat uniemożliwiają powstawanie nowych wytwórni drożdży. Zmonopolizowali rynek, wyśrubowali cenę drożdży i ciągną zyski monopolowe, o takim samym charakterze, jaki mają np. zyski, które państwo ciągnie z monopolu tytoniowego. Te sto tysięcy zarobku fabrykanta drożdży stanowią w tym wypadku rezultat zmwowy, obliczonej na wyciśnięcie swoistego podatku z najszerszych mas ludności, i reprezentują w zyskach z kapitału składnik w właściwym tego słowa znaczeniu *niegodziwy*.

Reasumując: W społeczeństwie kapitalistycznym, w dochodzie z każdego przedsiębiorstwa mieszczą się następujące składniki:

a) odsetki od użytego kapitału, w wysokości stopy rynkowej;

b) wynagrodzenie za pracę przedsiębiorcy i ryzyko kapitału;

c) zyski o charakterze monopolowym.

ad a) *Odsetki od użytego kapitału.* W rozpatrywanym poprzednio przykładzie, uznaliśmy odsetki od zainwestowanego kapitału za normalny składnik wszelkich zysków z wytwórczości. Nie znaczy to, by ten składnik był godziwy, ale poszczególny kapitalista nie odpowiada przecież za wadliwą organizację społeczeństwa, i z natury rzeczy inwestować będzie swój kapitał w wytwórczość jedynie w tym wypadku, jeśli ta wytwórczość przyniesie mu więcej, niżby mógł bez kłopotu dostać z banku w formie odsetek. Zwalczając manję kredytu i pożyczania, i starając się jaknajwięcej obniżyć odsetki w całym życiu gospodarczym, będziemy tem samem obniżali również dochód bez pracy z kapitałów zajętych produkcyjnie, gdyż przemysłowic, któremu bank nie dałby już za jego milion odsetek w wysokości 50.000 zł. rocznie, lecz powiedzmy tylko 20.000 zł., zadowolili się o tyle mniejszym zyskiem z wytwórczości. Z chwilą, gdy stopa procentowa będzie się zbliżać na danym rynku do tej dolnej granicy, na której ustaje dochód bez pracy z pożyczonych pieniędzy, a zaczyna się przejadanie kapitału — zarówno w dochodach z kapitałów zajętych w wytwórczości, jak i w rencie z ziemi czy w czynszach z domów,*) zaniknie ta część zysku, która odpowiada obecnie oprocentowaniu kapitału.

Objaw ten musi nastąpić samoczynnie, gdyż kapitały, nie znajdujące zyskowej lokaty w formie pożyczek, napływają w zwiększonych ilościach do produkcji, i obniżają zyski aż do poziomu, na którym oprocentowanie kapitału produkującego równa się oprocentowaniu kapitału pożyczonego. W każdym społeczeństwie niosą wszelkie rodzaje kapitałów, po wynagrodzeniu pracy, oraz po wyeliminowaniu premji za ryzyko i zysków o charakterze monopolowym, identycznie

* Patrz Rozdział VI.

ten sam procent, bez względu na sposób ich ulokowania. Im lepiej zorganizowane społeczeństwo, tem bliższy ten procent zeru, tem więc mniejsza częśćka idzie w zyskach z przedsiębiorstw, w rencie z ziemi i w czynszach z domów, na właściwe oprocentowanie kapitału.

ad b) *Wynagrodzenie za pracę przedsiębiorcy i ryzyko kapitału*. Składnik godziwy i konieczny, lecz tem trudniejszy do ustalenia, im więcej dany dział produkcji ma charakter pionierski, im więcej w danem przedsiębiorstwie tkwi geniuszu indywidualnego i ryzyka, a mniej rutyny. Dla przykładu porównajmy rodzaj wysiłku i ryzyka, związany w roku 1913 z założeniem nowej kopalni węgla (dział już kompletnie zrutynizowany, oparty na długoletniem doświadczeniu) oraz wytwórni samolotów (dział pionierski).

Wysokość wynagrodzenia za pracę organizacyjną i kierowniczą, oraz niezbędna premja za ryzyko mogą być w wytwórczości skutecznie normowane jedynie przez swobodę współzawodnictwa. Jeśli zyski przekraczają godziwe wynagrodzenie za talent, wysiłek i ryzyko, znajdują się rychło inni ludzie i inne kapitały, które się rzucą w ten sam dział wytwórczości, i drogą współzawodnictwa sprowadzą zyski do słusznej miary. Oczywiście nastąpi to tylko pod warunkiem, że w danem społeczeństwie swoboda współzawodnictwa istnieje rzeczywiście, a nie tylko na papierze (t. zn. gdy zimowa wytwórców i nieuczciwa konkurencja tępione są z całą surowością prawa).

ad c) *Zyski o charakterze monopolowym*. W kraju, w którym dzięki odpowiednim instytucjom, i tendencji zarówno rządu, jak i społeczeństwa, stopa procentowa spadałaby do minimum, dochód z kapitału zatrudnionego w przemyśle powinienby więc pokrywać tylko pracę i ryzyko. Taki dochód byłby w całości godziwy. Niestety, dochód przemysłowca bywa często większy, i to większy o składnik, który nazwalibyśmy monopolowym.

Co to jest monopol? *Monopol jest to uprzywilejowanie jakiejś osoby, czy instytucji, będące skutkiem wyłączenia swobody współzawodnictwa w pewnym dziale wytwórczości*. W życiu powstają bez przerwy monopole samorzutne: jeśli np. w jakimś mieście jest miesiąc lipiec, i jedna tylko kawiarnia z lodami, ma ona monopol na lody i robi ko-

kosy. Ale już w sierpniu powstają trzy inne kawiarnie, dające swym klientom lody lepsze, a przytem tańsze. Monopol się skończył.

Wyobraźmy sobie jednak, że właściciel pierwszej kawiarni jest szwagrem ministra. Minister zakazuje otwarcia dalszych kawiarni. Mamy monopol trwały.

Jest to najczęstsza forma monopolu, *monopol oparty na wpływach u władzy*.

Istnieją inne jeszcze formy monopolu. Wyobraźmy sobie okręg czysto wiejski. Zjawia się przemysłowiec i buduje fabrykę, zatrudniającą parę tysięcy robotników. Płaci dobrze, więc ten i ów z pracujących u niego chłopów likwiduje z biegiem czasu swoje gospodarstwo, i buduje sobie domek w pobliżu fabryki. Synowie gospodarzy małorolnych, którzy myślą zazwyczaj o założeniu jakiegoś warsztatu rękodzielniczego, idą pracować na kolej lub wędrują do miasta, obecnie pozostają w rodzinnej wsi, u rodziców i pracują w fabryce. Koło fabryki powstają sklepy, osiedlają się krawcy i fryzjerzy. Koło fabryki wyrasta miasteczko. Powoli cała bliższa okolica nastawia się na fabrykę, każdy człowiek w taki czy inny sposób wiąże z nią swoje losy.

Przemysłowiec płacił do tej pory płace godziwe. Robotnik nie jest głupi i wyczuwa doskonale, czy dostaje mu się część należna z zysków produkcji, czy też nie. Początkowo dostawał swój udział, więc garnął się do pracy.

Pewnego pięknego dnia przemysłowiec - kapitalista konstatuje, że dostatecznie już uzależnił od siebie cały szmat kraju, i postanawia to wyzyskać. Obcina robotnikom płace. Następuje strajk. Ale po paru tygodniach robotnicy widzą, że okolicy grozi katastrofa, a im samym skrajna nędza. Panuje wprowadzić „demokracja“, i nikt nie może ich zmusić do pracy w tej fabryce. W teorji mogą iść pracować gdzieindziej. Ale fabryka w pobliżu jest tylko jedna, więc nie mają wyboru. Przedtem cała okolica żyła jakoś bez tej fabryki, teraz już nie może. Przemysłowiec odnosi zwycięstwo, i na przyszłość ciągnie już dodatkowe zyski z *użytkowanej de facto monopolizacji rynku pracy*. Mówiąc językiem bardziej popularnym, *wykorzystuje antyspołecznie uzyskaną przewagę*. Możnaby także się wyrazić, że szanta-

zuje robotnika, zmuszając go groźbą głodu do pracy za zapłatę „niegodziwą”.

Lecz to kapitalistycznemu przemysłowcowi jeszcze nie wystarcza. Wiemy już, że żądza zysku „terminum nescit, sed ad infinitum tendit”. *Zmawia się z innymi producentami*, wyrabiającymi ten sam towar. Zgodnie śrubują w górę ceny, tworzą trusty i kartele, uniemożliwiają powstawanie nowych wytwórni. Ale przeszkadza im konkurencja zagraniczna. Na szczęście kuzyn jednego z nich pracuje w ministerjum handlu, a kilku z nich zasiada w parlamencie. Przeprowadza się więc podwyżkę odpowiedniej stawki w taryfie celnej, i podnosi o tyleż cenę towaru. *Następuje monopolizacja rynku zbytu*. Stosowana na szerszą skalę przez różne działy przemysłu, prowadzi ona do dalszego uszczuplenia płac robotniczych, bo robotnik płaci drożej za potrzebne mu towary, a płaca jego pozostaje bez zmiany.

Sztuczne stwarzanie monopolów przez wielki kapitał, oraz wykorzystywanie w celach wycisku monopolów samorzutnie w życiu powstających, jest drugą obok odsetek, zasadniczą formą dochodu bez pracy. Monopole prywatne i odsetki nie tylko pozbawiają każdego pracującego człowieka tej części jego zarobku, z której po opędzeniu niezbędnych wydatków, mógłby uprzyjemnić sobie życie, lecz ponadto budzą w nim poczucie nieustannego buntu, związane z pogwałceniem wszczepionych mu przez chrześcijaństwo zasad sprawiedliwości. Jest to uczucie czysto subiektywne, dlatego nie ludźmy się, że można je zazęgnąć podnoszeniem stopy życiowej, t. zn. daniem warstwom pracującym coraz to większego dobrobytu. Chłop, chodzący w średniowieczu w łapciach i świecący łuczywem, mógł się czuć zadowolony, o ile widział, że dostaje swój godziwy udział w ówczesnym szczupłym zapasie wytwarzanych dóbr. Robotnik jeżdżący samochodem i korzystający z własnego domu, radła i łazienki, będzie zawsze rewolucjonistą, póki ustroj społeczny nie zapewni mu należnego za jego pracę udziału w dochodzie społecznym. Rozwiązanie problemu społecznego nie polega na wzmożeniu dobrobytu, lecz na wprowadzeniu godziwego ustroju.

Zyski o charakterze monopolowym powstają w ten sposób, że dzięki wycelowaniu swobody współzawodnicstwa, przedsiębiorca pobiera ceny wyższe od godziwych, a płaci płace niższe od słuszych. Zachodzi tu w klasycznej formie pogwałcenie prawa „sprawiedliwej równowartości”, opartego na zasadach „sprawiedliwości wymiennej”. Św. Tomasz powiada, że „umiarkowane podwyższenie lub obniżenie ceny” nie stoi w sprzeczności z zasadami godziwej wymiany. Są to słowa, na które zgodzi się bez trudu każdy ekonomista. Ta „umiarkowana różnica” jest właśnie podstawą wszelkich zdrowych transakcyj, jest głównym motorem życia gospodarczego. Prawa przyrody (a tym prawom podlega również i działalność gospodarcza ludzi) nie uznają nagłych przeskoków, wszystko w naturze narasta i przekształca się stopniowo. Belka, którą obciążam powoli wytrzyma ciężar, na który jest obliczona. Jeśli ten ciężar obciąży ją zbyt raptownie, belka trzaśnie. Temperatura waha się w Polsce w ciągu roku od kilkudziesięciu stopni ciepła do kilkudziesięciu stopni mrozu. Rzecz to nieszkodliwa, póki wahania temperatury przebiegają stopniowo. Ale zbyt nagle zmiana ciepłoty powoduje grad, lub oberwanie chmury. Póki łączymy wodór z tlenem ostrożnie i stopniowo, wytwarza się woda. Gdy połączymy je nagle, nastąpi wybuch. Krew w organizmie nie skacze, tylko krąży. Krążenie dóbr w życiu gospodarczym nie może również przebiegać skokami. W czasie metamorfozy z surowca w fabrykat, po drodze od wytwórcy do spożywcy, przebiega towar przez szereg rąk. Jeśli w każdym etapie swej wędrówki drożeje tylko o nieznaczny ułamek, innymi słowy, jeśli drożeje po drodze tylko o współczynnik istotnej, pożytecznej pracy wytwórcy i pośrednika, wówczas krążenie dóbr przebiega bez wstrząsów, i organizm gospodarczy cieszy się dobrem zdrowiem. Dopiero gdy różnica przy każdej transakcji przestaje być umiarkowana, a staje się nadmierna, gdy pojawiają się chmury pośredników-spekulantów, gdy przemysłowcy zmagają się, by zarobić i sto i dwieście procent na swym kapitale, życie gospodarcze nabiera cech rabunkowych, i, co najciekawsze, rychło zamiera. Okazuje się, że *prawo godziwej wymiany jest zarazem i prawem pomyślności gospodarczej*. Kupcowi przedwojennemu, który dążył do *dochodu*, pozwalającego mu na

życie stosowne do jego stanu, i skutkiem tego zadowalał się kilkuprocentowym zarobkiem na towarze, powodziło się znacznie lepiej niż kupcowi współczesnemu, który nie uznaje transakcji poniżej kilkudziesięciu procent *zysku*. W niektórych kodeksach znachodzi się jeszcze odwieczny przepis prawny o poszkodowaniu „powyżej połowy wartości”. Jest to pozostałość z czasów, gdy próbowano oznaczyć praktyczną granicę między godziwym zarobkiem a niegodziwym zyskiem. Powyżej 100 % zarobku na towarze uważano zysk za krzywdzący. Poszkodowanemu przysługiwało ustawowe prawo do zwrotu nadpłaconej sumy. Co do samej normy stu procent zarobku można się spierać, ale zasada była zdrowa. Gdyby ten przepis prawny zastosować dziś w Polsce odnośnie do cen pobieranych przez skartelizowany przemysł, uzdrowiłoby się w dużej mierze nasze życie gospodarcze. Gdyby ponadto zastosować w praktyce ustawodawstwo o lichwie—proces uzdrowienia postąpiłby bardzo daleko. Bezkarność lichwy i zysków monopolowych—to jedna choroba o dwu obliczach, to ten sam haracz, nałożony przez silniejszych na słabszych, który omawialiśmy już w rozdziale, poświęconym sprawie odsetek. Lichwa—to nacisk kapitału biernego, siły przyczajonej, potencjalnej. Odsetki przekraczają rzadko normę kilkunastu procent. Kapitał bierny więcej nie wycisnie. Ale zyski monopolowe—to nacisk kapitału w pełnym ruchu, siły kinetycznej, prężnej i zdobywczej, narzędzia do ujarzmiania słabszych, oddanego w ręce ludzi bez skrupułu. Sto, i dwieście, i trzysta procent zysku, uchodzi tu prawie że za normę.

Każdy zysk monopolowy—to przerwanie ciągłości procesów gospodarczych, zachwianie równowagi i wywłaszczanie licznych na rzecz „wybranych”. Skutki nie dają długo na siebie czekać. Skartelizowany przemysł wpędził świat w katastrofę gospodarczą, monopole prywatne prowadzą do monopolii publicznych, a te doprowadzą nas prostą drogą do kolektywnego wszechmonopolu w ustroju o typie bolszewickim. Aryjscy beneficjanci dzisiejszych zysków monopolowych skończą wówczas bez pardonu w czerezwyczajce. Żądza nadmiernie szybkiego wzbogacenia się jest narzędziem niesłychanie obosiecznem — dla Aryjczyka...

Monopole prywatne powstają:

- a) przez opanowanie władzy politycznej w państwie, wzgl. przez silne wpływy polityczne lub osobiste w sferach rządzących (nepotyzm);
- b) przez zмовę wytwórców;
- c) przez wyzyskiwanie monopolów powstających samorzutnie.

Rozpatrzmy te trzy wypadki.

MONOPOL OPARTY O WŁADZĘ.

Fakt to odwieczny, że rządzącym powodzi się zawsze dobrze pod względem materialnym. Stare przysłowie powiada, że „nawet Święci mają ręce do siebie“. W starych kościołach widzimy obrazy, na których stoją tłumy Aniołów i Świętych Pańskich, z rękoma opuszczonemi bezwładnie wzdłuż bioder i z dłońmi przyklejonemi do ud. Wprawdzie mają dłonie skierowane do siebie, a nie „od siebie“, lecz ich oczy wzniesione ku niebu, i bezwład ich rąk, wywołują w nas uczucie pewności, że nie użyją swych rąk do grabienia, lecz conajwyżej złożą je do modlitwy. W zastosowaniu do Świętych wydaje nam się to przysłowie zbyt złośliwe. Zato dłonie polityka, gestykulującego na mównicy, zdają się poprostu przyciągać i wywoływać jakieś niewidoczne strumienie złota. Zwykłą też rzeczą kołają politycy (oczywiście tylko ci, którzy się dorwą do władzy) nie przymierają głodem, a ich krewni i przyjaciele, grupy, czy nawet całe warstwy społeczne, które ich popierają, zajmują stanowisko uprzywilejowane, i ciągną w takiej czy innej formie poważne zyski gospodarcze.

Zwicznienie równowagi ustroju gospodarczego na korzyść jakiejś grupy czy warstwy społecznej, wywołuje objawy jednostronnej eksploatacji, dające w rezultacie ogólne zubożenie społeczeństwa. Mówi się wtedy, że dana forma rządów jest „kosztowna“. Doświadczenie historyczne uczy, że najtańszą formą rządów jest władza tyrana lub dyktatora, który dbając tylko o dochody dla siebie i nielicznej grupy

swych zauszników, utrzymuje pozatem w społeczeństwie sprawiedliwą równowagę gospodarczą. Znany z czasów starożytnych liczne przykłady tyranów, pod których rządami następował rozkwit gospodarczy. W czasach nowożytnych klasycznym przykładem dobroczynnych skutków gospodarczych „tyranji“ (obecnie używamy słowa dyktatura) są rządy Napoleona I, który ugruntował fortuny swych pomocników, ale nie opierał się na żadnej warstwie społecznej, i dlatego doprowadził Francję do rozkwitu gospodarczego.

Bardzo kosztowną formą rządów jest władza, oparta na jednym tylko dziale wytwórczości. Przez długie wieki opierały się trony na warstwie ziemiańskiej, mającej naturalną tendencję do paczenia gospodarstwa narodowego na korzyść wielkiej wytwórczości rolnej, a na niekorzyść wszelkich innych form produkcji. Niestychane ubóstwo Polski w XVIII wieku tem się właśnie tłumaczy. Podobnie fatalne skutki wywołują w naszych oczach rządy ciężkiego przemysłu w niektórych społeczeństwach. Rzecz prosta, że rządząca warstwa ma zawsze na swę usługi ekonomistów, którzy lansują teorie gospodarcze, mające udowodnić, że właśnie uprzywilejowanie tej a nie innej formy wytwórczości stanowi klucz do „prosperity“. We Francji dominował za czasów absolutyzmu królewskiego, w epoce „l'état c'est moi“ — t. zw. merkantylizm, który był teorią w dużej mierze etatystyczną. W połowie XVIII wieku, kiedy chodziło o podkopanie wpływów arystokracji, „fizjokraci“ głosili, że jedynem naprawdę produkcyjnem zajęciem jest praca na roli, przeto wszelkie podatki powinny obciążać wyłącznie tylko rolnictwo (t. zn. podatki powinni płacić tylko arystokraci). Wślad za zagarnięciem rządów przez przemysł i finanse, przyszedł do głosu liberalizm, i udowodnił „naukowo“ dobroczynne skutki ustroju kapitalistycznego.

Ruina społeczeństwa następuje jednak dopiero wtedy, gdy rządami dzielą się: jakaś „elita“, i jeden z działów produkcji. Mamy tego pecha, że odbywa się to obecnie w Polsce na naszej skórze. Wprawdzie rządząca nami „elita“ jest niezwykle liczna i „spragniona“, ale gospodarstwo narodowe zniósłoby i ten dopust Boży, gdyby nie równoczesne uprzywilejowanie ciężkiego przemysłu. Sławne

„nożyce“ między cenami produktów rolnych i przemysłowych, które od lat usiłuje się nam wytłumaczyć jako ślepe zrządzenie jakiegoś „fatum“ (a fatum, jak wiadomo, należy się poddać w pokorze) — *te „nożyce“ nie są niczem innym, jak logicznym skutkiem rządów ciężkiego przemysłu.* — Ja rządę, więc biorę ceny wyższe za *moje* towary, wy jesteście rządzeni, więc musicie sprzedawać taniej *wasze* towary — myśli ciężki przemysł. Ze swego punktu widzenia ma słuszość, choć „słuszość“ ta jest niemoralna. Mając oparcie w powolnej mu władzy, ciężki przemysł w współczesnej Polsce przekształcił się w szereg monopolów: mamy obecnie nie tylko państwowe monopole — soli, tytoniu, zapalek i spirytusu — ale szereg monopolii prywatnych: cukru, węgla, nafty i benzyny, drożdży, żelaza, żarówek, przędzy, cykorji, ryżu, nawozów sztucznych i t. p. — już nawet pomarańcz i bananów. Każdy monopol, to podatek. Rozumiemy, że podatki się państwu należą. Ale podatki płacone na rzecz czynników prywatnych stanowią obciążenie nieznosne, którego gospodarstwo narodowe na dłuższą metę ani wytrzymać — ani ścierpieć nie może.*

Organizm gospodarczy rozwija się pomyślnie jedynie wtedy, gdy wszystkie działy wytwórczości mają te same szanse rozwoju. Uprzywilejowanie któregoś z tych działów przez władzę państwową prowadzi do zwichnięcia równowagi, i przynosi dla całej gospodarki straty bez porównania większe, od korzyści, realizowanych przez dział uprzywilejowany.

Zwalczanie monopolii, opartych o władzę, jest kwestją natury czysto politycznej, a nie gospodarczej. Prywatne monopole są potężne i zaciekle bronią swych przywilejów.

Trudne bywa niekiedy ich rozpoznanie, tak się potrafią umiejętnie maskować. Obecne uprzywilejowanie skartelizowanego przemysłu poprzedziły u nas lata obstrzału ekono-

* Z początkiem roku 1934 mieliśmy w Polsce 168 skartelizowanych gałęzi przemysłu, czyli tyleż monopolii prywatnych, nie mówiąc o różnych cichych zimowach, kwitnących pod ochroną wygórowanych stawek celnych, systemu kontyngentów i premij wywozowych. Pod koniec roku 1935 ilość karteli przekroczyła liczbę trzystu. Wprawdzie rząd rozwiązał od tego czasu sto zgórą karteli, ale, jak obliczyło czasopismo „Polityka Gospodarcza“, produkcja roczna rozwiązyanych karteli wynosi 60 milionów złotych, podczas gdy produkcja roczna utrzymanych karteli wynosi 1100 milionów. „Walka“ rządu z kartelami świadczy więc o nierównych siłach obu stron.

micznego: wimówiono wszystkim w Polsce teorię rozwoju przemysłu kosztem rolnictwa, teorię dumpingu, teorię wysokiej ochrony celnej — używano naprzemian dymów przesłaniających i gazów ofensywnych. Lecz wszystkie te zabiegi prowadzą do jednego celu: do wyeliminowania swobody konkurencji, i do stworzenia monopolu, które pozwolą gwałcić zasady słuszności w kształtowaniu się płac i cen.

MONOPOL OPARTY NA ZMOWIE.

Zmowa wytwórców kieruje się albo przeciw konsumentom, albo przeciw pracownikom, zazwyczaj równocześnie przeciw jednym i drugim, i ma na celu wymuszenie nie należnych sobie zysków, czyli pozbawienie kogoś jego własności. *Różnica między oszustwem, szantażem czy kradzieżą, a zubożeniem bliźniego drogą zмовы, jest tylko różnicą w metodzie.* W pierwszym wypadku zabieram komuś jednorazowo poważniejszą część lub całość jego mienia, w drugim wypadku czynię to codziennie, lecz w drobnych dawkach, korzystając z sytuacji przymusowej bliźniego, polegającej na tem, że współczesny człowiek nie może się obejść bez cukru, drożdży lub węgla.

Różnicy w metodzie oszustwa należy przeciwstawić różnicę w metodzie jej sążnienia: inne paragrafy w kodeksie karnym powinny się odnosić do jednego wzgl. drugiego wypadku.

W społeczeństwie wychowanem na ctyce chrześcijańskiej, jakim jest społeczeństwo polskie, zmowa wytwórców łączy się zazwyczaj z pozyskaniem wpływów u władzy, bo to dopiero zapewnia bezkarność. Lecz fakt, że oba rodzaje monopolów często się z sobą wiążą, nie powinien przesłaniać teoretycznego stwierdzenia, że są to objawy różne: mogą występować wspólnie, mogą odrębnie. *Monopol, oparty na wpływach politycznych, należy zwalczać metodami politycznymi; zmovę należy zwalczać normalnym wymiarem sprawiedliwości.*

Obok zмовы wytwórców występuje również czasami zmowa pracowników, której celem jest wymuszenie płac

wyższych od „godziwych“. Zmowy tej dopuszczają się przeważnie pracownicy instytucyj użyteczności publicznej, jako to wodociągów, gazowni, elektrowni, kolei, drukarni gazetowych i t. p. Rozumie się samo przez się, że to co powiedziano o zмовie wytwórców między sobą lub z władzą, odnosi się również i do zмовy pracowników. Poziom płac i zarobków musi być w społeczeństwie również szarmonizowany, oczywiście po uwzględnieniu różnic w zdolnościach, przygotowaniu fachowem i wysiłku. Wszelkie uprzywilejowanie pewnej grupy pracowników na niekorzyść innych wykracza również przeciwko zasadom słuszności, i paczy prawidłowe działanie organizmu gospodarczego.

MONOPOLE SAMORZUTNE.

Stwierdziliśmy już, że w życiu powstają bez przerwy monopole samorzutne, i że większość z nich zanika w krótkim czasie pod wpływem swobody współzawodnictwa. Niektóre się jednak ostają. Są to wypadki stosunkowo rzadkie. Zdarzają się wtedy, gdy jakiś talent, czy jakieś dobro, występują niesłychanie rzadko. Genjalny malarz ma pewnego rodzaju monopol, na czas swej sławy: może dyktować swoje ceny. Nie jest to jednak monopol szkodliwy dla społeczeństwa, gdyż obrazy nie stanowią artykułu pierwszej potrzeby. Gorzej bywa z dobrami. Tylko nieliczne kraje posiadają sole potasowe, niektóre rudy trafiają się tylko w jednym miejscu na kuli ziemskiej. Są to monopole de facto, które mogą przybrać cechy antyspołeczne, o ile ich produkt jest nieodzownie potrzebny do życia ludzkości. Jaskrawym przykładem tego rodzaju monopolu jest monopol produkcji radu, będący w rękach pewnej spółki belgijskiej, w której wyłącznem posiadaniu są radośne złoża w Kongu. Niesłychanie wygórowana cena radu stanowi może największy skandal współczesnego kapitalizmu, gdyż w sferach dobrze poinformowanych opowiadają sobie na ucho o fantastycznych wprost zyskach tej spółki (sięgają one jakoby kilkuset procent rocznie), a równocześnie giną na całym świecie ludzie, których nie stać na leczenie się radem. Oczywiście zainteresowane czynniki prowadzą akcję dywersyjną, opowiadając na prawo i lewo, że

to koszta produkcji radu są tak wysokie, a ich zyski nie przekraczają godziwej miary.

Większość monopolii samorzutnych zanika w ten sposób, że ludzie wynajdują artykuły zastępcze, i wprowadzają moment współzawodnictwa w dziedzinę dotychczas monopolową. Daleki jestem od proponowania, by społeczeństwo interwenjowało w każdym wypadku, w którym zyski wydają się nienormalnie duże. Jeszcze raz powtarzam, że nadmierny interwencjonizm dał się nieraz we znaki chrześcijańskiemu ustrojowi średniowiecza. Stwierdzam tylko, że w wypadkach, w których jakiś prywatny monopol staje się *specjalnie uciążliwy* dla społeczeństwa, gospodarcza myśl chrześcijańska nie uchyla się bezradnie, jak to czyni ekonomja liberalno-kapitalistyczna, lecz znajduje w swej doktrynie normy dla ocenienia szkody i zaradzenia złu.

ROZDZIAŁ VI.

RENTA Z ZIEMI.

Chcąc się wyżywić, musi społeczeństwo wyprodukować co roku pewną ilość ziemiopłodów. O ile zaludnienie kraju wzrasta, zapotrzebowanie na żywność zwiększa się, należy więc brać pod uwagę coraz to nowe obszary ziemi. Zdarza się jednak, że w kraju gęsto zaludnionym lepiej się opłaca zwiększać wydajność roli już uprawnej (przez udoskonalenie metod uprawy), niż brać pod pług role, które dotychczas uchodziły za nieużytki. Tak czy owak, cena ziemiopłodów zależy od wysiłku, który jest potrzebny do wyprodukowania ziemiopłodów na glebach najlichszych i najmniej korzystnie położonych. Właściciele tych najgorszych ziem nie czerpią z nich żadnego dochodu bez pracy, gdyż wartość zboża, zebranego na tych ziemiach, pokrywa zaledwie koszt produkcji tego zboża. Dochód bez pracy pojawia się dopiero na glebach lepszych, na których przy tym samym wysiłku zbiera się znacznie większy plon. Zysk wzrasta, im ziemia żyzniejsza, i położona bliżej miasta. Ten rodzaj zysku ochrzcili ekonomiści liberalni mianem *renty gruntowej*.

W społeczeństwie kapitalistycznym, renta gruntowa wyraża się w formie czynszu dzierżawnego. O ile moją ziemię wydzierżawiam, t. zn. absolutnie żadnej pracy sam w nią nie wkładam, i obciążam ponadto dzierżawcę obowiązkiem płacenia podatków, sumą, którą otrzymuję, stanowi rentę z mojego gruntu.

Rentą gruntową, w zrozumieniu ekonomji klasycznej, nazywamy więc dochód bez pracy z ziemi produkującej. O ile użyć wyrażenia, które brzmi bardzo przykro dla polskich uszu, renta gruntowa, to zysk z „przedsiębiorstwa rolnego”.

Istnieje jednak jeszcze inny rodzaj zysku z ziemi, niezwiązany zupełnie z właściwościami uprawnymi ziemi. Wyobraź-

my sobie, że ktoś ma niewielką parcelę, położoną przy skrzyżowaniu gościńców bardzo uczęszczanych. Parcela ta przedstawia małą wartość jako grunt uprawny, gdyż należy się liczyć z tem, że posiane na niej zboże zostanie zatratowane i rozkradzione. Ale właściciel tej parceli ceni ją sobie wysoko, i wynajmuje za drogie pieniądze prawo ustawienia na tej parceli tablic reklamowych, stacji benzynowej i kiosku z papierosami. Spotykamy się tu z nowym rodzajem zysku z ziemi, który nosi oczywisty charakter monopolowy, gdyż właściciele tysięcy innych parcel nie mogą współzawodniczyć z jednym szczęśliwcem, ponieważ ich parcele są mniej korzystnie położone.

Rozpatrzmy inny przykład. Pewne miasto wchodzi w fazę szybkiego rozwoju. Przewidujący kapitalista siada w drożkę, i objeżdża wioski położone w obrębie kilku kilometrów od tego miasta. Upatruje jakieś grunta i wykupuje je. Nasz kapitalista rezygnuje na kilka lat z wszelkich odsetek od pieniędzy, które włożył w tę ziemię, dokłada nawet do niej, gdyż musi co roku płacić podatki. Ale czeka cierpliwie, bo czas pracuje na jego korzyść. Miasto się rozrasta, podchodzi coraz bliżej pod jego parcele. Po pięciu latach kapitalista sprzedaje swój grunt pięć razy drożej, niż go zapłacił. Spekulacja gruntowa mu się udała, zarabiał przez pięć lat po sto procent rocznie od swego kapitału. Chłopi, których grunta sąsiadują z parcelami naszego spekulanta, i którzy się swej ziemi dotąd nie wyzbyli sprzedają ją teraz również za drogie pieniądze, i nie kiwnawszy palcem, stają się zamożnymi ludźmi. Ten rodzaj zysku z gruntu ma również charakter monopolowy, gdyż dochodzi do skutku wyłącznie tylko dzięki ograniczonej możliwości współzawodnictwa.

Reasumując: W dalszych naszych rozważaniach, będziemy nazywali „rentą z ziemi“ wszelkie rodzaje dochodu bez pracy z posiadanego gruntu.

W „rencie z ziemi“ mieszczą się trzy składniki:

- a) naturalna renta z ziemi;
- b) odsetki od wartości ziemi jako warsztatu pracy (według stopy rynkowej);
- c) pewien dochód o charakterze monopolowym, wynika-

jacy z położenia gruntu, oraz z faktu, że ilość ziemi jest ograniczona.

Ad a) Naturalna renta z ziemi. W przeciwieństwie do kapitału, który nie może rodzić, o ile go nie wspomagać ludzką pracą, ziemia „rodzi“.

Pozostawiona sama sobie, bez żadnego współudziału człowieka, ziemia wydaje co roku pewien plon, stanowiący dochód bez pracy, a więc zysk, zgodnie z terminologją przyjętą w naszych rozważaniach. W ogólnej masie plonów, uzyskanych z ziemi dzięki pracy i umiejętności człowieka, ułamek, wytworzony przez samą ziemię, t. zn. nie mający swego odpowiednika w pracy ludzkiej, jest minimalny. Ten ułamek nazywamy rentą naturalną.

Hektar ziemi uprawnej daje obecnie w Polsce przychód brutto wartości od 150 do 2000 zł. rocznie, zależnie od intensywności uprawy i rodzaju plonu. Gdybyśmy ten sam hektar ziemi zostawili całkowicie odłogiem, zarósłoby z biegiem czasu bezładnie lasem, a nasz czysty dochód z tego hektara nie przekraczałby kwoty kilku złotych rocznie.

Naturalna renta z ziemi pozostaje bez zmiany, podczas gdy wydajność ziemi stale wzrasta, dzięki postępom ludzkich umiejętności. Najmniejsze zwichnięcie równowagi gospodarczej na niekorzyść rolnictwa już wystarcza, by rentę naturalną uczynić całkowicie iluzoryczną. Obecnie wynosi ona w Polsce niewątpliwie mniej, niż podatek gruntowy.

Naturalna renta z ziemi nie może więc być powodem niesprawiedliwości w rozdziale dóbr. Pominiemy ją przeto w naszych dalszych rozważaniach.

Ad b) Odsetki od wartości, którą ziemia przedstawia jako warsztat pracy. Do tej części renty odnoszą się wszystkie wnioski, do których doszliśmy w rozdziale poprzednim, rozważając składnik „odsetek“ w zysku z kapitału. Ponieważ ziemia się nie dewaluuje, ani w stosunku do złota, ani w stosunku do stopy życiowej, składnik „odsetek“ w rencie gruntowej nie mieści w sobie żadnego elementu przejadania kapitału, lecz stanowi w całości dochód bez pracy. Kapitalista, któremu bank ofiarowuje cztery od sta od jego pieniędzy, zadowolili się dochodem dwóch procent rocznie od kapitału zainwestowanego w ziemię, gdyż ziemia daje mu absolutną pewność, której nie potrafi mu zagwarantować

najpotężniejszy nawet bank. Przypuśćmy jednak, że stopa procentowa spada. Bank ofiarowuje kapitaliście już tylko dwa procent rocznie od jego pieniędzy. Wszyscy kapitaliści rzucają się do kupowania ziemi, gdyż ziemia da im również dwa procent, plus większą pewność.

Jaki nastąpi skutek? Ziemia szybko zdrożeje, dochody z niej spadną. *Przy stopie bankowej dwa do trzech od sta, cena gruntu i jego dochodowość tak się kształtują, że kapitał włożony w ziemię przestaje nieść jakiegokolwiek odsetki. Ziemia zachowuje swą wartość jako warsztat — t. zn. że pracując na niej, można uzyskać odpowiedni dochód. Ale bez pracy ziemia dochodu nie daje. Zacznie znowu dawać dochód bez pracy, gdy stopa procentowa w całym życiu gospodarczem ponownie pójdzie w górę, lub gdy dana parcela zacznie nieść zyski monopolowe.*

Ad c) Dochód z ziemi o charakterze monopolowym. Musimy tu odróżnić dwa źródła dochodu bez pracy: pierwszem jest ograniczona i niezmienna ilość ziemi; drugie wypływa z monopolu położenia ziemi, i wyraża się w wysokiej cenie ziemi w pobliżu większych miast, oraz parcel budowlanych w samych miastach.

1) Niezmienna ilość ziemi stanowi dla jej właścicieli monopol trwały, gdyż można założyć dziesięć nowych wytwórni drożdży, lub tysiąc nowych warsztatów szewckich, ale nikt nie zwiększy obszaru ziemi, który dany naród ma do swej dyspozycji, a ludzkość nie nauczyła się jeszcze wytwarzać artykułów spożywczych bez pomocy gleby. W niektórych okresach historii, konkurencja obszarów kolonialnych, lub prowadzone na szeroką skalę karczunki lasów czy osuszanie jezior, potrafiły na pewien czas odebrać ziemi jej charakter dobra monopolowego. W chwilach gdy zaludnienie kraju się zmniejsza, lub gdy dzięki pewnym wynalazkom wydajność gleby szybko się podnosi, ziemia traci również swój charakter monopolowy. We wszystkich powyższych wypadkach, monopol posiadaczy gruntu przestaje być dla nich źródłem zysku, i renta z ziemi uprawnej w dużej mierze zanika (jak to obserwujemy również i w naszej epoce od szeregu lat). Z kolei następują jednak okresy, gdy przy szybkim wzroście ludności, a powolnym wzroście produkcji rolnej, monopol posiadania

ziemi wyraża się we wzroście renty. Malthus przewidywał, że renta będzie stale wzrastać, i ludzkość będzie chodzić głodna. Rozwój wypadków zadaje dotychczas kłam jego teorii, tem niemniej fakt, że ziemia jest dobrem monopolowem, pozostaje nadal bez zmiany, i trudno przewidzieć, czy nie zajdą w przyszłości sytuacje, w których ten monopol może się stać źródłem dochodu bez pracy dla warstwy rolniczej, a kosztem wszystkich innych warstw społeczeństwa. Zysk monopolowy z ziemi stałby się w takim wypadku tem uciążliwszym wyzyskiem ogółu społeczeństwa, jako że pobierany byłby od produktów spożywczych, jedynych, bez których człowiek naprawdę być nie może.

Ten specjalny, niepomnażalny charakter ziemi, stał się powodem, dla którego myśl o przejęciu ziemi w zbiorowe władanie całego społeczeństwa urodziła się znacznie wcześniej w głowach różnych doktrynerów, niż projekt uspołecznienia kapitału. Przypominam nasze rozważania z Rozdziału III, dotyczące podziału ogółu dóbr na „ziemię“ i „kapitał“. Wśród motywów, uzasadniających podział wszelkich dóbr na te dwie zasadnicze grupy, walnym argumentem był właśnie fakt, że wszelkie inne dobra może ludzkość rozmnażać własną pracą, a jedynie ziemia stanowi pod tym względem wyjątek. Stąd wniosek niektórych myślicieli, że kapitał należy pozostawić we władaniu jednostek (jako że kapitał ciągle narasta, możemy więc wpływać skutecznie na jego sprawiedliwy rozdział), natomiast władanie ziemią należy zastrzec dla społeczeństwa.

Gospodarcza myśl chrześcijańska tępi w zarodku wszelką możliwość dochodu bez pracy, odnosi się więc z natury rzeczy wrogo również i do renty gruntowej. Ale myśl uspołecznienia ziemi odrzuca kategorycznie. Argumenty Sw. Tomasza, przemawiające za własnością indywidualną, przemawiają ze zdwojoną siłą za posiadaniem indywidualnem ziemi, a to ze względu na szczególnie szlachetny charakter stosunku człowieka do własnego gruntu. Gdy chodzi o ziemię, własność prywatna jest już nietylko celowa ze względów gospodarczych, ale indywidualne posiadanie ziemi daje również doniosłe skutki natury moralnej, społecznej i politycznej (patrz Rozdziały VII i XIV). Myśl

chrześcijańska odrzuca przeto możliwość zbiorowego władania ziemią, lecz nie rezygnuje bynajmniej ze zwalczania złych skutków renty gruntowej, tylko proponuje rozwiązanie odmienne. Skoro posiadanie ziemi stanowi monopol, to *jedynem skutecznym lekarstwem na ten rodzaj monopolu jest możliwie daleko posunięty podział ziemi, rozkładający ewentualne zyski monopolowe — skoro może zająć wypadek, że uniknąć ich się nieda — na jaknajwiększą ilość ludzi.*

2) *Zysk monopolowy, związany z położeniem gruntu, wyraża się w wysokiej rencie ziemi położonej w pobliżu lub w obrębie miast, blisko gościńców, dworców kolejowych i t. p. Grunta te, o ile są zabudowane, nie dają wogóle żadnego plonu, jeśli się je zaś nawet uprawia, to dają plon ten sam co grunta mniej uprzywilejowane przez położenie, których wartość jest kilkakrotnie niższa. Zyski monopolowe, powstające w związku z położeniem ziemi, zilustrujemy najlepiej na następującym przykładzie: kilku lordów jest przypadkowymi posiadaczami gruntu, na którym stoi Londyn. Na ich ziemi, w obszarze Wielkiego Londynu, skupiła się piąta część ludności całej Angli, i płaci tym lordom kolosalne sumy za prawo mieszkania na ich gruncie. Jest to specyficzny podatek nałożony przez kilku ludzi na osiem milionów swych współobywateli. Gdyby jednak ci sami lordowie posiadali ten sam obszar ziemi, ale położony o sto mil na zachód, nie ciągnęliby już z tytułu tego posiadania ani grosza dochodu bez pracy, gdyż grunt orny nie daje obecnie w Angji żadnej renty. Dochód bez pracy nie jest więc w tym wypadku związany z faktem posiadania jakiegokolwiek gruntu, lecz z faktem *monopolowego położenia pewnych obszarów ziemi.**

Jeszcze lepiej to zrozumiemy, rozpatrując *czynsz z domu*. Czynsz ten jest bliskim krewnym naszych dobrych znajomych, renty z ziemi i zysku z kapitału. W czynsz wchodzi następujące składniki:

- 1) amortyzacja i stały remont budynku, oraz koszt administracji;
- 2) odsetki od kapitału, zainwestowanego w dom;
- 3) renta, związana z położeniem parceli.

Składnik pierwszy (amortyzacja, remonty i administracja) jest należny i godziwy.

Do drugiego odnoszą się nasze wywody z poprzedniego rozdziału. Natomiast składnik trzeci stanowi zysk monopolowy, i to w czystej postaci, gdyż niema tu już ani renty naturalnej, ani wartości ziemi jako warsztatu pracy. Czynsz z trzypiętrowego domu przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie będzie znacznie wyższy od czynszu z takiegoż domu np. w Piotrkowie, choć wybudowanie obu tych kamienic kosztowało mniej więcej to samo. Różnica w czynszu stanowi więc niewątpliwy dochód bez pracy właściciela domu w Warszawie, bo jego kolega piotrkowski musi swój dom również amortyzować i remontować, a odsetki płacą obaj jednakowe (o ile przypuścić, że budowali obaj za pożyczone pieniądze). Grunt w Warszawie nie należy do kilku lordów, lecz do kilkunastu tysięcy osób, które ciągną zysk monopolowy z pozostałego miliona „nieuwłaszczonych“ Warszawiaków. Jest to sytuacja lepsza znacznie od londyńskiej, lecz daleka jeszcze od ideału.

Jaka jest rada na ten rodzaj dochodu bez pracy? W dużej mierze można mu zaradzić przez *dezurbanizację i związaną z tem dekoncentrację przemysłu*. Pomówimy o tem w dalszych rozdziałach tej książki.* Rzecz oczywista, że im mniej skupień miejskich, tem mniej parcel o wygórowanej wartości, tem mniej wygórowanych czynszów i dochodów bez pracy. Dezurbanizacja leczy skutecznie taką chorobę, szczególnie jeśli nie trzeba burzyć tego, co już istnieje, lecz wystarczy przeciwdziałać niekorzystnemu rozwojowi (a w Polsce samo przeciwdziałanie wystarczy, gdyż proces urbanizacji nie doszedł jeszcze do rozmiarów podobnie katastrofalnych, jak na Zachodzie). Ale sama dezurbanizacja radykalnie zła nie uleczy. Skupienia miejskie zawsze były i będą, zawsze będą istniały okolice uprzywilejowane, czy to przez położenie, czy przez bogactwa ziemi lub piękno natury. Ludzie będą się tam tłoczyli i podnosili wartość gruntu. Jak i w poprzednio rozpatrywanym wypadku zysków, związanych z ograniczoną ilością ziemi, tak i w tym wypadku — *prawdziwe lekarstwo leży jedynie w daleko posuniętem rozpowszechnieniu własności*.

* Patrz Rozdział XII.

Z chwilą, gdy każda jednostka (w praktyce życiowej *każda rodzina*) zostanie związana z ziemią, czy to w formie własnego warsztatu rolnego, czy w formie własnego domu na własnej parceli, oba wyżej wymienione rodzaje zysków monopolowych z ziemi rozłożą się na ogół członków społeczeństwa. Tem samem osiągnięty będzie rezultat, do którego dążą inicjatorowie upaństwowienia ziemi. O cóż bowiem chodzi? *Chodzi o to, by zyski z renty gruntowej płynęły na korzyść ogółu, a nie tylko na korzyść wybranej garstki nielicznych posiadaczy gruntu. Ten cel można osiągnąć na dwa sposoby: albo tworząc monopol państwowy ziemi, albo uwłaszczając w ziemię ogół ludzi.* Obie powyższe metody dadzą w teorji analogiczne skutki. Oczywiście tylko w teorji, gdyż w praktyce jedynie zasada własności indywidualnej ma cechy ludzkie i życiowe. Myśl o upaństwowieniu ziemi wylęła się w głowach patologicznych doktrynerów, którzy poprzez zakratowane okna szkół rabinackich patrzą na życie jak na szachownicę, a na ludzi jak na pionki bez woli i uczucia.

ROZDZIAŁ VII.

UWŁASZCZENIE *MAS**

Materjalizm widzi w własności jedynie narzędzie do zdobywania zysków. Stąd płynie skłonność do uruchomienia własności, cechująca ustrój liberalny, dążność do możliwie łatwego przetrzucania własności w społeczeństwie, by się przesuwiała automatycznie do rąk, które potrafią z niej wycisnąć jaknajwięcej zysku.

Światopogląd idealistyczny uważa własność nie tylko za pomoc w pracy, lecz zarazem i za źródło, wywołujące w człowieku specyficzne uczucia o wielkiem znaczeniu moralnem: przywiązanie do ziemi, domu i warsztatu, poczucie odpowiedzialności wobec pokoleń przeszłych i przyszłych, poważniejsze i bardziej pozytywne ustosunkowanie do problemów państwa i społeczeństwa, większe poczucie godności osobistej i związane z niem poczucie honoru, bez którego żadne społeczeństwo nie może istnieć.

Zdrowe społeczeństwo opiera się na pracy i na rodzinie. Lecz najbardziej zwarta rodzina rozprzęga się szybko, o ile niema oparcia we własności. Dopiero własność daje rodzinie możność trwania, pozwala jej wykształcić się w silną komórkę społeczną i nawiązać ciągłość tradycji rodzinnej. Rodzina nie może być przejściowem zrzeszeniem kilku osób, które żyją razem póki rodzice nie wymrą, a dzieci nie dorosną. Musi ona stanowić czynnik ciągły, musi liczyć swój wiek nie na lata, lecz na generacje. Ta ciągłość tradycji rodzinnej, której podstawowym warunkiem jest własność przekazywana sobie kolejno przez pokolenia, daje człowiekowi to poczucie godności osobistej i wrosnięcia w swój naród

* Z wyrażeniem tem, które ujmuję nadzwyczaj trafnie istotę problemu, spotkałem się w pracy ks. Jana Piwowarczyka p. t. „Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad”, Kraków, 1932.

i w swą ziemię, które upodabnia chłopą do księcia, a którego brak czyni z miejskiego proletariusza atom ludzki, zawieszony w próżni, poza ludzkością i jej historją.

Rodzina i własność stanowią więc pojęcia nierozdzielne. Dopiero gdy uwłaszczymy każdą rodzinę, możemy zrealizować sprawiedliwy ustrój społeczny.

Lecz własność wywołuje nietylko skutki dodatnie. Budzi również instynkty złe. Uczucie posiadania, nie trzymane na wodzy, i nie kontrolowane stale przez rozum i sumienie, wyradza się niebawem, i staje się rychło jedną z licznych odmian ludzkiego egoizmu. Z chwilą zaprzeczenia obowiązków moralnych, związanych z wszelkiem posiadaniem, budzi się pokusa, by wykorzystać siłę, którą daje własność. Skoro część posiadających zaczyna uważać własność po prostu za broń, służącą do zdobywania możliwie dużych dochodów, staje się ona środkiem władzy i wyzysku. Przy pomocy odsetek zaczyna drażnić społeczeństwo, i odbiera coraz liczniejszemu rzeszom owoce ich pracy. Powoli rośnie w potęgę, i koncentruje się w coraz to mniejszej ilości rąk. Wreszcie opanowuje państwo i zaczyna ściągać, w formie monopolowych zysków, jeszcze tę część społecznego dochodu, której nie udało się wydusić przy pomocy procentu. Wszelkie ustawy i instytucje nagina się lub przekształca do tego celu. Ilość posiadanego majątku staje się wyłącznym kryterjum wartości człowieka, a hałaśliwa propaganda przygłusza do czasu pomruk rozpaczki eksploatowanych mas.

Teoretycznie biorąc, mógłby się znaleźć silny rząd, który zagarnie władzę polityczną i zahamuje wyzysk skoncentrowanego kapitału, nie zmieniając struktury ustroju, lecz starając się łagodzić najjaskrawsze nadużycia. Możliwoby w ten sposób stworzyć stan pewnej równowagi gospodarczej, system godziwego podziału dochodów w społeczeństwie. Ale byłby to stan niemożliwy do utrzymania na dalszą metę. Żaden kraj nie może na to liczyć, że będzie miał stale rząd silny i światły, a wszelkie osłabienie władzy wyzwoliłoby ponownie zorganizowane siły wyzysku, trzymane przejściowo na uwięzi. Polityka gospodarcza nie może się więc ograniczyć do bieżącego unieszkodliwiania zapędów szkodliwych

dla ogółu, lecz musi dążyć do stworzenia takiego ustroju, w którym naturalna gra sił i przyzwyczajęń gospodarczych przeciwdziałałaby ponownemu zwyrodnieniu struktury społecznej.

I tego celu nieda się inaczej osiągnąć, jak przez uwłaszczenie mas. Pozwoli ono rozłożyć na ogół ludzi dobre strony posiadania, a zneutralizuje w dużej mierze pokusy, związane z własnością, odbierając im obecne możliwości rozwoju. W kraju, który będzie przestrzegał zasad chrześcijańskiego współzycia, dodatnie oddziaływanie własności będzie konsolidować strukturę moralną i gospodarczą ludności. Powoli wytwarzać się będzie psychika przywiązania człowieka do jego warsztatu, odpowiedzialności za własność rodzinną i dobro zbiorowe. W takiej atmosferze dojrzewa społeczeństwo, odporne na wybijanie indywidualnych egoizmów. W ustroju bolszewickim wystarczy, by dwudziestu rządzących mężów podzieliło między siebie dwadzieścia trustów państwowych i dwadzieścia najpiękniejszych kobiet — konferencja będzie trwała kwadrans, i w jej wyniku będziemy mieli z powrotem kapitalizm. Marks twierdzi, że kapitaliści zagarniają „nadwartość” pracy robotników. Wiemy już, że sprawa nie jest tak prosta, że skoncentrowany kapitał ściągą monopolowe zyski z całego społeczeństwa, że robotnik ponosi naogół szkodę nie jako pracownik danej fabryki, ale w swym charakterze członka solidarnie eksploatowanego społeczeństwa. Przypuśćmy jednak na chwilę, że Marks miał rację. W państwie kolektywistycznym „nadwartością” pracy robotniczej dysponowałby rząd. Skąd pewność, skąd nawet prawdopodobieństwo, że dysponowałby nią sprawiedliwie? Że nie używałby tej „nadwartości” na uprzywilejowanie pewnych kategorii pracowników w stosunku do innych? Przemysłu w stosunku do rolnictwa? Pracowników fizycznych w stosunku do pracowników umysłowych? Arystokracji partyjnej w stosunku do proletariatu partyjnego? Tam gdzie masy ludzkie żyją z pracy najemnej — czy to będzie kapitalizm prywatny, czy państwowy — rozdział dochodu między tego, który dostarcza kapitał, a tego który daje pracę, będzie przeważnie krzywdzący, a zawsze arbitralny.

Natomiast w ustroju, w którym ogół rodzin opiera swój byt na własnych warsztatach, wszelka zmiana w rozłożeniu

w naszym ustroju wyzysk
wyprowadzi, ani człowiek ani m

własności wymaga przełamania milionów oporów indywidualnych, zmowa staje się niemożliwa, a połączenie w tych samych rękach pracy i kapitału gwarantuje zdrowy rozdział dochodu społecznego, i zapobiega narastaniu nowych krzywd. Chcąc wprowadzić ponownie wyzysk do takiego ustroju, nie wystarczy paru zmian ustawodawczych, ani chwilowego zagarnięcia władzy przez jednostki niemoralne — na to potrzeba wieków.

Uwłaszczenie mas — czy się to komu podoba, czy nie podoba — stanowi przeto naczelny postulat godziwej organizacji społeczeństwa. Wprowadzenie go w życie będzie naczelnem zadaniem rządów narodowych.

ROZDZIAŁ VIII.

O CZŁOWIEKU ARYJSKIM I POSTĘPIE CHRZEŚCIJAŃSKIM.

Wyszliśmy z chrześcijańskiego pojęcia pracy i własności. Poznaliśmy zasady sprawiedliwości wymiennej i rozdzielczej, i doszliśmy do stwierdzenia, że uwłaszczenie mas jest warunkiem godziwego ustroju. Powoli zrastały się w naszym umyśle pojęcia rodziny, pracy i własności, sztucznie od siebie oddzielone w dzisiejszym świecie, kulminujące według chrześcijańskiej doktryny w pojęciu „stanu“.

Podglądnęliśmy intymne strony życia gospodarczego, drogi i ścieżki, któremi się skrada egoizm ludzki, chcąc się wyłamać z pod obowiązku pracy, i nałożyć jej ciężar na innych. Zysk urósł w naszych oczach do groźnego symbolu, w którym się wyrażają wszystkie złe instynkty gospodarcze człowieka. Zysk — dochód bez pracy, owoc zakazany, wyhodowany znojem innych, dojrzewający z potu cudzego oblicza. Zysk — namiętność, nagroda dla spekulujących na loterii życia, narkotyk podstępny, usypiający sumienia, zątpiający serca i umysły, by nie słuchały jęku krzywdzonych i wyzyskiwanych.

Staraliśmy się przeniknąć misterną zasłonę, rzuconą przez wiedzę i „prawo“ na brutalne procesy gospodarcze. Pod niewinnymi etykietami znajdowaliśmy raz po raz te same grabie, grabiące dobra do kieszeni tych, co nie sieją ani orzą. Poznaliśmy działanie odsetek, zmywy i monopolu, jedwabnych rękawiczek, w których tkwią ręce kościste i drapieżne.

Poznaliśmy...

Lecz cóż nam przyjdzie z tego, że poznaliśmy — zapyta czytelnik? — Oczywiście, wszelkie poznanie jest szacowne, niekiedy nawet pożyteczne. Lecz nie potrzebowalbym się

przegryzać żmudnie przez pańską książkę, szanowny autorze, jedynie poto, by raz jeszcze skonstatować, że człowiek ma w sobie niezgłębione pokłady chciwości i egoizmu. Już dawno o tem wiedziałem. Poznanie wtedy tylko jest owocne, gdy nam pozwala działać, ulepszać i poprawiać. Postawił pan djagnozę, a raczej starał się pan uprzyśtepnąć mi djagnozę postawioną przez innych. Dziękuję i za to. Lecz nie znalazłem do tej pory żadnych konkretnych wskazań, a bez nich pańska praca będzie poroniona.—

Zarzut byłby słuszny, gdyby nie był przedwczesny. *W pierwszej części mej pracy zajmowałem się chrześcijańską doktryną gospodarczą. Właśnie dlatego, że jest ona chrześcijańska, że ma wartość obowiązującą zawsze i wszędzie, nie może ona wyjść poza ramy ogólnikowych zasad moralności gospodarczej. Jej praktycznego zastosowania, przykrojenia jej do miejsca i czasu, podejmują się w naszej opoce prądy polityczne, które noszą miano „narodowych”. Druga połowa mej pracy zawierać więc będzie zastosowanie zasad chrześcijańskich do problemów współczesnego życia polskiego. Dopiero po jej przeczytaniu wolno będzie czytelnikowi osądzić, czy ta piękna doktryna da się zastować do naszej szpetnej rzeczywistości.*

Przystępując do skonkretyzowania programu gospodarczego, musimy uprzednio rozstrzygnąć jeszcze jedno zasadnicze pytanie. Doktryna chrześcijańska dała nam wytyczne. W jaki sposób mamy je wprowadzać w życie? Czy mamy dążyć do państwa policyjnego, w którym starsi przodownicy o srebrnych kołnierzach baczyć będą na moralność gospodarczą, zaopatrzeni w podręczny regulamin streszczony z pism Św. Tomasza? Czy mamy stworzyć ministerjum gospodarki narodowej, w którym sztab radców i referentów wyznaczać będzie dla każdego obywatela pracę i płacę, i ustalać godziwe ceny za koszule i podkopy? Czy zwołamy sejm narodowy, który drogą ustaw unormuje każdy odruch ludzkiej działalności gospodarczej?

Po raz ostatni udajemy się do Św. Tomasza. Niech nam da dobrą radę na pożegnanie.

„...Główna siła ustaw” — pisze Św. Tomasz* — „płynię z przyzwyczajenia, jak powiada Filozof,** nie należy ich więc zmieniać bez poważnej potrzeby”.

Św. Tomasz, mówiąc dzisiejszą gwara, jest konserwatystą. Żąda stopniowego ulepszania ducha i obyczajów. Stwierdziłszy już kilkakrotnie, że nie lubi zmuszać ludzi do cnoty drogą przymusu ustawowego. Ustawy uważa za potrzebne, lecz nie jako bodziec do przeobrażeń, a jako unormowanie dziedzin, w których przeobrażenia już się dokonały. *Będąc radykałem w głoszeniu hasel postępu moralnego, jest Św. Tomasz konserwatystą w stosunku do zmian w ustawodawstwie.* Tem się zapewne tłumaczy, że był tak często posądzany o czarną reakcję...

A więc nie ustawy mamy zmienić, lecz „przyzwyczajenia”. *Nie mamy zakazać odsetek, mamy im przeciwdziałać.* Musimy robić propagandę, reformować nasze obyczaje i instytucje. Skoro zmiany już zajądą, ustawy je zarejestrują. W takim ujęciu sprawy Św. Tomasz okazuje się myślicielem par excellence nowoczesnym. Namiętność do ustaw i dekrétów, cechująca naszych socjalizujących i etatyzujących „mężów stanu”, jest nałogiem myślowym dziwnie już przestarzałym. Ci panowie spóźniają się o parę wieków. Wiek dwudziesty wymaga działania na psychikę tłumów, akcji zbiorowej i perswazji zbiorowej. Jeśli usiłujemy rozbudzać w społeczeństwie miłość do morza za pomocą masowej propagandy, urządzania co roku „Święta Morza” i wożenia dzieci szkolnych do Gdyni, to dlaczego nie mielibyśmy sięgnąć do tego samego arsenału środków, gdy chodzi np. o propagandę własnego warsztatu? Obok „Dnia Oszczędności”, nie zawadzi zorganizować „Tydzień anty-odsetkowy”...

Poprawa obyczajów gospodarczych wymaga zdecydowanego działania, a nie małostkowych poprawek w istniejącym stanie rzeczy. *Mamy niewiele zasad, ale zasady te są wielkimi prawdami.* Muszą one przeorać społeczeństwo, jak wiatr halny orze lasy tatrzańskie. Na marginesie naszej prawdy będą się zapewne działy nadal różne drobne świństwa. Wierzimy wprawdzie, że obyczaje ludzkie z biegiem

* S. Th. 1, 2 qu. XCVII a. 2 ad 1.

** t. zn. Arystoteles, przyp. autora.

wieków ulegają stałej poprawie, lecz nie wierzymy w ich doraźne udoskonalenie, jak długo chodzi o jednostki. Co innego społeczeństwo. Tu można poprawiać i ulepszać, i osiągać widoczne rezultaty w bardzo krótkim czasie. Należy tylko pamiętać o jednym: naród i państwo — to nie kramik. Trzeba ogarniać wzrokiem całokształt, a nie ograniczać się do zamiatania po kątach. Gdy zasady są słuszne i trafnie stosowane, organizm społeczny znosi łatwo codzienne wyładowywanie się ludzkiej podłości. Ale najwięcej nawet cnoty indywidualnej nie uratuje budowli społecznej, której fundamenta są wadliwe.

Na chwilę kończymy z teorią. Odwołujemy się obecnie do naszej wyobraźni. Spróbujemy rzucić okiem w przyszłość, i wyczuć *atmosferę* społeczeństwa, w którym już zatriumfowały chrześcijańskie zasady gospodarcze.

Czytelniku, wymagam teraz od ciebie wielkiego wysiłku. Jesteś człowiekiem mniej lub więcej wykształconym, i żyjesz w Roku Pańskim 193.... To znaczy, że wtłaczano ci w głowę, od szóstego czy dziesiątego roku życia, ogromny zasób wierzeń i wiadomości, spreparowanych w sposób obrzydliwie tendencyjny, ale żelaźnie konsekwentny. Mówisz w prawdzie po polsku, i uważasz się za Polaka. Jesteś zapewne nawet praktykującym katolikiem. *Ale przestałeś już w dużej mierze czuć po polsku i myśleć po aryjsku.* Uwierzyłeś, bo ci to „udowodniono“, że symbolem średniowiecza i katolicyzmu była — Inkwizycja hiszpańska. (Nawiasem mówiąc, masz o Inkwizycji pojęcie podobnie tendencyjne, jakie mieć może będzie człowiek w 30 wieku naszej ery, któremu wmówią, że w naszych czasach za najmniejsze przestępstwo tracono ludzi na krześle elektrycznym wśród niehumanitarnych męczarni). Przyjdzie czas, że historia, wyzwolona z pod wpływów masonerii, powie ci wreszcie, jak to było naprawdę w tem średniowieczu. Ale obecnie musisz jeszcze czerpać swe wiadomości z książek, które znajdujesz pod ręką. Wierzysz więc, że pierwszym świtem „lepszego jutra“ była Reformacja. Wierzysz, że stosunki na świecie się poprawiały w miarę wyzwalań się myśli ludzkiej z „pętów“ katolicyzmu. Wierzysz, że Rewolucja, Wielka Rewolucja francuska, dała światu „Wolność“

i „Równość“. O trzeciem haśle Rewolucji, o „Braterstwie“, jakoś nie słyszysz, choć jest ono jedyne, które rzeczywiście zostało zrealizowane — we wszechświatowej masonerii.

Wierzysz — a przynajmniej nie jesteś pewien, czy to nie jest prawdą — że „postęp“ świata wymaga zburzenia wszelkich wierzeń i tradycji, całkowitego upłynnienia naszych urządzeń i obyczajów, rozbełtania i zakłócenia wszystkiego, póki cały świat nie będzie się gotował jak krater z wrzącą lawą.

Nauczono cię, że błogosławiony jest niepokój wewnętrzny, szydzenie z wszystkiego i wątpienie o wszystkim. Powiedziano ci, że zarówno nasze pokolenie, jak i szereg następnych, są jeszcze skazane na męki i cierpienia, któremi mamy okupić dla naszych prawnuków ten wymarzony świat Wellsów i Russelów — świat bez Boga i Ojczyzny, świat pigulek pożywnych, standaryzacji i mechanizacji, w którym każdy człowiek będzie tylko wykonywał od śniadania do obiadu pewien ściśle zracjonalizowany giest, a resztę dnia spędzał na igraszkach artystyczno-sportowo-intelektualnych. Świat, w którym wyklęte będzie poświęcenie i bohaterstwo, boks zastąpi wojnę, wszystkie domy będą bliźniaczo do siebie podobne, mówić się będzie „esperantem“, a pszenica rosnąć będzie na klombach w ogrodach botanicznych. Świat jak żołnierz na postoju, gotów w każdej chwili do wszelkich przemian, skoro tylko powieje podmuch jakiegoś „postępu“. Jak zając na miedzy, jak Żyd Wieczny Tułacz z kijem wędrownym w ręku. Eldorado, w którym pod obojętnem spojrzeniem masonińskiego „Wielkiego Stwórcy“, rządzić będzie „Naród Wybrany“ bezimiennem mrowiem — ludzi, czy też już tylko urodzonych w wylęgarkach „robotów-homunculusów“...

Nie gniewaj się, czytelniku, że ująłem ten wymarzony świat trochę trywjalnie. Wiem, że przyzwyczajony jesteś do pseudo-filozoficznego sosu, którym podlewają twoi mistrzowie swoje „wizje“ lepszego jutra. O ile jesteś pół-inteligentem, to wierzysz nawet w tę „filozofję“, i w te „wizje“ po dolarze od wiersza.

Możliwe, że wierzysz. Ale cię nie entuzjazmują. Klaszczesz w dłonie z zachwyty, bo ci twój snobizm intelektualny inaczej nie pozwala. W to napewno wierzysz, że „nie

wypada“ nie wierzyć. Ale po cichu, w dwoje oczu sam ze sobą, nieraz cię opadały wątpliwości, czy warto—czy warto poświęcać siebie, i swoich synów, i swoich wnuków, dla wywalczenia świata, w którym — żaden z nas nie czułby się szczęśliwy...

Czujesz przez skórę, że taki świat nie będzie *twoim* światem. Ze są może ludzie, którzy wątpiąc o wszystkim potrafia się czuć szczęśliwi — i robić dobre interesy — ale że ty do nich nie należysz. Ze twoje szczęście leży w pewności i spokoju. Ze gotów byłbyś żyć szczęśliwie na tem miejscu, na które się wrodziłeś w społeczeństwo, zamiast czekać na to „Wielkie Zamieszanie“, w którym ty sam zapewne zginiesz (za „Postęp“), i dla przygotowania którego nie warto, *nawet nie wolno*, zająć się ulepszeniem tego, co mamy obecnie...

Pozwól, czytelniku, że ci przyjdę z pomocą. Wiesz, że coś tu jest nie w porządku, lecz nie możesz sam rozeznąć, co.. Pozwól, że ci podsunę. Wolno ci się ze mną zgodzić, albo nie zgodzić. Otóż ideał, który ci podsuwają, jest ideałem obcego tobie ducha. Jest ideałem narodu koczowników, nawykłego do nicustannych wędrówek, dla którego każda perspektywa zamieszkania i burzy jest zarazem perspektywą zysku i polepszenia bytu. Narodu o podwójnej moralności, jednej dla swoich, drugiej dla obcych, opętanego od wieków szaleństwem mesjanicznym, trawionego obłądną ambicją i żartego chorobliwym niepokojem. Narodu niewątpliwie wielkiego, lecz tragicznego, który chce wpręgnać resztę ludzkości w tragiczną pielgrzymkę swego losu.

Narodu żydowskiego.

Dopiero gdy to sobie uprzytomnisz, czytelniku, i gdy w to uwierzysz, zrozumiesz, o co nam chodzi. Nasze cele wypływają z aryjskiego ducha, naszą Ojczyzną nie był nigdy i nie będzie cały świat, lecz jedynie pewien szmat ziemi, na którym nasi przodkowie osiedli od lat tysiąca. Tak jest, *osiedli*. Czy czujesz różnicę? Naród kupców wmówił ci, że praca fizyczna jest przekleństwem, a godna człowieka jest tylko praca głowy—tej głowy, która się obraca podobno sama w stronę, z której wieje największy zysk. Czy twoja głowa się tak obraca? Wmówiono ci, że człowiek urodzony do pracy fizycznej musi zburzyć ten świat,

i stworzyć inny, w którym każdy pracować będzie tylko intelektem. Lecz ty czujesz, że to nieprawda. Że każdy człowiek może być szczęśliwy, bez względu na to, czy pracuje rękoma czy umysłem, byle tylko żył w godziwym świecie, w którym każda praca będzie jednaką legitymacją do człowieczeństwa.

Zacytowałem ci, czytelniku, zasady Św. Tomasza, o sprawiedliwości gospodarczej. Zauważyłeś pewnie, że nie dodałem do nich żadnego komentarza, lecz odczekałem cię wprost do ustępów, w których omawiać będę ich praktyczne zastosowanie. Zrobiłem to — z obawy przed tobą. Widziałem ironiczny uśmieszek na twoich ustach, kiedy czytałeś o sprawiedliwości. Bo zarazono cię sceptycyzmem, i ośmieszono cię gruntownie różne „wzniosłe” słowa. Cnota, sprawiedliwość... Człowiek nowoczesny wybucha śmiechem na sam ich dźwięk. Ale stop! Będzie przecież istnieć cnota i sprawiedliwość w państwie „postępu”. O tem mówi się i pisze poważnie. Istnieje również „cnota proletariacka”, „bohaterstwo proletariackie” i „sprawiedliwość społeczna” w Bolszewji. W te trzy ostatnie pojęcia nie musi się wierzyć, ale należy się do nich odnosić z zainteresowaną sympatją. Wymaga tego dobry ton. Ironja zarezerwowana jest wyłącznie dla sprawiedliwości o posmaku chrześcijańskim.

Wzywamy cię, czytelniku, byś się rozstał z ironją i sceptycyzmem. Obie te pozy wychodzą już z mody! Naucz się wierzyć. *Uwierz w istnienie sprawiedliwości chrześcijańskiej.* Najpierw zajrzyj sam w siebie. Czy nie reagujesz instynktownie na wszystko co się dzieje dokoła ciebie, osądzając, że to jest sprawiedliwe, a tamto nie? Czy nie widzisz, choćby na przykładzie zmartwychwstania Polski, potwierdzenia starej gadki, że „Opatrzność nie rychliwa, ale sprawiedliwa”? Czy nie czujesz prawdy w naszym twierdzeniu, że robotnik żąda nie akcji i samochodu, lecz sprawiedliwości? Czy nie wierzysz, że wyteżając głowy i serca, możemy dojść do ustroju przynajmniej w grubszych zarysach sprawiedliwego?

Skoro uwierzysz w sprawiedliwość, czytelniku, będziesz już napół nawrócony. Otworzą ci się wtedy nowe perspektywy. Zrozumiesz, co to jest wewnętrzny spokój.

Lecz, by to pojąć, musisz być już wpół drogi do duchowego ozdrowienia. Bo jak długo masz w sobie bakcyle żydowskiej psychiki, nie zrozumiesz. Współcześni Anglicy robią odkrycie — chłopą. Chłop jest to dla nich stworzenie całkowicie niepojęte: pracuje fizycznie ciężko przez cały dzień, a potem idzie spać! I przytem jest zadowolony. Ma spokój w sobie. Anglicy obserwują oczywiście chłopą francuskiego, którego mają pod ręką. Naszemu chłopu zdążono już zakłócić jego spokój, ale nietrudno będzie ten spokój mu przywrócić. W społeczeństwie kapitalistycznym każdy człowiek powinien dążyć do zwiększenia swego majątku. To dążenie idzie w parze z wewnętrzną szarpaniną, zmianami kolejami życia i ciągłym niepokojem. W ustroju chrześcijańskim przeciętny człowiek ma cel ściśle określony: chce zapracować tyle, by żyć na stopie swego stanu. Musi pracować, lecz żyje w spokoju. Kapitalista nie pracuje, lecz żyje nerwami. Zysk wyrabia się nerwami. Społeczeństwo współczesne przemienia się coraz szybciej w zwitek rozstrzęsionych nerwów, które zaczynają dygotać za najłżejszym pociśnięciem. Winien temu „błogosławiony” niepokój, ta pramateria, z której mają się wyłaniać coraz to nowe i lepsze światy.

Praca, spokój i sprawiedliwość. Cel niewątpliwie szlachetny, ale czy i kiedy osiągalny?

Jeżeli uwierzyłeś, czytelniku, że cel nasz jest osiągalny, to zrozumiesz już bez trudu, że osiągalny jest bardzo prędko. W ciągu jednej lub dwu generacyj. Oczywiście w Polsce, która niedaleko jeszcze odbiegła od swego średniowiecza. Nie trzeba poświęcać pokoleń, ani przelewać morza krwi. Wielka będzie zawierucha, ale bez burzy nie może się obejść żadna prawdziwa przemiana. Lecz nie trzeba będzie ani rewolucyj społecznej, ani wyłączenia wszystkich ze wszystkiego, ani wytępienia milionów żywych ludzi, ani dyktatury proletariatu. Trzeba tylko, byś ty, czytelniku, odmienił swój sposób myślenia. I poszedł z nami.

A postęp? Nie „postęp”—symbol nowych czasów i pramotor życia, ale takie sobie zwykłe, codzienne udoskonalanie naszego życia i naszych urządzeń. Czy w ustroju chrześcijańskim będzie nawet taki postęp wzbroniony pod grozą

klątwy? Czy mamy stworzyć społeczeństwo na wzór chińskiego, skostniałe na tysiąclecia w swych tradycyjnych formach ustrojowych i gospodarczych?

Nie. Istnieje postęp i „Postęp”. Zobaczmy co myśli o tem Św. Tomasz. Wprawdzie już się z nim pożegnaliśmy, ale trudno nam się bez niego obejść. Powiada on: * *„Wobec tego, że prawo ludzkie jest niejako głosem rozumu, kierującego czynami człowieka, dwojaka może być przyczyna, dla której prawo ludzkie słusznie ulega zmianie: — jedna przyczyna stoi w związku z rozumem; — druga natomiast w związku z człowiekiem...”*

„W związku z rozumem — ponieważ wydaje się właściwością przyrodzoną rozumowi ludzkiemu, że dochodzi stopniowo od niedoskonałości do doskonałości. Przeto widzimy w dziedzinie nauk spekulatywnych, iż ci, którzy pierwsi tworzyli pojęcia zasadnicze, doszli do wniosków mniej doskonałych, które dopiero późniejsi ich następcy sformułowali w sposób doskonalszy. Podobnie dzieje się i w dziedzinie wiedzy praktycznej: pierwsi, którzy zamierzali stworzyć jakieś nowe wartości dla dobra ogółu ludzi, nie potrafili jeszcze rozwiązać wszystkich problemów na podstawie własnego doświadczenia, i stworzyli urządzenia niedoskonałe o licznych brakach; zmienili to dopiero ich następcy, stwarzając urządzenia, które w sposób mniej wadliwy mogą służyć ogółowi”.

„W związku natomiast z człowiekiem... — ustawy słusznie mogą ulegać zmianie z powodu przekształcenia się warunków życiowych ludzi; odmiennym warunkom ich życia odpowiadać będą odmienne ustawy”.

A więc Św. Tomasz uznaje istnienie postępu, w sensie doskonalenia się rozumu i wiedzy ludzkiej, i związanych z tem przemian w warunkach życia i w ustawach. Nic w tem dziwnego. Św. Tomasz głosi moralność Chrystusową, ale nie jako ślepa siłę, mającą wpływać na ciemnego człowieka, ale jako drogowskaz, pomagający człowiekowi w celowym użyciu danego mu rozumu. Współrzedne działanie tych dwu elementów — etyki i rozumu, musi prowadzić do systematycznego doskonalenia się rodzaju ludzkiego. Postęp w dziedzinie moralnej stanowi cel zasadniczy, ale

* Sum. Th. I, 2 qu. XCVII a 1.

automatycznym jego odpowiednikiem musi być i stały postęp w dziedzinie materialnej. Św. Tomasz każe ludziom pracować, nie tylko na swe utrzymanie, lecz jeszcze dla szeregu innych powodów. Owoce tej pracy, niekonsumowane w całości, muszą bogacić stopniowo rodzaj ludzki, a przepisy Św. Tomasza o sprawiedliwości wymiennej i rozdzielczej, muszą prowadzić do godziwego ustroju gospodarczego, o ile społeczeństwo będzie ich przestrzegać. Z biegiem wieków powinna więc ludzkość osiągać coraz to wyższy stopień moralności, wiedzy, oraz pomyślności gospodarczej. Zdaje mi się, że to odpowiada dość ściśle współczesnym pojęciom o postępie.

Na tak pojęty postęp godzimy się wszyscy. Jest to postęp w sensie aryjskim, rozkwitające coraz piękniej gospodarstwo uczciwego człowieka, który z biegiem lat nabiera coraz to więcej prawości i doświadczenia w swoim zawodzie, i przekazuje swym dzieciom owoce rzetelnej pracy całego życia, nie splamione niczyją krzywdą. Człowieka, który przepracował życie w spokoju, i umiera zapatrzoną w swoją wiarę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ .

CZĘŚĆ II

NARODOWY

USTRÓJ GOSPODARCZY W POLSCE

ROZDZIAŁ IX.

UWŁASZCZENIE MAS.

Uwłaszczenie mas nie jest bynajmniej postulatem demagogicznym, jak twierdzą chórem przeciwnicy godziwego ustroju. Uwłaszczenie mas, pojęte w ten sposób, że pewnego pięknego dnia rozdajemy wszystkim wszystko po równych częściach, byłoby hasłem zarówno naiwnem, jak nie-realnem. Bogactwo wzrasta w naszej epoce bardzo szybko, dobra istniejące dziś, będą już tylko ułamkiem majątku, któryin dysponować będą następne pokolenia. Wyjątek stanowi ziemia, ale właśnie dlatego, że jej ilość pozostaje bez zmiany, podczas gdy ilość innych dóbr stale się zwiększa, stanowi ziemia stosunkowo coraz to mniejszą pozycję w aktywach każdego społeczeństwa. Oczywiście rozdział ziemi musi być również racjonalny, lecz w Polsce jesteśmy już względnie niedalecy od tego stanu. Jeśli chodzi jednak o inne dobra, to nie potrzeba bynajmniej pozbawiać ludzi tego, co obecnie posiadają, bo wymagałoby to drastycznych zabiegów, dających więcej szkody, niż korzyści dla ogółu. Każda z istniejących dziś w Polsce fabryk będzie za 20 lub 30 lat całkowicie bez wartości, do tego czasu powstaną u nas miliony domów i miliony warsztatów. *Uwłaszczenie musi się odbyć z bieżącym czasem* — przez takie nastawienie społeczeństwa, by w ciągu najbliższych dziesiątków lat kapitał się nie koncentrował, lecz rozkładał sprawiedliwie na pracujący ogół.

„Wszystkiemi siłami winno się dążyć do tego“ — pisze Pius XI w Encyklice „Quadragesimo anno“ — „by przynajmniej w przyszłości nowo wytworzone dobra w słusznej mierze znalazły się u tych, którzy dają kapitał, ale tak samo w dostatecznej ilości przeszły na tych, którzy dają pracę“.

Uwłaszczenie mas nie jest więc sprawą radykalnych zmian w obecnym rozłożeniu własności, lecz wymaga zasadniczej zmiany *tendencji* na przyszłość. Ujęte w ten sposób — hasło uwłaszczenia mas staje się *realne i wykonalne*. Ustroje oparte na szerokim rozpowszechnieniu własności indywidualnej, nie są bynajmniej utopją, i istniały już szereg razy w ciągu dziejów. Zabierając się do zrealizowania narodowego programu możemy nie tylko nawiązać do obecnej struktury naszego społeczeństwa, lecz mamy również grunt całkowicie przygotowany w psychice i obyczajach naszej ludności. Uwłaszczenie mas jest tem łatwiejsze do urzeczywistnienia, im mniej jakieś społeczeństwo odbiegło od form gospodarczych, mających swe korzenie w średniowieczu. W Anglii wymagałoby rewolucji. U nas wymaga mniej gwałtownych zmian, i mniej krwi, od drogi, po której się obecnie posuwamy, prowadzącej poprzez szereg pośrednich stadjów kapitalistycznych — do kolektywizmu.

WŁASNOŚĆ PRYWATNA I WŁASNOŚĆ „SPOŁECZNA“

Program uwłaszczenia mas tłumaczy się jasno, jak długo chodzi o chłopą, rękodzielnika, właściciela sklepu czy małej wytwórni. Teoretyczne rozważania, dotyczące uwłaszczenia mas, rozbiły się natomiast stale o problem wielkiego przemysłu (skoncentrowanego kapitału). Wszelkie szkoły chrześcijańskiej myśli społecznej utykały do tej pory na tym problemie. Proponowano różne środki zaradcze, mające doprowadzić do tego, by robotnik stał się współwłaścicielem wielkiego przedsiębiorstwa, w którym pracuje. Próbowano zainteresować pracowników w losach fabryki przez przyznanie im udziału w zyskach przedsiębiorcy, przez wypłacanie im części zarobków w akcjach i t. p. Usiłowano uwłaszczyć robotnika przy pomocy teoryj spółdzielczych. Wszystkie te sposoby okazały się w praktyce bezcelowe, często nawet szkodliwe, poprostu dlatego, że próbowały przenieść formy własności indywidualnej w dziedzinę, w której własność ma już cechy „ponadindywidualne“. Wiemy z poprzednich rozdziałów, że godziwe formy własności wywołują dodatnie skutki

psychiczne posiadania. *Bezpośredni, można śmiało powiedzieć „zażyły” stosunek właściciela do własności — to główny warunek dodatnich form posiadania.* O ten stosunek nie trudno, jak długo człowiek może ogarnąć swoją własność okiem i rozumem. Ale z chwilą, gdy własność się koncentruje, gdy mamy do czynienia z fabryką-kolosem, lub międzynarodowym bankiem, najgenialniejszy człowiek przestaje ogarniać całokształt przedsiębiorstwa, i pojęcie własności prywatnej staje się zupełną fikcją. Do ideału można się przywiązać, ale do fikcji własności trudno przyczepić serce. Czy damy robotnikowi akcje przedsiębiorstwa, w którym pracuje, czy każemy mu się czuć współwłaścicielem upaństwowionej fabryki — w obu wypadkach nie możemy na to liczyć, że zaczną w nim grać instynkty właściciela, że zacznie dbać o swoją fikcyjną własność i pracować na niej tak, jakby pracował na *swojej* roli, czy w *swoim* warsztacie.

Nie trzeba być wielkim znawcą psychologii ludzkiej, by zrozumieć, że *własność prywatna ma swój właściwy sens tylko do pewnej granicy.* Powyżej tej granicy, z chwilą, gdy trzeba już całego zespołu ludzi, by dane przedsiębiorstwo prowadzić, własność nabiera cech społecznych, kolektywnych, bez względu na to, czy istnieje jeszcze nominalny właściciel prywatny, czy też właścicielem oficjalnym jest zbiorowość. W wielkiej francuskiej czy angielskiej kompanii kolejowej niewątpliwie więcej cech właściciela ma członek dyirekcji (choć może nie posiadać żadnych akcji), niż przeciętny akcjonariusz. Grupy rządzące państwem mają na te kompanje kolejowe przynajmniej tyleż samo wpływu, co mają rządy na upaństwowione kolejnictwo polskie czy niemieckie. Przy całym uznaniu dla zasady własności indywidualnej należy stwierdzić, że istnieją pewne formy gospodarcze, które wymagają tak zawilego i wysokiego stopnia organizacji, że nie mogą stanowić własności we właściwym tego słowa znaczeniu prywatnej. A jeśli się upierać (jak to czynił liberalizm, i idące w jego tropy chrześcijańskie szkoły ekonomiczne), by własność indywidualną rozciągnąć na wszystkie absolutnie formy gospodarcze, to dochodzimy do szkodliwych społecznie dziwolągów, na których zarówno nominalny właściciel, jak i społeczeństwo, wychodzą jak najgorzej, a władcami (ciągnącymi rabunkowe korzyści) staje się dziwna kasta

anonimowych rycerzy przemysłu, generalnych dyrektorów i prokurentów. Czyż można zaryzykować twierdzenie, że Ford jest „właścicielem“ swych zakładów w normalnie utartem znaczeniu tego słowa? Różnica między stanowiskiem Forda, a stanowiskiem generalnego dyrektora sowieckiego trustu samochodowego, jest o wiele mniejsza, niżby się to mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Oba przedsiębiorstwa, na czele których ci panowie stoją, tak dalece interesują całe społeczeństwo, są tak dalece „uspołecznione“, że i Ford, podobnie jak jego sowiecki kolega, niema tej swobody dysponowania podległym sobie przedsiębiorstwem, jaką miałby właściciel w pełnem tego słowa znaczeniu prywatny. *Podział wszelkiej własności na strefę indywidualną i strefę społeczną jest stary jak świat, mogą się tylko przesuwac granice między obiema strefami.* Może się rozszerzać zasięg własności prywatnej, kosztem skoncentrowanych form posiadania, i naodwrot, strefa własności indywidualnej może się kurczyć, a na jej miejsce mogą się pojawiać formy własności „społecznej“. Zależnie od nastawienia rządzących, od ich stosunku do problemu własności, granica między jedną a drugą strefą przesuwa się w tę lub ową stronę. Ale wszelkie próby wprowadzenia integralnego uspołecznienia w strefę własności prywatnej (jak to robią bolszewicy), wzgl. wprowadzenia czystej zasady własności prywatnej w strefę kolektywną (jak tego pragnęli różni marzyciele z chrześcijańskich szkół gospodarczych) — wszelkie takie próby są zgóry skazane na niepowodzenie (a jeśli się nawet dadzą urzeczywistnić, to prowadzą do ustrojów absolutnie nieznośnych).

Lecz pozostaje kwestja przesuwania granicy, i tu leży właściwe rozwiązanie problemu. *Uwłaszczenie mas — to musi być rozszerzenie granicy własności indywidualnej, objęcie temi formami własności tych wszystkich dziedzin, które własność „ponadindywidualna“ nieprawnie sobie zagarnęła.* Istnieją pewne dziedziny gospodarcze, do których jednostka już nie dorasta. Ale dziedziny te są ściśle ograniczone. Przedsiębiorstwo, które obsługuje linję Hamburg — Nowy Jork przy pomocy parowców o pojemności 40 000 ton, chcąc nie chcąc musi być społeczne, natomiast upaństwowienie galarów na Wiśle traciłoby myszką. Fabryka butów, zatrudnia-

jąca 20.000 robotników, stanowi wprowadzie formę własności „ponadindywidualną“, ale trudno twierdzić, że mamy tu do czynienia z nieodpartym musem gospodarczym, gdyż pewna ilość szewców, indywidualnych właścicieli małych warsztatów, mogłaby identycznie tak samo zaopatrzyć społeczeństwo w buty. Kolej żelazna musi być „uspołeczniona“, natomiast komunikację autobusową mogą śmiało obsługiwać niewielkie przedsiębiorstwa, których mózgiem i duszą są ich właściciele. Z chwilą gdy wierzymy w potrzebę istnienia własności prywatnej, i w jej dodatnie oddziaływanie na strukturę społeczną i gospodarczą — to powinniśmy zwalczać „uspołecznione“ formy posiadania we wszystkich tych działach wytwórczości, z którymi własność prywatna (w prawdziwym tego słowa znaczeniu) mogłaby się uporać. Ale są dziedziny, w których własność indywidualna staje się już słowem bez treści, w których działać musi tak czy inaczej zorganizowany zespół. Starać się, by i w tych dziedzinach zapanowała „własność prywatna“ — to albo chowanie głowy w piasek, albo doktrynerstwo. Nie wolno równocześnie popierać koncentrację produkcji i finansów, a zarazem dziwić się, że te skoncentrowane formy tracą wszelkie cechy własności prywatnej, i opierają się wszelkim próbom związania z nimi pracującej jednostki na zasadach prywatno-prawnego posiadania.

Brak zrozumienia tej podstawowej prawdy stał się powodem, dla którego tyle ofiarnej pracy przeróżnych chrześcijańskich szkół gospodarczych poszło na marne w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. *Zamiast walczyć z koncentracją tam, gdzie jest ona zbędna, a żądać zdecydowanego uspołecznienia własności tam, gdzie jednostka „posiadać“ już nie może*, myśliciele chrześcijańscy wysilali się na szukanie półśrodków, mających umożliwić własność prywatną w dziedzinach zupełnie dla tej własności niedostępnych. Błąd ich jest psychologicznie zrozumiały, gdyż ludzie ci nie mogli się wyrwać z pod przemożnego wpływu teoryj, narzuconych przez obóz „postępu“, i wierzyli święcie, że kapitał *musi* się koncentrować w nieskończoność, że za 50 czy za 100 lat *wszelkie* towary, czy to rolne czy przemysłowe, będą produkowane wyłącznie tylko w fabrykach - kolosach, że w tej epoce *każdy* człowiek będzie się już tylko odda-

wał pracy najemnej w „skoncentrowanych“ przedsiębiorstwach. Chcąc uratować własność indywidualną, próbowano ją przemycić w te formy skoncentrowane, gdyż *panowało przekonanie, że dotychczasowe formy drobnej i średniej własności skazane są bezapelacyjnie na zagładę.*

Pytanie: Skąd się wzięło to przekonanie?

Odpowiedź: Przekonanie to wmówił nam obóz „postępu“. Obozem tym kieruje masonerja. Masonerję inspirują Żydzi.

DWA OBLICZA ŻYDOSTWA.

— Skądże tu znowu Naród Wybrany? — zapyta niejeden z czytelników. — Czy to nie przesada, przypisywać Żydom tak przemożny wpływ na dzieje świata? Wy, narodowcy, odznaczacie się dziwną manją przypisywania żydowskim intrygom wszelkiego zła, które się kiedykolwiek na świecie działo i dzieje. Po pierwsze, musieliby Żydzi być jakimś „nadnarodem“, o niesłychanej skali geniuszu i potęgi, chcąc rzeczywiście narzucić swoją wolę reszcie narodów świata. A po drugie — niema dowodów historycznych na twierdzenia patentowanych żydożerców. Że Żydzi należą naogół do obozu „postępu“ — to fakt, ale obok Żydów należą tam również miliony Aryjczyków. Dlaczego nie uznać, że Żydzi wyznają tę ideologję nie jako Żydzi, ale poprostu jako ludzie? Że żyją ideałami „postępu“ poprostu dlatego, że widzą w tych ideałach lepszą przyszłość dla ludzkości, a nie ze względu na swój egoistyczny interes narodowy? Czy nie prościej przypuścić, że Żydzi chcą być zwykłymi uczestnikami „nowej“ ludzkości, a nie dążą do ujarzmienia innych narodów i do stworzenia Królestwa Izraela, jak to twierdzi na wiatr polski nacjonalizm, opanowany jakąś chorobliwą manją prześladowczą? Co za dziwna taktyka, która niepotrzebnie robi „Uebermenscha“ z pocziwego Żydka, który jak każdy inny człowiek chce żyć i zarabiać, a pozatem umiła nam życie blaskiem swego humoru i czarem swego wnikliwego intelektu? —

Myśl narodowa rozprawia się zdecydowanie z powyższym typem rozumowania. Przyznajemy bez ogródek, że uważamy Żydów rzeczywiście za naród całkowicie odrębny od wszel-

kich innych narodów, których dzieje przekazała nam historia. Dowodów tej odrębności możnaby przytoczyć cały szereg, lecz wystarczy nawet to jedno stwierdzenie, że z wszystkich narodów, żyjących w kręgu cywilizacyjnym państwa rzymskiego — a narodów tych były dziesiątki — jedyni tylko Żydzi przetrwali do naszych czasów ze swą odrębnością religijną i narodową. Ten fenomen historyczny nienależy do analogji w dziejach, i przez sam fakt istnienia nieprzerwanej tradycji i organizacji o ciągłości kilku tysięcy lat, musiał dać Żydom w ręce atuty, jakimi nie dysponuje żaden inny naród. Atuty te spotęgowały się wielokrotnie przez rozproszenie Żydów po całym świecie cywilizowanym — co zrobiło z nich odwiecznych pośredników w wymianie towarów i myśli (a pośrednicząc można *wpływać*) — oraz przez nałóg Żydów do tajnych organizacji, który to nałóg obserwujemy niezmiennie od zarania dziejów Żydostwa aż po dzień dzisiejszy, kiedy potrafili ten nałóg narzucić całej ludzkości pod postacią masonerii. I tu dotykamy drugiego rzekomo słabego punktu naszych rozumowań, mianowicie braku dowodów historycznych. Twierdzimy, że Żydzi od początku naszej ery koncentrowali swe wysiłki na zwalczanie chrześcijaństwa, i to z ich punktu widzenia było zupełnie ludzkie i zrozumiałe, gdyż w społeczeństwie, zorganizowanym według zasad chrześcijańskich, czują się Żydzi bardzo nieswojo. Swoją działalność wrogą chrześcijaństwu, i to działalność *zorganizowaną*, prowadzili Żydzi zapewne już od pierwszego wieku po Nar. Chrystusa, ale te dzieje są bardzo zamierzchłe, i spory na ten temat mają znaczenie czysto akademickie. Żywo nas zajmuje (i boli) dopiero okres historii, datujący od XV wieku, kiedy po wspaniałym rozkwicie chrześcijaństwa w Średniowieczu *organizuje się wyraźna reakcja*, która postępuje ze wzmagającą się siłą aż po dzień dzisiejszy. Otóż musimy tu przyznać pewną rację naszym przeciwnikom: niezbitych dowodów historycznych na to, że Żydzi byli inspiratorami i organizatorami tego ruchu od samego jego początku, brakuje, i niewiadomo, czy te dowody kiedy zdobędziemy, właśnie ze względu na to mistrzostwo w prowadzeniu tajnej roboty, które zawsze cechowało Naród Wybrany. Synderyny z tych czasów nie raczyły nam przekazać swych archiwów. Początki masonerii giną w pomroce dziejów.

król Hiram i „dzieci“ jego „wdowy“ pozostaną zapewne na zawsze w dziedzinie legendy. Tajne międzynarodowe związki humanistyczne z XV wieku, rozwijające tak żywą działalność również i w Polsce, nie odkryły nam do tej pory swych tajemnic, choć jest rzeczą zupełnie oczywistą, że w XV wieku, kiedy nie było ani poczty, ani kolei, ani banków, żadna tajna akcja międzynarodowa nie mogła się obejść bez pomocy Żydów. Tembardziej, jeśli akcja ta nosiła wyraźne cechy „wolnej myśli“, t. zn. myśli „wyzwolonej z przesądów katolickich“. Do napisania pozostaje również historia Zakonu Templarjuszów, oraz dzieje pośrednictwa Żydów w przekazywaniu światu chrześcijańskiemu filozofji arabskiej, i niezliczonych mistyk i herezjy Wschodu. Czy te wszystkie dzieła zostaną kiedykolwiek napisane, tego nie wiemy. Możliwe, że jakieś „anonimowe“ ręce usuwały w ciągu wieków systematycznie wszelkie dowody historyczne, i że prawdy nigdy już nie dojdziemy. Ale to są rzeczy mało istotne. Przypuśćmy nawet, że Żydzi spokojnie sobie handlowali i uprawiali swą ulubioną lichwę, i że z ubocza tylko przyglądali się temu, co się dzieje w świecie aryjskim. Przypuśćmy, że ruch antykatolicki rozwijał się początkowo bez udziału Żydów. Przypuśćmy, że nie maczali palców w Reformacji. Przypuśćmy, że swoim zwyczajem czekali na to, kto zwycięży, by przymknąć do silniejszego (choć w tym wypadku zwycięstwo katolicyzmu nie mogło na żaden sposób leżeć w ich interesie). Ale poczynając od XVII stulecia mamy już nawet dziś (kiedy cała oficjalna „nauka“ historii opanowana jest jeszcze przez masonerję) niezbite dowody historyczne na fakt, że Żydzi przyłączyli się do obozu „wolnej myśli“, i popieRALI ten oboz ze wszystkich sił. Przypuśćmy — po raz ostatni, choć to przypuszczenie wyraźnie się już kłóci z historją — że Żydzi nie byli w tym ruchu oficerami, lecz tylko szeregowymi. Ale fakt zostaje faktem, że przez sam swój ciężar gatunkowy, przez fakt swej jednorodności etnicznej i religijnej, musieli Żydzi wywierać coraz silniejszy, *automatyczny* wpływ na kształtowanie się poglądów i psychiki tej przedziwnej międzynarodowej mozaiki masonskiej w epoce, w której ludziom, należącym do różnych narodów, było o wiele trudniej znaleźć wspólny język niż dziś, kiedy walec parowy współczesnej cywilizacji zniwe-

lował już w dużej mierze różnice między narodami, i upodobił Anglika do Szwajcara, czy Czecha do Francuza. W XVII i XVIII wieku mieszkańcy różnych krajów potrzebowali o wiele więcej niż dziś *pośrednika* — a tym pośrednikiem mógł być tylko Żyd. Ogromnie pouczająca jest w tej materji choćby rola Żydów polskich w czasie „potopu” szwedzkiego. O ile więc nawet przypuścimy, że przy organizowaniu się, i stopniowem narastaniu obozu „postępu”, Żydzi tylko *pomagali*, a nie *przewodzili*, to z natury rzeczy musieli przez odrębne warunki swego bytowania narodowego wywierać coraz to większy wpływ, *aż wreszcie „wolna myśl” tak nasiąkła miazmatami żydowskiej psychiki, że w dzisiejszej swej postaci stanowi tylko wierne odbicie moralności, przyzwyczajzeń i upodobań narodu żydowskiego.*

Przypuśćmy z kolei, że Żydzi jako *naród* nie dążą do żadnych celów obranych *świadomie**. Ale jest faktem niewątpliwym, że każdy naród dąży *instyktownie* do zapewnienia sobie jak najlepszych warunków bytu. Żydzi nie mogą stanowić wyjątku od tej ogólnie obowiązującej reguły. Przeto nawet bez specjalnie machiawelskich poczynań, samą siłą faktu, że w rodzinie „postępowej” Żydzi są jedyną grupą solidarną i jednorodną i osiągnęli przemożne wpływy — musi obóz „postępu” zdążać w kierunku, niosącym wywyższenie Żydów, a więc tak czy inaczej pojętą supremację Żydów nad narodami aryjskimi. Mniejsze lub większe luki w dowodach historycznych w niczem nie mogą osłabić toku powyższego rozumowania.

Przejdźmy z kolei do gospodarczej strony tego zagadnienia. Przypuśćmy znowu, że liberalizm jako *doktryna* wyłagł się w głowach myślicieli aryjskich bez współudziału Żydów,

* Przypuszczenie to jest poniekąd obraźliwe dla Narodu Wybranego, stawiam je więc tylko dlatego, że często się je słyszy w kołach ludzi wystugujących się Żydom. Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, jak daleki jestem od chęci ubliżenia w czemkolwiek bądź narodowi żydowskiemu jako *narodowi*. Myśl narodowa zwalcza Żydów, jak długo się upierają być *międzynarodem*, odnosi się natomiast z całym poszanowaniem do każdego wyraźnie ukonstytuowanego narodu. Naprawdę *narodowe* dążenia Żydów mogą więc liczyć nietylko na nasze zrozumienie, ale również na sympatję i czynne poparcie, jak długo nie wchodzą w konflikt z interesami naszego Narodu.

i że ciż sami Aryjczycy zaczęli go wprowadzać w życie na własny, a nie żydowski rachunek. Komuż jednak ta nieokreślona swoboda gospodarcza musiała najbardziej wyjść na korzyść? Narody aryjskie żyły przed nastaniem liberalizmu w ustrojach gospodarczych, które same sobie z biegiem wieków wytworzyły. Ustroje te mogły mieć wiele wad, ale wady te były w dużej mierze wadami ich autorów, i nie przeszkadzały tym narodom żyć. Natomiast Żydzi *dusili* się formalnie w aryjskich ustrojach gospodarczych. Wszystko, co Żyd poczynił w Średniowieczu na polu gospodarczym, wykraczało albo przeciw ówczesnym pojęciom o „dobrych obyczajach”, albo wprost przeciw prawu. Historia Żydów w Średniowieczu—to ustawiczna walka o wyjątki od zasad, o specjalne ustawy, które zezwalałyby Żydom na to, za co chrześcijanin poniósłby ustawową czy moralną karę. Przez szereg wieków Żydzi mogli stosować wrodzone im metody gospodarcze tylko z poczuciem złoczyńcy, który przekupuje policję, by go zostawiła w spokoju, ale który wie, że wystarczy zmiany na stanowisku komisarza lub przodownika, by represje zaczęły się na nowo. Dopiero liberalizm przyniósł Żydom wyzwolenie. Po raz pierwszy od tysięcy lat odetchnęli swobodnie. Przecież ustrój, oparty na zasadzie, że każda jednostka dąży do możliwie największego zysku, musiał być *ich* ustrojem. To był ustrój na *ich* miarę, bo jakżeż często przyświecają Aryjczykowi motywy wręcz sprzeczne z motywem zysku, jakoto ambicja, przywiązanie, choćby pieniactwo. Ileż chłopów polskich idzie z torbami przez zbyteczne procesy o skrawek między? Żyd procesuje się tylko dla zysku. Już nawet Goethe napisał: — Kobiety nie mają zrozumienia dla sporów, które toczą między sobą mężczyźni. Powód w tem, że podobnie jak Żydzi, nie wiedzą, co to jest „punkt honoru”*. — Goethe był wielkim psychologiem. Miljony większych i mniejszych rolników trzymają się w Polsce swojej ziemi kurczowo od szeregu lat, wbrew wszelkim zasadom ekonomii liberalnej pracując dla pewnej straty, a nie dla zysku. Ten typ ludzi schodzi w ustroju liberalnym zawsze do roli wyzyskiwanych. Powodzić się może w tym ustroju tylko temu, kto rzeczywiście żyje tylko dla zysku. *Dlatego epoka*

* Point d'honneur—po francusku w oryginalnym tekście Goethego.

liberalna musiała się stać złotym wiekiem żydostwa, i doprowadziła szybko do jego supremacji gospodarczej. Cóż dopiero powiedzieć o ustroju, w którym każdy procent uważany jest za godziwy? Stare przysłowie mówi: „Is fecit, cui prodest“ (ten zrobił, komu to przynosi korzyść). Zgodnie z tem przysłowiem, liberalizm musiał być chyba inspirowany przez Żydów. Dowody historyczne? Ależ gdzież są dowody, że ziemia kręci się rzeczywiście dookoła słońca? Jest to poprostu hipoteza, którą Kopernik wydedukował z obserwacji pewnych zjawisk niebieskich. Większość praw naukowych powstaje drogą dedukcji, drogą wyciągania wniosków ze spostrzeżeń czysto doświadczalnych. Dlaczego tylko w dziedzinie hadań nad masonerją i rolą Żydów dedukcja niema jakoby żadnej naukowej wartości, a jedynym dowodem mogą być tylko dokumenty podpisane i opatrzone pieczęciami, których to dokumentów oczywiście nigdy nie znajdziemy? Mamy pełne prawo uważać taki system gospodarczy za żydowski, w którym Żydzi pęcznieją jak pączki w maśle, a Aryjczycy schodzą z roli gospodarzy do roli najemnego proletariatu.

W kołach masonerji, rządzącej liberalnemi społeczeństwami, mieli Żydzi już w zaraniu epoki liberalnej decydujące wpływy, ale w życiu gospodarczem musieli się początkowo liczyć z istniejącemi jeszcze, nader silnie zakorzenionemi, odwiecznemi instytucjami gospodarczemi, obyczajami i nawykami rdzennej ludności. System gospodarczy narodów aryjskich wyrastał organicznie z podłoża moralności chrześcijańskiej, przeto złe skutki liberalizmu ujawniły się stosunkowo późno, gdyż rozkład zwartego organizmu postępuje w pierwszej fazie bardzo powoli, organa atakowane chorobą bronią się jeszcze skutecznie, a nawet często organizm atakowany przez zarazki wykazuje początkowo objawy zwiększonej aktywności, pozory lepszego zdrowia. Oto klucz do zrozumienia dziejów kapitalizmu XIX wieku. Ten kapitalizm—to produkt powolnego przekształcania się aryjskiego ustroju gospodarczego pod wpływem obyczajów żydowskich. Liberalny kapitalizm nowoczesny—to produkt rozpadu, i jako taki skończyć się musi z chwilą, gdy to, co się rozkłada, rozłoży

się już dokładnie i ostatecznie, innemi słowy, gdy organizm gospodarczy, przeżarty chorobą, traci cechy zwartego organizmu. *Jako proces rozkładu, kapitalizm może stanowić tylko objaw przejściowy**. Stąd żalność tych wszystkich, którzy uważali kapitalizm za ustrój trwały.

Logiczną rzeczą kolejną, duch żydowski, po epoce, w której *rozładał*, znalazł się na pobojowisku zasłanym gruzami, i z tą chwilą musiał się wziąć do *budowania* czegoś nowego. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że Żydzi nie ulękli się tego nowego zadania, i że w pełnym poczuciu spoczywającej na nich, jako na przywódcach obozu „postępu”, odpowiedzialności, wzięli się do przygotowania nowego ustroju już od połowy XIX wieku**, a więc jeszcze w czasie, kiedy dla mniej wprawnych oczu aryjskich, rysy w świetnym gmachu kapitalizmu mało były widoczne.

Chcąc rozumieć naród żydowski, należy stale mieć na uwadze, że nie tracąc nigdy swego głęboko materialistycznego charakteru, który stanowi najgłębszą może cechę żydowskiej psychiki, naród żydowski pokazuje ludzkości naprzemian dwa różne oblicza. Jedno powierzchowne, zmysłowe, którem Żydzi żyją wtedy, gdy są w defenzywie, gdy muszą działać w niepomysłnych dla siebie warunkach i wrogiem otoczeniu, gdy myślą tylko o tem, by jakoś przetrwać, a nie mogą marzyć o narzuceniu swej woli. Wówczas gonią Żydzi za zyskiem, za spekulacją materialną, za uciechą zmysłów, za używaniem życia. Bogiem ich wydaje się być złoto. Zainteresowania ich nie zdają się wykraczać poza dziedzinę gospodarczą, poza handel i lichwę. W tej postaci oblicze Żydów wylania się raz za razem z historii ludzkości. Ale są to tylko pozory. Prawdziwe oblicze Narodu Wybranego leży głębiej. Leży w spekulacji mózgowej, do której od dziesiątków pokoleń zaprawiają się na swoich świętych księgach, w kultywowaniu swej religji, opartej na wyrozumowanym kontrakcie z Jelową, w bilansowaniu dobrych i złych

* Nie trudno byłoby udowodnić, że powyższe twierdzenie tłumaczy również dzieje epok kapitalistycznych w Starożytności, między innymi dzieje kapitalizmu w Grecji i w Rzymie.

** „Manifest komunistyczny” Marksa i Engelsa wydany został w 1848 roku.

uczynków, w racjonalizmie płciowym, w Kabale i specyficznym mesjaniźmie.* Swem obliczem zmysłowem kokietał Naród Wybrany ludzkość w tej szczęśliwej epoce, kiedy mógł jeszcze żerować na dorobku narodów aryjskich. Ale z chwilą, gdy żydostwo powołane zostaje do budowania, wtedy sięgnąć musi do najgłębszych pokładów swego jestestwa. Do głosu dochodzi cerebralny odłam żydostwa, odcięty od nas do tej pory murami szkół rabinackich. Odżywają tradycje z przed tysięcy lat. To, co w żydostwie mogło niektórym Aryjczykom wydawać się pociągające, ich błyskotliwość umysłową, brak dogmatyzmu, giętkość i ruchliwość, zamiłowanie do pewnych form sztuki—wszystko to odpada. Naród Wybrany pokazuje zdumionej ludzkości prawdziwe swe oblicze. I usiłuje swą wolę narzucić.

Ustrój gospodarczy, którym obóz „postępu” zamierza zastąpić kończący się kapitalizm, ma się odznaczać dwiema cechami, które wyrzują na nim decydujące piętno. Cechami temi będą: kult maszyny, i kolektywizm. Nie trudno wykazać, że oba te „ideały” wypływają z najgłębszych pokładów żydowskiego ducha.

MASZYNIZM I KOLEKTYWIZM.

Materjalistyczne, par excellence doczesne nastawienie ducha żydowskiego, wyrażało się zawsze w formie jakiejś namiastki Boga uchwytnej zmysłami, przyziemnej, lecz pomocnej w spekulacji dnia bieżącego. Pierwszym takim bożkiem stało się dla Żydów złoto, biblijny złoty cielec, wokół którego tańczyli na pustyni. Nie znam podobnie czarującego epizodu w historii żadnego innego narodu. Niejedne ludy modliły się, owszem, do złotych byków czy złotych cielców, ale działo się to dlatego, że w byku czy cielcu upatrywały Boga.

* Ktoś nazwał bardzo słusznie religję żydowską „religią narodowej racji stanu”. W tym sensie religja ta stanowi jaskrawą antytezę chrześcijaństwa. W jej utylitaryźmie (w tem, co obóz „postępu” nazwałby „pragmatyzmem”), wyraża się najgłębiej może materjalizm ducha żydowskiego.

Nie słyszałem natomiast, by jakiś inny naród, poza żydowskim, uwielbiał jakiś posąg nie ze względu na postać, którą wyobraża, lecz ze względu na *materjal*, z którego jest zrobiony. A Żydzi w złotym cielcu wielbili nie Boga, lecz złoto.

Mojżeszowi nie udało się wyrugować złotego cielca. Pozostał on na długie wieki, jako przewodnik Narodu Wybranego po ciernistych ścieżkach życia. Lecz słuszność nakazuje przyznać, że dla mózgowej strony ducha żydowskiego symbol ten nie wydawał się nigdy dosyć głęboki. Cerebralne natury szukały przeto ukojenia w filozofji (inspirującej wszelkie herezje antychrześcijańskie), w wiedzy oficjalnej i tajemnej, w Torze i Talmudzie, w masonerii i rewolucji. Trzeba było dopiero XIX wieku, by wynaleźć nowoczesny symbol aspiracyj ducha żydowskiego, symbol zadawalniający zarazem zmysłową, jak i spekulatywną stronę żydowskiego ducha. Symbolem tym stała się *maszyna*. Maszyna rodząca złoto, lecz zarazem maszyna abstrakt, plan i cyfra, pan i władca żywych niewolników. Maszyna, która ma wrodzoną skłonność do rozszerzania swych rozmiarów, do urastania w kolosalność, do ujarzmiania setek i tysięcy. Maszyna, która wymaga organizacji i hiperorganizacji, która pochłania nie tylko oliwę i paliwo, lecz zarazem wolność człowieka, i godność człowieka. Maszyna, bóg naszych czasów, stanowiąca o ludzkiej doli i niedoli, o wojnie i pokoju, o ustroju społecznym i politycznym narodów.

Od stu lat słyszymy monotonną piosenkę, że maszyna ma swoje nieubłagane prawa, którym podporządkować się musi życie ludzkości. Z nieubłaganą logiką tłumaczą nam ludzie techniki, że maszyna narzuca rozmiary produkcji. Wczoraj turbina miała sto koni parowych, dziś ma sto tysięcy, jutro będzie miała milion. *Musi* mieć milion. Wykonaniu znowu tysięcy ludzi, stworzy tysiące wielkomiejskich parjasów, zburzy tysiące samodzielnych warsztatów, tyleż rodzin i niezależnych egzystencji. Ale *musi* mieć milion koni. Pojutrze będzie miała sto milionów koni, i każdy naród będzie obsługiwał po jednej maszynie, która będzie wszystko dla wszystkich produkowała i rozdzielała.

Czytelnikom, których interesuje ten problem, polecam cytowaną już przezemnie kapitalną książkę Sombarta pt. „Żydzi i życie gospodarcze”

Dla umysłu, który się wyzwoli z pod tej sugestji, nie trzeba chyba wielu dowodów, jak dalece taki punkt widzenia jest fałszywy. Pozwólmy prywatnym ludziom utrzymywać zbrojne oddziały, jak to było w epoce feudalnej. Powiedzmy, że początkowo tysiąc wielmożów utrzymywać będzie po stu żołnierzy. Za dziesięć lat zostanie na placu już tylko stu wielmożów, z których każdy utrzymywać będzie po tysiąc przybocznych gwardzistów. Po dalszych dziesięciu latach będzie już tylko kilku magnatów toczyło między sobą boje, aż wreszcie jeden z nich zwycięży innych i *skoncentruje* w swoim ręku wszelkie siły zbrojne, a temsamem zawładnie całym społeczeństwem. Uczony, przyglądający się z ubocza temu procesowi, niechybnie ułoży teorię, że siła zbrojna jednostek *musi* się koncentrować coraz bardziej, aż póki nie zawładnie całym społeczeństwem.

Podobnie ma się rzecz z pieniądzem. Według twierdzeń różnych pseudoekonomistów, pieniądz *musi* się koncentrować, skupiać w coraz mniejszej ilości rąk. Siła, pieniądz, maszyna — wszystko to są środki pomocnicze do życia, ale z natury rzeczy albo one podporządkują się życiu, albo życie im. Społeczeństwem, które zniosłoby policję, zawładnęliby rychło bandyci. W rodzinie, wyzwolonej z wszelkich zasad moralności i tradycji, ojciec wolałby zapewne mieć stosunek ze swą córką, niż ze swą żoną. Maszyna wymaga w swem zastosowaniu takich samych zasad, jak i wszelkie inne dziedziny życia ludzkiego. Jej działanie, jej skutki społeczne, muszą być tak samo podporządkowane normom moralnym i dobra społecznego, jak np. działanie siły fizycznej, które normują kodeksy, sądy i policja. *W ustroju narodowym maszyna stanie się nie narzędziem koncentracji produkcji, lecz przeciwnie, środkiem pomocniczym w małych i średnich wytwórniach, narzędziem uwłaszczenia mas.* Maszyna musi służyć szewcowi do wyrobu tanich butów, a nie fabryce butów do rujnowania szewców. Gdy ograniczymy w taki sposób jej rolę, maszyna stanie się narzędziem wysoce pożytecznem. Ale przestanie być bożkiem w kaplicy żydowskiego nabożeństwa, mitem dwudziestego wieku, dźwignią, która ma pchnąć świat w nowy porządek rzeczy, w jakąś ponurą niby-cywilizację zmechanizowanych niewolników.

Bo „cywilizacja“, którą nam obiecuje obóz „postępu“, dziwnie nam przypomina wzory już dawno przebrzmiałe. I tu dochodzimy do drugiego ideału wyrosłego z ducha żydowskiego — do kolektywizmu. Istnieją naprawdę tylko dwa zasadnicze systemy gospodarcze: jednym jest system wolnego człowieka, pracującego na własnym warsztacie. Jest to system chrześcijański, a zarazem narodowy, *system cywilizacji łacińsko-śródziemnomorskiej*. Drugi system — to system wschodni, system Asyrji i Babilonii, Egiptu, Indyj i Mongołów. To olbrzymie budowle wystawione kolektywnym wysiłkiem, a obok tych budowli olbrzymie cmentarze niewolników, którzy je budowali. To system kolektywnej pracy na rzecz państwa. Obojętne kto to państwo reprezentuje, czy faraon, czy chan, czy szach, czy Centralny Komitet Wykonawczy. Czy to będą piramidy, czy budowle Tyru czy Niniwy, czy stolice Dżyngischana, czy Dnieprostroj, czy Magnitogorsk. Czy zmuszamy tego niewolnika do pracy propagandą na rzecz Boga-Słońca, czy Boga-Władcy, czy Boga Kolektywnego Dobra. System zostaje ten sam: system pracy przymusowej, której owoce giną w rękach jedynowładców, lub przemieniają się w chimeryczne kolosy, bezpłodne dla tych, których potem zostały zbudowane. System pracy, której plody nie wracają do pracującego, system hiperorganizacji, która obraca się w próżni, system głodu i bata, deptania po wolności i godności człowieka.

Zdawało się, że system ten należy do niepowrotnej przeszłości, że zginął razem z ponuremi cywilizacjami, których pomniki odgrzebujemy z piasku. Niestety, system ten odżywa w naszych oczach. Wśród odmętów dziejów, wśród wędrówek narodów i zmiennej kolei wieków, przetrwał naród, który przechował dziedzictwo Babilonu, i próbuje narzucić nam obecnie koszmarny system cywilizacji starożytnego Wschodu. Zbyteczne chyba tłumaczyć, że narodem tym jest naród żydowski. Jego to wpływ duchowy usiłuje nam narzucić formy ustrojowe i gospodarcze, sprzeczne z naszą formacją psychiczną, sprzeczne z naszym rozwojem dziejowym i sprzeczne z ideałami naszego życia. Nic w tem dziwnego, że jedynym narodem, który pozwolił sobie do tej pory narzucić kolektywizm, są Rosjanie, więcej Azjaci niż Europejczycy, mający

w żyłach krew mongolską, a w dziejach nieprzerwaną tradycję wschodnich form rządzenia. Na tej glebie mogli Żydzi z łatwością zaszczerpić swoje bakcyle*. Pięć** miljonów trupów przy budowie nowego ustroju — to na stosunki azjatyckie rzecz ani nowa, ani dziwna. Że reżyserami tego największego w dziejach pogromu byli Żydzi*** — to się także jasno tłumaczy każdemu, kto pamięta o wschodnim rodowodzie żydowskiej psychiki. Ze temi milionami trupów okupiono bezprzykładną w dziejach nowożytnych niewolę duchową, polityczną i gospodarczą, to także zrozumiałe, bo widowiska podobne znamy doskonale z historii starożytnego Wschodu. Jedyna rzecz niepojęta — to te fałangi Europejczyków, duchowych spadkobierców najszlachetniejszej cywilizacji, jaką ludzkość do tej pory wydała, którzy pod żydowskim przewodem decydują się zapożyczyć od Azji pozornie nowych, a w rzeczywistości tak bardzo starych ideałów.

Rzecz jest niepojęta nie dlatego, jakoby Azji brakowało prawdziwych ideałów. Azja była zawsze wielką kuźnią ideałów. Była kolebką wielu systemów religijnych i etycznych. Ale wśród ideałów narodów azjatyckich nie widzimy jednego, specjalnie drogiego dla Europejczyków, a najdroższego dla Polaków — *ideału wolności*, bez którego pojęcie cywilizacji staje się dla nas słowem bez treści.

* Patrz Karł Kautsky, Historia komunizmu, str. 32 (cytuje na podstawie „Zmierzchu Izraela“ Rolickiego, wyd. I, str. 25: „Najpierwsze gminy komunistyczne wytworzyły się na wschodzie, ekonomicznie najdalej rozwiniętym, a zwłaszcza wśród Żydów, wśród których już około r. 100 przed Chr. napotykałyśmy tajny związek komunistyczny, Związek Esseńczyków“. Rolicki dodaje, że związek Esseńczyków powołany został do życia przez skrajny odłam „Stowarzyszenia pobożnych“. To stowarzyszenie stanowiło niejako rdzeń pacierzowy żydostwa; jego to emanacją był Synhedryon.

Świadełstwo Kautsky'ego nie jest w tym wypadku podejrzanym, jako że Kautsky był Żydem.

** () Ścisłość tej cyfry się nie spieram. Może tych milionów było dziesięć, a może dwadzieścia.

*** W roku 1934 na 545 najwyższych urzędników sowieckich było 447 Żydów, czyli 83%. (Cyfry opublikowane przez prof. Donalda Mac Lean w czasopiśmie „The Cross“). W heroicznym okresie rewolucji bolszewickiej odsetek Żydów na kierowniczych stanowiskach był zapewne jeszcze wyższy.

O WOLNOŚCI.

Myśl narodowa rzadko mówi o wolności. Jakże pięknie napisał Kasprowicz:

„Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna”.

Ojczyznę już mamy „wolną”, niestety nabraliśmy bolesnego doświadczenia, że można wyzwolić Ojczyznę, a nie odzyskać wolności. Gdyby Kasprowicz żył, zgodziłby się może zamiast słowa Ojczyzna napisać dziś w swym wierszu: Wolność.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupcykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje”.

Kupcykowie i szuje za dużo mówili od półtora wieku o wolności, dlatego my tak mało o niej teraz mówimy. Aryjczyk stara się mówić jaknajrzadziej o rzeczach, które najgłębiej odczuwa i przeżywa. Hasła wolności tak obrzydliwie nadużyto, że trzeba będzie dłuższego okresu milczenia, by to słowo wróciło do swego szlachetnego znaczenia, którego nie powinno było nigdy utracić.

Bo przeciwieństwo między duchem aryjskim a żydowskim wyraża się przedewszystkiem w pojęciu wolności. Dla Europejczyka — wolność to swoboda do rozwoju dodatnich cech indywidualnych każdego człowieka czy każdego narodu, ale swoboda hamowana przez wewnętrzne nakazy sumienia i etyki. Dla Azjaty — wolność jest słowem bez wewnętrznej treści, jest mechaniczną koncepcją ustrojową, pozwalającą na wyładowanie bez hamulca wrodzonej człowiekowi brutalności i egoizmu, na wyzwolenie się od nakazów religji i tradycji. Trudno o tragiczniejsze nieporozumienie jak walka naj-

szlachetniejszych synów Europy o wolność, poprostu w tym celu, by Żydzi pod jej osłoną mogli sobie pozwolić na wszystko, by mogli jej nadużyć i doprowadzić ją do absurdu. Dzisiejsza Europa cierpi na rozstrój nerwów, spowodowany przez wypaczenie sensu wolności, i przez jej nadużycie. Wolność, która powinna być *nagrodą* dla najlepszych, stała się *parawanem* dla najgorszych, i unurzała się w błocie. Dlatego w zaraniu nowej epoki dziejów stoimy wobec niej bezradni i zdezorjentowani. Nieraz opadają nas wątpliwości, czy wolność nie jest ideałem zbyt niebezpiecznym. Nowoczesne prądy nacjonalistyczne, obejmując swym programem całokształt ludzkiego życia, najoporniej jakoś podchodzą do problemu wolności. Nie wiedzą, z której strony się do niej wziąć, jak ją okiełznać, by budowała, a nie rozkładała życie narodu. Zbyt żywo pamiętamy, że w Polsce przez cały wiek XVIII właśnie te czynniki, którym zależało na upadku Polski, podtrzymywały *per fas et nefas* „złotą wolność” szlachecką. Wiemy, że w dziedzinie duchowej — nienormowana wolność prowadzi do ujarzmienia myśli przez szablon masoński. W dziedzinie politycznej — rozwydrzona wolność prowadzi do takiej czy innej niewoli, dyktatury mafji czy kondotjera. W dziedzinie gospodarczej — integralna swoboda, liberalizm, prowadzi do ujarzmienia jednostki twórczej przez pasorzytów, rycerzy lichwy i przemysłu. *Właściwa doza wolności w życiu prywatnem i publicznem* to centralny problem życia społecznego. Stosowne rozwiązanie tego problemu, odpowiednie dla danej epoki, stanowi o jej tragizmie lub o jej świętości.

W tej książce omawiam tylko sprawy gospodarcze. Nie mogę przeto rozpatrywać na tem miejscu narodowej koncepcji wolności, w całej jej rozciągłości. Ale nie mogę jej również pominąć milczeniem, gdyż niema wolności duchowej i politycznej bez odpowiedniej dozy swobody gospodarczej. W państwie komunistycznym, w którym wolność gospodarcza *z zasady* jest wykluczona, żaden inny rodzaj wolności ostać się nie może. Życie ludzkie stanowi całość we wszelkich swych objawach, nie można zapewnić swobody w tej czy innej dziedzinie, z równoczesnem wykluczeniem swobody w innej dziedzinie. *Umiarkowana swoboda gospodarcza musi istnieć, jako warunek umiarkowanej swobody politycznej.*

Tej zasadzie odpowiada narodowy program gospodarczy. Własny warsztat pracy, własny dom, połączenie w jednych rękach pracy i kapitału. Nieograniczone pole dla zdolności i inicjatywy małego i średniego człowieka. Duża doza swobody gospodarczej, umiarkowane współzawodnictwo, któremu patronuje silnie i hierarchicznie zorganizowane społeczeństwo, czuwając, by swoboda i współzawodnictwo nie przerodziły się w ucisk lub w anarchję. Nieodłącznie związana ze swobodą gospodarczą — wolność i godność osobista jednostki. Społeczeństwo złożone z wolnych, niezależnych ludzi, którzy w pracy na własne ryzyko i na własny rachunek szukają racji swego istnienia.

Oto nasz ideał gospodarczego podłoża prawdziwej cywilizacji. Nie chcemy społeczeństwa złożonego wyłącznie z ludzi najemnych, ze zgorzkniałych i anemicznych urzędników rąk i mózgu, dopatrujących się jedynej szansy życiowego powodzenia w podlizywaniu się przełożonym, donosicielstwu i intrygom, protekcjom, łapówkom i należeniu do tajnych mafij. Ideałem naszym jest człowiek, który swe życie opiera na własnej pracy i własnej zaradności. Zbiorowisko ludzi tego typu daje społeczeństwo męskie i niezależne, które potrafi przetrwać zwycięsko każdą burzę dziejową.

„Wielki kapłan“ obozu „postępu“, Bertrand Russell, napisał*: „Jeśli nie będzie można złagodzić szkodliwych skutków nacjonalizmu, to mało pozostanie szans dla ludzkości, chyba że ustrój przemysłowy rozpadnie się w gruzy“. Przynajmniej na tym jednym punkcie niema między nami a Russellem najmniejszej różnicy poglądów: albo t. zw. *cywilizacja przemysłowa*, oparta na kulcie maszyny i wytworzonych przez nią kolektywizowanych formach społecznych (i związana z nimi nieodłącznie „nową moralnością“) — albo ustrój narodowy. Jedno z drugim pogodzić się nieda. Możemy być spokojni: Nacjonalizm zwycięży, i ustrój przemysłowy *rozpadnie się* w gruzy. Pozostanie przemysł, jako jeden z wielu działów działalności gospodarczej człowieka. Lecz wymagania techniczne przemysłu nie będą stanowiły o typie naszej cywilizacji. Wprawdzie Wielki Wschód w roku 1930 uchwalił

* Bertrand Russell, *Perspektywy Przemysłowej Cywilizacji*, tłum. polskie, Warszawa 1933, str. 64.

realizować energicznie ustrój socjalistyczny w podległych jego komendzie społeczeństwach — ale na szczęście podległość ta dobiega już kresu.

O „ZACOFANIU” POLSKI.

Od chwili zmartwychwstania niepodległej Polski tłumaczono nam, że głównym naszym celem musi być „podciągnięcie się” na poziom Zachodu. Ze utrzymamy naszą niepodległość jedynie pod warunkiem rychłego „dogonienia” tych społeczeństw, które nas wyprzedziły na drodze „postępu” i t. zw. „kultury” naszej epoki. Według skromnych obliczeń, jesteśmy „zacofani” o 200 lat w stosunku do Francji, o sto lat w stosunku do Niemiec. Jednak optymiści twierdzą, że przy usilnych staraniach uda nam się może skrócić powyższe terminy, i odrobić nasze zaległości heroicznym wysiłkiem dwu lub trzech pokoleń.

W zaraniu naszej odrodzonej państwowości rozpoczęliśmy więc to doganianie „Wielkich Demokracji Zachodu”, ale rychło musieliśmy się spostrzec, że mimo wszelkich naszych wysiłków pozostajemy coraz bardziej w tyle, i że odległość między nami a Zachodem raczej się powiększa. O ile dziesięć lat temu byliśmy zacofani o 200 lat, to obecnie jesteśmy już zacofani bodaj że o 250 lat. To poczucie pogoni za celem, który szybciej się oddala, niż my w naszym biegu nadążyć możemy, zaciężyło w ostatnich dziesiątkach lat złowrogo na naszej psychice, pogłębiło tak charakterystyczny dla Polaków „kompleks niższości” w stosunku do zagranicy, i kazało nam się chwycić za pojęcie Żydów, którzy, jako intelektualni i gospodarczy „manager’zy” Zachodu, jedynie mieli moc i władzę dopomożenia nam w naszym biegu, i ułatwienia nam naszych wysiłków przez zastrzyki gotówkowe i duchowe. Wygląda to mniej więcej tak: Z przystanku odjeżdża tramwaj „kultury”, z tylnej platformy wychyla się konduktor (oczywiście obrzezany) i głośnym krzykiem zaprasza nas, byśmy wsiedli. Staramy się więc dogonić tramwaj. Ale mimo że biegniemy szybko i coraz szybciej, odległość pomiędzy nami a tramwajem powoli ale stale się powiększa. Że bieg ten rozedmie nam

płuca i zerwie nogi, że stracimy przy tem zdrowie i padniemy na rogu ulicy — to leży zapewne w interesie tych, którzy nas do tego wścigu naganiają. Potężne moce mają w tem niewątpliwy interes, byśmy wąpili o własnych siłach, byśmy się uważali za naród bezsilny i zacofany, który tylko przy obcej (t. zn. żydowskiej) pomocy wyjdzie na ludzi. Musimy więc Żydom płacić za pozwolenie i możliwość nasiąkania ich własną cywilizacją. Kiedy robimy wszystko, czego od nas żądają, wtedy nas chwali międzynarodowa prasa (oczywiście żydowska). „Grzeczne dzieci, podciągają się”.

Kiedy próbujemy się opierać, wtedy podnoszą wrzask i grożą, że tramwaj *odjedzie bez nas*, wzgl. że *przejedzie po nas*.

Otóż myśl narodowa spokojnie, lecz bardzo stanowczo, oświadcza, że nie reflektuje na żydowski tramwaj. Jesteśmy jako naród jeszcze bardzo dalecy od właściwego ustroju i potrzebnej nam kultury — ale „postępowe demokracje” Zachodu są jeszcze znacznie dalej niż my. Poprostu wszystkie narody startują w naszej epoce do nowego celu — jedne z nich startują z platformy takiej, a inne z innej. Otóż jeśli chodzi o nas, to startujemy z pozycji o wiele dogodniejszej, jesteśmy młodszy, zdrowszy, mniej skażeni. Ustrój nasz bliższy jest norm godziwych, duch nasz mniej jest zatruty wyziewami żydowskiej garkuchni. W wścigu dwudziestego wieku, w biegu ku nowym formom i nowym ideałom — mamy wszelkie dane na to, by przyjść wśród pierwszych. Nie potrzebujemy doganiać Zachodu, bo to Zachód wsterowany został w ślepa uliczkę. Póki się z niej nie wyplącze, Polska robi już parę mil drogi. Jeśli będziemy chcieli i umieli — to możemy wysunąć się szybko w pierwszy rząd narodów świata, z którego tak sromotnie zostaliśmy niegdyś wypchnięci.

ROZDZIAŁ X.

UWARSTWIENIE GOSPODARCZE MAS.

Szerokie masy ludności polskiej można podzielić pod względem działalności gospodarczej na cztery zasadnicze grupy: a więc na małych rolników, na robotników najemnych, na grupę drobnomieszczańską (obejmującą rękodzieło, chałupnictwo, drobny handel i drobną wytwórczość), i na t. zw. inteligencję.

Ilość samodzielnych gospodarstw chłopskich wynosi w Polsce trzy i ćwierć miliona. Ilość robotników najemnych w wielkim i średnim przemyśle, w górnictwie, hutnictwie i na robotach publicznych, wynosiła w roku 1929 (według Gł. Urzędu Statyst.) 797.000 osób. W tym samym czasie urzędy pośrednictwa pracy notowały 185.000 bezrobotnych. W roku 1930 przy 666.000 robotników zatrudnionych, notowano 299.000 bezrobotnych. W roku 1931, 550.000 zatrudnionych i 312.000 bezrobotnych. Ilość zawodowych robotników najemnych możemy więc oszacować w przybliżeniu na milion osób. Według prof. Rybarskiego,* ilość pracowników, zatrudnionych w roku 1931 w Polsce w małych wytwórniach (do 20 prac.) i w rzemiośle, wynosiła 522.000. Liczba drobnych przedsiębiorstw handlowych, wykupujących świadectwa przemysłowe, przekracza czterysta tysięcy. Pracuje w nich przeszło pół miliona osób. Chałupnictwem (jako zawodem głównym, a nie tylko pobocznym) trudni się u nas zapewne 200.000 do 300.000 osób, lecz o ściśle cyfry niezmiernie tu trudno. Razem więc ilość osób, zatrudnionych w tej grupie gospodarczej, wynosi w przybliżeniu milion i ćwierć. Co do inteligencji, to w czasie ankiety, przeprowadzonej w marcu 1934 na łamach „Gazety

* Przyszłość Gospodarcza Polski, 1933, str. 158 i następne.

Warszawskiej", ustalono ilość osób o średnim lub wyższym wykształceniu w Polsce na milion osób (2,8% ogółu ludności). W roku 1931 zarabiała na swe utrzymanie pracą umysłową 460.000 osób, a kilkadziesiąt tysięcy było bezrobotnych. A więc rzesza tych, których zaliczamy potocznie do „inteligencji pracującej”*, wynosi w przybliżeniu pół miliona osób.

Reasumując: warsztatów chłopskich 3 miliony i ćwierć, warsztatów „drobnomieszczańskich” milion i ćwierć, robotników najemnych milion, inteligencji pół miliona.

RĘKODZIEŁO, DROBNY HANDEL I DROBNA WYTWÓRCZOŚĆ.

Do tej grupy zaliczamy wszelkie warsztaty pracy nie związane z ziemią, które łączą w sobie pracę i kapitał w formie rodzinnej lub patryjarchalnej. Należą tu warsztaty rzemieślnicze, małe i średnie sklepy, małe wytwórnie, zatrudniające kilku, lub kilkunastu pracowników, t. zw. przemysł chałupniczy i t. p. Kategoria ta bywa przeważnie całkowicie pomijana, zarówno w rozważaniach politycznych — ponieważ nie stanowi zorganizowanej siły — jak i w rozważaniach gospodarczych — ponieważ w myśl mglistych teorii o „postępie” jest jakoby w szybkim tempie skazana na zagładę. Tymczasem cyfry świadczą o społecznym znaczeniu tego, co możnaby z grubsza nazwać stanem drobnomieszczańskim. *W każdym razie, przykrawanie wszelkich teorii społecznych, do potrzeb warstwy we właściwym tego słowa znaczenia robotniczej (t. zn. odciętej od środków produkcji), niema żadnego uzasadnienia w strukturze liczbowej naszego społeczeństwa.*

* „Inteligencja”, w sensie osobnej warstwy gospodarczej, obejmuje zawody t. zw. wolne (lekarze, adwokaci, inżynierowie itp.) oraz pracowników umysłowych, pozostających w stosunku pracy najemnej. Do „inteligencji” w sensie warstwy gospodarczej nie zaliczamy osób o średnim lub wyższym wykształceniu, zarządzających własnymi warsztatami pracy (folwarki, fabryki, przedsiębiorstwa handlowe itp.), oraz jednostki wykształcone, pozostające na utrzymaniu innych osób (a więc żony utrzymywane przez mężów, dzieci przez rodziców itp.).

W przeciwieństwie do teoryj materializmu społecznego, *przywiązuje ustrój narodowy dużą wagę do stanu drobnego mieszczaństwa*. Nietylko nie przewiduje jego zagłady, ale chce uczynić z niego jeden z podstawowych stanów społecznych. Przeciwnicy nacjonalizmu nazywają jego myśl społeczną „drobnomieszczańską“, uważając ten przymiotnik za specjalnie pogardliwy. Hitleryzm był obśmiewany jako ruch „drobnomieszczański“. Dla nas nie mieści to słowo w sobie żadnych elementów humorystycznych. Uważamy, że naród ma o wiele większą korzyść z tysiąca szewców, wyrabiających obuwie we własnych warsztatach, niż z jednej fabryki obuwia, zatrudniającej pięciuset zgorzkniałych robotników a zostawiającej na ulicy pięciuset gotowych na wszystko bezrobotnych, choćby buty przy naszej koncepcji miały być droższe. Gdyby wysiłek umysłowy, kierowany dziś na produkcję maszyn dla fabryk obuwia, był skierowany na produkcję maszyn dla drobnych warsztatów szewskich (w związku z elektryfikacją kraju), społeczeństwo wyszłoby na tem niewątpliwie lepiej. Wielkie firmy przemysłowe, otwierające setki własnych punktów sprzedaży, i podcinające w ten sposób byt drobnemu kupcowi, prowadzą działalność społecznie zgubną.

Nastawienie władz naszych względem drobnego mieszczaństwa było dotąd w najlepszym razie całkowicie lekceważące, niekiedy wręcz wrogie, a to pod wpływem teoryj socjalistycznych wzgl. presji wielkiego przemysłu. Pod tym względem potrzebna jest prawdziwa rewolucja umysłowa, zmiana *nastawienia* społeczeństwa, bo o nią tu chodzi, a nie o zarządzenia ustawodawcze.

Skierowanie wysiłku technicznego na obsłużenie tych warstw, zorganizowanie ich w korporacje zawodowe, wyrobienie w nich poczucia, że są *podstawowym stanem społecznym**, a nie parjasami—są to postulaty rewolucyjne przy dzisiejszem nastawieniu sfer u nas rządzących. Nie zwalczanie chałupnictwa, lecz usuwanie jego ciemnych stron (t. zn. przede-wszystkiem wyzysku żydowskich pośredników). Włączenie chałupnictwa w ramy organizacji gospodarczej społeczeństwa. Wlanie istotnej treści w organizacje rzemieślnicze.

* Patrz Rozdział XIII.

Gruntowne przekształcenie Izb Przemysłowo-Handlowych, będących dziś wyłącznie pod urokiem — i na usługi — wielkiego kapitału. Przystosowanie systemu oświatowego do potrzeb tych warst, a nie jak obecnie, wyłącznie do produkcji inteligentów. Zorganizowanie odpowiednich instytucyj kredytowych, w których mógłby znaleźć oparcie drobny kupiec i rzemieślnik. Usunięcie z systemu podatkowego wszelkich ostrzy, godzących w istnienie drobnego wytwórcy. Umożliwienie mu istotnej, uczciwej konkurencji z bardziej skoncentrowanym kapitałem. Rozbudzenie samowiedzy stanowej, poczucia godności i honoru, któremi się tak szlachetnie odznaczało średniowieczne mieszczaństwo i rękodzieło. Odwrot od tandety maszynowej do wyrobu indywidualnego, w który szary człowiek wkłada nie tylko swą pracę, ale i umiłowanie swego zawodu i to poczucie artysty, które w mniejszem lub większem natężeniu tkwi w każdym człowieku, i którego zahamowanie (przeważnie nawet nie-uświadomione) powiększa rozgoryczenie robotnika fabrycznego. Wciągnięcie rodziny do pracy zbiorowej na własnym warsztacie, miast ją rozbijać przez pracę kobiet i dzieci w wielkim przemyśle. A jako ostateczny cel — uformowanie w społeczeństwie zdrowego stanu drobnego mieszczaństwa, którego synowie dziedziczyliby warsztaty po ojcach, a przestaliby zapełniać fabryki lub powiększać zastępy inteligentkich głodomorów.

Jedyny poważny argument, wysuwany przeciw powyższym tezom, sprowadza się do twierdzenia, że tylko niczem nieskrępowany rozwój wielkiego przemysłu może wchłonąć w siebie w najbliższych latach nadmiar rąk roboczych, będący skutkiem naszego szybkiego przyrostu ludności. Nic fałszywszego. O wiele mniejszego kapitału potrzeba, by dać zatrudnienie pracownikowi w drobnej wytwórczości, niż w wielkim przemyśle. Właśnie wielka ilość rąk roboczych, i brak kapitału, przemawiają u nas za odwrotem od wielkiej do małej produkcji. A że łączą się z tem poważne korzyści natury strukturalno-społecznej, więc nie należy wątpić, że teza ta ostatecznie zwycięży.

Największe, prawie że nieograniczone możliwości uwłaszczenia mas leżą w tej dziedzinie. Nie potrzebne tu są ani kapitały, ani finansowa pomoc ze strony państwa. Potrzebna

tylko zdecydowana pomoc i zachęta ze strony rządu i społeczeństwa. Jest to kompleks problemów, którego szczegółowe omówienie wymagałoby, samo dla siebie, napisania obszernego dzieła. Myśl narodowa znajdzie w tej dziedzinie pole do twórczej działalności przez całe pokolenia, a Rząd Narodowy będzie się starał otoczyć te warstwy specjalną opieką, i uczynić z nich jedną z podwalin zdrowego organizmu narodowego.

ROZDZIAŁ XI.

NAPRAWA USTROJU ROLNEGO.

„Dawny ustroj agrarny Polski,* historycznie zbadany w sposób źródłowy, jest to ustroj pańszczyźniany, panujący w wiekach XVI, XVII i XVIII. Wszystko, co poprzedzało te trzy wieki, i co zawiera w sobie tysiące lat życia przedhistorycznego, oraz okres historyczny od X do XV wieku, przedstawia w zakresie rozwoju ustroju agrarnego Polski pole dociekań naukowych bardzo jeszcze niezupełnych, opartych zarówno na źródłach, jak na domysłach i przypuszczeniach, często spornych. Oczywiście dla wieków XIII—XV, jest w porównaniu z czasami poprzednimi duża ilość właściwych źródeł, nadających się dla oświecenia historii ustroju agrarnego w sposób dostatecznie pewny co do wielu szczegółów, ale w tym czasie wiele jeszcze bardzo zasadniczych stron stosunków agrarnych pozostaje nadal niewyjaśnionych“.

Istotnie niema pracy żmudniejszej, niż studjowanie polskiego ustroju rolnego z epoki przedhistorycznej, a po części i z epoki piastowskiej. Co uczony, to inna hipoteza. Prace, dotyczące tego przedmiotu, ułożone są naogół chaotycznie i przeładowane polemikami, wśród których zacierają się nawet prawdy dojrzałe już do ostatecznego ustalenia, i poparte niezbitymi dowodami. Mam wrażenie, że uczeni potykają się przeważnie na różnorodności form władania ziemią, występującej od samego zarania naszych dziejów. Większość historyków dąży do ułożenia pięknej prostej linii teorii, i rozbija sobie po kolei głowy o bogactwo form życiowych, trudne do ujęcia w jedną schematyczną formułę. A przecież system i formuła stanowią tradycyjny

* Władysław Grabski, Społeczne gospodarstwo agrarne w Polsce Warszawa, 1923, str. 41.

cel, do którego dąży człowiek nauki. Ostrożniejsi badacze, widząc smutny los zbyt śmiałych hipotez, stawianych przez ich poprzedników, popadają w przeciwną skrajność, i ograniczają się do kronikarskiego notowania zachodzących przemian. Jest to ostrożność zbyt daleko posunięta. Nawet przy dzisiejszym stanie wiedzy możemy już wysnuć z historii naszego ustroju rolnego pewne wskazania ogólne, które powinny nam służyć za drogowskaz w gąszczu zawiłych problemów naszej epoki.

Przypatrzymy się najpierw wspomnianej już różnorodności form władania ziemią. Jak pisze prof. Rutkowski*, „uwarstwienie społeczno-gospodarcze ludności rolniczej we wsiach czysto polskich wykazuje już w pierwszej połowie XIII wieku przynajmniej w zawiązkach wszystkie typy, które przewijają się w późniejszym rozwoju ustroju rolnego Polski, nie tylko w średniowieczu, ale i w czasach nowożytnych.“ Zdaje mi się jednak, że prof. Rutkowski jest może zbyt ostrożny, nawiązując dzisiejszy nasz ustrój rolny dopiero do pierwszej połowy XIII wieku. Prof. Władysław Grabski sięga dalej wstecz. Pisze on**: „Folwark, tak samo jak pan, dziedzic, sięga prastarych wieków. Obok jednak mniej licznych panów dziedziców - wojowników było dużo dziedziców - rolników. Tak było za czasów przedhistorycznych i w początkach doby piastowej. Trochę podobnie do czasów dzisiejszych“. Dla wyjaśnienia należy dodać, że dziedzic-wojownik jest protoplastą szlachcica, dziedzic-rolnik protoplastą chłopą. Od najzamierchlejszych czasów widzimy na ziemiach polskich gospodarstwa różnych rozmiarów, przeznaczone do różnych celów społecznych i gospodarczych. W każdej epoce naszej historii spotykamy na wsi ludzi, cieszących się w różnym stopniu wolnością osobistą i gospodarczą, i gospodarstwa rozmaitego typu i przeznaczenia. Nawet w epoce największego natężenia pańszczyzny nie dochodzi nigdy do zupełnej niwelacji, do całkowitego rozdziału na pana i chłopą. Pozostają zawsze stadja pośrednie (szlachta zagonowa, wolni chłopci, królewszczyna i t.p.). *Ta różnorodność form gospodarczych stanowi pierwszą zasad-*

* Jan Rutkowski, *Zarys gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych*, 1923, str. 43.

** loc. cit. str. 91.

nicza i niezmienną cechę naszego ustroju rolnego w ciągu wieków. Dadzą się z niej wyciągnąć ciekawe wnioski, dotyczące charakteru narodowego Polaków, oraz sposobu, w jaki pojmują oni swój stosunek do ziemi. Są to wnioski, nad którymi nie wolno przejść do porządku dziennego nikomu, kto dąży w Polsce do ustroju prawdziwie narodowego.

Naogół utarło się u nas mniemanie, drogie sercu Jana Jakóba Rousseau, że nasi praojcowie, Słowianie z czasów Piaśni i Rzepichy, żyli w stanie jakiejś wiejskiej sielanki, i że uprawiali swe ziemie w formie patryarchalnej komuny, w której dobrotliwa głowa rodu rozdzielala na jesieni plody wspólnej pracy między grzeczne dziateczki. Ta wzruszająca legenda została już dawno obalona przez naukę. „Wieś rodowa” — pisze prof. Wł. Grabski* — „była zatem pierwszą kolebką ustroju agrarnego i społecznego w Polsce, wieś, w której było parę głów, ale jedna starsza, choć głowy były równe sobie (stryjcowie) i sporo rąk roboczych w bliskim pokrewieństwie”. Stwierdza dalej prof. Grabski, że w tej wsi rodowej lasy i pastwiska służyły do użytku wspólnego, a rola uprawiana i zbierana była indywidualnie przez poszczególnych członków rodu. Patrjarcha nie dzielił ziemi ani jej płodów, lecz sprawował to co my dziś nazywamy władzą administracyjną i sądowniczą. Posiadłości były nierówne, gdyż ród składał się z rodzin, a im więcej było w rodzinie synów, tem drobniejsze działki dostawali w spadku. Rozdział ziemi w obrębie wsi rodowej, choć początkowo może i równy, w ciągu niewielu pokoleń stawał się przeto bardzo różnorodny.

„Równość zatem w pierwotnym ustroju agrarnym Polski dopatrzeć się w żadnym razie nie możemy, tak samo jak komunizmu” — pisze prof. Grabski**. Niewątpliwie jednak w słowiańskiej wsi rodowej pomieszane były elementy indywidualnego posiadania (rola) i zbiorowego posiadania (lasy i pastwiska). Tę mieszaninę obserwujemy po części jeszcze dziś (wspólne pastwiska gminne i serwituty leśne). Autor rosyjski Jefimenko***, cytowany przez Krzywickiego i Grabs-

* loc. cit. str. 48.

** loc. cit. str. 74.

*** Jefimenko, *Izsliedowanja*, str. 223 --226.

kiego, pisze: „Organizację wioskową, opartą na posiadaniu gruntów, zajętych na zasadzie wolnej okupacji, można uważać za utwór macierzysty, który zawiera w sobie wszystkie rysy zasadnicze obu wyłaniających się z niego ustrojów, a więc wspólnoty, jak i własności osobistej“. W tem przedhistorycznem stadium zarówno wieś polska, jak i rosyjska, mają strukturę pokrewną. Tylko, że wieś polska ewoluuje zdecydowanie w kierunku własności indywidualnej, a rosyjska w kierunku własności kolektywnej(mir). Nie jest przypadkiem, że Żydzi obrali sobie Rosję jako teren do pierwszej próby zrealizowania marksizmu. *Wyszedszy ze wspólnego pnia prastłowiańskiej wsi rodowej, Rosjanie doszli do bolszewizmu, a Polacy do ustroju opartego na własności indywidualnej, która pod rządami narodowemi będzie się dalej rozwijała i upowszechniała.* Historia daje nam tu lekcję, którą musimy zrozumieć, i zapamiętać.

Chociaż historia, a raczej prehistorja, naszego ustroju rolnego, zawiera jeszcze dużo niedomowień i niejasności, możemy już odtworzyć zasadnicze linje przebiegu tej historii, podzielić ją na wyraźnie obrysowane okresy i dojść do pewnej syntezy.

A więc początkowo wieś rodowa, ziemia należy do ludzi wolnych. Są również niewolnicy, lecz rekrutują się z jeńców, a nie z ludności rodzimej.

Kwestja zaczątków naszej państwowości nie jest jeszcze przez naukę rozwiązana, lecz dla historii ustroju rolnego nie jest sprawą zasadniczą, czy możnowładcy wyłonili się z pośród naczelników rodów tubylczych, czy też wywodzili się z pośród najeźdźców. Tak czy owak, ustrój rolny wchodzi w tej epoce w fazę gwałtownej przemiany. „Powstanie państwa polskiego w X wieku zastało już ustrój rodowy w pełnym rozkładzie, w stanie przejściowym do rodziny pojedynczej głównie w zakresie stosunków agrarnych. Ustrój rodowy dłużej istniał politycznie, niż w zakresie agrarnym“*. Mówiąc krótko a węzłowato, jest to pierwszy okres pogorszenia się ustroju rolnego na ziemiach polskich.

* Wł. Grabski, loc. cit. str. 75.

Świeżo upieczone rycerstwo („wojowie“) zmusza wolnych dotychczas ludzi, by część swej pracy oddawali na korzyść rycerzy, przypisuje ich do ziemi, i próbuje uzyskać nad nimi władzę sądowniczą, należącą dotychczas do księcia. Punkt szczytowy tego procesu przypada na wiek XI, świadczą o tem krwawe ówczesne buntury chłopskie (których odpowiednikiem będą rebelje chłopskie z XVI i XVII wieku, przygrywka do ponownego pozbawienia chłopów wolności przy zaprowadzaniu pańszczyzny). W XII wieku nasilenie tych tarć nieco słabnie, w życiu gospodarczym zaczynają się zaznaczać jakieś nowe prądy. „Dawniej rycerze, chcąc rozszerzyć swoje posiadanie, o ile nie zdobywali na wojnie niewolników, kupowali ich“ — pisze prof. Grabski*. „W wieku XII zupełnie to pod wpływem chrześcijaństwa ustało“. Ustało wprowadzić stwarzanie nowych niewolników, ale sporo musiało upłynąć wody, póki zatrzymał się proces ujarzmiania chłopów przez rycerza. Chrześcijaństwo bardzo jeszcze powoli nadgryzało te pogańskie dusze. Dopiero wiek XIII przynosi przełom. Kolonizacja na prawie niemieckim niesie wyzwolenie chłopów. Choć sama ilościowo bez większego znaczenia, odgrywa przez to rolę ogromną, że większość wsi opartych dotychczas na prawie polskim, przechodzi również na prawo niemieckie. Kmieć na prawie niemieckim staje się osobiście wolnym, dziedzicznym dzierżawcą ziemi, ale de facto jest jej właścicielem, składającym na rzecz pana czynsz i daniny nierównie lżejsze od podatków, obciążających dzisiejszego chłopów. Wieś polska nabiera rychło struktury, jak na owe surowe czasy, wcale godziwej.

A więc z Niemiec przychodzi wolność i kultura? I tak i nie. Niech nas nie myli fakt, że prawo to zwie się niemieckiem. Prof. Grabski pisze** : „Już Bujak rzucił światło na to, że niemiecki system agrarny nie zawierał zasadniczo odmiennych pierwiastków ustrojowych w porównaniu z prastarym polskim ustrojem“. Prawo niemieckie przyjęło się tak łatwo i szybko, gdyż było poprostu odwiecznym prawem rolniczej Europy, uszlachetnionem i dostosowanym do zmienionych warunków przez rozkwitającą kulturę chrześcijańskiego śred-

* Wł. Grabski, loc. cit. str. 83.

** loc. cit. str. 59.

niowiecza. „Nie można w prawie niemieckiem widzieć jedynie cech niemieckich“ — pisze prof. Grabski* — „tak jak nie można upatrywać w pierwotnem osadnictwie słowiańskiem i niemieckiem pewnego przeciwieństwa“. To, co historia ochrzciła mianem prawa niemieckiego, moglibyśmy z większą słuszością nazwać „prawem chrześcijańskiego średniowiecza“, które musiało przyjść do nas z Niemiec z racji naszego geograficznego położenia, i kierunku odwiecznych prądów kulturalnych. Wiek XIII, to jeszcze pierwsze kroki, lecz wiek XIV, to już zdecydowane rozpowszechnianie się chrześcijańskiego ustroju na ziemiach polskich. „Prawo niemieckie było emancypacją ludności w kierunku wolności osobistej i majątkowej, chłop pozywał szlachcica przed sąd ziemski“ — pisze Szelaḡowski**. Aleksander Świętochowski dodaje***: „Wiek XIV uważany jest za epokę zenitową w szczęściu i pomysłności chłopu polskiego“. Późem wymienia szereg autorów, którzy tej tezy bronią, jakoto Hube, Baranowski i Tymieniecki. Następnie Świętochowski pisze (str. 128.): „Przytoczone powyżej twierdzenia należą do badaczy poważnych; jeżeli więc odbijają się jaskrawą przesadą od prawdy, to tylko wytłomaczyć można bądź patryotycznym pragnieniem rozświećlania mroków przeszłości, bądź też przedstawieniem części za całość. Z drugiej strony jednak przyznać trzeba, że pomimo przytwierdzeń do gleby, samowoli i samosądu panów, *ta epoka była względnie najszczęśliwszą w dziejach chłopu polskiego*****. Pod tę szczęśliwość podkopywały się niezmordowanie dwie dążności klas uprzywilejowanych: przekształcanie gospodarstwa kmiecego na dworsko-folwarczne, a czynszowników na poddanych“.

Musimy odesłać Świętochowskiego do Einsteina, by mu wytłomaczył, że najszczęśliwszy, a „względnie najszczęśliwszy“ — to chyba to samo. Ale świadectwo Świętochowskiego jest niezwykle cenne, przedewszystkiem dlatego, że ten radykalny inteligent XIX wieku, którego sam widok komży napawa instyktownym wstrętem, a w którego książce opo-

* loc. cit. str. 100,

** Szelaḡowski, Dzieje Polski, str. 44.

*** Al. Świętochowski, Historia chłopów polskich, 1925, str. 127.

**** Podkreślenie moje, przyp. autora.

wiedzenie historyjki o okrucieństwie jakiegoś biskupa uważane jest nierzadko za wystarczający przyczynek do scharytaryzowania całej epoki — że tenże czcigodny weteran ideologii masońskiej nie waha się nazwać „względnie“ najlepszym okresem w życiu chłopu polskiego, właśnie wieku, następującego po śmierci Św. Tomasza, wieku w którym zarówno promieniowanie myśli Akwinaty, jak i rozwój chrześcijańskiego średniowiecza, osiągnęły pełnię swego rozkwitu.

Dalsza historia wsi polskiej? Nadchodzą pierwsze podmu-
chy Odrodzenia, wpływy prawa rzymskiego (czytaj pogań-
skiego) wypierają chrześcijańską moralność gospodarczą, któ-
ra niezdażyła się jeszcze dość głęboko zakorzenić. *Szlachta
polska przypisuje chłopu do ziemi, i poprostu wraz z jego
ziemią zagarnia go sobie na własność.* „W statucie Janusza
(Mazowieckiego, przyp. autora) z r. 1421 znajdujemy — może
pierwsze ustalenie obowiązku pańszczyzny*“ — pisze Świę-
tochowski. Współcześnie wiedziano dobrze, że dzieje się bez-
prawie, toteż kiedy w XV wieku zaczyna się ten proces za-
rysowywać, dzieje się to początkowo tylko sporadycznie, jesz-
cze z wahaniem i ostrożnie. Dopiero wiek XVI, wiek Refor-
macji, humanizmu i początków „wolnej myśli“, przynosi
w Polsce ostateczny rozkwit pańszczyzny. Wieki XVII i
XVIII pańszczyznę rozbudowują i zaostwiają. Wiek XIX ją
znosi. Ale czy znosi naprawdę? Czy chłop współczesny, wy-
zyskiwany niemiłosiernie przez wielki kapitał, wydany na łup
lichwiarzy, pozbawiony istotnego głosu w rządzie i samorzą-
dzie, jest doprawdy w położeniu lepszym od swego przodka
z XIV wieku? Dlaczego chłop się wówczas nie buntował,
a obecnie staje w „wolnej“ Ojczyźnie bez przerwy na ławie
oskarżonych? *Krótki rzut oka na dzieje ustroju rolnego upew-
nia nas w przekonaniu, że nawiązując do chrześcijańskich
zasad gospodarczych, nawiązujemy do tej jedynej w dziejach
naszych epoki, w której Polska zaczynała wchodzić w ustrój
rzeczywiście godziwy. Przerzucając most ponad wiekami,
które wypełniło intermezzo z ducha pogańskiego poczęte*

* Świętochowski loc. cit. str. 143.

i duchem żydowskim zaprawione, nawiązujemy zerwaną nić odwiecznej tradycji takiej Polski, w której na podłożu moralności katolickiej, i w zgodzie z ideałami naszego narodu, Ojczyzna będzie rzeczą pospolitą wszystkim, a nie tylko źródłem przywileju dla wybranych.

W ustroju, w którym względy polityczne, i przewaga jednych grup ludności nad innymi, nie paczą prawidłowego działania praw gospodarczych, zmiany w posiadaniu następują w zasadzie tylko w związku z ilością i jakością włożonej pracy. W zastosowaniu do rolnictwa wygląda to tak, że kto gospodaruje dobrze, pan czy chłop, utrzymuje się na swojej ziemi, kto się leni do pracy, traci ją. Odnośnie do chłopów reguła ta nie działała przez wieki pańszczyźnianie, lecz jeśli chodzi o ziemian, to rodziny, siedzące na swej ziemi od szeregu wieków, wystawiły sobie tem samem świadectwo, że obowiązki swe brały poważnie, i zwiększyły wydatnie swój tytuł do własności*. Stosunek do dworu jest zupełnie inny tam, gdzie ziemianin wkłada swą pracę w ziemię i społeczeństwo, niż tam, gdzie folwark przechodzi często z rąk do rąk, jako zwykły obiekt kapitalistycznych transakcyj. Chłop czuje instynktownie, że ziemia nie należy do zwykłych dóbr wymiennych, i ma pod tym względem niewątpliwą słuszość.

Gdyby procesy gospodarcze na ziemiach polskich rozwijały się były w ciągu wieków po linii, zapoczątkowanej z końcem średniowiecza, ziemia znajdowałaby się dziś w całości w rękach tych, którzy najlepiej potrafia ją wykorzystać, i myśl o jakimkolwiek gwałtownem przewłaszczeniu ziemi nie przysłababy nikomu do głowy. Niestety warstwa szlachecka paczyła przez trzy stulecia rozwój gospodarczy kraju na swoją korzyść, wykorzystując swą przewagę polityczną, co w rezultacie doprowadziło do tego, że szereg majątków, które powinny były przejść w ręce chłopskie drogą parcelacji, wy-

* Niepowetowaną szkodę stanowi wyrugowanie z ziemi przez zaborców najwartościowszych rodzin ziemiańskich, za działalność narodową i udział w powstaniach. Rozbiory Polski wpłynęły również, podobnie jak i epoka pańszczyźniana, niezwykle ujemnie na naturalny proces przesuwania się ziemi w ręce najgodniejsze i najbardziej pracowite.

kazywało sztuczną dochodowość, opartą nie na zdrowych podstawach ekonomicznych lecz na wyzysku chłopą. Z chwilą zniesienia pańszczyzny, stan ten raptownie się skończył, i życie zaczęło nadzwyczaj intensywnie odrabiać sztuczne zaległości w strukturze naszego rozdziału ziemi. Wyobraźmy sobie rzekę spiętrzoną przez tamę: to nasz ustrój rolny przed zniesieniem pańszczyzny. Tama się przerywa, masy wody przelewają się rwącym prądem, pienia się i szumią, płyną całą doliną, wylewają na brzegi, podmywają po drodze mosty i domy. Trwa to tak długo, póki woda nie opadnie do właściwego poziomu, który miała przed zbudowaniem tamy. Z tą chwilą wszystko się uspokaja, wody płyną znowu odwieczną koleją, cicho i spokojnie.

Od tego właściwego poziomu jesteśmy niestety jeszcze dość daleko. Jeszcze woda rwie i huczy. W chwili zniesienia pańszczyzny uwłaszczono chłopów bardzo niekompletnie. Masowe przechodzenie ziemi w ręce włościan, ta sławna „reforma rolna“, którą uważa się naogół dopiero za wynalazek Polski powojennej, dokonuje się w rzeczywistości na ziemiach polskich już od chwili zniesienia pańszczyzny. Do wielkiej wojny odbywało się to samorzutnie, po wojnie próbowano przyspieszyć ten proces przy pomocy przymusu ustawowego. Jest więcej niż prawdopodobne, że dowłaszczanie chłopów byłoby przebiegało o wiele szybciej, gdyby się nie była w tę sprawę wdała klasowa demagogja. Tak czy owak, w rękach chłopskich znalazła się już większość gruntów, które byłyby się w tych rękach znalazły o parę wieków wcześniej, gdyby nie sztuczne zatamowanie obrotu ziemią w epoce pańszczyźnianiej.* Skoro ustanie wreszcie proces masowego przesuwania się ziemi w ręce chłopskie, to będzie to niechybną oznaką, że nasz organizm gospodarczy odrobił już swe sztuczne zaległości, i wrócił do stanu godziwego, w którym o posiadaniu ziemi decyduje praca na niej, a nie przewaga polityczna.

* Rozdział własności ziemskiej przedstawiał się w Polsce w r. 1931 jak następuje (G. U. Stat., Statystyka rolnicza 1933, Tabl. 2):

	Ziemia użytko- wana rolniczo	Lasy
Gospodarstwa 50 ha i więcej	4618,800 ha	4164,000 ha
Gospodarstwa poniżej 50 ha	19505,200 „	1043,000 „
Związki prawa publicznego	1450,900 „	3114,800 „

Formy pracy na roli mają już w Polsce tradycję tysiąca lat. Podstawową formą władania ziemią jest gospodarstwo chłopskie, w którym cała rodzina pracuje na roli. Tego obyczaju nie potrafiła wykorzenić nawet epoka pańszczyźniana. Obok gospodarstwa małego, dla celów racjonalnej hodowli, produkcji nasion, masowej produkcji zbóż, gospodarstw rybnych i t.d. mają swe społeczne uzasadnienie również gospodarstwa większe, pod warunkiem, że właściciel tego gospodarstwa związany jest z niem swą pracą, t. zn. że nie uchyla się od obowiązków, połączonych z wszelkiem posiadaniem. Obok względów gospodarczych, za istnieniem większych gospodarstw przemawia również konieczność utrzymania na wsi elementu, który dzięki swej wiedzy i szerszemu doświadczeniu może przodować w pracy społecznej, i dopomagać do podnoszenia się kultury zarówno rolnej, jak i obyczajowej. Kapitalistyczne formy posiadania ziemi (np. latyfundja w Polsce, wielkie jednostronnie nastawione fabryki rolne w St. Zjednocz., kolektywne gospodarstwa w Rosji) zawiodły pokładane w nich nadzieje, okopując pozorne korzyści gospodarcze katastrofalnymi skutkami natury społecznej (sproletaryzowanie mas chłopskich w Rosji, brak odporności na wstrząsy ekonomiczne w St. Zjednocz., zaostrzenie problemów społecznych w Polsce i t. d.).

Zdrowa proporcja między ilością i rozmieszczeniem gospodarstw wielkich, średnich i małych, stanowi optimum społeczne, oczywiście pod warunkiem, by każdy warsztat rolny łączył w sobie kapitał i pracę. Inny musi być rozmiar warsztatu rolnego, na którym człowiek z uniwersyteckim wykształceniem stosuje swą wiedzę, a inny rozmiar gospodarstwa chłopskiego. Należy jednak mieć na uwadze, że w miarę postępu kultury rolnej, i jeden i drugi typ gospodarstwa wymaga coraz to mniejszej ilości ziemi. W średniowieczu chłop utrzymywał się gorzej na 20 morgach, niż dziś na pięciu. Jeszcze przed wojną folwark poniżej 300 hektarów dobrej ziemi uchodził za warsztat niegodny energicznej jednostki, dziś natomiast folwark o 60 do 200 hektarach (zależnie od gleby i położenia) stanowi już dostateczne pole do rozwinięcia intensywnej gospodarki.

Reasumując: 1) w dzisiejszej Polsce ci mają prawo ostać się na swej ziemi, którzy pracą swoją zdobyli legity-*

* Porównaj Rozdział III (Własność) i Rozdział VI (Renta z ziemi).

mację do jej posiadania. Są to chłopi, i ta część większej własności, która potrafiła dzwignąć swe warsztaty na wysoki poziom wydajności i kultury rolnej.

2) musi zniknąć typ „przedsiębiorstwa rolnego“ o takich rozmiarach, które umożliwiają gospodarkę kapitalistyczną, t. zn. zarządzanie majątkiem za pośrednictwem najemnych administratorów, a bez osobistej pracy właściciela; należy natomiast utrzymać istnienie folwarków, stanowiących dostateczne pole do osobistej pracy dla człowieka o wyższym wykształceniu, i odpowiedniej energii i przedsiębiorczości.

Ziemia znajdująca się jeszcze w rękach, które nie odpowiadają powyższym zasadom, musi przejść w formę małych i średnich gospodarstw rolnych, łączących w sobie pracę i kapitał. Tak pojęta naprawa ustroju rolnego stanowi jeden z głównych punktów programu narodowego.

Stwierdziliśmy, rozpatrując historię naszego ustroju rolnego, że ustrój ten odznaczał się w ciągu wieków dwiema niezmiennymi cechami: różnorodnością form władania ziemią, i gospodarką indywidualną. Z tego stwierdzenia, jak również z narodowych pojęć o pracy i własności, wypływają sformułowane powyżej postulaty. Spróbujmy teraz zestawić nasze tezy z powojenną historią ustroju rolnego w Polsce. Historia ta streszcza się w jednym słowie: reforma rolna. Czy uchwalając tę reformę naród sprzeniewierzył się swym odwiecznym tradycjom, czy też, choć może nieświadomie, poszedł jednak po linii instyktu naszej rasy?

Rozpatrując naszą ustawę o reformie rolnej, musimy oddzielić od siebie dwie rzeczy: *formę* tej ustawy, od jej *treści*. Forma odpowiada najgorszym wzorom epoki talmudyzmu, którą wówczas przeżywaliśmy. Ujęcie „maksimum“ i „minimum“ posiadania ziemi w szematyczne cyfry, nieuwzględniające bogactwa form życiowych, świadczy o triumfie doktrynerstwa o posmaku „postępowym“. Radykalne ustawodawstwo rolne, powołujące do wykonania reformy biurokratyczne instancje, i poddające potężne procesy społeczne buchalteryjno-statystycznym metodom, zaczerpniętym wprost z arsenału żydowskich sposobików naszego wschodniego sąsiada—takie ustawodawstwo musiało z natury rzeczy wywołać

skutki odwrotne od zamierzonych. *Ale zarówno zasada gospodarki indywidualnej, jak i zasada różnorodności form władania ziemią — obie te naczelne zasady wyraziły się z całą siłą w konstrukcji naszej reformy rolnej.* Instykt rasy okazał się silniejszy od inspiracji mózgowych doktrynerów. Co więcej: granice władania ziemią, określone w ustawie o reformie rolnej z roku 1925, oraz suma wyłączeń dla gospodarstw o specjalnie wysokiej kulturze, przewidziana w tej ustawie, nie odbiegają daleko od narodowych postulatów. Te przepisy ustawy odpowiadają nągół również poglądom współczesnej ekonomji rolnej, zarówno na kwestję zdrowego ustosunkowania większej i małej własności, jak i na wielkość gospodarstwa, mogącego stanowić samodzielny warsztat pracy dla jednostki o wyższem wykształceniu rolniczem. Sama więc treść ustawy — o ile pominąć jej katastrofalną formę i nieżyciowe przepisy — nie stoi bynajmniej w sprzeczności z narodowym programem naprawy ustroju rolnego. Masę atramentu wypisano już pro i contra tej ustawie, przyczem starano się wszystkie jej istotne i rzekome błędy przypisać faktowi, że doszła ona do skutku drogą kompromisu. Kompromis bywa niekiedy najgorszem z możliwych rozwiązań, łącząc w sobie wady obu spierających się tez, a rezygnując z ich dobrych stron. *Ale polski kompromis w sprawie reformy rolnej (przy wielu niewątpliwych brakach) wydaje się odpowiadać w ogólnych zarysach istotnym potrzebom naszego narodu.* Wiemy wszyscy, że nie stanowi on wyrazu głębokich rozważań społecznych i gospodarczych, że jest wy wpływem po części przypadku — lecz wiemy również, że Polak związany jest z ziemią nie kalkulacją, lecz uczuciem, i wypływającym z niego instynktem. Po odzyskaniu naszej niepodległości, jedyną kwestją, na którą każdy Polak miał jasno wyrobiony pogląd i którą się pasjonował (poza kwestjami granic i obrony), była sprawa ziemi. Wszystkie inne problemy społeczne czy gospodarcze zastały nas zupełnie nieprzygotowanych. Rozwiązywano je na kolanie, zależnie od osobistych poglądów tego, kogo przypadek do ich rozstrzygnięcia powołał. Oczywiście rozwiązywano według wzorów zupełnie nam obcych, liberalnych lub socjalistycznych. Jedynie w kwestji ziemi starły się żywiołowo poglądy polskie. Łatwo Św. Tomaszowi mówić o prawie ludzkim, które dzieli dobra według przesta-

nek rozumu! W żywym społeczeństwie jest to wykonalne tylko o tyle, o ile przejawianie się zbiorowego rozumu ... i rodzenie się prawa — rozumieć jako sumowanie się nieskończonej ilości odruchów indywidualnych, wpływających z miłości, rozsądku, strachu, nienawiści, atawistycznych instynktów, chciwości, przywiązania, egoizmu... Nasza reforma rolna dochodziła do skutku w ten sposób, że ważyły się z obu stron: intensywność przywiązania do ziemi ziemianina i chłopą, ich wzajemna zdolność do pracy na niej, słuszność praw obustronnych, i wpływająca ze stopnia słuszności siła do jej obrony. W tem starciu narodził się kompromis. Nie wiem, czy ten sposób rodzenia się rzeczywistości nie zawiera największej prawdy. Ziemia była i będzie podstawą naszego życia narodowego. Ona nas żywi i uszlachetnia. Do niej nawiązuje ruch narodowy, przystępując do zorganizowania ustroju naprawdę polskiego. *Kto wierzy w naród, musi wierzyć w jego podświadome odruchy, w szlachetność jego instynktów i trafność głęboko „przeżytych” decyzji.* Problemy waluty czy ochrony celnej można u nas wyrozumować i zadekretować przy zielonym stoliku. Kwestji ziemi — nie. Tu musi brać udział w decyzji cały naród, bo każdy czuje, że chodzi o kwestję bytu lub niebytu.

Nasz kompromis w sprawie reformy rolnej (mimo związanych z nim mniej lub więcej szpetnych przetargów i kombinacyj), wypłynął niewątpliwie z instynktu rasy. Instynkty czasem zawodzą. Lecz w tym wypadku instynkt nas nie zawiodł, i wytyczne tej ustawy mogą w ogólnych zarysach służyć za podstawę do rozwiązania problemu rolnego w Polsce.

O ile obliczyć zapas ziemi, mający zgodnie z narodowymi tezami przejść jeszcze w ręce chłopskie, dojdziemy do cyfry około dwu milionów hektarów. Proces przewłaszczenia ziemi trwa już na ziemiach polskich 70 lat, i choć sam w sobie konieczny i pożyteczny, wywołuje stale napięcia i zgrzyty społeczne. Wykup dwu milionów hektarów przez chłopów po cenach rynkowych może się przeciągnąć jeszcze przez sto lat. W interesie narodowym leży możliwie szybkie dokończenie tego procesu, gdyż dopiero z chwilą jego ukończenia stosunek chłopą do narodu i państwa straci cechy agresywnej nieufności, a nasz ustrój rolny przejdzie

wreszcie ze stanu niepożądaney dynamiki w stan statyczny, w którym ziemia, i pracujący na niej, stanowią razem tę właściwą glebę, na której wyrasta wielkość narodu. Czekać, aż chłop wykupi ziemię — to znaczy dalsze dziesiątki lat lichwy na wsi, bankructw i licytacji, egzekucyj podatkowych, agitacji i rozgoryczenia. *Polska racja stanu wymaga, by naprawa ustroju rolnego została zakończona w ciągu najbliższych 10 czy 15 lat.* Z postulatu tego wypływa nieodzowny warunek, że społeczeństwo musi dopomóc chłopu w nabyciu ziemi.*

Wszystkim, którzy wysuwają zarzut, że własność nabyta bez trudu demoralizuje zarówno daną jednostkę, jak i całe społeczeństwo, należy odpowiedzieć, że chłop polski ma moralne prawo do pewnego odszkodowania ze strony reszty narodu. Poczynając od niespełnionych słubów Jana Kazimierza, poprzez przysięgę Kościuszki i sejm z 1831 roku, odmawiający zniesienia pańszczyzny, aż do uwłaszczenia chłopów przez zaborców, społeczeństwo polskie nie spełniło wobec stanu chłopskiego swego obowiązku, i winno mu za to zadośćuczynienie.

Argument, że tak szybkie ukończenie przewłaszczenia ziemi może wywołać katastrofalne wstrząsy w życiu gospodarczem i zaopatrzeniu kraju w żywność, świadczy tylko o złej woli tych, którzy go wysuwają. Przewłaszczenie ziemi od czasu wojny światowej odbywało się w Polsce w tempie mniej więcej 200.000 ha rocznie, a mimo to na brak nadwyżek wywozowych płodów rolnych nie potrzebowaliśmy w tym czasie uskarżać się. Przeciwnie, szybkie dokończenie procesu przewłaszczenia może wywołać przejściowe obniżenie produkcji, poprawiające konjunkturę w rolnictwie, i umożliwiające gospodarstwom chłopskim wykupienie z wolnej ręki w tym okresie jeszcze pewnej ilości dworskiej ziemi.

A więc wywłaszczenie bez odszkodowania? Nie. Skoro chodzi o warstwę, która swoje prawa do własności ugruntowała pracą dziesiątków pokoleń i tyle zasług położyła ongiś dla Ojczyzny — *nie może być mowy o wywłaszczeniu bez odszkodowania. Lecz zapłata za ziemię będzie sprawą*

* W latach 1919—1934 rozparcelowano w Polsce 2246,800 ha ziemi (Mały Rocznik Stat. 1935 Tabl. 4/IV).

całego narodu. W tych wypadkach, w których chłop niema środków na nabycie ziemi, musi za nią zapłacić Państwo Narodowe.

Wartość rynkowa (oczywiście według cen płaconych za większe obszary sprzedawane łącznie) ziemi pozostającej jeszcze do sparcelowania, nie przekracza całorocznego budżetu państwa polskiego. Samo to stwierdzenie wystarcza dla uprzytomnienia sobie faktu, że wykupienie tej ziemi przez państwo nie jest postulatem z dziedziny utopji. Ale państwo ma inne środki do dyspozycji, nietylko te źródła, które zasilają budżet.

Przedewszystkiem więc *renty inwalidzkie i część emerytur*, które w sumie 60 do 80 milionów rocznie płyną na wieś. Przymusowe nadanie ziemi wzamian za te świadczenia, a obrócenie tych sum na amortyzację listów zastawnych, które wręczonoby dotychczasowym właścicielom wzamian za odstąpioną ziemię, wydaje się być operacją pod każdym względem społecznie prawidłową i wykonalną. Myśl to zresztą nie nowa.

Lasy państwowe. Wartość lasów, wraz z urządzeniami pomocniczymi, jak tartaki i t. p., będących obecnie w posiadaniu państwa, przenosi wartość ziemi pozostałej do rozparcelowania. Czy las, jako bogactwo narodowe, jest bezpieczniejszy w rękach prywatnych, czy państwowych, jest kwestją całkowicie otwartą, jeśli chodzi o społeczeństwa liberalne Zachodu. W naszych specyficznych warunkach, gdzie biurokracja sprawuje nader ostrą kontrolę nad każdym odruchem obywatela, a sama uchyla się od kontroli społecznej, nadzór urzędowy nad lasami prywatnymi daje niewątpliwie większe gwarancje niż Zarząd Lasów Państwowych, który w czasach wysokich cen na drzewo trzebił podległe sobie lasy bez miłosierdzia, dając państwu wzamian niezwykle nikłe dochody. Las jest w tak słabym stopniu warsztatem pracy, że nie budził nigdy specjalnego pożądanja u chłopu, a hasło wywłaszczenia lasów, wysuwane na początku nowej ery naszej niepodległości, wypływało z mentalności socjalistycznej, a nie chłopskiej, i rychło ucichło. Oddanie w ręce ziemian części lasów państwowych, wzamian za ich ziemię, zmniejszyłoby szczęśliwie zakres gospodarki państwowej, dając państwu niewątpliwie

większe dochody w formie podatków płaconych przez prywatnych właścicieli, niż daje dziś Zarząd Lasów Państwowych. Utrzymanie w ten sposób setek ziemian w dziedzinie gospodarczej, z którą są dobrze obeznani, dałoby poza-tem szereg korzyści natury społecznej, choćby dlatego, że utrzymanie przy życiu warstwy ziemiańskiej, spełniającej od wieków rolę „wychowawczyni“ (w sensie cywilizacyjnym i towarzyskim) nowych ludzi wchodzących od dołu do elity społecznej, stanowi konieczność narodową.

Długi hipoteczne, których listy zastawne w lwiej części leżą w portfelach banków państwowych, umożliwiłyby również bezgotówkowe przejęcie części ziemi przez państwo.

Powyższe środki, łącznie z przejęciem przez państwo części długów prywatnych, obciążających obecnie wielką własność (przy odpowiedniej redukcji niektórych pretensyj o charakterze lichwiarskim) wystarczą dla sfinansowania końcowego etapu przewłaszczenia ziemi.

Pozostaje do omówienia kwestja, czy ta akcja miałaby charakter przymusowy, czy dobrowolny. Ideologia narodowa, doceniająca w pełni plusy społeczne, tkwiące w odwiecznym indywidualizmie Polaków, musi się opowiedzieć za charakterem dobrowolnym takiego procesu społecznego, w najgorszym razie półdobrowolnym, w sensie dotychczasowej ustawy, przewidującej przymusową parcelację w razie nieosiągnięcia rocznego kontyngentu rozparcelowanej ziemi w drodze transakcyj dobrowolnych. Odpowiednie udostępnienie wyżej wymienionych możliwości stanowiłoby dostateczną zachętę do parcelacji dla ziemian, nie mających żadnego interesu w przedłużaniu sytuacji, w której odgrywają rolę przysłowiowej „myszy na pudle“.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Dotychczasowe poczynania w zakresie reformy rolnej zostały w dużej mierze zagwoźdzone skutkiem tego, że chciano robić zbyt dobrze, ustanowiono minimum posiadania, i chciano nadać ziemię w pierwszym rządzie fernalom i chałupnikom, a więc elementowi, należącemu po części do wzmiankowanego w Rozdziale XIX odłamu społeczeństwa, niezdolnego fizjologicznie do utrzymania się w ramach któregoś z prawidłowych stanów społecznych. Jedyny to przytem z elementów, żyjących na wsi, pozbawiony absolutnie jakichkolwiek środków do zagospo-

darowania się. Stąd główna przeszkoda w przeprowadzeniu uwłaszczenia — brak kapitału na zabudowanie się i kupno inwentarza. Wszystkie te trudności odpadają, o ile *dowłaszczać małorolnych, a nie uwłaszczać bezrolnych*. O ile gospodarzowi na paru morgach przybędzie jeszcze kawałek ziemi, to z posiadanym inwentarzem jakoś sobie poradzi, a dom już ma. Jeśli natomiast otrzyma ziemię poza obrębem swej rodzinnej wsi, to sprzeda swe dotychczasowe gospodarstwo, i zdobędzie w ten sposób pieniądze na założenie nowego. Oczywiście żywot chłopów nie będzie słodki przez pierwsze lata gospodarowania na nadanej im ziemi — lecz trud ich będzie właśnie tą ceną, którą zapłacą za swą ziemię. Będą musieli ciężko pracować — lecz to stanowić będzie później ich legitymację do posiadania. *Co do bezrolnych, to myśl narodowa odnosi się sceptycznie do możliwości ich uwłaszczenia w formie zawodowych rolników, i zamierza skierować ich po pracę i zarobek do przemysłu, nie skoncentrowanego jak dotychczas w pewnych ośrodkach wzgl. zagłębiach, lecz rozśianego równomiernie po całym obszarze kraju**.

Dowłaszczenie chłopów w Państwie Narodowem nie odbędzie się w formie papierowej ustawy, wykoncypowanej w biurze, i wprowadzonej w życie przez radców i referentów. *Będzie to ruch społeczno-gospodarczy na ogromną miarę, który musi się odbyć przy jaknajmniejszym skrępowaniu przez urzędy i przepisy. Ruch ten musi sam ze siebie wygasnąć, skoro rozłożenie ziemi osiągnie wreszcie swój stan „naturalny”, odpowiadający obecnym potrzebom naszego narodu. Czy nastąpi to o pięć lat wcześniej, czy o pięć lat później, tego najgenialniejsza głowa obliczyć nie zdoła. Właściwa metoda narzuca się więc sama: trzeba będzie *ułatwiać naturalne procesy, a nie wymuszać doktrynerskich szablonów*.*

Z naprawą naszego ustroju rolnego łączy się jeszcze problem inny — problem lepszego rozłożenia ludności rolniczej po obszarze całego kraju. A więc sprawa Kresów i Polesia, oraz sprawa nadania ziemi z parcelacji tych latyfundiów, które są położone w rzadko zaludnionych dzielnicach kraju.

* Patrz Rozdział XII. Rozwój drobnej wytwórczości domowej oraz rzemiosła stworzy również dużo możliwości pracy dla bezrobotnych. Nadto spory ich zastęp wchłoną miasta i miasteczka w miarę usuwania Żydów z Polski.

Ziemię tę należałoby nadać rolnikom, zamieszkującym okręgi przeludnione, w których chłopci wegetują na działkach jedno - lub dwumorgowych. Są to problemy *kolonizacji wewnętrznej*, zającebiające się o szereg kwestyj natury nie tylko gospodarczej, ale i narodowej i wojskowej. Nie było jeszcze w Polsce odrodzonej do tej pory prawdziwego gospodarza, któryby się już nie tylko do tych spraw wziął, ale któryby je przede wszystkim gruntownie zbadał. Rząd Narodowy będzie tu miał niezmiernie ważne zagadnienia do rozstrzygnięcia — i przeprowadzenia.

Stwierdziliśmy, że dwukrotnie w ciągu naszych dziejów mniej więcej godziwy ustrój rolny przemieniał się w katogę dla chłopca. Działo się to w wiekach X — XII i w wiekach XVI — XVIII. W naszych czasach dzieje się to samo po raz trzeci, z tą różnicą, że tym razem krzywdzony jest nie tylko chłop, lecz wszyscy rolnicy, bez względu na obszar posiadanej ziemi. Nowoczesna pańszczyzna, oparta na podatkach, lichwie i zyskach monopolowych, dąży do ujarzżenia wsi na rzecz miasta, a chłopca i ziemianina na rzecz słory pośredników, spekulantów kapitalistycznych i biurokracji. Inne czasy, inni ludzie, inne formy — treść ta sama. Jedni mają orać, drudzy — zagarniać.

Ten odwieczny cykl ewolucyjny na ziemiach polskich należy przerwać. Jest to cykl oparty nie na koniecznościach gospodarczych, lecz na procesach politycznych. Nie zwalczy tych procesów upaństwowienie ziemi, obce naszej psychice i naszym narodowym obyczajom, gdyż w państwie komunistycznym o wiele jeszcze łatwiej narastają siły wyzysku, większa jest potęga i przewaga grup kierujących państwem i gospodarstwem, niż w ustroju opartym na własności indywidualnej. Przerwać ten odwieczny cykl może tylko świadomość narodu, który z doświadczeń swej historii wyciąga odpowiednie wnioski na przyszłość. Przerwać ten cykl może tylko stała czujność i napięta uwaga, by zdławić każdej chwili, w zarodku, odnawiający się proces wyzysku mas. Jest to problem nie gospodarczy, lecz polityczny. Gospodarczym jest jedynie o tyle, że silnie ugruntowany, godziwy ustrój rolny pozwala się spo-

leczeństwu dłużej opierać, gdy władza nad niem dostanie się przejściowo w ręce niepowołane. Ustrój średniowieczny nie zdążył się utrwalić, świat był jeszcze zbyt surowy na przyjęcie doktryny sprawiedliwości społecznej. *Reakcja* przyszła zbyt szybko i zniszczyła to, co było dopiero w zawiązku. Ale w naszej epoce mamy do pomocy doświadczenia historii, wyższy poziom wiedzy, i wieki oddziaływania moralności chrześcijańskiej. Mamy już wszelkie dane ku temu, by problem ziemi rozwiązać w Polsce mądrze, godziwie — i ostatecznie.*

* Patrz Rozdział XIV (Utrwalenie ustroju rolnego).

ROZDZIAŁ XII.

TRWAŁE I PRZEJŚCIOWE FORMY GOSPODARCZE.

Gospodarstwo społeczne składa się z elementów trwałych i przejściowych.

Elementy trwałe, statyczne — to wytwórcy, którzy pracują na warsztatach odziedziczonych po pokoleniach poprzednich. Stosują oni odwieczne, przekształcające się bardzo wolno metody pracy, posiadania i wytwarzania. Ta część społeczeństwa, ogromnie przeważająca liczbą, oddaje następnej generacji niewiele ponad to, co otrzymała od generacji poprzedniej. Są to ludzie przeciętni, rdzeń pa-cierzowy każdego społeczeństwa.

Elementy przejściowe (które należałoby może określić trafniej jako elementy *dynamiczne*) tworzą rzeczy nowe, zarówno w dziedzinie kultury umysłowej jak i gospodarki. Do tych jednostek, po części naprawdę twórczych, po części bardzo szkodliwych, należą ludzie uzdolnieni ponad przeciętną miarę. Ustrój średniowieczny grzeszył nieraz tem, że chciał sprowadzić całe społeczeństwo do norm statycznych, zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i intelektualnej. Tego błędu powtarzać nam nie wolno. Najgłębiej zakorzeniona wiara religijna musi się dopatrywać palca Opatrzności w dążeniu ludzkości do polepszenia swych warunków bytu. Tego rodzaju postępu, we wszelkich jego postaciach, nie należy udaremniać przez zbyt sztywną strukturę społeczeństwa. Z drugiej strony nie wolno nam uważać t. zw. „postępu“ za wyłączny cel istnienia ludzkości. Za cel, któremu muszą się podporządkować wszelkie inne dziedziny życia ludzkiego. Zbyt szybki „postęp“ daje rezultaty pozornie tylko korzystne, wyrównane z nadwyżką ujemnymi skutkami. *Odrębne traktowanie dynamicznych (ale przez to samo w dużej mierze przejściowych) objawów w życiu społecznem, i zachowanie*

zdrowej równowagi między dynamiką a statyką gospodarczą, stanowi przeto centralny problem w każdym ustroju. Problem to niezmiernie trudny, gdyż człowiek ma wrodzoną skłonność do skrajności (jest to linja mniejszego oporu). Przerost statyki w średniowieczu, przerost dynamiki w czasach obecnych wskazuje właściwą drogę tym, którzy mogą i chcą korzystać z doświadczeń historii.

Trwałe formy gospodarcze przechodzą przeobrażenia bardzo wolne, można więc przyjąć w rozważaniach ekonomicznych, że te formy są niezienne. Za sto lat będzie istniało niewątpliwie małe gospodarstwo rolne, rękodzieło, sklep na rogu ulicy i drobna wytwórnia. Natomiast formy wielokapitalistyczne, związane nierozłącznie z rozwojem techniki, przechodzą stale szybką ewolucję. Jak będą wyglądały za lat 50, nie może dziś nikt przewidzieć. Cechą ich charakterystyczną jest to, że budują one rozkładając równocześnie i niszcząc. Należy je przeto wyodrębnić w ustroju gospodarczym w taki sposób, by nie zabić w nich tego co przynosi korzyść dla ludzkości, a równocześnie zredukować do minimum ich wpływ rozkładający wiązania każdego społeczeństwa.

WIELKI PRZEMYSŁ.

Nowotworem gospodarczym naszej epoki stał się skoncentrowany i zmechanizowany przemysł i jego to niemoralna struktura stanowi kamień obrazy w dzisiejszym społeczeństwie. Miljon pracowników, zatrudnionych w tym przemyśle, stanowi wraz z rodzinami kilkanaście procent ogółu naszej ludności.

Po stu latach istnienia wielkiego przemysłu ludzkość wychodzi powoli z osłupienia, w które ją wprowadził niespodziewany rozwój nowych form wytwórczości. Znamy już mechanizm powstawania i funkcjonowania przemysłu, jego plusy i minusy społeczne. Wiemy że przemysł wyrasta najpomyślniej w atmosferze swobody gospodarczej, ale że ma wrodzone skłonności do przerostu i do wytwarzania form monstrualnych, będących w jaskrawem przeciwieństwie do swobody gospodarczej i społecznej. Wiemy, że nadmiernie skoncentrowany kapitał nabiera cech biurokratycznych i mu-

sięgać po władzę, nie mogąc się utrzymać drogą zwykłej konkurencji w wolnej gospodarce. Znamy zaburzenia w strukturze społecznej, które wywołuje niczem nieskrępowana ekspansja wielkiego przemysłu. Patrząc na jego rozwój rozumiemy, że automatyzm gospodarczy prowadzi do zwyrodnienia, i że wiedza, zarówno jak i jej twór, maszyna, wymagają w swem praktycznem zastosowaniu pewnych norm, wynikających z odwiecznych doświadczeń ludzkości. Wielka wytwórczość przemysłowa stanowi niewątpliwie fizjologiczną potrzebę dzisiejszej ludzkości. Ale jest to potrzeba z rzędu tych, które muszą być ujęte w pewne prawa, by nie zatrwały powietrza i nie uniemożliwiały życia ogółowi.

Patrząc np. na zakłady Forda czy na ogromne kapitały za-inwestowane w produkcję ropy (zapasy ropy wystarczą zaledwie na kilkadziesiąt lat) mamy pewność, że są to formy przejściowe, musimy je więc traktować jako przejściowe. Na ich miejsce powstaną zapewne inne dynamiczne twory, o których nic dziś jeszcze nie wiemy. *Wyodrębnienie wielkiego przemysłu i specjalne traktowanie ludzi w nim zajętych, jak również zapobieganie zaburzeniom, które wielki przemysł może wywołać, stanowi ważny problem w życiu każdego narodu.*

Liberalni ekonomiści twierdzą, że jakiegokolwiek unormowanie rozwoju wielkiego przemysłu jest niecelowe, gdyż pogwałcenie praw swobody gospodarczej musi w dzisiejszem społeczeństwie skończyć się katastrofą.

Myśl narodowa docenia w pełni znaczenie inicjatywy i działalności indywidualnej, lecz uważa, że prawdziwy rozkwit jednostki następuje dopiero w społeczeństwie opartem na dyscyplinie i harmonji. Nacjonalizm wzoruje się tu na katolicyzmie, który leczy w konfesjonale z osobna każdą duszę, lecz przeciwdziała rozpadowi społeczeństwa na jednostki pozostawione samym sobie, starając się utrzymać zdrowy stosunek między jednostką a zbiorowością.

Szukając wzorów w psychicznych przeżyciach własnego narodu znajdujemy potwierdzenie naszych poglądów w historycznej prawdzie, że jesteśmy narodem wybitnie indywi-

dualistycznym. Stanowi to pewną słabość, ale zarazem i wielką siłę. Dlatego dalecy jesteśmy od głoszenia czy to kolektywizmu (wzgl. prowadzącego do niego prostą drogą etatyzmu) czy też zbyt daleko posuniętej interwencji państwa. *Nacjonalizm polski wolną grę sił gospodarczych i inicjatywy prywatnej uważa za podstawę życia gospodarczego narodu, ale tylko w granicach, w których wolność nie przeradza się w samowolę lub anarchję.* Zdajemy sobie z tego sprawę, że każde ograniczenie swobody gospodarczej okupuje się obniżeniem stopy życiowej ogółu (względnie osłabieniem szybkości, z jaką wzrasta dobrobyt) *lecz uważamy, że maksymalna szybkość bogacenia się nie stanowi właściwego celu życia narodu, o ile cierpi na tem jego rozwój duchowy i strukturalny.* Tem bardziej, że lepiej zawczasu przyciągnąć trochę cugli niż sięgać do przewrotów społecznych wtedy, gdy nadmierna swoboda gospodarcza przeradza się w supremację ekonomiczną i polityczną zorganizowanej mniejszości narodu, albo nawet, jak w dzisiejszej Polsce, pejsatej „mniejszości narodowej“.

Ograniczenie pewnych szkodliwych objawów, związanych z rozwojem wielkiego przemysłu, uważamy za konieczność. Nie pociągnie to za sobą zwolnienia tempa rozwoju gospodarczego kraju o ile inicjatywy gospodarcze, nie znajdujące pełnego ujścia w dziedzinie działalności wielkokapitalistycznej, będą mogły wyładować się swobodnie w kierunkach zbieżnych z interesem narodu. Dlatego uważamy, że dziedziny bardziej statyczne (rolnictwo, rękodzieło, drobna i średnia wytwórczość) powinny korzystać z możliwie pełnej swobody gospodarczej, nie krępowanej jak obecnie przepisami państwa policyjnego. *W rozwoju małego i średniego przemysłu łączącego w sobie talent, inicjatywę i osobisty stosunek organizatora i właściciela do pracowników, widzimy możliwość uniknięcia tych katastrofalnych skutków, które dają zętknięcie proletariatu i pasożytniczego anonimowego kapitału.*

KONCENTRACJA LUDZI.

Jedną z najbardziej ujemnych stron rozwoju wielkiego przemysłu jest koncentracja ludzi. Nowopowstająca fabryka

działa jak magnes. Wyrывa ludzi z otoczenia, w którym się urodzili i wychowali, odbiera chłopu jego stanowy światopogląd i przerabia go na proletariusza niepewnego jutra, nie związanego ani z ziemią na której mieszka, ani z pracą której się oddaje. Perjodyczne wahania w stanie zatrudnienia przemysłu wyrzucają na brzeg życia osad ludzi bez chleba i Ojczyzny, zdemoralizowanych i rozgoryczonych.

Kontyngent robotników fabrycznych daje w Polsce wieś. Wobec słabej rozrodczości po miastach dzieci obecnego proletariatu miejskiego zapełniają specyficznie miejskie zajęcia, jak woźnych, dozorców domów, konduktorów tramwajowych, szoferów, elektromonterów itd. Wieś dostarcza proletariatu fabrycznego. Do fabryki idzie bezrobotny chałupnik i młodzi synowie kilkumorgowych gospodarzy, często i sam chłop, który na zbyt małym gospodarstwie utrzymać się nie może.

Jak mamy zatrudnić w przyszłości nadmiar rąk roboczych na wsi? Jednym z zasadniczych punktów programu narodowego jest stworzenie z gospodarstwa chłopskiego tej podstawowej społecznej komórki rodzinnej, z którą każda wychodząca z niej jednostka zachowa kontakt przez całe życie*. Lecz komórka ta nie może być zbyt mała, jeśli niema zawieść pokładanych w niej nadziei. Minimum posiadania ziemi jest rzeczą ogromnie względną. W miarę wzrostu kultury rolnej może się rodzina chłopska przy pierwszorzędnej ziemi utrzymać nawet na hektarze. Podział ziemi, jeśli chodzi o cele produkcyjne a nie budowlane, nie może jednak iść w nieskończoność. Przemysł, handel i komunikacja będą musiały wchłonać co roku pewną ilość rąk zbytecznych na wsi.

Handel (z wyjątkiem sklepikarstwa) z natury rzeczy skupiać się musi w miastach. Komunikacja rozkłada się z punktu widzenia społecznego bardzo pomyślnie, bo po całym obszarze kraju. Przemysł wykazuje do tej pory tendencję do skupiania się w pewnych ośrodkach, tworząc zagłębia proletariackie, wrzody społeczne napozór nieuleczalne.

Z tą koncentracją należy świadomie skończyć. Samo życie idzie w tym kierunku, zbieżnie z dobrem społecznym. O ile sto lat temu wszelkie względy ekonomiczne przemawiały za osiedlaniem się fabryk blisko węgla i surowców (węgiel sta-

* Patrz Rozdział XIV.

nowił główną siłę napędną), o tyle dziś przemysł dąży do lokowania się w centrach spożycia. Oczywiście czynią to zdrowe formy przemysłu, starające się pozyskać odbiorcę, a nie przemysł monopolizujący w swem ręku pewien dział produkcji, bo ten wie, że nie on musi szukać odbiorcy lecz odbiorca jego. Nowoczesne środki napędne (ropa i elektryczność) kosztują w różnych okolicach kraju mniej więcej to samo, drobne różnice w kosztach transportu surowców wyrównuje tańsza robocizna. Powodów do zakładania nowych fabryk w istniejących już ośrodkach miejskich czy przemysłowych należy szukać obecnie przeważnie w lenistwie myślowym i bezwładności, o ile nie w egoizmie kierowników przemysłu, nieskłonnych rezygnować dla dobra społecznego z przyjemności życia w większym mieście.

Konieczny jest przeto *ustawowy zakaz zakładania nowych wytwórni w istniejących już ośrodkach miejskich i przemysłowych*. Cel społeczny wygląda tak: równomierne zasianie całego kraju fabrykami; robotnik mieszka nadal w swej wsi rodzinnej i dojeżdża do pracy (rower, kolej, autobus). Dorabiający się robotnik buduje sobie własny domek we własnej wsi. Małorolny gospodarz pracuje w fabryce, jego rodzina pracuje na roli. W razie przesilenia gospodarczego, każdy robotnik ma przynajmniej dach nad głową, a większość jeszcze kawał roli pozwalający przetrwać najgorsze czasy.

Postulat ten niema w sobie nic utopijnego. Rozwój społeczny idzie wszędzie w kierunku dezurbanizacji i równomierniejszego rozłożenia ludności, okres, kiedy budowano po wielkich miastach domy z suterunami dla proletariatu i domy czynszowe o jednoizbowych mieszkaniach, należy już wszędzie do przeszłości. Kraj taki jak Polska, o względnie jeszcze prawidłowym rozłożeniu ludności, ma wszelkie dane po temu by uniknąć błędów popełnionych przez zachodnie społeczeństwa przemysłowe. Nie zapominajmy również, że dezurbanizacja stanowi jeden z głównych środków zaradczych na zyski monopolowe z położenia gruntu*. A te zyski, to poważny motyw krzywdy społecznej.

Przeciw świadomemu nadaniu takiej tendencji rozwojowi wysuwa się jeden argument poważny: że dla zdrowia moral-

* Patrz Rozdział VI (Renta z ziemi).

nego narodu lepiej jest skoncentrować bolączki współczesnego życia w nielicznych centrach, a wieś zachować zdala od podmuchów gorączki fabrycznej, jako pewnego rodzaju rezerwat tradycji i zdrowia moralnego. Zdaje mi się, że argument ten jest zarówno nietrafny, jak i niemoralny. Nietrafny, gdyż robotnik fabryczny, tkwiący w dalszym ciągu swymi korzeniami w ziemi, ma wszystkie dane po temu by zostać nadal zdrowym członkiem społeczeństwa. Argument niemoralny, gdyż nie można poświęcać poważnej i wartościowej części społeczeństwa dla zdrowia całości. *Spółczeństwo musi się montować organicznie, na zasadach równie zdrowych dla części jak i dla ogółu.* Harmonijnie rozwinięty organizm jest odporniejszy na wszelkie choroby niż organizm, w którym np. wszystkie członki są zdrowe a wątroba ciężko chora. Na egoizmie społecznym jeszcze nikt nie wychował silnego narodu.

Inny jeszcze wzgląd wchodzi tu w rachubę. Kilkakrotnie wskazywałem już na „uszlachetniające“ działanie ziemi na człowieka. Jednak w miarę podnoszenia się stopy życiowej ludzkości, plody rolne stanowią malejący stale ułamek w wydatkach każdego człowieka. Na Zachodzie, przeciętna rodzina nie wydaje obecnie na swe wyżywienie więcej niż jedną czwartą swego budżetu. Dla pokrycia potrzeb społeczeństwa wystarczy więc jeden człowiek pracujący na roli, na trzech ludzi pracujących w wolnych zawodach, komunikacji, handlu i przemyśle. Otóż ta proporcja — jeden rolnik na trzech nierolników — stanowi poważne niebezpieczeństwo dla struktury moralnej i narodowej społeczeństwa.

W Polsce trzy czwarte ludności żyje jeszcze na roli (co uważamy za proporcję korzystną), ale przeciętna rodzina też już nie wydaje na zakup płodów rolnych więcej niż połowę swego dochodu. Życie rozwiązało tę pozorną sprzeczność w ten sposób, że stopa życiowa ludności wiejskiej jest znacznie niższa od stopy w mieście. W ten sposób równowaga produkcji i wymiany została utrzymana, lecz stan to prowizoryczny, i ta różnica w poziomie zarobków między wsią a miastem wcześniej czy później skończyć się musi. O ile zostawimy sprawy obecnemu ich biegowi, to rozwój pójdzie po linii społeczeństw liberalnych, t. zn. połowa naszej ludności wiejskiej wywędruje do miast, stwarzając morze nowego

proletariatu. O ile chcemy tego uniknąć, musimy przesunąć fabryki na wieś i dążyć do stworzenia typu chłop-robotnika (ten typ przeważa już w niektórych okolicach Polski). Taki chłop-robotnik opiera część swego budżetu na posiadanej roli, którą obrabia jego rodzina, a sam zarobkuje w fabryce. Gdy traci pracę, staje się z powrotem rolnikiem. Proletariuszem nie będzie jednak nigdy, czuje zawsze oparcie w swej ziemi, jest bardziej niezależny i bardziej odporny na kataklizmy gospodarcze. Miasto go już nie nęci, bo stopę życiową ma zbliżoną do stosunków miejskich. A przede wszystkim pozostaje człowiekiem — a nie wykolejonym pionkiem, który kapitalizm i komunizm przerzucają sobie z rąk do rąk.

KONCENTRACJA KAPITAŁU.

Spółeczeństwo powinno popierać mały i średni przemysł fabryczny, a przeciwdziałać wszelkimi środkami (aż do ustawowego zakazu włącznie) powstawaniu kolosów fabrycznych.

Nieelastyczność w produkcji, anonimowość, biurokratyzacja, nadmierna koncentracja ludzi i kapitału, wyrównują z nawiązką rzekome korzyści, jakie jedna wytwórnia, zatrudniająca kilka tysięcy robotników, ma dawać jakoby w stosunku do szeregu mniejszych fabryk (o tej samej globalnej produkcji, co ta jedna fabryka—olbrzym), zatrudniających po kilkadziesiąt lub kilkaset pracowników. Klasyczny przykład stanowią tu zakłady Forda, które, choć oparte na geniuszu jednostki, a więc zdrowsze w koncepcji od różnych tworów anonimowego kapitału, odegrały tragiczną rolę w dziejach współczesnego kryzysu w Stanach Zjednoczonych.

Jest rzeczą oczywistą, że każdy rodzaj produkcji ma swój rozmiar niejako „przyrodzony”. Fabryka parowozów musi zatrudniać kilkuset pracowników, kopalnia węgla również, natomiast fabryka emaljowanych naczyń blaszanych, nastawiona na trzy tysiące pracowników, nie ma na swoje poparcie argumentów technicznych, podobnie jak przedsiębiorstwo typu stoczni gdańskiej, produkujące między innymi statki, parowozy i dzwony kościelne (!), podobnie jak wytwórnia produkująca i mosty żelazne i kotły parowe i aparaty chłod-

nicze... W przemyśle włókienniczym łączenie przędzalni z tkactwem i farbiarstwem nie stanowi również organicznej konieczności. Podobne przykłady można czerpać z wszystkich działów przemysłu. Zdrowy mały i średni przemysł, w którym każda wytwórnia nastawiona jest na jeden tylko rodzaj produkcji, nie ma przeciw sobie poważnych argumentów natury technicznej. Argumenty finansowe są przeważnie równie kruche. Wielka firma ma generalnego dyrektora i kilku jego zastępców, pobierających kolosalne płace. Szereg małych firm, dających na sumę tę samą produkcję, będzie miało szereg dyrektorów, których zsumowane pobory w większości wypadków wyniosą kwotę mniejszą od poborów dyrektora fabryki-kolosa. Podobnie łatwe do zbitcia są argumenty odnośnie do rzekomych oszczędności na biurowości, reklamie i t. d. Natomiast korzyści natury społecznej, płynące z faktu rozdrobnienia produkcji, są ogromne.

Często wysuwa się argument, że nie można hamować spontanicznej energii indywidualnej, zmierzającej do rozbudowania wytwórni już istniejącej, i że w razie zakazu dalszej rozbudowy ucierpi na tym wytwórczość kraju, gdyż jednostka skłonna powiększyć produkcję drogą rozszerzenia swej fabryki nie zechce powiększyć tej produkcji budując inną wytwórnię w innej części kraju. Argument absolutnie nietrafny. Jeżeli inwestycja jest wątpliwa, dana jednostka lepiej się nad nią namyśli, i unikniemy przeinwestowania danego działu przemysłu, naco świat choruje ostatnio chronicznie. Jeśli zachodzi jednak naprawdę potrzeba danego towaru (to znaczy interes jest „dobry“), to dany przedsiębiorca będzie wolał założyć nową mniejszą wytwórnię o sto kilometrów dalej, niż zrezygnować z pewnych dochodów.

Argument, że wielka fabryka może zatrudniać lepszych specjalistów. Odpowiedź: zdrowszy społecznie będzie objaw, że ci specjaliści, zamiast być płatnymi pracownikami wielkiego kapitału, na usługi jednej tylko wytwórni, założą samodzielne biura porad technicznych, które będą obsługiwały kilka fabryk tego samego działu. W ten sposób znowu tysiące osób przejdą z kategorii pracowników najemnych do kategorii jednostek gospodarczo samodzielnych, czyli *uwłaszczy się część inteligencji*.

Czy nie jest obojętne dla społeczeństwa, czy jednostka bę-

dzie miała jedną wielką wytwórnię czy szereg mniejszych? Nie. Bo w razie śmierci, przedsiębiorcy, bankructwa, kryzysu itp. mniejsze wytwórnie się usamodzielniają, z wielką korzyścią dla społeczeństwa.

Główny argument: Czy społeczeństwo ma prawo hamować inicjatywę jednostki zamiast podziwiać w milczeniu, że się znalazł ktoś obrotniejszy i bardziej przedsiębiorczy od tysięcy ludzi przeciętnych?

Pytanie odwieczne, najłatwiej odpowiedzieć na nie sięgając do analogji dziejowej. Nasza epoka przypomina żywo moment przejścia od feudalizmu do państwa silnie zorganizowanego. Polska tego nie zrobiła, nie poskromiła na czas swych możnowładców, i to stało się jednym z powodów jej upadku. Skoro jednostce nie wolno: kupować pracy człowieka na całe życie (zakazuje tego prawo, celem uniknięcia powrotu niewolnictwa), trzymać sobie prywatnego wojska, budować domu o dowolnej ilości pięter, strzelać kuropatw w dowolnym czasie, robić nieporządku na ulicy itd., to dlaczego jednostka ma mieć prawo niczem niepohamowanej ekspansji w kierunku koncentracji kapitału i produkcji? Wielkie talenty i wielkie wysiłki mogą tylko wtedy wydawać pożyteczne owoce gdy są kierowane zgodnie z dobrem społeczeństwa. „Splendid isolation“ egoistycznej ambicji kończy się zawsze źle, albo dla danej jednostki albo dla jej otoczenia. Wystarczy zacytować historję Kreugera, Stinnesa i setek im podobnych. Faktu, że wielka koncentracja kapitałów w St. Zjednoczonych nie doprowadziła do tej pory do katastrofy, należy szukać wyłącznie w tem, że królowie przemysłu amerykańskiego wyrosli na silnej dyscyplinie chrześcijańskiej i zamiast koncentrować kapitały w nieskończoność postępowali jak stary Rockefeller, który $\frac{2}{3}$ swego majątku rozdał i rozdaje nadal na cele filantropijne. Wyobraźmy sobie natomiast wielki kapitał typu żydowsko-rekinowatego, jaki panuje obecnie u nas, puszczonego samopas. Rezultaty nie dałyby długo na siebie czekać.

Wysiłek społeczny w kierunku zahamowania wzrostu wielkiego przemysłu na korzyść średnich i małych wytwórni pociągnie za sobą dwa równie pożądane objawy: przywrócenie współzawodnictwa w przemyśle, oraz regionalizm gospodarczy.

Wreszcie jeszcze jedna wątpliwość, wysuwana specjalnie często w kołach narodowych: czy dekoncentracja produkcji nie wpłynie ujemnie na siłę obronną państwa?

Tę wątpliwość można rozproszyć przy pomocy szeregu poważnych argumentów.

1) Podróżny, jadący z Rosji do Polski, ze zdziwieniem obserwuje nasz dworzec graniczny w Stołpcach. Na budowę tego dworca wydano dużo pieniędzy, a mimo tego nie wybudowano jakiejś wielkiej hali, według wzorów przedwojennych, lecz rozrzucono cały szereg drobnych budynków między pękami torów, a te tory są również (na pozór chaotycznie) rozrzucone na szerokiej przestrzeni. Nie trzeba być fachowcem w sprawach wojskowych by zrozumieć, że uczyniono to w tym celu, aby jedna bomba nieprzyjacielska nie mogła zniszczyć za jednym zamachem całego ginachu i przerwać wszystkich torów. *Nowoczesna wojna wymaga dekoncentracji ludzi i produkcji.* Dziesięć mniejszych fabryk trudniej zniszczyć z powietrza czy zagazować, niż jedno Mościce.

2) W Polsce, gdzie w wielkim przemyśle pracują roje cudzoziemców, niezwykle łatwo o sabotaż w czasie wojny. Im większa ilość wytwórni, wyrabiających ten sam produkt, tem sabotaż staje się mniej groźny.

3) Im zdrowsza organizacja narodu, tem większa jego siła obronna. Kraj proletarijuszów, w którym co sto kilometrów króluje jakiś kolos fabryczny, ma siłę obronną znacznie mniejszą, niż zdrowe gospodarstwo narodowe, oparte na małych i średnich warsztatach i uwłaszczonych masach. Wprawdzie mobilizacja przemysłu będzie żmudniejsza w ustroju narodowym niż w społeczeństwie kapitalistycznym, o tyle, że władze wojskowe będą miały do czynienia z większą ilością oddzielnych wytwórni, a nie z kilkoma koncernami. Ale tę trudność okupi większa ofiarność właścicieli i pracowników. Skoncentrowane przedsiębiorstwa, w obecnej swej formie, są rojowiskiem ludzi wyzutyh w dużej mierze z jakiegokolwiek uczucia narodowego. Przechowywanie aktów mobilizacji przemysłowej w biurkach (przepraszam, w pancernych szafach) niemieckich lub żydowskich generalnych dyrektorów stanowi najsmutniejszą farsę współczesnej polskiej rzeczywistości, tembardziej, że ci panowie nie tylko tych aktów „pilnują“, ale że ta mobilizacja odbywać się będzie pod ich nadzorem.

DOSTOSOWANIE PRODUKCJI DO KONSUMPCJI.

Produkcja musi być dostosowana ściśle do potrzeb społeczeństwa. Cel ten da się osiągnąć tylko przez zbliżenie wytwórców do odbiorców (rozrzucenie mniejszych wytwórni po całym kraju, regionalizm gospodarczy) oraz przez przełamanie wpływów wielkiej finansjery, wywołującej podobnie paczący wpływ na rozdział kapitałów na poszczególne działy wytwórczości, jak to czyni nadmierna interwencja państwa w sprawy gospodarcze.

Swoboda wymiany, przy ścisłym kontakcie wytwórcy z odbiorcą, stanowi najdoskonalszy system zaspokajania niezmiennie różnorodnych potrzeb współczesnego społeczeństwa. Wielki kapitał kontakt ten traci i zastępuje go wstawianiem społeczeństwu za pomocą intensywnej reklamy potrzeb, których to społeczeństwo nie ma lub ma w stopniu tylko słabym. Oczywiście wielki kapitał interesuje się jedynie potrzebami, których rozbudzenie i zaspokojenie uważa dla siebie za specjalnie zyskowne. Spaczony w ten sposób rozdział zasobów społecznych prowadzi do nierównomiernego zaspokajania poszczególnych potrzeb, i do idącego za tem zwichnięcia organizmu gospodarczego. Wyraża się to między innymi w tem, że jednym działom wytwórczości brak kapitału obrotowego, a inne pracują na skład, przeceniając pojemność potrzeb do których zaspokojenia są powołane. *Dekoncentracja przemysłu i uzdrowienie systemu kredytowego w ustroju narodowym przywrócą zdrowy, osobisty stosunek producenta do konsumenta, polegający na wyczuciu istotnych potrzeb i na trafnej ocenie ilościowej ich rozmiarów.*

ANONIMOWOŚĆ POSIADANIA.

Bezpośredni i jawny stosunek osobisty między człowiekiem a jego własnością jest nieodzownym warunkiem zdrowych form posiadania, bez względu na to czy chodzi o krowę czy o fabrykę. Co więcej, ważność tego postulatu wzrasta, im dane przedsiębiorstwo zatrudnia więcej ludzi i spełnia skutkiem tego misję społeczną bardziej doniosłą. Właściciel, któ-

ry pozostaje w jawnym stosunku do swego przedsiębiorstwa, związany jest z niem swą odpowiedzialnością i swem nazwiskiem; zawaha się on nieraz przed wykonaniem pewnych rzeczy, które wydają się poprostu lukratywną kombinacją dla anonimowego kapitalisty, posuwającego w zaciszu swego gabinetu setkami istnień ludzkich jak pionkami na szachownicy. Dzięki anonimowości posiadania kapitalista wie, że nikt mu winy nie przypisze, i że nietylko kara, lecz nawet odjum go nie dosięgnie. W tych warunkach ustają wszelkie skrupuły.

Komunał to odwieczny, lecz zarazem i odwieczna prawda, że w świetle rozwija się cnota a w mroku występki. W społeczeństwie pełnem prawnych zakamarków, w którym nikt dobrze nie wie co do kogo należy i kto za co odpowiada, anonimowe ręce wykonują anonimowe zbrodnie. Anonimowość posiadania nie jest naturalnym skutkiem współczesnych warunków gospodarczych, lecz została celowo i świadomie wprowadzona przez pewnych ludzi, którzy bez jej osłony nie odważyliby się nigdy na to co robią.

Anonimowość w polityce (której wyrazem są zakonspirowane rządy masonerii w t. zw. ustrojach demokratycznych) oraz anonimowość w gospodarce* — to nie są konieczności, wypływające z naturalnych praw współżycia ludzi. To jest poprostu narzucona społeczeństwu aryjskim przez Żydów ich manja tajnego działania, straszna broń, służąca do opanowania świata przez Naród Wybrany przy pomocy czynników, które można znaleźć w każdym kraju, najbardziej wypranych z poczucia moralnego, w najlepszym razie najbardziej oportunistycznych i służalczych.

Kapitalistyczna forma spółki akcyjnej (po francusku *Société Anonyme*) panuje dziś nad gospodarką, podobnie jak łoża panuje nad polityką. Obie te instytucje służą tym samym ludziom do tych samych celów. Ludzie ci wmawiają nam, że tak musi wyglądać „ustroj oparty na własności indywidualnej“, i że ucieczka z pod władzy spółki anonimowej prowadzić może jedynie do kolektywizmu, podobnie jak za-

* Anonimowość ta wyraża się w formie akcji na okaziciela, akcji uprzywilejowanych, fikcyjnych wpisów w rejestrach spółek z ogr. odpow., holdingów, umów kartelowych, finansowania przedsiębiorstw przez banki i td.

jąc może uciec od naganiacza jedynie przed strzelbą myśliwego.

Ustrój narodowy będzie zwalczał na śmierć i życie anonimowe formy zarówno władzy jak i posiadania. Będą to posunięcia rewolucyjne, lecz będzie to zarazem zwykły nawrót do wskazań zdrowego rozsądku.

USPOŁECZNIE NIE

WIELKICH PRZEDSIĘBIORSTW.

W ustroju narodowym własność indywidualna rozpowszechni się jaknajszerzej, i obejmie swym zasięgiem zarówno masy, jak i większość jednostek utalentowanych i przedsiębiorczych, które w dziedzinie średniej wytwórczości znajdują właściwe pole do rozwoju swej inicjatywy. *Natomiast przedsiębiorstwa, które czy to ze względu na swój „przyrodzony” rozmiar, czy też ze względu na swój nieodzownie wysoki stopień organizacji, wymagają wielkich kapitałów i współdziałania licznego zastępu ludzi, będą uspołecznione.* Należy uspołecznic te przedsiębiorstwa nie tylko dlatego, że formy, własności indywidualnej w stosunku do nich już zawodzą.* Należy je uspołecznic również i z tego powodu, że skoncentrowany kapitał trzyma w zależności rzesze ludzi, daje wpływy społeczne i władzę polityczną. Możliwość opanowania wielkich przedsiębiorstw przez jednostki, nie poczuwające się do żadnych obowiązków względem społeczeństwa, stanowi groźbę wiecznie aktualną, której realizacja na szerszą skalę daje w rezultacie klasycznie „niegodziwy” ustrój, jakim jest kapitalizm.

*Przypuszczenie, że „uspołecznienie” musi być w każdym wypadku równoznaczne z „upaństwowieniem”, dowodzi zarówno braku wyobraźni, jak i nieuctwa.***

* Patrz Rozdział IX (Własność prywatna i własność „społeczna”).

** Nie wspominam syndykalizmu, gdyż okazał się pomysłem tak utopijnym, że nie podjęto nigdzie nawet próby wprowadzenia go w życie. Jak wiadomo syndykalizm dąży do zbiorowego posiadania narzędzi produkcji przez pracowników zrzeszonych w syndykaty. Każdy dział wytwórczości zamierzano zorganizować w odrębny syndykat.

Myśl o upaństwowieniu całej wytwórczości, nieskalana w swem prostolinijnem doktrynerstwie, ma na swe wytłomaczenie jedynie fakt, że Marks w swem dzieciństwie uczęszczał do chederu.

W wielkich epokach historii państwo nie porywało się nigdy na imprezy gospodarcze w wielkim stylu. Przeciwnie, dbało zawsze o to, by ukonstytuowała się do przeprowadzenia tych imprez grupa ludzi prywatnych, dających gwarancję zarówno odpowiednich zdolności jak i swego „społecznego“ nastawienia. Żadnem państwem nie rządziły nigdy masy, choćby etykieta była jaknajbardziej demokratyczna. Rządził zawsze pewien *zespół ludzi*. W monarchji starego typu zespołem tym była nieliczna grupa arystokracji. W państwie demoliberalnem zespołem tym była masonerja. *Prawdziwa demokracja* nie polega na rządach tłumów, lecz na rekrutowaniu się rządzącego zespołu z wszystkich stanów społecznych*. W pamiętnikach Poincaré'go, który niewątpliwie jest szczerym demokratą, spotykamy się często z wyrażeniem „le personnel dirigeant de la République“. Zespół rządzący państwem bywa i był zawsze stosunkowo nieliczny, kilkadziesiąt czy najwyżej kilkaset osób, bez względu na epokę historyczną i formę ustroju. „Upaństwowić“ wytwórczość — to zwalić na barki zespołu, dzierżącego władzę polityczną i administracyjną, również i odpowiedzialność za całe życie gospodarcze. Byłoby to tem mniej praktyczne, że dobry administrator spraw publicznych nie bywa zazwyczaj człowiekiem praktycznej działalności gospodarczej. Zespół ludzi, nadający się pierwszorzędnie do rządzenia państwem, może się nie nadawać zupełnie do kierowania produkcją przemysłową. Oba te rodzaje działalności wymagają uzdolnień zupełnie różnych. W dobrze zorganizowanym klubie sportowym inna drużyna gra w piłkę nożną, a inna reprezentuje barwy swego klubu na turnieju tenisowym. I jedna i druga drużyna nie traci jednak nigdy swego poczucia przynależności klubowej. Obie starają się współdziałać z sobą dla dobra klubu, i mają swych przedstawicieli w jego władzach naczelnych. Jest rzeczą oczywistą, że Zorganizowany Naród stać na wydelegowanie jednej drużyny do administrowania pań-

* A na takiej demokracji oparty będzie ustrój narodowy.

stwem*, innej do kierowania życiem kulturalnem, jeszcze innej do kierowania życiem gospodarczem. Zgodne współdziałanie tych drużyn na wszystkich płaszczyznach pracy społecznej i we władzach naczelnych Narodu wytworzy dopiero ten scharmonizowany organizm, który określamy mianem Państwa Narodowego.

W społeczeństwach kapitalistycznych, mimo pozornej różnorodności przedsiębiorstw, trustów i koncernów, spotykamy mniej więcej te same nazwiska we wszystkich radach nadzorczych. Życiem gospodarczem Francji, Anglii czy Stanów Zjedn. kierują zespoły złożone z kilkudziesięciu osób, podobnie jak w Rosji bolszewickiej kilkudziesięciu komisarzy kieruje całą produkcją i wymianą. Chodzi tylko o sposób rekrutacji tych drużyn. W społeczeństwach kapitalistycznych rekrutacja ta następuje w formie wybierania się na wierzch najbardziej uzdolnionych w czasie walki o zysk, niekrępowanej żadnemi skrupułami etycznymi ani społecznymi. W Bolszewji rekrutacja taka odbywa się drogą partyjno-biurokratyczną. Obie te formy rekrutacji działaczy gospodarczych myśl narodowa stanowczo odrzuca. Organiczne gospodarstwo będzie wychowywało jednostki, zaprawione w działalności gospodarczej w myśl zasad chrześcijańskich i narodowych. Najcelniejsze z tych jednostek z natury rzeczy będą dążyły wzwyż w życiu gospodarczem, będą szukały trudnych zadań i wielkiej odpowiedzialności. Ich polem działania staną się wielkie, uspołecznione przedsiębiorstwa. Ale rodów tych ludzi, *ich formacja w wolnem życiu gospodarczem*,** pozwoli wychować dla wielkich przedsiębiorstw kierowników o zdrowem ujęciu problemów gospodarczych i żywotnej inicjatywie.

Nie znaczy to, by w Państwie Narodowem związanie jakichkolwiek przedsiębiorstw z państwem (czy też z regionalną miniaturą państwa — samorządem) miało być wykluczone. Istnieją pewne rodzaje przedsiębiorstw, w których zagadnienia techniczne i gospodarcze są stosunkowo mało

* Państwo rozumiem tu w formalno-prawnym, utartem w XIX wieku znaczeniu tego słowa. Patrz Rozdział XIII (Państwo Narodowe).

** W którym „uspołecznione” przedsiębiorstwa będą przecież tylko wyjątkami, a nie regułą, jak w państwie kolektywistycznym.

skomplikowane, formy działania zrutynizowane i oparte na długoletnich szablonach, natomiast interes społeczny i polityczny tak ogromny, i możność realizowania zysków monopolowych tak nęcająca, że wobec niebezpieczeństw związanych z pozostawieniem tych przedsiębiorstw w rękach nieodpowiednich względy rentowności schodzą na plan podrzędny. Do przedsiębiorstw takich zaliczają się np. koleje, poczta, telefon i telegraf, przemysł wojenny, porty i t.d. Wszelkie motywy przemawiają za tem, by tego typu wielkie przedsiębiorstwa były powierzone państwu. Analogicznie jest rzeczą wysoce wskazaną, by lokalne zakłady użyteczności publicznej jakoto wodociągi, kanalizacja, gazownie, elektrownie, rzeźnie i t.d. były w ręku samorządów gminnych lub terytorjalnych. *Jako ogólną zasadę można przyjąć, że im bardziej jakieś przedsiębiorstwo jest statyczne (t. zn. zrutynizowane, zbiurokratyzowane, o szerszym lecz mniej zmiennym zasięgu, tem mniej niebezpieczeństwa przedstawia oddanie go w ręce biurokracji państwowej lub samorządowej, oczywiście tylko w tych wypadkach, gdy znaczenie ogólnospołeczne danego przedsiębiorstwa góruje nad kwestją jego rentowności.* Im natomiast pewien dział wytwórczości jest bardziej dynamiczny, t. zn. podlega częstszym przemianom, może dopiero znajduje się in statu nascendi, wymaga większej przedsiębiorczości i geniuszu jednostek, jest bardziej ryzykowny i mniej „wyklarowany” — tem elastyczniejsze muszą być jego wiązania organizacyjne, tem luźniejsza forma jego „uspołecznienia“.

Dochodzimy przeto do następującego szematu „uspołecznienia“ wielkich przedsiębiorstw:

- 1) Przedsiębiorstwa państwowe;
- 2) Przedsiębiorstwa samorządowe;
- 3) Przedsiębiorstwa „uspołecznione“, lecz niezależne od biurokracji państwowej wzgl. samorządowej.

Pisząc o naprawie naszego ustroju rolnego zwróciłem uwagę na to, że w czasach powojennych, poza sprawami granic i obrony Ojczyzny, jedynie w sprawie ziemi Naród polski miał własne zdanie i szukał rozwiązania oryginalnego, wypływającego z ducha polskiego, a nie z importowanych

z zagranicy formułek. Był jednak w naszej historii odrodzonej jeszcze jeden epizod, kiedy cały Naród wziął się do załatwienia pewnego problemu gospodarczego: epizodem tym była *pamiętna sprawa założenia Banku Polskiego*, i subskrybowania przez najszersze koła naszej ludności stu milionów złotych na kapitał akcyjny tego banku. Była to chwila rzeczywiście podniosła: ułożono statut, który musiał niewątpliwie trafić Polakom do przekonania, skoro subskrypcja odbyła się w atmosferze zapалу (jakże różnej od późniejszej atmosfery dobrowolno - przymusowego subskrybowania pieniędzy na różne inne cele państwowe i społeczne).

Widocznie w statucie Banku Polskiego musiały być jakieś postanowienia, które w szerszych kołach wzbudziły przekonanie, iż nie chodzi tu o zwykłą imprezę kapitalistyczną, lecz o przedsiębiorstwo o typie rzeczywiście „społecznym”. A przecież Bank Polski jest spółką akcyjną, a więc ma formę gospodarczą specjalnie w naszym społeczeństwie zohydzoną! Widocznie ogół uznał, że organizuje się taki rodzaj spółki akcyjnej, który mu odpowiada. Zbadajmy przeto, jakie przepisy w statucie Banku Polskiego odbiegają od postanowień ogólnie przyjętych we wszystkich innych spółkach akcyjnych.

A więc przedewszystkiem akcje B. P. są imienne, nazwiska ich właścicieli wpisane są do publicznej księgi, a sprzedaż akcji nastąpić może tylko za zgodą prezesa Banku. Pełnomocnikiem akcjonariusza na Walnem Zebraniu może być również tylko akcjonariusz. Powyższe przepisy czynią, że B. P. jest przedsiębiorstwem *nieanonimowem** (a anonimowość stoi, jak wiemy, w jaskrawej sprzeczności z narodowymi pojęciami o własności). To punkt pierwszy. Następnie, wszystkie władze banku wybierane są przez akcjonariuszów, z wyjątkiem prezesa i wiceprezesa, których mianuje Prezydent Rzpltej. Członków Dyrekcji, wybranych przez akcjonariuszów, zatwierdza Minister Skarbu. W ten sposób istnieje gwarancja, że kierownictwo tak ważnej placówki społecznej

* Mówię tu oczywiście o pierwszym statucie Banku Polskiego z dnia 20.I.1924. Od tego czasu zmieniano ten statut kilkakrotnie, osłabiając w nim stopniowo wszelkie przepisy, które krępowały anonimową finansję żydowską.

nie dostanie się w ręce jakichś panów Flicków czy Lewinów. To punkt drugi.

Oczywiście, uspołecznione w ten sposób przedsiębiorstwo będzie działało naprawdę „społecznie“ tylko wtedy, gdy zarówno rząd, jak i udziałowcy, mają zdrowe koncepcje o gospodarce narodowej. Ale wydaje mi się, że ten sposób „uspołecznienia“ wielkiego przedsiębiorstwa ma wiele zalet, i że możnaby go w ogólnych zarysach* zastosować do większości skoncentrowanych przedsiębiorstw w Polsce.

Przy tem rozwiązaniu uderza jeden charakterystyczny rys: mianowicie kapitał płynie od społeczeństwa w formie dobrowolnej, udziały dają ich posiadaczom dochód, a mimo tego przedsiębiorstwo niema cech kapitalistycznych. W ustroju etatystycznym (przejściowym do kolektywizmu) kapitał na przedsiębiorstwa państwowe płynie z podatków. W ustroju kolektywistycznym, kapitał na rozbudowę przemysłu (np. w czasie pięcioletki) powstaje w ten sposób, że Rada Komisarzy stara się płacić robotnikom jaknajmniej, byle z głodu nie umarli, a całą „nadwartość“ ich pracy traktuje jako kapitał inwestycyjny i obrotowy przedsiębiorstw państwowych. Czytelnik, który już zdążył nasiąknąć naszym sposobem rozumowania gospodarczego, pojmie bez trudu, o ile sprawiedliwsze i praktyczniejsze rezultaty muszą wydać narodowe koncepcje „uspołecznienia“ produkcji. *Kapitalizowanie przez państwo i samorządy, a tembardziej przez Ubezpieczalnie Społeczne (co za chorobliwy pomysł!!) odrzucamy kategorycznie.* Kapitał narasta w formie oszczędności. Oszczędności odkładają w społeczeństwie przeważnie skromni i nieznani ludzie. O tem, że ten czy ów żyje oszczędnie, władza państwowa nigdy się nie dowie. Wyssać oszczędności od tych ludzi przy pomocy podatków nie da się, bez popełnienia jaszkrawych i rozlicznych niesprawiedliwości, tyranji gospodarczej i ruiny całego życia ekonomicznego. *Kapitał musi płynąć do wytwórczości dobrowolnie, lecz zużycie kapitału w wielkich przedsiębiorstwach musi być nadzorowane społecznie.* Naumyślnie poświęciłem więcej miejsca sprawie Banku Polskiego, z tego względu, że chodzi tu o przedsiębiorstwo wyjątkowo dużej wagi społecznej. Tej wagi przedsię-

* Z różnemi warjantami, zależnie od rodzaju przedsiębiorstwa.

biorstwa można w Polsce policzyć na palcach. *Im mniej ważne i rozległe przedsiębiorstwo, tem jego stopień „uspołecznienia” może być słabszy.* W takich przedsiębiorstwach, *skoro włączone będą w organizm stanowo-zawodowy Narodu,** wystarczy zapewne imiennosc udziałów i kontrola bilansów przez odpowiednie instytucje społeczne,** natomiast statutowy wpływ władzy na konstytuowanie się zarządów spółek będzie zbyteczny. Muszę w tem miejscu podkreślić fakt, o którym napiszę obszerniej w następnym rozdziale, przy omawianiu ustroju stanowo-zawodowego: *również i w dziedzinie uspołecznienia wielkich przedsiębiorstw każdy naród musi sobie wyrobić swe własne formy.* Na to trzeba długich lat.

W Rozdziale XIV będę mówił o uspołecznieniu instytucyj kredytowych. W tej dziedzinie mamy za sobą już dwa wieki czysto polskiej tradycji spółdzielczej***. Możliwe, że nie tylko w dziale kredytowym, ale i w niektórych innych działach gospodarki „uspołecznienie” nastąpi w formie spółdzielczej. Myśl narodowa nie dąży nigdy do doktrynerskiego ujednostajnienia, przeciwnie, uwzględnia stale bogactwo możliwości życiowych. Postulat uspołecznienia wielkich przedsiębiorstw — to nie frazes, ale i nie dążenie do szablonu. To szukanie różnorodnych form godziwego współdziałania ludzi na polu gospodarczym, form, dopasowanych do przeróżnych warunków, panujących w poszczególnych działach gospodarki.

Słowo spółka ma ten sam źródłosłów co i społeczeństwo. Jedno i drugie słowo tłumaczy się po francusku „société”, a

* Patrz Rozdział XIII.

** Kontrola bilansów, wykonywana przez przysięgłych buchalterów, zorganizowanych korporatywnie na podstawie wysokiego cenzusu umiejętności i zaufania, uniemożliwia manipulacje na niekorzyść udziałowców i skarbu państwa oraz oszukańcze emisje. *Jawność społecznie kontrolowanych bilansów utrudnia również znowę. Tego rodzaju kontrola bilansów obowiązuje w Anglii (t. zw. Chartered accountants).* Tej kontroli, jak również faktowi, że akcje angielskie są przeważnie imienne, zawdzięcza Anglja swój zdrowy przemysł i mniej uciążliwe niż gdzieindziej formy kapitalizmu.

*** Henryk Radziszewski, *Polska Idea Ekonomiczna*, Warszawa 1918, str. 86: „Polska właściwie uważaną być może za kolebkę idei spółdzielczej”.

pochoďną tego słowa jest słowo „socjalizm“. Społeczeństwo, spółka, współdziałanie—to jedno i to samo przeciwieństwo mechanistycznej koncepcji życia, wypływającej z materializmu. Przeto niech nas nie myli fakt, że t. zw. „spółki akcyjne“, opłakany produkt ducha żydowskiego, stały się synonimem najciemniejszych stron kapitalizmu. *Wynalezienie odpowiadających genjuszowi danej rasy form współdziałania na polu gospodarczym—oto ważne zadanie w życiu każdego narodu.* Polska, wyzwolona z miazmatów ducha żydowskiego, rozwiązanie to znajdzie rychło. Ludzi zdolnych mamy wielu. Skoro się ich wychowa w duchu narodowym, znajdzie się dość jednostek pierwszorzędnych, których samo życie wysunie na stanowiska kierownicze w „uspołecznionych“ wielkich przedsiębiorstwach. Przedsiębiorstwa te, otoczone morzem drobnych i średnich warsztatów, działających w atmosferze swobody gospodarczej i godziwego współzawodnictwa, nie będą mogły się zasklepić w biurokratycznej rutynie, lecz stanowić będą aktywne ogniwa w żywym organizmie gospodarczym Narodu. O ile istnienie ich będzie wyrazem istotnej potrzeby gospodarczej, a nie tylko kombinacją referentów ministerjalnych — kapitał prywatny będzie do nich płynął szeroką strugą. Oczywiście nie kapitał anonimowej finansjery — ale *szukające godziwej lokaty oszczędności uwłaszczonych mas.*

UNARODOWIENIE SKONCENTROWANEGO KAPITAŁU.

Obecne formy skoncentrowanej produkcji zostaną zastąpione w przyszłości przez mniejsze lub średnie wytwórnie, powstające drogą inicjatywy prywatnej. Z pośród istniejących obecnie kolosów fabrycznych pozostaną na stałe tylko te nieliczne przedsiębiorstwa, które ze względu na „przyrodzony“ rozmiar produkcji lub na szczególny interes publiczny zachowają i w ustroju narodowym swą rację bytu. Reszta wielkich przedsiębiorstw, stanowiąca smutną pozostałość po epoce kapitalistycznej, będzie powoli zanikała, w miarę rozwoju i krzepnięcia gospodarki narodowej. Nie może być oczywiście mowy o natychmiastowym skasowaniu tych

kapitalistycznych dziwolałów, gdyż groziłoby to zamarciem całemu życiu gospodarczemu. Poprostu muszą one powoli zanikać w miarę gdy się będą stawały nieaktualne. Ten okres przejściowy może trwać kilkadziesiąt lat.

Ze względu na to, że pozostawienie niektórych z tych przedsiębiorstw w obecnych rękach, i to przez długi szereg lat, stanowi poważne niebezpieczeństwo natury politycznej (możność udaremnienia przez skoncentrowany kapitał reformy ustroju w sensie zasad narodowych), państwo musi przedsięwziąć odpowiednie kroki, by te przedsiębiorstwa znalazły się w rękach oddanych całkowicie sprawie narodowej. Wymaga tego również bezpieczeństwo Narodu, który nie może władzy (bo skoncentrowany przemysł daje posiadaczowi nie tylko zyski, ale władzę polityczną) nad setkami tysięcy ludzi, i kontroli nad przemysłem, stanowiącym część pogotowia zbrojnego narodu, pozostawić w rękach nam zdecydowanie wrogich (Niemcy i Żydzi).

Zasady unarodowienia tej części skoncentrowanego przemysłu, która znajduje się obecnie w rękach nam wrogich, będą następujące:

a) Odszkodowanie dotychczasowych właścicieli nastąpi w myśl narodowych pojęć o własności. Spekulantom kapitalistycznym, którzy doszli do posiadania drogą niemoralną, nie należysię żadne odszkodowanie. Właścicielom większych udziałów względnie pakietów akcji, którzy potrafią udowodnić, że doszli do ich posiadania drogą godziwą (praca lub dziedziczenie), należec się będzie odszkodowanie nie większe od takiej sumy jednorazowej lub takich spłat, które pozwolą im żyć nadal na stopie swego stanu. Drobnii akcjonariusze zostaną spłaceni w całości. Fikcyjne długi zagraniczne, będące formą udziałów obliczoną na obejście polskich przepisów podatkowych, zostaną anulowane jako oparte na oszustwie.

b) *Ustrój narodowy odnosi się z zasady wrogo do etatyzmu i niema zamiaru rozszerzać zakresu działalności gospodarczej państwa. Rząd przejmie więc przedsiębiorstwa wymagające unarodowienia, przekształci je w „uspołecznione” formy własności,* i odda je w ręce pewne pod względem moralnym i narodowym.*

* Patrz ustęp poprzedni (Uspołecznienie wielkich przedsiębiorstw).

Unarodowione przedsiębiorstwa użyteczności publicznej (elektrownie, gazownie i t. p.) przekazane zostaną samorządom.

c) Sumy, potrzebne na spłatę poprzednich właścicieli, uzyska się drogą subskrypcji udziałów przy przekształcaniu unarodowionych przedsiębiorstw w „społeczne” formy własności.

DEKONCENTRACJA WYTWÓRCZOŚCI.

Często wysuwany bywa argument zaczerpnięty u Marksa, że dekoncentrować można tylko działy wytwórczości już skoncentrowane, innemi słowy że koncentracja stanowi etap techniczny i ekonomiczny, którego przeskoczyć się nie da. Nie wydaje mi się to słuszne. Najistotniejszy problem Polski współczesnej polega właśnie na tem, by zaoptażyć masy w środki produkcji tam gdzie obecnie mieszkają, *nie niszcząc ich związku z ziemią*. Jest to niewątpliwie wykonalne, ale trzeba świadomego wysiłku społecznego i technicznego w tym kierunku, gdyż *laissez-faire*’yzm te masy „skoncentruje”, a tem samem i sproletaryzuje.

Jakie działy wytwórczości dojrzałe są u nas obecnie do dekoncentracji? Przedewszystkiem cały przemysł włókienniczy* (zatrudniający około 20% ogółu robotników, w dniu

* Procesy przędzenia, tkania i farbowania mogą niewątpliwie przy dzisiejszym stanie techniki odbywać się w zmechanizowanych drobnych warsztatach. Bodaj że tylko w dziale wykończalnictwa nie da się dekoncentracji przeprowadzić do końca, i trzeba będzie częściowo utrzymać średnie warsztaty.

Polski przemysł włókienniczy stoi obecnie przed gwałtowną rewolucją związaną z ostatecznem ulepszeniem metod t. zw. kotonizacji lnu i konopi (zobacz prace prof. Bratkowskiego w „Przeglądzie Lniarskim” 1935/36). W najbliższych latach będziemy świadkami przedstawienia całej naszej wytwórczości włókienniczej na surowce krajowe, czego z całego szeregu różnych względów uniknąć się nie da (patrz Rozdział XVI). Od nas tylko zależy, czy tę przemysłową rewolucję zwiążemy z procesem dekoncentracji, czy też będziemy dalej brnąć w olbrzymy wielkoprzemysłowe. Charakterystyczne, że nawet w łonie obozu dziś jeszcze w Polsce rządzącego obie powyższe tendencje zwalczają się już na noże: zwolennicy krajowych surowców włókienniczych i oleistych walczą pod wodzą gen. Żeligowskiego o dekoncentrację, a B. G. K. finansuje budowę wielkich zakładów lniarskich w Krośnie (oczywiście na rachunek p. Reichenbauma).

30.IX.1934 r. 133,500 robotników), następnie przemysł konfekcyjny, obuwniczy, cukrowniczy, gorzelniany, elektrotechniczny, radiowy, spożywczy, po części metalowy, chemiczny, ceramiczny i t.d. Jedyne działy, w których dekoncentracja wydaje się wykluczona, to górnictwo, hutnictwo, oraz ciężki przemysł metalowy* (zatrudniające razem w roku 1934 około 170,000 robotników t. zn. 25% ogółu). Choć i tu życie „dekoncentruje“ w formie bieda-szybów...

Są wszelkie dane do przypuszczenia, że w Ustroju Narodowym nie więcej niż 10% żywicieli rodzin będzie musiało pracować w skoncentrowanej wytwórczości, a 90% będzie uwłaszczonych. Z tych dziesięciu procent będzie można uwłaszczyć jeszcze pewną część w formie spółdzielni wytwórców, akcjonariatu pracy itp. Reszta będzie stanowiła w społeczeństwie grupę życiowo niewątpliwie upośledzoną, i jako taka będzie zasługiwała na specjalne względy, w formie szczególnej ochrony pracy oraz ubezpieczeń społecznych.

Ktoś zauważył trafnie, że *w każdym pokoleniu działają na rzecz koncentracji różnice zdolności, a na rzecz dekoncentracji podział majątku między dzieci*. Są ludzie, którzy się trapią, jak ograniczyć nadmierny wzrost majątków indywidualnych. Mam wrażenie, że zaradzi temu w dużej mierze podniesienie poziomu obyczajów i moralności gospodarczej, gdyż na dziesięć wielkich fortun z dziewięć jest napewno

* Wyteżając trochę wyobraźnię można przewidzieć dekoncentrację również i tych działów, oczywiście w trochę dalszej przyszłości. Kopalnictwo węgla na szerszą skalę, to rzecz nie starsza ponad dwieście lat, i mocno jest wątpliwe, czy ludzkość długo jeszcze skazywać będzie poważne rzesze swych współbraci na tak posępną inżynierię jak dobywanie węgla na setki metrów pod ziemią. Z chwilą gdy pojawią się nowe siły napędne, kopalnie węgla staną się zbyteczne. A siły napędne przyszłości — to przypuszczalnie energia słoneczna, a przede wszystkim energia wyzwolona przy rozpadaniu się atomów; takie źródła energii nie będą wymagały koncentracji.

Podobnie ma się rzecz z hutnictwem — żelazo może lada chwila zostać zdetronizowane przez jakieś nowe wynalazki, pozwalające indywidualnym warsztatom produkować we własnym zarządzie potrzebny surowiec o wysokiej wytrzymałości. Jedyne ciężki przemysł metalowy oprze się prawdopodobnie dekoncentracji, lecz zmuszony będzie odstąpić z czasem średnim i drobnym wytwórniom różne, niesłusznie obecnie uzurpowane działy wytwórczości.

uzyskanych przy pomocy metod, które społeczeństwo wprowadzie pocichu potępia, ale w braku przepisów ustawowych i norm obyczajowych ogół jest obecnie bezsilny i nie może zahamować zbrodniczego impetu jednostki. Co dziesiąta natomiast wielka fortuna wyrasta z istotnego genjuszu człowieka (np. Ford, Bat'a itp.), i żadne ograniczenia ustawowe tu nie pomagają, bo genjusz objawia się zawsze poza szablonem. Wypadki takie będą musiały władze Narodu rozpatrywać indywidualnie. Stały proces dekoncentracji „spadkowej” oraz unormowane obyczaje gospodarcze powinny prawie że automatycznie utrzymywać społeczeństwo w stanie godziwego rozłożenia własności, oile tylko strona polityczna rządów nie będzie szwankowała (gdyż państwo jest zawsze najgroźniejszym czynnikiem koncentracji).

Mówi się nieraz, że najpiękniejsza teoria nic nie zdziała przeciw życiu, które ma jakoby w naszej epoce tendencję do koncentracji. Otoż i to nieprawda. Legenda ta idzie od Marksa, ale życie płynie w kierunku odwrotnym. W dziedzinie, w której zachowały się jeszcze jakie takie obyczaje gospodarcze, t. j. w rolnictwie, obserwujemy na obszarze całej Europy od stu lat naturalną tendencję do dekoncentracji ziemi. W przemyśle, w którym bardzo złe obyczaje działają silnie koncentrująco, mimo to zaznaczają się już wyraźne tendencje dekoncentracyjne (z polskich uczonych pisał o tem zjawisku prof. Taylor).

Za dekoncentracją przemawiają dziś przede wszystkim walnie względy wojskowe (o tem już mówiłem uprzednio) oraz względy techniczne. O ile epoka maszyny parowej, ciężkiej i kosztownej, musiała być epoką produkcji skoncentrowanej, o tyle motory elektryczne i spalinowe nabierają sensu gospodarczego i społecznego dopiero w drobnym warsztacie. Starodawny kołowrotek, w zmodernizowanej postaci zwanej „maszyną przędzalniczą”, i zaopatrzony w motor, będzie bardziej na miejscu w domu tkacza niż w hali fabrycznej.

Obok względów technicznych, przerwanie zmonopolizowanej władzy rządami a wielkim kapitałem oraz podniesienie moralności gospodarczej przyczyni się również do tego, by i w dziedzinie przemysłu zapanował zdecydowany prąd dekoncentracji. Celowa polityka gospodarcza, oparta na zdrowej

teorii, rozwój ten znacznie przyspieszy. Nie obejdzie się oczywiście bez stworzenia pewnych *instytucyj badawczych* (techniczno-wynalazczych oraz ekonomiczno-organizacyjnych), które ten prad ujmą w odpowiednie koryto i przyspieszą.

Wreszcie ostatnie pytanie: skąd wziąć pieniądze na takie przekształcenie wytwórczości?

Niech odpowiedzą cyfry. Na uwłaszczenie jednej rodziny w formie sklepu lub drobnej wytwórni trzeba kilkuset do kilku tysięcy złotych. Skąd wziąć te kapitały? Ograniczę się tylko do jednego przykładu. Zadłużenie firmy włókienniczej Scheiblera i Grohmana w Łodzi w samych tylko bankach państwowych wynosiło w 1934 roku 46 milionów złotych. Przeciętna ilość robotników tej firmy waha się od 8386 (1929 r.) do 6693 (1935 r.). Jak widzimy, można było za same pieniądze publiczne pożyczone tej firmie (nie licząc kredytów prywatnych) uwłaszczyć gładko wszystkich zatrudnionych tam robotników. Ale słyszy się często argument, że na kredyt można budować tylko wielki przemysł, bo drobny wytwórca nie zwróci pożyczonych mu pieniędzy. Pogląd to zgruntu fałszywy. Każdy dyrektor Kasy Oszczędności przyzna na ucho, że *im niżej w społeczeństwo, tem większa sumienność kredytowa*. Chłop i rzemieślnik stają na głowie, by długi spłacać. Natomiast Scheibler i Grohmann napewno nigdy nikomu nic nie zwróca...

Ilość kredytów udzielonych przez B. G. K. przekracza dwa miliardy złotych. Z sumy tej korzystało w 1933 roku 21.760 osób, ale z tej liczby 167 dłużników pochłonęło 84% wszystkich kredytów*. Przy pomocy sumy miljarda siedmiuset milionów zastrzykniętych w ten sposób w wielki kapitał *można było uwłaszczyć wzgl. dowłaszczyć z milion rodzin!* A więc pieniądze były, tylko zostały źle użyte. Wkłady i kredyty krótkoterminowe w samej tylko P. K. O. wzrosły w latach 1930-1934 (a więc w czasie najcięższego kryzysu) o 427 milionów złotych. Pieniądze te pochłonięte zostały przez państwo i zetatyzowane przedsiębiorstwa, bez żadnego pożytku dla rozwoju gospodarczego kraju i naprawy jego ustroju. A przecież suma ta byłaby całkowicie wy-

* Cyfry niesprostowane, wymienione w przemówieniu posła Langera na pos. Sejmu w dniu 6.II.1935 r.

starczyła do sfinansowania własnych warsztatów dla wszystkich robotników, zatrudnionych w wielkim przemyśle włókienniczym całej Polski! Stan kredytów rzemieślniczych, udzielonych przez B.G.K. dla całej Polski, wynosił w roku 1935 siedem i pół miliona złotych. *A więc jedna fabryka (Scheibler i Grohmann) dostała sześć razy więcej kredytu niż setki tysięcy polskich rzemieślników.* I mówić tu potem, że pęd do koncentracji w Polsce jest „naturalny”! Jak widzimy z powyższych cyfr, sfinansowanie procesu uwłaszczenia mas nie przekracza naszych możliwości finansowych. Trzeba tylko rozumieć i chcieć!

Niestety sami robotnicy, zbałamuceni przez długoletnią infiltrację marksizmu, w wielu wypadkach stają się nieświadomymi sprzymierzeńcami skoncentrowanego kapitału, który stara się na wszelkie sposoby udowodnić, że dekoncentracja wytwórczości jest niepraktyczną utopją. Wśród robotników rozpowszechniany jest szeroko pogląd, że na własnym warsztacie pracować się będzie dłużej, i zarabiać się będzie mniej, a poza tem będzie się miało wszystkie kłopoty samodzielnosci, w przeciwieństwie do beztroskich perspektyw pracy w upaństwowionej fabryce. Rozumowanie to jest oczywiście błędne, gdyż robotnik uwłaszczony, nie oddający „nadwartości” swej pracy kapitałście (wzgl. państwu), nie utrzymujący swą pracą ani generalnych dyrektorów ani falangi dozorców i urzędników, będzie z natury rzeczy stał lepiej niż jego kolega w fabryce, nawet jeśli uwzględnić „naukową organizację pracy”, dzięki której jakoby wielka fabryka ma produkować taniej od drobnego warsztatu*. Trzeba się jednak z tem liczyć, że robotnik fabryczny przypomina dziś często swem usposobieniem „inteligenta” na „posadzie”, i myśl o samodzielnosci ma dla niego mało ponęty. Dekoncentracja produkcji jest problemem psychicznym podobnym do „odurzędniczenia” państwa. I jedno i drugie wymaga wychowania nowych pokoleń w nowym duchu. Trud to poważny, i wielu ludzi przed nim się cofa, ale bez przebudowy psychiki nie może być przebudowy ustroju.

* Nie mówiąc już o nieludzkich stronach „zracjonalizowanej produkcji”, tak często przekształcającej robotnika w automat, i wyciskającej z niego energję z taką samą brutalnością, z jaką wyciska się sok z cytryny (np. system taśmowy w produkcji, chronometraż ruchów i t. p.).

UWŁASZCZENIE PRACOWNIKÓW WIELKICH PRZEDSIĘBIORSTW.

Pracownikom najemnym, zatrudnionym w większych wytwórniach prywatnych oraz w „uspołecznionych” przedsiębiorstwach, będą się należały specjalne względy ze strony społeczeństwa z uwagi na to, że będą jedyną grupą nie korzystającą z dobrodziejstwa uwłaszczenia (w sensie łączenia w jednym ręku pracy i kapitału), i że swoją sytuacją życiową „nienormalną” będą okupywali poważne korzyści dla ogółu.

Pracownikom tym przysługiwać będzie „słuszną płacą” (patrz Rozdział następny). Dzięki tej płacy pracownik nie tylko będzie mógł żyć na stopie swego stanu, ale oszczędzając będzie również dochodził do własnego mienia. Społeczeństwo zainteresowane jest jednak nie tylko w tem, by pracownik mógł dojść do własności, lecz by do niej rzeczywiście doszedł. Pracownik fabryczny, czy to fizyczny czy umysłowy, wyrwany przeważnie ze swego naturalnego otoczenia i skutkiem tego mało odporny na różne pokusy życiowe, przytem z natury rzeczy jednostka raczej bierna (jednostki życiowo poradniejsze prędko się usamodzielniają), musi w interesie społeczeństwa być wzięty w obronę zarówno przed wyzyskiem z zewnątrz jak i przed samym sobą. Da się to uskutecznić jedynie drogą *ubezpieczeń społecznych*. W społeczeństwie kapitalistycznym, dążącym do bezustannego zwiększania armji pracowników najemnych, przybierają ubezpieczenia rozmiary niebezpieczne dla zdrowej gospodarki, ale w ustroju narodowym, z jego nieliczną i stale malejącą grupą ludzi żyjących z płacy, będą ubezpieczenia sprawiedliwym wyrównaniem ciężkiej doli pracownika fabrycznego, będącego niejako „murzynem” społeczeństwa.

Ubezpieczenia te, zawierające ubezpieczenie od wypadków, bezrobocia, choroby i na starość, będą skonstruowane w taki sposób, by najbardziej pechowy pracownik, ścigany przez los chorobami i bezrobociem, miał w każdym razie zapewnioną rentę od chwili gdy przestanie być zdolny do pracy. Natomiast przeciętnie zdolny i pracowity człowiek będzie miał możność w pewnym momencie swego życia skapitalizować swoje wkłady, i czyto założyć samodzielny warsztat

pracy (sklep, drobną wytwórnnię lub gospodarstwo rolne), czy też nabyć własność nieruchomą.

Jest oczywiste, że po potrąceniu wkładki ubezpieczeniowej pracownik będzie otrzymywał na rękę sumę wystarczającą na utrzymanie rodziny na stopie swego stanu, gdyż wkładka odpowiadać będzie tej części jego zarobku, która będzie przeznaczona na uwłaszczenie.

Słysz się często argument, że wszechstronne ubezpieczenie pracownika stanowi obciążenie nadmierne dla przedsiębiorstw prywatnych. Argument ten, częściowo słuszny w kapitalistycznym systemie, odpadnie w ustroju narodowym, gdyż przymus ubezpieczenia ograniczony będzie wyłącznie do większych przedsiębiorstw,* a w dziale tym dochody są duże, i w stosunku do ryzyka przedsiębiorcy, kosztów zarządu, surowców i maszyn, płace pracowników nie odgrywają wielkiej roli. Nie mówiąc o tem, że przedsiębiorca bez względu na rezultat swej działalności ma tę satysfakcję że zajmuje w społeczeństwie kierownicze stanowisko (a dla szeregu ludzi jest to ważniejsze od końcowego wyniku), podczas gdy pracownik poza swoją pracą oddaje przedsiębiorcy także część swej godności i wolności osobistej, a więc część swego człowieczeństwa.

Zbyteczne chyba nadmieniać, że organizacja ubezpieczeń społecznych w niczem nie będzie przypominała ich obecnej formy. W Ustroju Narodowym ubezpieczenia społeczne zorganizowane będą z wyłączną myślą o ubezpieczonym pracowniku, podczas gdy dziś ubezpieczenia te są zamaskowaną formą podatku, mającego na celu utrzymać jak najliczniejszą rzeszę zwolenników rządzącego w danej chwili regime'u.

* W przedsiębiorstwach publicznych pracownicy pobierają emerytury, uwłaszczenie może przeto następować przez kapitalizację emerytury (patrz Rozdział XVIII, Uwłaszczenie inteligencji).

ROZDZIAŁ XIII.

SŁUSZNA PŁACA.

Pracownikowi, który czerpie swe środki do życia z pracy najemnej, należy się płaca, pozwalająca przeciętnie uzdolnionej jednostce utrzymać rodzinę i wychować dzieci na stopie swego stanu, ale dojść również drogą oszczędności do nabycia własnego mienia.

Słuszna płaca winna zawierać w sobie możność dojścia do własnego mienia. Rozmiar i rodzaj tego mienia zależy od stanu danej jednostki i od jej uzdolnienia. Teoretyczny postulat, by *każdy* (bez względu na zdolności i przyrodzone swe właściwości) doszedł do własnego mienia, byłby utopją, ze względu na istnienie w społeczeństwie nielicznej „grupy upośledzonych“ (patrz Rozdział XIX), która tego postulatu nie potrafi urzeczywistnić. Natomiast przeciętna jednostka, obdarzona przeciętnie liczną rodziną, musi w prawidłowym ustroju mieć możność dojścia do własnego mienia.

W społeczeństwie, w którym panuje bezrobocie, i organizm gospodarczy skutkiem wadliwej organizacji zamiera, jak się to dzieje obecnie w Polsce, słuszna płaca zrealizować się nie da, ludzie się cieszą, gdy nie grozi im poprostu śmierć głodowa. Lecz w ustroju narodowym ta ewentualność nie będzie groziła. Po zrzuceniu z siebie podwójnej obroży, złożonej z lichwy i monopolowych zysków skoncentrowanego kapitału, każdy człowiek pracując w miarę sił swoich zarabiać będzie w miarę umiejętności swoich. Z chwilą wprowadzenia w życie postulatów narodowych ilość drobnych i średnich warsztatów będzie nieustannie wzrastała, zmniejszając tem samem rzesze żyjące z pracy najemnej. Czeladnicy rękodzielnika, czy pomocnicy właściciela w drobnym warsztacie, rozpoczynający pracę zawodową jako pracownicy najemni, naturalnym biegiem rzeczy będą mieli otwartą drogę do założenia z kolei własnego warsztatu. Problem słusznej płacy ograniczy się więc do stosunkowo nielicznego stanu pracow-

ników w większych prywatnych, i największych „uspołecz-
nionych“ przedsiębiorstwach.

Ale postępy techniki i organizacji pracy mają ten skutek, że przy nawet skróconym (lecz zato intensywniejszym) czasie pracy powstaje drogą wysiłku jednego człowieka coraz to więcej dóbr do podziału, przyczem wśród tych dóbr jest coraz większy odsetek dóbr niekonsumpcyjnych, trwałych, przeznaczonych do stania się czyjąś stałą własnością. Podobnie dzieje się z ziemią, która w miarę postępów w technice uprawy umożliwia coraz to dalej idący podział, a więc coraz to większą ilość samodzielnych warsztatów oraz posiadłości mieszkalnych dla rodzin nie pracujących na roli.

Cały problem w tem, by ta ilość dóbr była dzielona sprawiedliwie, tak, by na każdą rodzinę wypadła odpowiednia ilość dóbr konsumpcyjnych (utrzymanie) oraz dóbr trwałych (własność).

W naszej epoce niema sprawy dóbr (bo tych dóbr jest pod dostatkiem), jest tylko *sprawa rozdziału dóbr*. Do problemu rozdziału dóbr sprowadza się zarówno kwestja słusznej płacy, jak i ściśle z nią spokrewniona kwestja godziwej ceny.

W Państwie Narodowym przeważająca większość ludności pracować będzie na warsztatach własnych. Jedynym dochodem tych ludzi będzie sprzedaż wytwarzanych przez nich dóbr. Jest rzeczą jasną, że *dla drobnego producenta problem ceny jest właśnie problemem płacy*, gdyż jego „płacą“ są wpływy za sprzedane wytwory własnego warsztatu.

Z chwilą gdy społeczeństwo oparte na uwłaszczonych masach rozwiąże problem „godziwej ceny“ — problem „słusznej płacy“ znajdzie automatyczne rozwiązanie. Wiemy, że w Państwie Narodowym z morza drobnych i średnich warsztatów będą wystawały nieliczne wyspy uspołeczniczonych wielkich przedsiębiorstw, w których będą pracowali pracownicy najemni. O ile w tem morzu zapanują godziwe stosunki gospodarcze, t. zn. każdy człowiek będzie pobierał za swoje wytwory „godziwą cenę“ (czyli będzie miał swój właściwy udział w masie wytwarzanych przez społeczeństwo dóbr), wówczas i na wyspach pracy najemnej zapanuje wszechwładnie „słuszna płaca“, gdyż w atmosferze prawdziwej swobody gospodarczej poziom płac i cen stale się wy-

równując, i nie może powstać sytuacja, w której na tle rzeszy zadowolonych istnieje jedna kategoria pracowników pokrzywdzonych. Pracownik wielkiego przedsiębiorstwa, o ile uważałby swą płacę za krzywdzącą, będzie miał przecież stale możliwość przerzucenia się w samodzielne życie gospodarcze, czy też wyszukania sobie innego pracodawcy (wobec dekoncentracji przemysłu).

Sprawiedliwy rozdział wyprodukowanych dóbr między wszystkich członków społeczeństwa jest przeto możliwy tylko wówczas, jeśli społeczeństwo płaci, a wytwórca pobiera za każde dobro cenę „godziwą”.

GODZIWA CENA.

Cena jest wówczas godziwa, gdy umożliwia przeciętnemu wytwórcy utrzymanie warsztatu na poziomie bieżącego postępu technicznego, utrzymanie rodziny na poziomie swego stanu, oraz płacenie słusznych płac zatrudnionym pracownikom. W pojęciu utrzymania rodziny mieści się również element oszczędności, kapitalizacji, pozwalającej wyposażyć te z dzieci, które nie odziedziczą warsztatu ojca.

Kto ma zakładać nowe warsztaty pracy, gdy powyższa definicja godziwej ceny zapanuje w życiu? Przedewszystkiem młodszy synowie, którzy nie odziedziczą warsztatu ojca, ale zostaną przez niego wyposażeni w wykształcenie zawodowe i gotówkę. A następnie jednostki zdolniejsze od przeciętnych, które w atmosferze wolnej wymiany potrafią wygospodarować większe dochody od jednostek przeciętnych. Jest „godziwe”, by za swe większe zdolności ciągnęły większe dochody. Byłoby „niegodziwe”, gdyby tę swoją przyrodzoną przewagę wyzyskiwały następnie w kierunku pozbawienia jednostek, mniej obdarzonych przez naturę, należnej im sprawiedliwie części dochodu społecznego, jak się to dzieje w ustroju kapitalistycznym.*

Co to jest „cena”? Cena, to wartość towaru wyrażona w pieniądzu obiegowym.

Od czego zależy wartość danego dobra? Według podęczników ekonomii klasycznej, wartość zależy od *rzadkości*

* Pewną ilość nowych warsztatów pracy zakładać będą również uwłaszczający się pracownicy najemni.

i użyteczności danego dobra. Np. powietrze jest wysoc użyteczne, ale każdy człowiek ma go tyle ile zechce, i to bez otwierania portmonetki. Powietrze jest przeto bez „wartości“, w sensie ekonomicznym tego słowa, gdyż nie jest dostatecznie „rzadkie“.

Naodwrot, istnieją dobra bardzo rzadkie, których wartość jest jednak mała lub żadna, gdyż nie dadzą się użyć w żaden racjonalny sposób. Np. pieczar w skałach jest na świecie stosunkowo niewiele, mimo tego nikt nie jest skłonny zapłacić za mieszkanie w pieczarze jakiegokolwiek czynszu, gdyż mieszkać tam byłoby niezdrowo, i każdy człowiek wolalby się gnieździć w najniższej nawet chałupie, byle uniknąć chłodu i wilgoci panujących w jaskini. Jeśli natomiast jakaś pieczara jest specjalnie malownicza, wówczas jest już nietylko „rzadka“, ale staje się i „użyteczna“, i przez to nabiera wartości. U jej wejścia zasiada w budce kasjerka i pobiera wstępny.

Pojęcia „rzadkości“ i „użyteczności“ łączą się w pojęciu „użyteczności krańcowej“. Naprzykład: póki w jakiejś rzece przepływa ilość wody, wystarczająca na zaspokojenie potrzeb wszystkich mieszkańców nadbrzeżnej osady, póty woda jest bez wartości. Ale nadchodzi posucha i rzeka wysycha. W osadzie są studnie, które początkowo dają jeszcze dostateczną ilość wody na wszystkie potrzeby mieszkańców. Woda jest jeszcze bez wartości. Lecz posucha się przedłuża. Właściciele studzien zaczynają pobierać po pięć groszy za wiadro wody. Chcąc niechcąc ludzie za wodę płacą, lecz ograniczają swe potrzeby, przestają szorować podłogi i prać bieliznę. Posucha trwa nadal. Cena za wodę wzrasta do dziesięciu groszy za wiadro, ludzie przestają się myć, wreszcie w miarę wzrostu ceny, ubożsi zaczynają oszczędzać i na wodzie do picia i gotowania.

Wartość danego dobra zależy więc od jego użyteczności krańcowej, t. zn. od miejsca, które to dobro zajmuje w hierarchji pożądań konsumentów. Jeżeli pewne dobro znajdzie się na dolnym krańcu pożądań, t. zn. ludzie przyjełby je może darmo, ale nie są skłonni za nie zapłacić, wówczas wartość tego dobra, a więc i jego cena, równają się zeru. Natomiast ostatni kubek wody na Saharze wysuwa się na górny kraniec w hierarchji pożądań. Miljoner gotów za

• niego oddać swój cały majątek, gdyż użyteczność tej wody jest dla niego poprostu nieskończona.

Staralem się w krótkich słowach przedstawić czytelnikowi liberalną teorię „wartości”. Koncepcja ta jest czysto zewnętrzna, obiektywna. Ekonomista liberalny ogląda się tylko na stosunek konsumenta do towaru, i wyprowadza wartość z czysto mechanicznej gry potrzeb i pożądań.

Nie potrzebuję chyba wyjaśniać czytelnikowi, że według teorii narodowej *miarą wartości może być w zasadzie tylko praca**. Nie kwestjonujemy, że człowiek pożądania swoje stopniuje w stosunku do użyteczności i rzadkości danego dobra. Poprostu *każde dobro ma dwie wartości: zewnętrzną, opartą na pożądaniu nabywców, i wewnętrzną, wypływającą z włożonej w dane dobro pracy*. W godziwym ustroju, obie te wartości mają stałą tendencję do pokrywania się, czasem rozchodzą się więcej, czasem mniej, ale powinny wykazywać jaknajmniejsze odchylenia. Teoretycznie odbywa się to wyrównanie wartości wewnętrznej i zewnętrznej towaru w następujący sposób: skoro pożądanie nabywcy, a więc i cena towaru, spada poniżej wynagrodzenia za pracę wytwórcy, wówczas część wytwórców przerzuca się na inny rodzaj produkcji, podaż danego towaru spada, skutkiem tego cena jego wzrasta, i obie wartości znów się pokrywają.

Analogicznie, jeśli pożądanie wzrasta powyżej kosztów produkcji, wówczas nowi producenci zjawiają się na rynku, podaż danego towaru się zwiększa, póki cena nie spadnie

* Według pojęć ekonomji klasycznej na koszt produkcji składają się:

- 1) wynagrodzenie pracowników najemnych,
- 2) wynagrodzenie przedsiębiorcy,
- 3) koszt surowca, koszty handlowe i t. p.,
- 4) wynagrodzenie kapitału.

Punkty 1) i 3) są bezsporne. Co do punktu 2), to przedsiębiorca wykonuje również pracę, i to pracę wysokowartościową, bo organizacyjną, należy mu się przeto także odpowiednie wynagrodzenie. Natomiast składnik 4) będzie miał w Ustroju Narodowym tendencję do zaniku, z chwilą ustania zysków monopolowych oraz w miarę obniżania się stopy procentowej. Określenie, że „miarą wartości może być w zasadzie tylko praca”, stałoby się więc zupełnie ściśle w ustroju idealnym, w którym kapitał nie niosłby żadnych zysków (gdyż w składnik 3) wchodziłby wówczas również tylko czynnik pracy), pod warunkiem jednak, że słowem „praca” obejmujemy nie tylko pracę najemną, lecz także pracę organizatora-przedsiębiorcy.

i obie wartości się nie wyrównają. To sławne *prawo popytu i podaży* ma właśnie na celu uzgodnić potrzeby człowieka z jego pracą. Ma zapobiec, by ludzie nie kierowali swych wysiłków na rzeczy zbędne, z pominięciem zaspokojenia potrzeb istotnych, oraz by producenci nie czerpali zysków kosztem cudzej pracy. *Swobodna gra popytu i podaży sprzyja formowaniu się godziwej ceny*. Zbyteczne chyba nadmienić, że gra popytu i podaży odhylać się może tylko w atmosferze swobody współzawodnictwa.

Problem godziwej ceny sprowadza się w głównej mierze do problemu godziwego współzawodnictwa.

Marksieści i ich cisi współpracownicy (etatysty i zwolennicy t. zw. gospodarki planowej) eliminują współzawodnictwo w życiu gospodarczym całkowicie, i opierają dostosowanie produkcji do konsumpcji, a więc dostosowanie potrzeb do pracy, na statystycznych obliczeniach dokonywanych przy zielonym stole centralnych instytucji gospodarczych. Pisałem już o tem w rozdziale poświęconym uwłaszczeniu mas, i będę miał sposobność mówić w dalszych ustępach tej książki, jak nieżyciowe są takie zapędy i do jakich tysięcznych krzywd muszą prowadzić. Liberalizm był znacznie bliżej prawdy, zapomniał jedynie o tem, że swoboda współzawodnictwa i związana z nią nieodłącznie gra popytu i podaży automatycznie zanika, o ile jej nie chronić przed wyrodnieniem. W ustroju liberalnym kapitalista rozumuje tak: ponieważ cena, a więc i możliwość zysku, zależy od rzadkości i użyteczności towaru, przeto fałszując oba te czynniki można dojść do zerwania związku pomiędzy ceną i pracą i tem samem do zainkasowania nienależnego zysku. *Rzadkość* stworzyć łatwo: zawiązuje się kartel, ustanawia się kontyngenty, ogranicza produkcję. Wytwarza się sztuczny głód towarów i ceny idą w górę. Na oko zdawałoby się, że trudniej sfalszować drugi czynnik wpływający na kształtowanie się ceny, to jest *użyteczność towaru*. Zdawałoby się, że każdy człowiek wie doskonale, co i w jakim stopniu jest dla niego użyteczne. Ale to tylko złudzenie. Kapitalizm po mistrzowsku rozwiązał ten problem przy pomocy *reklamy*. Nowoczesny system reklamy (myślę oczywiście tylko o tak częstych jego zwyrodnieniach) polega na wmawianiu ludziom potrzeb, których nie mają lub mają

w słabym stopniu. Jest to działanie oparte w dużej mierze na oszustwie (świadome podawanie zalet, których dany towar nie ma) i na równoczesnem budzeniu w człowieku szeregu niskich instynktów (działanie psychiczne zbliżone do oddziaływania demagogii). Potęgą używanych do reklamy środków przesądza o rozmiarach zła, a kryzysy gospodarcze wybuchają przeważnie wtedy, gdy społeczeństwo nagle się ocknie i przekonywuje się, że wmówionych sobie potrzeb właściwie nie ma (np. kryzys w przemyśle automobilowym). Dla człowieka myślącego kategorjami moralnemi o sprawach gospodarczych nie może ulegać wątpliwości, że system reklamy amerykańskiej, przeszczepiany tak usilnie do Europy, musi jako niemoralny prowadzić do tem silniejszych zaburzeń gospodarczych, im silniej był stosowany. W ustroju narodowym trzeba będzie uświadomić zarówno całe społeczeństwo, jak i sfery gospodarcze, o szkodliwym społecznie działaniu nadmiernej reklamy. Oczywiście, im usilniejsza reklama, tem większa rozbieżność między pracą włożoną w produkcję danego towaru a jego ceną.

WSPÓŁZAWODNICTWO.

Przez rozdziały mej pracy przewija się jako stały motyw przewodni stwierdzenie zbieżności między chrześcijańską a narodową doktryną społeczno-gospodarczą. Muszę atoli na jednym punkcie sygnalizować sprzeczność, a mianowicie na punkcie roli współzawodnictwa w gospodarce. Nie jest to zresztą sprzeczność w doktrynie.* Jest to raczej sprzeczność między poglądami większości chrześcijańskich myślicieli a nacjonalistami, sprzeczność wypływająca przedewszystkiem z różnicy temperamentu i sposobu patrzenia na życie. Przeciętny ksiądz ma z natury swego powołania usposobienie bardziej samarytańskie, temperament bardziej komtemplacyjny, niż przeciętny człowiek świecki. To co dla księdza wydaje się nieraz bląhostką, dla jego owieczek jest sprawą wielkiej wagi. Muszą być na świecie ludzie, którzy siłą utrzymują porządek w społeczeństwie, by bezbronny ksiądz mógł spokojnie spowiadać w konfesjonale. Słowo walka—choćby

* Ojciec św. Pius XI pisze w Encyklice „Quadragesimo anno”: „Wolne współzawodnictwo, choć sprawiedliwe i dające dobre skutki, o ile je utrzymać w określonych granicach, nie może być naczelną zasadą, rządzącą światem ekonomicznym”.

chodziło tylko o godziwe współzawodnictwo życiowe—ma dla księdza smak podejrzany,* i wolałby go unikać w rozważaniach gospodarczych. My się tego słowa nie boimy. Niema innego sposobu na dowiedzenie się, czy ktoś jest dobrym czy złym krawcem, jak współzawodnictwo między krawcami o względy klienta. Zarówno ludzi odpowiednich do wyrobu zegarków czy krawatów, jak mężów powołanych do rządzenia państwem, może społeczeństwo wyłonić tylko w atmosferze swobodnego współzawodnictwa. Co więcej, człowiek może osiągnąć maksimum zadowolenia w życiu tylko pod warunkiem, że „dobierze” sobie zawód i określi swoje aspiracje życiowe odpowiednio do swych przyrodzonych zdolności. A właściwy dobór zawodu jest tylko możliwy, gdy jednostka bardzo wcześnie, bo już od ławy szkolnej, stoi w ogniu współzawodnictwa.**

Stwierdzenie, że cena towaru pokrywać się winna z pracą włożoną w jego produkcję, zachowuje tylko wtedy swój głęboki sens, o ile mamy pewność że towar ten wyprodukowano sprawnie, t. zn. że nie włożono w niego trzy razy więcej pracy niż potrzeba. Społeczeństwo nie może popierać niedołęgów, którzy ślęczą przez trzy dni nad jakąś pracą, którą możnaby wykonać w ciągu jednego przedpołudnia. *Cenę można oprzeć na pracy jedynie wtedy, gdy współzawodnictwo normuje ilość pracy potrzebną do wytworzenia każdego towaru.* Problem ceny i płacy, a więc problem rozdziału dóbr, rozwiązać może skutecznie tylko wolna konkurencja, pod tym względem teoria narodowa zgadza się z teorią liberalną.*** Z tą jednak różnicą, że

* Na punkcie awersji do współzawodnictwa w życiu gospodarczym rzuca się w oczy zbieżność między rozumowaniem niektórych teologów a prądami kolektywistycznymi, których pobożne życzenia stanowi przeciwieństwo — wytwórca, jeden wszechobejmujący monopol, wykluczający jakąkolwiek możliwość współzawodnictwa.

** Obóz „postępu” zanierza oprzeć wybór zawodu na badaniach w pracowniach „psychotechnicznych”. Są po próby dzieciennie naiwne, nie liczące się z tysiącami najistotniejszych cech człowieka, które dopiero w ogniu walki życiowej się ujawniają.

Stefan Żaleski, *Idea słusznej płacy*, Poznań 1925, str. 113. „Ujemne skutki i niebezpieczeństwo bezwzględnego stosowania „słusznej płacy”, bez uwzględniania produktywności pracy... powstają dlatego, że życiem gospodarczym rządzą pewne prawa niezależne od woli ludzkiej. Te prawa wskazują granice możliwości, w jakich realizuje się takie lub inne zjawisko społeczne”.

w społeczeństwie liberalnem narastający jak lawina wielki kapitał przemysłowy i finansowy czyni niebawem wolną wymianę całkowicie złudną, poczem zagarnia własność dla siebie, podczas gdy w ustroju narodowym wytworzenie silnego organizmu stanowo-zawodowego, zdecydowane przeciwdziałanie koncentracji przemysłu oraz oparcie krążenia kapitałów na zasadach chrześcijańskich umożliwi dopiero właściwe działanie wolnej wymiany, w sensie sprawiedliwego rozprowadzania powstających dóbr po wszystkich stanach społecznych. *W ten sposób zrealizowana swoboda współzawodnictwa da pracownikom wszystkie należne im korzyści, gdyż wszelka obniżka ceny towarów będzie z korzyścią dla płatnego pracownika, zwiększając tem samem jego realną płacę, a większa niż obecnie ilość samodzielnych warsztatów rozwiąże półniewolę pracownika u pracodawcy, czyniąc z tego i wartościowego pracownika przedmiot pożądania ze strony szeregu współzawodniczących z sobą pracodawców.* Wpłynie to na poprawę bytu pracownika i na podniesienie jego godności osobistej. Nie zapominajmy również o tem, że zmiana posady będzie rzeczą mniej groźną i znacznie rzadszą przy systemie mniejszych niż obecnie wytwórni, w których stosunek między właścicielem (zarządzającym osobiście swem przedsiębiorstwem) a pracownikiem oparty będzie nie tylko na pieniądzu, ale i na węzłach ogólnoludzkich.

Unormowanie współzawodnictwa w życiu społecznem i gospodarczem, nadanie mu godziwej i twórczej formy, i stała baczność, by się nie wyradzało w walkę opryszków, jak to miało miejsce w kapitalizmie — to podstawowy problem gospodarki. Mecz piłki nożnej stanowi przyjemność i dla grających i dla patrzących, pod warunkiem, że się odbywa zgodnie z regulaminem zawodów. Gdy dyscyplina sportowa na chwilę się rozluźni, zajżdża karetka pogotowia i wywozi zmasakrowanych graczy. Liberalizm chciał się obejść w rozgrywkach gospodarczych bez klubów, sędziów i przepisów gry. Dlatego zbankrutował. My uważamy, że życie gospodarcze wymaga niemniejszego stopnia organizacji niż życie sportowe. Chcemy stworzyć ramy dla zdrowego męskiego współzawodnictwa. *Funkcje takich ram spełniać będzie organizm stanowo-zawo-*

dowy, który pozwoli ująć każdą jednostkę w karby nieodzownej dyscypliny gospodarczej.

SPOŁECZEŃSTWO JAKO ORGANIZM.

Według pojęć narodowych*, budowa społeczeństwa musi przypominać budowę żywego organizmu. Człowiek nie może być odosobniony, musi czuć oparcie, musi być przynależny do rodziny, zawodu, stanu, Ojczyzny w szerszym, regionalnym, jak i w szerszym, narodowym tego słowa znaczeniu. Swoboda osobista i możliwości twórcze jednostki leżą w podporządkowaniu się pewnym normom moralnym i społecznym, w poczuciu dyscypliny i hierarchji, w harmonji ustroju, jedynie zdolnej do zagwarantowania godności i wolności osobistej człowieka. Człowiek ma w sobie zarówno instynkty stadne jak i indywidualne. W prawidłowym ustroju społecznym i jedne i drugie muszą być wykorzystane i zaspokojone.

Przeciw powyższej, jedynie możliwej koncepcji społeczeństwa, wyruszył do boju liberalizm. W swej pierwotnej, nieskażonej postaci, zwalczał liberalizm wszelkie społeczne formy organizacyjne, uważając, że prawa ekonomiczne działają jedynie wtedy z zadawalającą precyzją, gdy społeczeństwo składa się z jednostek nieskrępowanych niczem w swej działalności gospodarczej. Jedyną organizacją, tolerowaną z musu przez doktrynę liberalną, było państwo sprowadzone do roli stróża porządku publicznego. Poczynając od rewolucji francuskiej powyższa zasada obowiązywała w społeczeństwach liberalnych Zachodu. Wszelkie organizacje zawodowe czy gospodarcze zostały ustawowo zakazane.

Wydaje się dziś rzeczą niepojętą, że „nauka” przez cały wiek stała na stanowisku, jakoby mogła się utrzymać zbiorowość ludzka, w której ludzi współżyjących z sobą nie wiąże nic poza wspólnymi podatkami na utrzymanie sędziów i policjantów oraz wspólnem przekonaniem, że celem życia ludzkiego jest dążenie do jaknajwiększego zysku. W myśl

* Również i na tym punkcie całkowicie zgodnych z koncepcją chrześcijańską.

takiej to anarchicznej doktryny, sprzecznej z prymitywnymi nakazami zdrowego rozsądku, rozwalono odziedziczoną po poprzednich wiekach misterną budowlę społeczną. Byłoby zupełnie zrozumiałe, gdyby tę budowlę rozwalono w tym celu, by na jej miejsce postawić gmach doskonalszy. Co jest niepojęte, to ta zacięłość, z którą rozerwano wszelkie więzy łączące ludzi między sobą, i zostawiono na placu boju gospodarczego społeczeństwo całkowicie rozproszkowane.

Podobnie jak w kwestji własności „prywatnej” i „społecznej”, tak i w tej sprawie nie możemy się powstrzymać od postawienia pytania: komu zależało na takim pomniejszeniu pojęć, i na takim zaprzeczaniu odwiecznym prawom istnienia społeczności ludzkiej?

Odpowiedź będzie znów ta sama. Poza liberalną doktryną o konieczności zatamizowania społeczeństwa nie może się kryć nic innego, jak tylko narodowy interes żydowski. W hierarchicznie zmontowany organizm społeczny Żydzi na równych prawach wcisnąć się nie mogli. Samo ustawowe równouprawnienie nieby im w tem nie pomogło, gdyż organizm społeczny narodów aryjskich oparty był na zasadach tak sprzecznych z psychiką żydowską, że Żyd czuł się jak ryba złapana w sieć, i dusił się w jarzmie obcych mu przepisów moralnych i form organizacyjnych.

Pierwszym warunkiem równouprawnienia Żydów z narodami rdzennymi było całkowite zdeorganizowanie każdego społeczeństwa, i rozłożenie go na atomy. Zadania tego podjęła się doktryna liberalna, i przeprowadziła je z pełnym sukcesem.

Z chwilą skasowania w społeczeństwach aryjskich wszelkich form organizacyjnych, pośredniczących między jednostką a państwem, pozostali na placu Żydzi jako jedyna społeczność zorganizowana*. Nic więc dziwnego, że od tej chwili Żydostwo rozrasta się, tuczy i potężnieje.

* W żadnym z etapów swej historii Żydzi nie znaleźli cech silnie i organicznie zorganizowanej zbiorowości.

Ta część doktryny liberalnej, która głosiła integralne rozproszkowanie społeczeństwa, była tak oczywiście absurdalna, że musiała się załamać wcześniej od wszystkich innych dogmatów liberalizmu. Już w połowie XIX wieku warstwa robotnicza, która jako najstańsza ekonomicznie cierpiała najbardziej skutkiem anarchizacji społeczeństwa, zrozumiała konieczność organizowania się, i po długich bojach parlamentarnych wywalczyła sobie t. zw. „prawo koalicji”. W ślad za robotnikami zaczęły się organizować również i inne warstwy społeczne. Od tego czasu rozwój wszystkich społeczeństw idzie ponownie w kierunku mnożenia się form organizacyjnych przeróżnych rodzajów. W sto lat po zwycięstwie liberalizmu przeciętna jednostka jest już znowu włączona w całą sieć organizacji, jest zrzeszona zawodowo, politycznie, religijnie, kulturalnie, terytorjalnie, sportowo, w warstwach wyższych ponadto tajnie. Przynależność równoczesna do kilku organizacji uchodzi za regułę. Po unicestwieniu dawnego organizmu społecznego przez „wiek oświecenia” i Wielką Rewolucję zaczyna się ponownie tworzyć, bardzo jeszcze chaotycznie i fragmentarycznie, coś w rodzaju nowej organicznej zbiorowości.

Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwa rdzenne, pozostawione samym sobie, wytworzyłyby stosunkowo szybko nowy organizm społeczny, o formach dostosowanych do naszej epoki, i z tem samem znalazłyby rychłe i godziwe rozwiązanie problemy gospodarcze i ustrojowe naszych czasów. Ale wytwarzanie się zdrowego organizmu zbiorowego szłoby w parze z automatycznym eliminowaniem wszelkiego rodzaju nieproduktywnych czynników, żerujących na anarchji i chaosie. Kierownicy Narodu Wybranego doskonale widzą to niebezpieczeństwo, grożące lwiej części ich pobratymców, to też od chwili, gdy w społeczeństwach otumanionych dotkryną liberalną zaznaczył się zdrowy pęd do organizacji, wysiłki Żydostwa i posłusznej mu masonerii idą w tym kierunku, by ten pęd organizacyjny paczyć i wykorzystywać dla własnych celów. Organizm społeczny musi być oparty na współdziałaniu jednostek w organizacjach, i na współdziałaniu organizacji między sobą. Hierarchiczna piramida prowadzi od jednostki do naczelnych władz Zorganizowanego Narodu. Rzucenie hasła walki tam, gdzie de-

wiąz może być jedynie *współpraca*, wystarczająca, by udaremnić w zarodku narastanie organizmu społecznego.

„Przypadkiem” znalazł się Żyd, bl. p. Marks, zapewne członek Synhedrynu, który podjął się tego wdzięcznego zadania i zastrzyknął „naukowo” w społeczeństwa aryjskie paradoksalną doktrynę, jakoby wszelka zbiorowość ludzka opierała się na walce klas. Teoria ta miała wszelkie pozory prawdopodobieństwa w ustroju kapitalistycznym, opartym na bezwzględnej walce gospodarczej i społecznej. Metoda była rzeczywiście genialna: najpierw stworzono ustrój anarchiczny, w którym hasłem była walka wszystkich ze wszystkimi, a następnie wmówiono wpatrzonym w to widowisko masom, że takie jest odwieczne prawo współżycia ludzi.

Po wpływie Marksa instyktowny pęd do organizowania się pokierowano w ten sposób, że każda organizacja powstawała przeciw komuś, by coś na kimś wymusić. Zrzeszenia pracodawców miały cel podwójny: wymusić na robotnikach niskie płace, wymusić na konsumentach wysokie ceny. Do tego służą trusty i kartele. Organizacje robotnicze powstawały by wymusić wysokie płace i możliwie małą ilość pracy. Tam gdzie robotnikom udawało się chwycić za gardło społeczeństwo; wymuszali często płace stojące w jaskrawej sprzeczności z ogólnym poziomem płac (np. w szeregu instytucyj użyteczności publicznej. W gazowni warszawskiej pensje woźnych dociągały za dobrych czasów do poborów generalskich). Wymuszając dla siebie w pewnym dziale nadmierne płace, robotnicy nie zwracali uwagi na to, że krzywdzą przeważnie nie pracodawców, ale korzystające z produktów pracy robotniczej szerokie masy. Tam natomiast, gdzie organizacja najbardziej byłaby potrzebna, gdzie pracownik jest najsłabszy a wyzysk najbezwzględniejszy, jak np. we wszelkich działach chałupnictwa, pracodawcy potrafili naogół przeszkodzić powstaniu związków zawodowych.

W świecie kapitalizmu i walki klas powstanie jakiegokolwiek organizacji zawodowej stanowi już czyjeś zwycięstwo nad kimś innym. Tam gdzie pracodawcy są silniejsi od robotników, potrafią udaremnić powstanie organizacji zawodowej. Tam gdzie siły pracodawców i pracobiorców są równe obie strony się zrzeszają, przyczem wyłącznym celem obu organizacyj jest wzajemne zwalczanie się. W państwie ko-

lektywistycznym, które stanowi ostateczny cel tych belesnych zapasów, niezależne organizacje zawodowe będą oczywiście wzbronione pod karą śmierci (jak się to dzieje obecnie w Bolszewji), i robotnik wydany będzie na łaskę i niełaskę możnowładców państwa, podobnie jak w epoce integralnego liberalizmu (w pierwszej połowie XIX wieku) zdany był na łaskę i niełaskę możnowładców prywatnego kapitału.

W Polsce Odrodzonej zaznaczył się od samego początku żywiołowy pęd do organizowania się, co było zupełnie naturalne w społeczeństwie wychowanem na zasadach chrześcijańskich. W ciągu niewielu lat, wszystkie działy życia objęte zostały hierarchicznie zmontowaną siecią organizacyjną, która szczęśliwie przezwyciężyła separatyzmy dzielnicowe. Tam, gdzie statutowo (np. w życiu akademickim) lub siłą faktu (np. w wojsku) potrafiono się odseparować od wpływów żydowskich, osiągnięto rychło rezultaty pierwszorzędne, wykazujące niezbicie, że *twierdzenie o rzekomym anarchizmie, tkwiącym jakoby w rasie polskiej, jest legendą szerzoną przez zainteresowanych w naszej słabości*. W życiu gospodarczem, w którym zarówno w dziedzinie pracodawców jak i pracobiorców wpływy żydowskie były przemożne (czyż trzeba przypominać nazwiska Perlów, Diamandów, Liebermanów, Posnerów, Pragierów, Drobnerów, Rosenzweigów i t. d.) musiały oczywiście triumfować zasady wyzysku kapitalistycznego i walki klas. Ale i tu zaczęły się już okazywać pewne oznaki poprawy, zaczęły się tworzyć czysto polskie korporacje zawodowe robotników i pracodawców. Mimo Żydów i masonerii, mimo sąsiedztwa Bolszewji — z bujnej naszej twórczości organizacyjnej zaczęły się już wylaniać początki logicznej konstrukcji społecznej. *Naród polski, wyzwolony z pod wpływów żydowskich, potrafi niewątpliwie w ciągu paru lub trzech generacji wytworzyć harmonijny organizm społeczny, zapewniający każdemu Polakowi godziwe warunki życia*.

Niestety — wróg czuwa. Historia z XVII i XVIII wieku, kiedyto podominowujące Polskę zewnętrzne wpływy nie pozwalały na naprawę naszego ustroju — historia ta

powtarza się słowo w słowo. Od kilku lat jesteśmy świadkami, jak decydujące za kulisami naszego życia czynniki rozbijają cały dorobek organizacyjny krótkich lat naszej niepodległości. Organizacje, które się jeszcze ostały, stanowią już tylko anemiczny szkielet, zbiurokratyzowany i pozbawiony samodzielnego ducha. Największą walkę polityczną ostatnich lat — walkę o „reformę” szkół akademickich — przeprowadzono w tym celu, by znieść „paragraf aryjski” w organizacjach akademickich (co byłoby równoznaczne z ich zwyrodnieniem). Tem samem chciano pozbawić przyszłą warstwę kierowniczą Polski tego warsztatu, na którym uczy się samodzielnie trudnej sztuki organizowania się i przewyciężania w sobie tego, co rzeczywiście w naszej psychice jest może zbyt bujnie indywidualistyczne i odśrodkowe.

W naszych oczach rozwala się wszystko, co mogłoby stanowić zaczątek zwartego organizmu społecznego i gospodarczego Polski. Co mogłoby stanowić pierwsze kroki do urzeczywistnienia naszego ideału „Zorganizowanego Narodu”.

Na gruzach przyjdzie nam więc budować Państwo Narodowe. Budować należy od podstaw. *A podstawą zdrowego narodu jest zwarty organizm społeczny.*

Jak funkcjonuje taki organizm?

Mówić tu będę oczywiście jedynie o jego stronie gospodarczej. Wiemy już z poprzednich rozdziałów, że podstawowy proces gospodarczy t. zn. proces rozdziału dóbr (równoznaczny z problemem płacy i ceny) dokonywa się w miljonach codziennych transakcyj między sprzedającym i kupującym, wzgl. pracodawcą i pracobiorcą. Próby pozostawienia tego procesu czy to anarchicznej grze niczem nieskrępowanej konkurencji (liberalizm), czy statystyczno-planowym zarządzaniem scentralizowanej biurokracji (kolektywizm)—prowadzić muszą do niezliczonej ilości pokrzywdzeń indywidualnych. Jest rzeczą oczywistą, że *piecza nad godziwością procesów gospodarczych odbywać się musi przede wszystkim na tym samym planie, na którym te procesy się odbywają.* Nie wystarcza by jednostka czuła wysoko nad sobą kodeks Boski i kodeks karny. Musi ona czuć tuż przy sobie kodeks organi-

zacyjny i zwyczajowy szewski, krawiecki, robotniczy, inżynierski, chłopski, lekarski czy chałupniczy.

Te to pośrednie człony organizacyjne między jednostką a zwierzchniemi władzami Państwa Narodowego muszą ujmować jednostkę w silne ramy. Muszą jej dawać oparcie, by mogła osiągnąć należną sobie cenę i płacę — ale zarazem muszą wpływać na tę jednostkę, by tam, gdzie ona ma przewagę gospodarczą, nie używała jej w sposób krzywdzący osoby z innych stanów i zawodów. Takie człony pośrednie (t. zn. organizacje zawodowe i stanowe) wytwarzają cały kodeks praktycznej moralności danego zawodu na użytek dnia codziennego, wytwarzają pojęcie honoru zawodowego i własny system dyscyplinarny, karzący i wyróżniający. Takie organizacje grają na tem co w człowieku jest instyktem społecznym, a więc instyktem przeciwnym najbrutalniejszemu stronom chciwości i egoizmu*. Ludzie bezpośrednio zaangażowani w pewnym dziale wytwórczości najłatwiej potrafią ocenić postępowanie swego kolegi po fachu, potrafią ukrócić w imię godności stanu jego nadużycia i czuwać, by ich zawód miał swój odpowiedni głos w życiu gospodarczym, a tem samem odpowiedni udział w rozdziale dóbr.

Może się jednak zdarzyć — powie czytelnik — że dana organizacja zawodowa użyje swej zwartości i siły właśnie dla wymuszenia nienależnych sobie zysków?

Odpowiedź na to prosta. Nie zapominajmy, że organizm gospodarczy narodu ma kształt piramidy, że organizacje niższego rzędu łączą się w związki rzędu wyższego, których zadaniem jest właśnie czuwanie, by współzawodnictwo między poszczególnymi zawodami odbywało się w sposób godziwy, by nie decydowała przewaga lecz słuszność. U szczytu zaś piramidy znajdują się zwierzchnie władze Państwa Narodowego. W ustroju kolektywistycznym władze państwa muszą decydować o każdej cenie i każdej płacy. W ustroju narodowym organizm społeczny, służący przedewszystkiem do normowania współzawodnictwa jednostek w atmosferze swobody gospodarczej, załatwiać będzie samoczynnie przeważającą większość konfliktów gospodarczych. *Wyjątkowe, niezwykle rzadkie wypadki dochodzić będą do rozstrzygnięcia*

* Świństwo o wiele łatwiej zrobić samemu niż w całym zespole.

aż do najwyższej instancji gospodarczej Narodu. W tych wypadkach Państwo Narodowe występować będzie jako rozjemca.

KORPORACJE ZAWODOWE.

Podstawą organizmu społecznego są korporacje zawodowe.

Co znaczy słowo „korporacja”? Słowo to wywodzi się ze słowa łacińskiego *corpus* (ciało). Korporacja — to pojęcie bardziej zwarte niż związek czy zrzeszenie. W polskim języku używano z dawien dawna wyrażenia „ciało profesorskie”, „ciało urzędnicze”. Nikomu nie przyszłoby do głowy nazwać np. związku zawodowego robotników metalowych „ciałem zawodowym”, gdyż związek ten ma charakter zbyt luźny, podczas gdy słowo „ciało zawodowe” budzi w nas wyraźne pojęcie trwałego istnienia grupy ludzi, związanych silnie z sobą nie tylko tym samym rodzajem wykonywanej pracy, lecz wspólną etyką zawodową. Etyka ta musi być oparta na długoletniej tradycji i na pewnych instancjach organizacyjnych oraz sankcjach, mających na celu praktyczne podtrzymywanie zasad tej etyki w codziennej działalności zawodowej.

W słowniku Larousse'a znajdujemy następującą definicję słowa „organizować”: „dawać poszczególnym częściom jakiegoś ciała układ konieczny do spełnienia funkcji, do których dane ciało jest przeznaczone”. „Organizm”—znów według Larousse'a—„to zespół organów, z których się składa żywa istota”.

Korporacja—to słowo równoznaczne ze słowem „organizacja” w najgłębszym, niezbanalizowanym znaczeniu tego słowa. Cała współczesna nomenklatura narodowa wyraża zgodnie ideę budowy społeczeństwa jako żywego ciała, złożonego z współdziałających organów.

W tem pojęciu żywego organizmu zawiera się cała przepaść między mechanicznymi koncepcjami społecznymi materializmu (czy to będzie liberalizm czy kolektywizm), a narodową koncepcją *organicznego społeczeństwa*. Jest to ta sama różnica, jaka zachodzi np. między obecnym klasowym związkiem murarzy a mającem powstać w ustroju narodowym ciałem zawodowym (korporacją) murarzy. Pierwszy tworzy

się kiedy chce, dla jakichś celów doraźnych, zapewne dla wywalczenia sobie lepszego cennika. Może się rozlecieć kiedy chce. Drugie jest organem żywego społeczeństwa, równie trwałym jak i to społeczeństwo, żywą komórką, bez której nie może istnieć ani zdrowe społeczeństwo ani zdrowy fach murarski.

Spróbuję to wytłumaczyć czytelnikowi na jeszcze bardziej konkretnym przykładzie. Jedyną grupą zawodową, która zachowała w Polsce do tej pory strukturę organizacyjną mniej więcej odpowiadającą naszym poglądom na korporacje zawodowe—jest stan lekarski. Każdy lekarz w Polsce należy do przymusowych zrzeszeń lekarskich, które z jednej strony zabiegają o godziwe warunki pracy i płacy dla lekarzy (np. w stosunku do państwa, samorządów i ubezpieczalni, zatrudniających licznych lekarzy), a z drugiej strony czuwają bardzo skutecznie nad godnością stanu lekarskiego, nad etyką zawodową, nad godziwymi formami współzawodnictwa między lekarzami, nad spełnianiem przez lekarzy obowiązków społecznych (a więc bezpłatnej pomocy ubogim chorym w nagłych wypadkach i t. p.). Stan lekarski normuje między innymi ściśle kwestję reklamy swych członków, ma również duży (choć może nie pisany) wpływ na kwestję szkolenia kandydatów do zawodu lekarskiego*.

Głównym wrogiem korporacyjnej struktury stanu lekarskiego jest element żydowski wśród lekarzy, uniemożliwiający utrzymanie aryjskiego standartu etyki zawodowej oraz aryjskich metod we współzawodnictwie. Regulacja dopływu młodzieży jest również paczona przez polityczny nacisk Żydów, dzięki któremu odbywają się masowe nostryfikacje żydowskich dyplomatów zagranicznych. Wrogiem korporacji lekarskich jest również daleko już posunięty proces przekształcenia lekarzy w pracowników najemnych (co możnaby nazwać kolektywizacją lekarzy). Lekarze zawiśli od państwa czy ubezpieczalni tracą swą niezależność zawodową, i skutkiem tego tracą możliwość walki o swą godność zawodową, a niestety tracą nieraz i poczucie tej godności (np. wypadki

* Jedynie lekarze potrafili w Polsce niepodległej wywalczyć unormowanie dopływu młodzieży do stanu lekarskiego oraz numerus clausus dla Żydów.

skandalicznego leczenia w Kasach Chorych przez przepracowanych lekarzy). Każdy uczciwy lekarz Polak przyzna bez trudu, że dopiero usunięcie Żydów z korporacji stanu lekarskiego, oraz odtatyzowanie lekarzy w ustroju narodowym, umożliwi korporacjom lekarskim gładkie i sprawne funkcjonowanie. Każdy lekarz przyzna również, że *wykonywanie zawodu lekarskiego bez istnienia korporacji tego stanu byłoby prosto nie do pomyślenia*.

Rezultatem kapitalizmu, tej długoletniej, dzikiej walki wszystkich ze wszystkimi, jest zupełne rozluźnienie wiązań społecznych, bezrobocie i kryzysy. Ciała zawodowe, w szlachetnym, średniowiecznym tego słowa znaczeniu, o ile jeszcze tu i ówdzie przetrwały do dnia dzisiejszego, rozkładają się obecnie w szybkim tempie. W naszych oczach giną w Polsce ostatni Mohikanie, następuje dezorganizacja „postępowa” zawodów, które zachowały jeszcze szczątki ustroju korporatywnego. Mam tu na myśli szybki upadek stanu lekarskiego, adwokackiego i rzemieślniczego, upadek, który gorliwie „organizują” pewne czynniki.

Korporacja zawodowa ma następujące główne zadania:

- 1) Pieczę nad godnością zawodową i normowanie współzawodnictwa. Do tego celu korporacja ustanawia odpowiednie normy, oraz posiada własne instytucje dyscyplinarne i sądownicze.
- 2) Organizację przygotowania zawodowego (porz Rozdział XVIII, Uwłaszczenie inteligencji).
- 3) Zbliżenie do siebie właścicieli warsztatów i ich pracowników i pieczę nad godziwością ich wzajemnego stosunku.
- 4) Obronę interesów danego zawodu w stosunku do innych zawodów i całego społeczeństwa.
- 5) Uspołecznienie indywidualnego warsztatu, oraz umożliwienie władzom Państwa Narodowego wglądu w podstawy życia gospodarczego, (a tem samem umożliwienie Państwu Narodowemu spełniania jego przyrodzonych funkcji strażnika sprawiedliwości społecznej i rozjemcy).
- 6) Organizowanie spółdzielczych instytucyj kredytowych, obsługujących członków danego zawodu.

Korporacje łączyć będą w sobie pracodawców i pracowników. Zewrą się one w organizacje wyższego stopnia, obejmujące pokrewne działy wytwórczości. U szczytu połączy się ta hierarchja ze zwierzchniemi organami Państwa Narodowego.

Taki będzie szemat „pionowy” organizmu gospodarczego. W kierunku „poziomym” poszczególne korporacje wejdą w obręb „stanów”*, które obejmować będą ludzi pracujących w różnych zawodach, lecz przynależnych do tej samej warstwy społecznej.

Nowoczesna idea korporacyjna opiera się na badaniach socjologicznych, prowadzonych od kilkudziesięciu lat, które wydały już obfitą literaturę. Głównym teoretykiem chrześcijańskiego korporacjonizmu jest obecnie profesor Uniwersytetu wiedeńskiego Otmar Spann**.

W Encyklice „Quadragesimo anno” Papież Pius XI nie tylko opowiada się za korporacjonizmem, ale rzuca już pewne konkretne wskazówki organizacyjne. Pierwsza próba wprowadzenia w życie idei korporacyjnej pochodzi od Mussoliniego. Próba ta wywołała powódź publikacyj w wszystkich językach świata. Teren jest przeto teoretycznie przeorany, i to wcale gruntownie. Oczywiście każdy naród musi tu szukać rozwiązania odpowiadającego jego własnej indywidualności. Co nas głównie razi w korporacjonizmie faszystowskim, to jego biurokratyczna centralizacja i jego szablonowość, nie mówiąc o pewnych naleciałościach dawnego rewolucyjnego syndykalizmu, który był jednym z charakterystycznych wytworów ideologii masońskiej. Szablonowość jest specjalnie groźna dla idei korporacyjnej, *gdyż każdy zawód musi sobie szukać odrębnych form organizacyjnych*. Lekarze potrzebują innego typu ciała zawodowego, innego chałupnicy, innego piekarze. *Nie doktrynerskie uproszczenie, ale bogactwo form życiowych*—to stała dewiza w ustroju narodowym. Również centralizm i nadmierna biurokratyzacja są pozostałościami mijającej epoki, i sta-

* Patrz następny ustęp „Stany”.

** Teorię swoją wyłożył w książce pt. „Der wahre Stant”.

nowią w dużej mierze wykwit ducha socjalistycznego. W tej dziedzinie wydaje się grzeszyć nie tylko faszyzm, ale i hitleryzm, co tłumaczy się tem, że główni działacze obu tych obozów tkwili do niedawna w szkole Marksa. Polska myśl narodowa ma tu wielką przewagę, gdyż wszyscy jej reprezentanci formowali się w atmosferze intelektualnej wolnej od wpływów myśli socjalistycznej. Ponadto budowa organizmu stanowo-zawodowego będzie w Polsce łatwiejsza niż w krajach Zachodu, gdyż zachowaliśmy jeszcze pewne zręby dawnych form organizacji korporacyjnej. W częściowym przeciwieństwie do faszyzmu i hitleryzmu, polska myśl narodowa wysuwa w dziedzinie organizacji zawodowej hasła regionalizmu* oraz bezinteresownego piastowania funkcji kierowniczych**. Są to hasła silnie zakorzenione w polskiej tradycji, a zarazem diametralnie sprzeczne z teorią i praktyką marksizmu. *Naród polski musi i w tej dziedzinie znaleźć odpowiadające sobie formy.*

Do tego, by zorganizować dzisiejsze chaotyczne społeczeństwo w zdrowy, zwarty organizm społeczno-gospodarczy, będzie trzeba dziesiątków lat, różnych prób i poszukiwań. Wszelki sztuczny pośpiech nie będzie tu wskazany, pewien przymus będzie się musiał łączyć z odpowiednią zachętą do dobrowolnego organizowania się jednostek. Dużo tu zdziała fakt, że w ustroju narodowym za pełnoprawnego obywatela (w sensie również i politycznym) będzie uznany tylko taki człowiek, który oddaje się określonej pracy, i dzięki temu jest włączony na pełnych prawach w organizm stanowo-zawodowy Narodu. Ale — chcąc ten organizm wytworzyć, chcąc by miał naprawdę polskie, odpowiadające nam cechy — *musimy przedewszystkiem z naszego życia politycznego i gospodarczego wyeliminować Żydów.* Będziemy się mogli zorientować co do naszych istotnych polskich dążeń i potrzeb dopiero wtedy, gdy będziemy sami między sobą. Gdy anonimowe wpływy przestaną mącić nasze myśli i udaremniać wszelkie nasze twórcze wysiłki.

* W stopniu, w którym regionalizm da się pogodzić z postulatem silnej władzy narodowej.

** Bezplatność części urzędów stanowił apiekłą cechą dawnego ustroju polskiego. Bezplatność urzędu wyklucza biurokratyzację. Patrz ustęp następny „Państwo Narodowe”.

Organizując korporacje zawodowe natkniemy się na dwie zasadnicze trudności.

Pierwsza trudność dotyczy zawodów szczególnie licznych, jak np. zawodu drobnych rolników. Więzy łączności stanowej muszą tu przyjść z pomocą, ewentualnie muszą nawet zastąpić organizacje ściśle zawodowe. O tem pomówimy za chwilę.

Druga trudność jest wprost odwrotna. Chodzi o wielkie przedsiębiorstwa, o sytuacji naogół monopolowej w pewnych działach wytwórczości, w których pracują z jednej strony tysiące pracowników, z drugiej natomiast nieliczni kierownicy. O ile w zawodzie np. kupieckim, rzemieślniczym, ogrodniczym, w drobnych wytwórniach i t. p. wspólne korporacje pracodawców i pracobiorców (obie kategorie należą do tego samego stanu społecznego) dadzą się łatwo i celowo zorganizować, jak tego dowodzi choćby przykład cechów średniowiecznych — o tyle ujęcie we wspólnej organizacji bardzo licznych rzesz pracowników z *nielicznymi* pracodawcami* miałoby wiele cech sztuczności, i nie mogłoby wydać tych dobrych skutków natury przedewszystkiem psychicznej, jakich oczekujemy po korporacjach. Na szczęście trudność to tylko pozorna, gdyż *głównym celem korporacji będzie przecież uspołecznienie indywidualnych warsztatów pracy*, a wiemy, że w ustroju narodowym wielkie przedsiębiorstwa będą już w samej swej strukturze uspołecznione. Korporacje zawodowe pracowników, przy równoczesnym społecznym, zgodnym z interesem Narodu doborze kierowników skoncentrowanego przemysłu**, pozwolą na utrzymanie godziwego stosunku między oficerami i szeregowymi wielkich przedsiębiorstw.

Problem ten nie sprawi kłopotu w polskim Państwie Narodowym, w którym skoncentrowane i uspołecznione przedsiębiorstwa nie będą mnogie. Trudno jednak zaprzeczyć, że problem ten stanowi główną przeszkodę w zorganizowaniu zwartego organizmu społecznego w państwach takich jak Włochy lub Niemcy, w których proces koncentracji produkcji posunął się już nadmiernie daleko. To jest powodem, dla

* należącymi ponadto do innego stanu społecznego, niż ich pracownicy.

** Kierownicy ci będą oczywiście zorganizowani również w ciała zawodowe, współpracując z korporacjami pracowników.

którego korporacjonizm faszystowski sprawia nadal wrażenie tworu (oczywiście tylko w dziedzinie wielkoprzemysłowej) sztucznego. Niech się tem trapią zainteresowani. Dla nas może być tylko pociechą myśl, że nasz organizm społeczny da się jeszcze bez wielkiego trudu przestawić na właściwe tory, podczas gdy w innych społeczeństwach, które zabrnęły dalej od nas na drodze pseudopostępu, wprowadzenie godziwego ustroju wymagałoby przede wszystkim *masowej dekoncentracji produkcji*, a więc procesu niesłychanie bolesnego i faktycznie niemożliwego do przeprowadzenia inaczej, niż na przestrzeni dziesiątków lat. Polska ma więc i w tej dziedzinie łatwiejszy start w nadchodzącą epokę dziejów.

STANY.

Zarówno dla Kościoła, jak i dla idei narodowej, przynależność jednostki do pewnego „stanu” stanowi podstawowy postulat porządku społecznego.

Poczucie przynależności „stanowej” jest objawem duchowym rzędu wyższego, niż solidarność w organizacji zawodowej (mającej z natury rzeczy cele w pewnej mierze materialistyczne). Z poczuciem przynależności do pewnego stanu łączy się światopogląd osobisty człowieka, jego tradycje, cały system jego zachowania się w przeróżnych okolicznościach życia (to co nazywamy często „wychowaniem”). Sposób bycia polskiego chłopca jest bardzo piękny, mimo że nie może być stosowany w salonie). „Stan” jest to warstwa społeczna, w której przeciętny człowiek czuje się dobrze, i nie widzi powodu by starać się kurczowo z niego wydostać. W najbardziej bezstanowem ze wszystkich społeczeństw, w amerykańskim, każdy człowiek, który nie dojdzie do kategorii Rockefellerów i Vanderbildtów, żyje i umiera z poczuciem pewnej niższości, ma silnie rozwinięty „kompleks niższości”. Polski chłop czy francuski sklepikarz zasadniczo tego poczucia nie mają, w obrębie swego stanu widzą dla siebie wystarczające możliwości życiowe. *Stan — jest to warstwa zadowolona ze swego losu.* Społeczeństwa nie można budować na zadowoleniu nielicznej warstwy wybranych i na pouczeniu innych, jak to czyni liberalizm, że mają usiłować na wszelkie sposoby pchać się

ku górze. Należy dać każdemu stanowi zdrowe warunki rozwoju, a następnie kategorycznie zwalczać wszelkie próby obrzydzania ludziom ich własnego stanu, jak to czynią skutecznie od stu lat dwaj braciszkowie sjamscy: liberalizm i socjalizm. Człowiek, którego zdolności nie wystarczają na dźwignięcie się w społeczeństwie na wyższy szczebel, musi w obrębie swego stanu spędzić całe życie z poczuciem pogody i zadowolenia ze swego losu, a nie w goryczy, że go matka natura bogaciej nie uposażyła.

Naród polski jest w tem szczęśliwym położeniu, że ma jeszcze dwa stany prawie nietknięte: są to stany chłopski i rękodzielniczy. Nietrudno będzie również wywołać poczucie przynależności stanowej u robotników fabrycznych (gdzie już po części istnieje, ale o fałszywym nastawieniu) i u drobnych wytwórców i kupców. Mielśmy sposobność wykazać, jak dalece wszystkie te stany były ostatnio traktowane po macoszemu, i jak państwo robiło wszystko co było w jego mocy, by wpoić w tych ludzi przeświadczenie, że są społecznym anachronizmem, który musi czemprędzej ustąpić przed wielkim kapitałem. Omawiamy w tej książce szereg zarządzeń, które automatycznie przywrócą tym stanom zachwiane obecnie poczucie potrzeby ich istnienia w społeczeństwie, i co najważniejsze, przeświadczenie o „odwieczności“ ich stanu. Przyznawszy stanom należne im prawa i stanowisko trzeba będzie pilnie baczyć, by zdradliwa agitacja nie podrywała ponownie harmonji społeczeństwa.

A wyższe stany? Problem „inteligencji“, mieszczaństwa, „elity“? Jest to obecnie na ziemiach polskich krater z wrzącą lawą, z której zaczynają się dopiero krystalizować pewne możliwości. Warstwy te nie obejmują jednak więcej niż kilka procent ogółu ludności. Dobrze będzie, gdy i one się ustabilizują, ale byłoby źle finalizować ten proces przedwcześnie. Ideologia narodowa ma tu wytyczne bardzo wyraźne: dla ich przedstawienia niema jednak miejsca w książce traktującej o sprawach gospodarczych.

„Cywilizacja to praca” — napisał Roman Dmowski*. Trudno o trafniejszą odpowiedź tym, którzy perfidnie insynuują, iż ruch narodowy prowadzi ludzkość z blasków „cywilizacji” w mroki „barbarzyństwa”. Prawdziwej cywilizacji nie wytworzy społeczeństwo opanowane przez spekulujących pasorzytów. Dlatego nasza epoka potrafiła tylko rozłożyć odziedziczoną cywilizację, a nie zdolła wytworzyć cywilizacji własnej. Prawdziwa kultura rodzi się w epokach, w których rzetelna praca jest podstawą nie tylko produkcji, ale i rządów. W epokach, w których praca zrasta się z życiem w jedną nierozzerwalną całość.

To zespolenie życia z rodzajem wykonywanej pracy wytworza „stany”.

Korporacja zawodowa, jako najniższa komórka organizacji społeczno-gospodarczej, musi być w pewnej mierze minjaturą „stanu”, to znaczy *musi grupować ludzi przywiązanych do rodzaju swej pracy*. Pojęcie zadowolenia i dumy ze swego zawodu stało się już zupełnie obce współczesnemu człowiekowi, trzeba je będzie mu przywrócić. Według teorii „postępu” praca stanowi niejako koszar życia codziennego, który trzeba „odwalić” w ciągu możliwie najmniejszej ilości godzin, by pozostałą resztę dnia żyć dopiero swym właściwym życiem „wyzwolonego” człowieka. Cytowany już przezemnie „brat” Bertrand Russell pisze**: „Metody przemysłowe zwiększyły rozdział między pracą a instynktem i zniszczyły radość, jakiej się doznaje przy robocie ręcznej, która daje rzemieślnikowi coś podobnego do zadowolenia artysty”.

W konsekwencji zniszczenia tej „radości w pracy” Russell w następujący sposób wyobraża sobie dzień człowieka „postępu” (str. 47): „...gdy tylko złamana noga się zrośnie i można znowu chodzić, zapomina się o jej istnieniu. Tak samo powinniśmy się odnosić do ekonomicznej strony życia, powinniśmy być zdolni do korzystania z jej urządzeń bez roz-

* Roman Dmowski, *Przewrót*, Warszawa 1934, str. 56.

** *Perspektywy Przemysłowej Cywilizacji*, tłum. polskie, Rój 1933, str. 184.

myślenia o nich przez cały dzień. Cieleśne potrzeby wszystkich mogłyby być, normalnie biorąc, zaspokojone, gdyby każdy członek społeczeństwa pracował kilka godzin dziennie. Ale dopiero na pozostałe godziny należałoby zwrócić główną uwagę—godziny, które można by poświęcić rozrywkom, sztuce, nauce, miłości i obcowaniu z przyrodą*. Na taki *rozwód między życiem człowieka a jego pracą* ideologia narodowa się nie godzi. Zamiłowanie do sztuki, nauki, czy przyrody musi się przede wszystkim wyładowywać w obranym zawodzie, praca musi się wiązać organicznie z całym życiem człowieka, nie może być tylko pańszczyzną na kilka godzin. Korporacje zawodowe muszą dbać przede wszystkim o wydobywanie na jaw w każdym zawodzie tych jego cech, które danej pracy nadają piętno godne i szlachetne*. Zawód człowieka musi przenikać całe jego życie i musi być tym czynnikiem, który człowieka *uspołecznia*. Dlatego organizacje zawodowe tracą w ustroju narodowym swój dotychczasowy charakter egoistyczno-klasowy, i staną się czemś w rodzaju rozszerzonej rodziny, bez której oparcia człowiek czułby się samotny i wykołejony.

Scementowaniu i pogłębieniu organizacji zawodowej, jej niejako odmaterjalizowaniu, przeniesieniu wagi, znoju i radości pracy w dziedzinę pozaekonomiczną, w której praca wiąże się ze stroną duchową, obyczajową i polityczną życia—tym celom służą więzi stanowe. Chodzi tu o wytworzenie całokształtu odruchów psychicznych i zwyczajowych, nie wyobrażamy sobie przeto, że powstanie poczucia wspólności stanowej może być sprawą niewielu lat, tam, gdzie to poczucie zupełnie już zaginęło.

Korporacje zawodowe wytworzą się i utrwala w stosunkowo niedługim czasie. Natomiast stany formować się będą powoli, trzeba będzie na to działania czasu i przepływu pokoleń. Jeszcze nawet nie wiemy jakie będą przyszłe formy organizacji stanowej. Wszelkie sztuczne zabiegi, wszel-

* W związku z tym postulatem żąda myśl narodowa przeorganizowania niektórych działów wytwórczości, celem zniesienia pewnych niegodnych rodzajów pracy, nie znanych dawniej, a będących jedynie skutkiem absurdalnie daleko posuniętego podziału pracy w społeczeństwie kapitalistycznym.

kie przyspieszanie krystalizujących się procesów mogłoby tu tylko zaszkodzić. Możliwe, że „organizacja stanów” pozostanie jedynie w dziedzinie psychicznej, może nawet tylko w obrębie podświadomego odczuwania. Możliwe, że wytworzą się formy organizacji stanowej, których dziś jeszcze nie przeczuwamy. Byłoby naiwnością wyobrażać sobie, że „organizować się”, to pojęcie równoznaczne ze zwołaniem Walnego Zebrania, które wybierze prezesa, skarbnika i sekretarza. Każda epoka wytwarza sobie własne formy współdziałania ludzi. Jeśli chodzi o „stany”, to ponownemu konstytuowaniu się ich w Polsce przyglądać się będą zapewne dopiero nasze wnuki lub prawnuki. *Naszym zadaniem będzie nastawić tylko bieg procesów społecznych na powolne wytwarzanie się stanów.* Należy przeto oceniać według ich istotnej intencji reklamowane głośno próby tworzenia ustroju „stanowego” w krajach rządzonych przez masonerję, takich jak dzisiejsza Austria, Bułgaria i t. p. Chodzi tu poprostu o skompromitowanie idei katolickiej i narodowej przez wykazanie szybkiego „fiaska”. My wiemy jednak, co o tem sądzić. Przedewszystkiem muszą robić ludzie odpowiedni. Si duo faciunt idem, non est idem (gdy dwóch robi to samo, to nie jest to samo). A następnie nie wolno zapominać o tak ważnym sprzymierzeńcu, jakim jest czas. Kościół i Naród to pojęcia wieczne, mogą więc wciągnąć do współpracy tego sprzymierzeńca. Masonerja potrafi jedynie rozkładać, a do tego trzeba o wiele mniej czasu niż do budowania.

PAŃSTWO NARODOWE W ROLI GOSPODARZA I ROZJEMCY.

Od czasu kiedy ludzie przestali żyć w jaskiniach i zaczęli żyć społecznie, powstają między nimi bez ustanku tarcia. Tarcia te, to wybuchające raz za razem konflikty między egoizmem jednostek a ideą sprawiedliwości społecznej. Strażnikiem tej idei była, jest i będzie władza. Władza, która do tej sprawiedliwości dąży, uważana była zawsze za dobrą. Władza, która tę sprawiedliwość gwałci, przechodzi do historii z cenzurą „niedostateczną”.

Już Bolesław Chrobry uważał, że obok organizacji i obrony państwa główną powinnością władcy jest zasiadanie pod dębem i wymierzanie sprawiedliwości. Od czasu Chrobrego przyrodzone funkcje władzy nie zmieniły się ani o jotę. Miejsce monarchy zajął obecnie rząd demokratyczny. Po staremu rząd ten powinien spełniać w państwie funkcje gospodarza, sędziego i rozjemcy. Ubodzy i uciemiężeni oczekują nadal słusznie od rządu, że weźmie ich w obronę i wymierzy im sprawiedliwość.

Kto wystąpił przeciw tak oczywiście słusznej zasadzie?

Liberalizm, który zabronił rządowi jakiegokolwiek ingerencji w procesy społeczne i gospodarcze.

W czym interesie wysunął liberalizm tę paradoksalną doktrynę?

W interesie żydowskim. Między społeczeństwem rdzennym, rządzonym przez rząd rdzenny, a temże społeczeństwem, nad którym rządy przejdą w ręce Żydów, musiał leżeć okres anarchji liberalnej, w czasie którego Żydzi na tyle wzmocniliby swe wpływy, by móc sięgnąć po władzę.

Jak w sprawie kształtowania się pojęć o własności i w sprawie organizacji społeczeństwa, podobnie i w sprawie roli rządu — liberalizm odegrał jedynie rolę parawanu. W państwie poliberalnym, kolektywistycznym, rząd ingerowałby oczywiście znowu w życie społeczne i w gospodarkę, tylko że czyniłby to po żydowsku, to znaczy bez umiaru i nachalnie.

W naszych czasach idea sprawiedliwości społecznej jest równie żywa jak i w jakimkolwiek innym okresie dziejów. *Strażnikiem tej idei stanie się w naszej epoce Państwo Narodowe.*

Państwo Narodowe będzie najwyższą, wszechobejmującą formą organizacji społecznej, w której się zogniskują wszystkie świadome dążenia Narodu. Formy tego Państwa będą nowe i elastyczne. Musimy zmienić nawet samo znaczenie słowa „państwo“, nadane temu słowu przez obóz materialistycz-

ny. „Państwo“, tak jak je widzimy obecnie, w sensie biurokratycznej maszyny, opartej na urzędach i paragrafach — zagarnęło zakres władzy o wiele za obszerny. Tak rozumiane państwo czeka redukcja jego zadań, częściowy upadek*. Ale w pojęciu państwa Narodowego to, co obecnie zwykliśmy określać jako „państwo“ — to będzie tylko jedna strona medalu. Drugą stanowić będą żywe, niezbiurokratyzowane siły społeczne. Życie zbiorowe rozwijać się będzie na dwu równoległych do siebie torach, jednym bardziej formalnym „państwowym“, drugim bardziej elastycznym „społecznym“. Oba te tory, „państwo“ i „społeczeństwo“, życie i paragraf, zrosną się w jeden bujny, tętniący siłą i rozmachem organizm, w którym musi znaleźć swój właściwy wyraz wszystko czem Naród żyje i ku czemu dąży. Z tego zrośnięcia się dwu „rozwiedzionych“ obecnie czynników wyłoni się Państwo Narodowe.

Sprecyzujmy bliżej tę „dwutorowość“ narodowej koncepcji Państwa.

W życiu zbiorowym są pewne dziedziny, w których nieodzowny jest czynnik przymusu. Tam gdzie czynnik ten wymaga zastosowania, należy wytworzyć instytucje w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa „biurokratyczne“, dające przez duży stopień automatyzacji i zmechanizowania gwarancję, że przymus ten stosowany będzie niezawodnie i jednakoowo wobec wszystkich obywateli. Tu leży zadanie zawodowego urzędnika. O ile urzędnik to zadanie wypełnia, ale też tylko do niego się ogranicza, staje się jednym z najpożyteczniejszych i najbardziej poważanych czynników w społeczeństwie. Całokształt urzędów, działających na podstawie czy-

* Ryszard Piestrzyński, Naród w państwie, Poznań 1934, str. 74: „Jeżeli zanosi się na upadek, to tylko na upadek systemu państwa-molocha, traktowanego jako mechanizm, jako zwykły system biurokratyczno-policyjny, regulujący całe życie społeczne. Nad takim pojęciem państwa zatriumfuje prawdopodobnie państwo traktowane jako organizm, wiążące w sposób hierarchiczny żywe i zorganizowane siły społeczne i narodowe, lecz pozostawiające tym siłom pełną niezależność w zakresie wykonywania ich własnych zadań“.

sto formalnej ustaw i kodeksów, nazywamy obecnie „państwem“.

A teraz drugi tor. To żywe procesy społeczne, w których pożądana jest największa ilość swobody i inicjatywy indywidualnej. O ile potrzebny tu jest jakiś przymus i jakieś normy, to tylko przymus moralny, a nie prawny, i elastyczne normy stanowione przez ciała zawodowe.

W społeczeństwie hierarchja jest również nieodzowna, lecz musi to być hierarchja niebiurokratyczna. Krawcy muszą być zorganizowani, lecz przełożonym ich powinien być najpoważniejszy z pośród krawców, sprawujący niezawodowo swe funkcje społeczne. Wszelkie wtrącanie się „państwowego“ urzędnika w sprawy krawieckie może tylko prowadzić do rozstroju. A cóż dopiero gdy chodzi o sprawy ducha, sztuki, kultury! Im trudniej jakaś dziedzina znosi przymus, tem zdalsza musi omijać szablony i paragrafy urzędowe.

Te dwa wątki — „państwowy“ i „społeczny“ — muszą biec niezależnie od siebie, lecz powinny ściśle z sobą współdziałać. U samego dołu, w nizinach społeczeństwa, związek ich będzie luźny. Im wyżej w hierarchji społecznej, tem ten związek powinien być ściślejszy. U samej góry oba wątki złączą się w naczelnych władzach Zorganizowanego Narodu. Głowa Państwa i Rząd będą zarówno zwierzchnikami maszyny biurokratyczno-państwowej, jak i reprezentantami naczelnymi wszelkich hierarchij życia społecznego.

Cechą myśli narodowej jest to, co możnaby nazwać „anty-doktrynerstwem“. Myśl narodowa nie uznaje rozwiązań uproszczonych (np. „życia ułatwionego“, monopolu własności dla państwa, szematycznej równości wszystkich ludzi w gospodarce i polityce i t. p.). Na wszystkie bolączki naszej epoki myśl narodowa widzi lekarstwo, ale *nie będzie to nigdy po jednym lekarstwie na każdą chorobę*. Każda bolączka wynika z szeregu wadliwości, wymaga przeto szeregu środków zaradczych.

Dlatego zastrzegam się, że *utworzenie zwartego organizmu społecznego nie stanowi, w myśl naszej doktryny, automatycznego rozwiązania problemu płacy i ceny*. Organizm spo-

czny ułatwił godziwość procesów gospodarczych, ale nie zwolni Państwa Narodowego z obowiązku stałego baczenia na procesy ekonomiczne. W gospodarce istnieje szereg spraw, których nie może rozwiązać samoczynnie społeczeństwo, ale które musi rozstrzygać Rząd. Są to problemy pieniądza, ochrony celnej, podatków, *kodeksów (cywilnego i karnego) dostosowanych do potrzeb ludności rdzennej*, praktycznego wymiaru sprawiedliwości (tępienia lichwy, zмовy i nieuczciwego współzawodnictwa), zapobiegania nadmiernej koncentracji produkcji i ludności, godziwego rozdziału ziemi i t. d. Rzeczą władz naczelnych jest normowanie powyższych dziedzin w myśl zasad narodowych. Dopiero gdy te zasadnicze problemy będą godziwie rozwiązane i chronione stale przed wyrodnieniem, możemy na to liczyć, że organizm społeczny będzie się porał samoczynnie ze sprawą godziwego rozdziału dóbr, i że *interwencja władz w te najdelikatniejsze procesy gospodarcze będzie się mogła ograniczyć do wypadków bardzo rzadkich i zupełnie wyjątkowych*.

By wyjaśnić na porównaniu: w organizmie człowieka odbywa się naogół wszystko samoczynnie, nie mamy bezpośredniego wpływu na bicie serca, trawienie, regenerację komórek, porost włosów i paznokci, *rozdział pokarmu na poszczególne części ciała i organy*. Ale mamy głowę, przy pomocy której stwarzamy dla naszego organizmu pomyślne warunki rozwoju: okrywamy nasze ciało przed zimnem i deszczem (ochrona celna); myjemy je i dbamy o jego higienę (wymiar sprawiedliwości); usuwamy pasorzyty; czuwamy, by nie żądać nadmiernego wysiłku od jakiegoś poszczególnego organu, płuc czy serca (dbałość o równowagę między poszczególnymi warstwami wytwórczymi).

Natomiast nie staramy się regulować krążenia krwi. Samą myśl taką uważamy za absurdalną. Pozostawiamy tę chimere doktrynerom skrajnej planowości gospodarczej, etatyzmu i kolektywizmu.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że Państwo Narodowe będzie miało funkcje gospodarza i rozjemcy.

Mówimy tu znów jedynie o stronie gospodarczej proble-

mu. Rola gospodarza wyraża się w świadomym nadawaniu ogólnych kierunków rozwoju. Państwo Narodowe nie może oczywiście przypatrywać się bezczynnie, jak miliony jego obywateli emigrują za Ocean, lub jak cały wielki dział wytwórczości (np. rolnictwo w Anglii) przestaje istnieć. Nie może być dla Państwa obojętne, że np. Wisła pozostanie nieuregulowana, ponieważ prywatna inicjatywa nie widzi możliwości zarobku w regulacji rzek. Obowiązki Państwa są tu wyraźne. Ale równocześnie nie może państwo bawić się w orzekanie, ile jednemu należy się za jego cielę, a drugiemu za wyprodukowany przez niego motocykl. *Państwo musi brać na siebie niektóre zadania gospodarcze, których waga jest dla Narodu zupełnie wyjątkowa.* Ale nie może wkraczać na każdym kroku w miliony bieżących transakcyj, związanych z wymianą towarów i wymianą usług, a więc z rozdziałem dochodu społecznego. *Tam gdzie zaczyna się problem sprawiedliwości społecznej, a więc problem płacy i ceny, kończy się rola państwa jako inicjatora i wykonawcy, a zaczyna się jego rola rozjemcy.*

W jaki sposób Państwo Narodowe spełniać będzie swą funkcję rozjemcy?

Zdaje mi się, że w ostatnich latach życie rozwiązało już ten problem w sposób zasadniczy. Słuszność i godziwość są pojęciami natury moralnej, które nie dadzą się ująć w formułki prawne, ale tkwią żywo w jednostkach będących na pewnym poziomie etycznym. Odwrót od suchego paragrafu do poczucia słuszności żywego człowieka jest charakterystyczną cechą ustawodawstwa o arbitrażu, słusznie wchodzącego ostatnio coraz bardziej w modę. Słuszna płaca dla danego pracownika nie da się opisać w ustawie, bo zależy od jakości pracy, uzdolnień potrzebnych do jej wykonania, stanu gospodarczego kraju, a przede wszystkim od stopy życiowej, zwykłej w danym momencie dla stanu do którego należy dany pracownik. W St. Zjednoczonych robotnik wysoce wykwalifikowany ma dziś prawo do zarobku pozwalającego mu na własny samochód. W Polsce nie. W paragrafy różnic tych ująć się nieda. Mimo tego potrafi odpowiednio dobrany arbiter z dużą pewnością

orzec, czy płaca danego pracownika jest słuszna czy też nie. Przeważnie opinia publiczna rozstrzyga to wcześniej od arbitra, gdyż poczucie słuszności tkwi może jeszcze żywiej w masach niż w jednostkach. Rozjemca ujmuje tylko *communis opinio*. Ileż strajków, w których z jednej strony stało kilka tysięcy robotników, a z drugiej kilku przemysłowców, załamało się tylko dlatego, że opinia publiczna uważała stanowisko robotników za niesłuszne. Klasycznym tego przykładem był angielski strajk węglowy w roku 1926. I odwrotnie, robotnicy zwyciężali dlatego że mieli słuszość, zyski przemysłowców były w danym momencie zbyt wygórowane, a zarobki robotników danego przemysłu zbyt małe w stosunku do możliwości zarobkowych ich stanu. Państwo Narodowe, trzymające równą miarę słuszości w stosunku do wysiłku organizatora przemysłu i jego pracownika (a tępiąc bez litości pasożytniczego nieroba „kapitalistę”), potrafi zawsze w moralnem poczuciu zarówno społeczeństwa jak i powołanych do tego arbitrów znaleźć miarę „słuszości”, pozwalającą na dopilnowanie, by nikomu w społeczeństwie nie działa się krzywda.

Interwencja państwa, względnie jego arbitrów, będzie miała oczywiście zupełnie inny charakter niż ma dzisiaj, a to skutkiem istnienia zwartej organizacji stanowo-zawodowej. Organizacja ta dozwalać będzie rządowi na wgląd w sprawy gospodarcze, i da tem samem powołanym przez państwo rozjemcom wszystkie dane potrzebne do wydania sprawiedliwego rozstrzygnięcia.

Skąd państwo powoła tych rozjemców? A jeśli w społeczeństwie nie będzie ludzi o dostatecznym rozumie, poziomie moralnym i autorytecie?

Spółeczeństwo, któremu zabrakłoby takich ludzi, nie byłoby zdolne do samodzielnego bytu i musiałoby przejść pod władzę innego narodu. Nawet dzisiaj ludzie tacy w naszym społeczeństwie istnieją, lecz odsunięci są od wpływu, względnie sami trzymają się w cieniu gdyż „klimat” polityczny im nie odpowiada. Problem zorganizowania Narodu sprowadza się w ostatecznej mierze do sprawy wychowania ludzi. Rozkwitające Państwo Narodowe będzie miało do dyspozycji coraz to liczniejszy zastęp ludzi wykształconych w zdrowej atmosferze moralnej i gospodarczej.

Jednostki, dążące wzwyż po szczeblach organizmu zawodowego, będą poprostu predestynowane na przyszłych arbitrów godziwości procesów gospodarczych.

Jaką podstawę przyjmie rozjemca do oznaczenia godziwej ceny i słusznej płacy?

Po tem, co już o tem powiedzieliśmy, sprawa nie wydaje się chyba czytelnikowi skomplikowana. *Na pytanie: ile powinien w teorii zarabiać murarz? — niema odpowiedzi. Natomiast na pytanie: ile powinien zarabiać murarz pierwszej kategorii w Poznaniu w maju 1936? — bardzo łatwo znaleźć odpowiedź.* W samym Poznaniu znajdzie się szereg osobistości o odpowiednim autorytecie, które pytanie takie rozstrzygną bez trudu. Podobnie łatwą byłaby do rozstrzygnięcia kwestja, ile powinien kosztować cukier w roku 1936? Rozstrzygnięcie tego pytania wypadnie prędko i godziwie, o ile powołany rozjemca nie będzie chciał na swojej funkcji grubo zarobić, lecz obliczy uczciwie kosztą produkcji, do których doda takie wynagrodzenie za pracę wytwórców, jakie odpowiada normom istniejącym w danej chwili w pokrewnych działach wytwórczości.

O ile społeczeństwo zbudowane jest na godziwych podstawach, płace pracowników najemnych oraz ceny w działach monopolowych gospodarki stosują się automatycznie do warunków gospodarczych, panujących w danej chwili wśród uwłasnionych mas. Opierając się na ogólnym poziomie płac i cen łatwo tępić wypadki zmywy wśród przemysłowców, oraz rozstrzygać sporadyczne konflikty między pracodawcami a pracobiorcami, konflikty, z którymi z takich czy innych względów nie upora się organizm korporacyjny. Sam fakt, że istnieć będzie w każdej chwili możliwość sprawiedliwego rozjemstwa, w większości wypadków wykluczy potrzebę jego zastosowania.

Jeszcze raz podkreślam różnicę między ustrojem narodowym, w którym, po nadaaniu społeczeństwu zdrowych podstaw i godziwej struktury, organizm gospodarczy będzie się samoczynnie porał z problemem płacy i ceny, a państwo tylko w wyjątkowych wypadkach powołane będzie do rozjemstwa — a ustrojem kolektywistycznym, w którym rząd wyznacza każdą płacę i cenę. W takim ustroju nie nastąpi

nigdy szarmonizowanie płac i cen, ani produkcji i konsumpcji, gdyż ustaleniu się pewnej równowagi przeciwdziałają stale arbitralne decyzje referentów w centralnych urzędach gospodarczych. Państwo musi bez przerwy wtrącać się w życie każdego obywatela, manipulować, dekretować i rozstrzeliwać za sabotaż i opieszałość.

Ustrój narodowy — to automatyzm gospodarczy z poprawką przymusowej „godziwości”.

Występując w roli rozjemcy wróci Rząd Rzeczypospolitej do swej właściwej funkcji, którą przestał w Polsce spełniać poczynając od XV wieku. Skończy się bezbronność słabych wobec krzywdy i pracy wobec spekulacji. Państwo Narodowe wcieli w siebie ideał światłej i silnej władzy, pozostającej na usługi sprawiedliwości społecznej.

ROZDZIAŁ XIV.

LICHWA.

Dlaczego lichwa doszła w Polsce powojennej do takiego rozpasania, że potrafiła spaczyć całą strukturę naszego życia gospodarczego?

Prostu dlatego, że w XVII i XVIII wieku, kiedy w głęboko jeszcze wtedy chrześcijańskich społeczeństwach Zachodu kształtowały się nowoczesne obyczaje gospodarcze, w Polsce tylko Żydzi tworzyli warstwę kupiecką. Pojęcia takie jak „lichwa“, „własność“ i „sprawiedliwość wymienna“ miały wówczas na Zachodzie, i mają po części jeszcze dziś, swą żywą treść w życiu codziennym. Oczywiście treść chrześcijańską. U nas mają treść żydowską.

W XIX wieku wzięli się z kolei Polacy do handlu i przemysłu, ale trafili niestety na okres zupełnej indyferencji Kościoła katolickiego w sprawach gospodarczych (np. 100 lat oczekiwania na decyzję Stolicy Apostolskiej w sprawie pobierania odsetek), musieli więc brać jedyne wzory, które mieli pod ręką, a były to wzory żydowskie. Nie zapominajmy jednak, że Żydzi mają podwójną miarę dla Żydów i nie-Żydów, co się wyraża choćby w tem, że dziś jeszcze sądy rabinackie wyrównują krzywdy gospodarcze, które nasze sądy puszczają płazem, stosując się do ścisłej litery prawa a nie oglądając się na subtelniejsze od ustaw wskazania moralne. Przejmując od Żydów ich umysłowość gospodarczą przejęliśmy oczywiście tylko jedną jej stronę. Mianowicie tę, która normuje stosunek Żyda do goja. Przejściowe załamanie nauki Kościoła w sprawach moralności gospodarczej odbiło się katastrofalnie na psychice polskiej, pozostawiając nas bez wewnętrznej busoli w labiryncie współczesnych zagadnień ekonomicznych. I jeśli lichwa doszła u nas do takiego niesłychanego wprost natężenia, że państwo polskie przez szereg lat dawało oficjalny przykład, pobierając po 24%

a nawet po 36% rocznie odsetek zwłoki, to nie trzeba chyba lepszego dowodu na to, skąd zaczerpnęliśmy naszą ekonomiczną ideologję. Lichwa i wytworzona przez lichwiarzy psychoza pożyczania, podsycana umiejętną propagandą za składaniem „oszczędności” na „procent” (katastrofalną rolę odegrała tu u nas P. K. O.), doprowadziły do tego, że *jak Polska długa i szeroka kto inny pracuje a kto inny pobiera dochody*. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nieruchomości wiejskie i miejskie oraz przemysł są zadłużone średnio do 30% — 40% swej wartości. Jeśli jednak ziemia daje 4%, a ja płacę od $\frac{1}{3}$ wartości przeciętnie 12%, to oddaję cały swój dochód wierzycielowi. Analogicznie dzieje się w innych działach wytwórczości. Koń, który dźwiga a nie żre, musi paść. Dlatego stoimy u kresu naszych sił gospodarczych i staramy się ratować, zmniejszając sztucznie obciążenie naszych warsztatów przy pomocy różnych ustaw o charakterze wyjątkowym, niemających również nic wspólnego z moralnością gospodarczą.

Nie wierzymy w możliwość wysanowania tego kompleksu drogą swobodnej gry zasad liberalnych. Uważamy, że należy zacząć od wprowadzenia w nasz ustrój chrześcijańskich zasad gospodarczych. Powinne się one wyrazić w naszych ustawach i w naszych obyczajach, w przykładzie państwa i samorządów i w odpowiedniej propagandzie. Dopiero kiedy staną się one żywą treścią dla każdej jednostki, stanie nasze życie gospodarcze na zdrowych podstawach. Adam Smith może mieć swe dobre strony, ale tylko na glebie przeoraanej przez Sw. Tomasza.

Wszechpienie w nasze społeczeństwo zasad katolickiej moralności gospodarczej będzie jednym z najważniejszych zadań ustroju narodowego. Nauka Sw. Tomasza o lichwie musi być zaakceptowana i przeprowadzona w całej swej rozciągłości, jako że sięga samych podstaw moralności gospodarczej.

Przyjęcie zasad katolickich, jako podstawy ustroju kredytowego, nie pociąga za sobą ustawowego zakazu pożyczania na umiarkowany procent (Rozdz. IV); wymaga jednak całkowitej zmiany sposobu myślenia gospodarczego, i w tym

sensie stanowić będzie najgłębiej może rewolucyjną przemianę w stosunku do obecnego ustroju.

Cytowane w Rozdziale IV. stopy procentowe uważać należy za cel możliwy do osiągnięcia, i to w stosunkowo krótkim czasie. Nie znaczy to, by normy te znaleźć się miały w ustawach, są one natury moralno-gospodarczej i drogą przymusu wprowadzić się nie dadzą. Lecz muszą one stać się drogowskazem ludzi kierujących życiem gospodarczym czyto na stanowiskach społecznych, czy na wybitnych stanowiskach w handlu i przemyśle. Zrozumienie przez tych ludzi podstawowych zasad ekonomji narodowej zdziała tu więcej, niż sto dekretów władzy wykonawczej.

Nie znaczy to, by nieograniczona lichwa miała pozostać dozwolona. Przedziwne stanowisko zajmuje większość ekonomistów liberalnych w stosunku do lichwy. Twierdzą oni, że kary za lichwę nie potrafiły nigdy i nigdzie jej zapobiec, wobec tego są zbyteczne. Cytują przytem chętnie średnio-wieczne kruczki prawne, które stosowano celem obejścia ustawodawstwa skierowanego przeciw lichwie. Żaden z tych panów nie radzi jednak znieść kar za kradzież, mimo że nie umożliwiły one również nigdy całkowitego wyłączenia kradzieży. Kary za lichwę działają podobnie jak i wszystkie inne kary, skuteczniej odstraszaają niż karzą. Ale odstraszaające ich znaczenie jest olbrzymie. W Polsce, mimo że przepisy ustawowe o karach za lichwę obowiązują nadal, nie stosuje się ich w praktyce*. Trzeba więc tylko ożywić martwą literę prawa. Inna rzecz że przepisy te, jako że pochodzą z czasów liberalnych, wymagają pewnych poprawek. Trudność zwalczania lichwy polega na tysięcznych możliwościach maskowania się lichwy, toteż formy prawne, wzorowane na zasadach formalnych prawa rzymskiego, nie potrafią się z nią uporać. Celem zwalczania lichwy należy przyciągnąć do pomocy osąd żywego człowieka, jakim jest sędzia. Danie sędziemu dyskrecjonalnej władzy zmniejszania pretensji lub przedłużania terminu jej spłaty tam, gdzie nawet bez formalnych dowodów wyczuwa lichwę, potrafi obrzydzić więk-

* „Prywatny rynek dyskontowy” w Łodzi, Warszawie i t. d. jest instytucją zupełnie jawną. Pobiera się tam odsetki w wysokości 15% do 42% rocznie (i wyżej).

szości lichwiarzy ich zawód, obecnie wykonywany spokojnie pod obojętnem okiem władz.

*Stanowisko, zajmowane przez współczesnych ekonomistów w stosunku do lichwy, jest tem bardziej zadziwiające, że stoi w jaskrawej sprzeczności z poglądami Adama Smitha. Nie mogę sobie odmówić złośliwej przyjemności przytoczenia tu pewnego cytatu.**

„Należy zauważyć, że ustawowa stopa procentowa nie powinna być o wiele wyższa od najniższej stopy rynkowej choć powinna być nieco powyżej jej poziomu“.

Ustawowa stopa wynosiła w Anglii w roku 1776 pięć od sta rocznie, stopa rynkowa 3,5% do 4,5% rocznie. Cyfry te przytacza Adam Smith, i niema im nic do zarzucenia.

Na tym punkcie jestem entuzjastycznym wyznawcą Smitha.

Znaczenie ustawowej stopy polega na **tem, że stopa ta stanowi praktyczną granicę między pożyczką a udziałem**. Kto chce mieć spokój i pewność, pożycza, lecz musi się zadowolić procentem ustawowym. Kto woli pracować i ryzykować staje się udziałowcem (kupuje akcje itp.) i ma prawo do dochodu powyżej stopy ustawowej. Ustawowa stopa 12⁰/₀, obowiązująca obecnie w Polsce, automatycznie wyklucza inwestowanie kapitałów w wytwórczości w formie udziałów. *Obniżmy dziś tę stopę wydatnie i zaczniemy tępić lichwę, to w ciągu kilku lat działalność emisyjna się rozwinie i zacząną powstawać liczne nowe przedsiębiorstwa.*

Jaką górną granicę stopy procentowej należy u nas uznać za legalną? Zależy to oczywiście od stosunków gospodarczych panujących w danej chwili. Nie jesteśmy jeszcze Anglją z roku 1776. Chodzi o uniknięcie lichwy, ale równocześnie o to, by, jak powiada Sw. Tomasz, „nie utracić korzyści możliwych dla wielu“. Przypuszczam, że w obecnych polskich stosunkach 8% rocznie byłoby normą odpowiednią, powyżej której kapitały powinny szukać dochodu już nie na drodze odsetek, ale bezpośrednich udziałów w przedsiębiorstwach. Odnosiłoby się to oczywiście do pożyczek handlowych i przemysłowych, gdyż pożyczki zabezpieczone hipotecznie nie powinny nawet w naszych dzisiejszych warun-

* Adam Smith, Bogactwo Narodów, II, 4.

kach nieść więcej niż 6% rocznie. Z biegiem lat legalna stopa procentowa powinna być sprowadzona do 5% — 6% rocznie (3% do 4% przy zabezp. hip.).

Ustawowe odsetki zwłoki nie powinny już dzisiaj wynosić więcej niż 6% rocznie.

Nie można poprostu przesadzić w podkreślaniu niebezpieczeństw, jakimi grozi fałszywa polityka kredytowa. Śmiertelny paraliż Polski pod wpływem ogólnego zadłużenia (lata 1930 — 1934) zawdzięczamy w głównej mierze polityce władz państwowych. One to w latach pomyślnych kazały samorządom pożyczać, narzucały przez ludzi i instytucje od siebie zależne „kredyty“ przeróżnych rodzajów całemu społeczeństwu, emitowały 8% (!!) listy zastawne ziemskie (Bank Rolny), prowadziły hałaśliwą propagandę za składaniem oszczędności do banków państwowych i P. K. O., pacząc w ludziach zrozumienie, że kapitały powinny iść do produkcji w formie udziałów, a nie pożyczek. Władze państwowe pobierały po 36% (!!) odsetek zwłoki i wprowadziły praktyczną niekaralność lichwy. Oto do czego może doprowadzić fałszywa doktryna*, w naszym wypadku mętne piwo nawarzone z „zasad“ poczęści liberalnych, poczęści socjalistycznych, podlanych sosem żydowskim. Kilku ludzi na czele państwa, rozumiejących naprawdę mechanizm życia gospodarczego w myśl zasad narodowych, mogłoby sprowadzić nasze życie gospodarcze na właściwe drogi nie zmieniając od biedy ani przecinka w obecnie obowiązujących ustawach.

Przejście z obecnego systemu do godziwych form gospodarczych nie może się odbyć bez okrojenia zysków lichwiarskich (co musi być rozpatrzone w każdym poszczególnym wypadku), i bez przymusowej konwersji pożyczek na udziały, w myśl zasady, że kredyt powinien w wytwórczości odgrywać rolę czysto pomocniczą, i że wypadki jego zastosowania powinny być ograniczone do minimum.

* No i polityczne wpływy Żydów.

Któż z nas nie pamięta genialnego odkrycia ekonomistów amerykańskich z czasów „*prosperity*”, że sprzedaż na raty jest właściwym motorem bogacenia się ludzkości? Błogi zachwyt nad „dobroczynnymi skutkami” kredytu konsumpcyjnego rozlał się szeroką falą po całym świecie, u nas nie potrafiiono się również od niego ustrzec i wydano nawet specjalną ustawę, mającą na celu ułatwienie sprzedaży na raty zbytecznych* towarów, na które ludzie zapracują dopiero za rok lub dwa. Ta zabawa skończyła się niezwykle szybko i niezwykle boleśnie. Św. Tomasz pouczył nas już, dlaczego taki koniec był nieuchronny. W ustroju narodowym będziemy przeto przeciwdziałali zdecydowanie wszelkim formom kredytu konsumpcyjnego.

Symbolem tego kredytu wśród szerokich mas stał się weksel. Pamiętamy te sympatyczne lata, kiedy setki tysięcy ludzi uczyło się u nas na gwałt podpisywać i wypełniać weksle. Należało to do dobrego stylu. Przypominało manję brydża lub jo-jo.

Czas z tem skończyć. Weksel musi wrócić do swego pierwotnego przeznaczenia, którem było finansowanie poważnych transakcyj handlowych. Weksel jest w niektórych wypadkach pożyteczny, ale stanowi groźną broń w nieodpowiednich rękach. Podobnie jak rewolweru nie powierzamy ludziom nieobeznanim z bronią, ani zapalek dzieciom do zabawy, musimy chronić szerokie masy ludności od kontaktu z wekslami jak od zarazy. Weksel stanowi nietylko pokusę dla słabych charakterów, ale i specjalnie skuteczny środek do zerwania więzów między człowiekiem a jego własnością, anonimowe narzędzie do wyzyskiwania i wywłaszczania. Przy ograniczeniu do minimum ilości transakcyj kredytowych musi spaść również do minimum ilość weksli. Ale to za mało. Weksel mógłby i tak dostać się w niepowołane ręce. Przypuszczam, że najprostszym i najskuteczniejszym sposobem do zaradzenia złu byłoby ustawowe ograniczenie prawa do wystawiania i żyrowania weksli do przedsiębiorstw

* Towarów rzeczywiście niezbędnych nikt na raty nie sprzedaje ani nie kupuje.

handlowych i przemysłowych wykupujących patenty. Przepis taki byłby prosty w zastosowaniu i skuteczny.

Rzeczą władz musi być również przeciwdziałanie kredytowi konsumpcyjnemu własnym przykładem (np. nie budując dróg na raty!) i rewizją odnośnego ustawodawstwa.

BANKI.

Wyłaniające się nowe potrzeby człowieka powołują do życia nowe instytucje.

Potrzeba bezpiecznego deponowania pieniędzy i przekazywania ich na odległość powołała do życia banki. Znaczenie banków rosło równoległe ze wzrostem znaczenia pieniędzy. Nic więc dziwnego, że w nowoczesnym społeczeństwie władzą wykonawczą stali się bankierzy, a banki rozrosły się i ogarnęły powoli swoją działalnością całokształt życia już nie tylko gospodarczego, ale politycznego, a nawet intelektualnego narodów.

Anonimowość, nieodzowna pokrywka pewnych ludzi dla pewnych celów, osiągnęła we wszechświatowym systemie bankowym szczyt swej doskonałości. Poza nieliczną kliką wtajemniczonych nikt już doprawdy nie wie ani gdzie leżą ośrodki władzy, ani gdzie leżą ośrodki posiadania. *Pozorni właściciele przedsiębiorstw, czy to rolniczych czy przemysłowych, przeciw którym zorganizowana nagonka kieruje gniew mas, należą w rzeczywistości już oddawna do kategorii ludzi oddających owoce swej pracy w ręce międzynarodowej finansjery.* Olbrzymi polip wysysa z całego świata soki za pomocą dobrze nam już znanego systemu odsetek, finansując przytem na wielką skalę ruchy polityczne i „ideowe” dla swoich celów.

Jak mieliśmy sposobność poprzednio stwierdzić, liberalizm powinienby rzeczywiście prowadzić do obniżenia stopy procentowej aż do poziomu, na którym odsetki są już tylko przejadaniem kapitału. Tę możliwą dobrą stronę liberalizmu, niewątpliwie jedną z najbardziej pożytecznych dla ludzkości, paraliżuje skutecznie wielka finansjera,

hamując przy pomocy sieci swych banków tendencję zniżkową stopy procentowej.*

Rozpatrując problem banków pod kątem widzenia doktryny narodowej musimy przede wszystkim ustalić, które potrzeby społeczeństwa powinny zaspokajać instytucje kredytowe, a które funkcje, obecnie przez banki uzurpowane, należy im w imię dobra społecznego odjąć.

Zadania słuszne:

- 1) przechowywanie kapitałów, stanowiących *bieżące rezerwy* prywatnych osób czy przedsiębiorstw;
- 2) przekazywanie pieniędzy w przestrzeni;
- 3) handel udziałami i walutami;
- 4) pośredniczenie w emisjach udziałów;
- 5) pożyczki hipoteczne;
- 6) uruchamianie kapitałów, będących w chwilowej dyspozycji banku, do celów produkcyjnych.

Zadania niesłuszne:

- 1) współudział w przedsiębiorstwach;
- 2) finansowanie przedsiębiorstw w tej formie, że banki dostarczają im *stałe* kapitału obrotowego (a nie ograniczają się wyłącznie tylko do zaspokajania *nadzwyczajnych* potrzeb kredytowych przedsiębiorstw, jak tego żąda doktryna narodowa);

* W Polsce stopę odsetkową od wkładów bankowych reguluje państwo. Istnieje poprostu cichy kartel, obejmujący banki prywatne i państwowe. Obniżeniu odsetek przeciwstawiają się u nas zgodnie państwo i finansjera żydowska. Interes państwa jest tu podwójny: chodzi o przyciąganie jaknajwiększej ilości wkładów do banków państwowych i P. K. O., celem „odmrażania” rezerw skarbowych. To punkt pierwszy. Z drugiej strony czołowi mężowie dążą do zetatyzowania kredytu w myśl wskazań marksizmu, i posługują się do tego celu wysoką stopą odsetkową, płaconą za wkłady przez banki państwowe i P. K. O. Obniżenie stopy procentowej spowodowałoby odpływ wkładów bankowych bezpośrednio do produkcji, co nie leży w intencjach zwolenników planowej gospodarki, którzy chcą skupić w swych rękach możność dysponowania wszelkimi oszczędnościami społeczeństwa.

Z tej tendencji państwa korzystają jedynie Żydzi, którzy jako główni wierzyciele mogą przy wyższej stopie procentowej ciągnąć tem większe zyski ze społeczeństwa polskiego.

- 3) spekulacja akcjami i walutami;
- 4) spekulacyjne emisje akcji i pożyczek;
- 5) umożliwianie anonimowego działania międzynarodowemu kapitałowi.

Uwaga: ad 1) Własność musi być osobista a nie anonimowa. Kapitał anonimowy, będący pod pokrywką banku właścicielem jakiegoś przedsiębiorstwa, nie zna się z natury rzeczy na danej specjalności, stara się przeto ciągnąć zyski drogą lichwy, zmonopolu, a nie konkurencji opartej na osobistej umiejętności i jakości usług lub towaru.

ad 2) Jeszcze skuteczniejsza forma opanowania przedsiębiorstwa niż nabycie większości akcji. Zyski z działalności przedsiębiorstwa inkasuje anonimowy kapitał, straty ponoszą udziałowcy. *Pozatem jest to znany żydowski sposób wywłaszczania polegający na tem, że namawia się do pożyczania, doprowadza się przedsiębiorstwo do sytuacji bez wyjścia i nabywa się je za bezcen pod groźbą egzekucji.* Tą metodą większość polskich przedsiębiorstw przeszła po wojnie w ręce anonimowego kapitału. Stanowi to przytem nader skuteczny sposób do obchodzenia polskich przepisów podatkowych, o ile instytucje finansujące są zagraniczne.

Ad 3) i 4) Potrzeba spekulowania stanowi jedną z namiętności wrodzonych człowiekowi i powinna być wyzyskana dla celów społecznych, podobnie jak namiętność do gry na loterji. Ale tolerowanie potężnych instytucyj, które siłą swego kapitału narzucają spekulację całemu społeczeństwu i wciągają na tę drogę jednostki, których powołaniem jest spokojna, twórcza praca — musi prowadzić do zaniku wiary w skuteczność uczciwego wysiłku. Ustrój, w którym praca i przywiązanie człowieka do własności stanowią podstawowe zasady, nie może pozwolić na ich deprecjację i na wytworzenie się opinji, że tylko głupi pracuje, a mądry gra na giełdzie.

Ad 5) Banki są przeważnie parawanami, za którymi kryją się typy z pod ciemnej gwiazdy. Wielki koncern, oparty o bank o pięknej polskiej nazwie, stanowi oczko w głowie każdego rządu. Nic dziwnego, zależy przecież od niego egzystencja kilkudziesięciu tysięcy ludzi i całej połaci kraju. Otrzymuje więc zniżki taryfowe na kolejach, kredyty, ochronę celną, zamówienia rządowe, ułatwienia podatkowe. Cała

ta piękna zabawa byłaby niemożliwa gdyby społeczeństwo doszło po nitce do kłębka, że właścicielami koncernu są np. pp. Cytryn w Berlinie (15 lat temu handlarz jajami na prowincji), Diamand w Pradze (nigdy nie miał określonego zawodu) oraz Perlmutter w Frankfurcie nad Menem (pozbawiony obywatelstwa polskiego za uchylanie się od służby wojskowej i dwukrotny bankrut). Przykład niniejszy nie jest bynajmniej humorystyczny, ale konkretny. Idealnem poprostu narzędziem do ukrywania swej osobowości stały się hanki, i tę ich zdolność należy znieść.

Banki doszły na drodze lichwy do prawdziwej wirtuozerji. Jedną z przyczyn obecnego kryzysu jest t. zw. *inflacja kredytu*, o której dużo pisano w ostatnich latach. Zobrazuję ją na przykładzie: Bank amerykański ma złota za 40.000 dolarów. Na tej podstawie emituje 100.000 dolarowych banknotów i pożyczka je jakiemuś europejskiemu bankowi emisyjnemu na procent. Nazywa się ta pożyczka *dewizą złotą*. Ten drugi bank emituje banknoty wartości 250.000 dolarów, oparte na tych dewizach, i pożyczka je trzeciemu bankowi, który emituje pieniądze papierowe, wartości 625.000 dolarów. Te dopiero pieniądze idą w obrót i wyciągają odsetki z pracujących ludzi. Czasem ostatnie stadium odbywa się w formie kont kredytowych i debetowych przy pomocy bezgotówkowego obrotu, ale skutek jest ten sam. Suma 625.000, pożyczona na 6%, daje rocznie tyleż zysku, ile wynosi właściwy inwestowany kapitał 40.000. Lichwa wynosi więc 100% rocznie i idzie przez oficjalnie popierane przez państwa banki emisyjne (!).

Ale w roku 1930 świat się nagle opamiętał i zaczął się paniczny odwrót, który trwa jeszcze do dziś dnia i skończy się zapewne tem, że 40.000 będzie już warte tylko 40.000, a nie 600.000.* Misterny gmach kredytowy runął, grzebiąc pod sobą kilka kontynentów. Czytelnik zauważy, że rozpatrując przygodnie różne przyczyny obecnego kryzysu dochodzimy stale do ponownego wniosku, że dadzą się one spro-

* Do tego stanu jeszcze dość daleko. Wiedząc o tem, żaden szanujący się ekonomista nie zaryzykuje twierdzenia, jakoby świat kapitalistyczny osiągnął już „dno” kryzysu, lub jakoby ceny wyrażone w złocie osiągnęły już swój punkt najniższy.

wadzić bez wyjątku do nieprzestrzegania narodowych zasad gospodarczych. Czytając więc w dziennikach, że „pewne” czynniki proponują nową „inflację kredytową” jako środek zaradzenia kryzysowi, będziemy wiedzieli co o tem sądzić.

Widząc niebezpieczeństwa płynące z działalności banków prywatnych szukały niektóre społeczeństwa ratunku w zakładaniu banków państwowych, oraz instytucyj kredytowych o charakterze społecznym.

Zwolennicy zupełnej swobody gospodarczej zwalczają te dążenia, uważając, że paczą one rozdział kapitałów w życiu gospodarczem i jednocześnie w sobie wszystkie złe cechy imprez kolektywistycznych czy etatystycznych. Pogląd ten jest tylko częściowo słuszny. W życiu gospodarczem mamy działy dynamiczne, wymagające do swego rozwoju zupełnej swobody, i działy już skostniałe i zrutynizowane, które mogą funkcjonować zadowalniająco pod zarządem państwowym lub społecznym. Do działów tych należą niewątpliwie również pewne dziedziny działalności kredytowej. Rozpatrzmy je po kolei.

1) Działalność banków emisyjnych, niemożliwa bez monopolu, jest źródłem ogromnych zysków, ale ma zarazem tak wielkie znaczenie gospodarcze i polityczne, że we wszystkich państwach banki emisyjne są uzależnione (choć gdzieś niegdzie tylko zwyczajowo) od władz państwowych. Poza Anglią nie było jeszcze przykładu, by bank emisyjny oparł się woli rządu. Akcjonariusze tych banków ciągną zyski, drukując banknoty i pożyczając je na procent. Dochody ich nie płyną przeto z ich własności, lecz z monopolu nadanego im przez państwo. Jestto dziwolaż, potrzebny może w epoce liberalnej do funkcjonowania systemu, ale anachroniczny w naszych czasach. Żaden bank emisyjny nie kieruje się dążeniem do jaknajwiększego zysku, lecz dąży do pełnego zaspokojenia potrzeb gospodarczych kraju. Już samo to wskazuje na jego charakter społeczny a nie prywatny.

2) Udzielanie pożyczek hipotecznych już oddawna przybrało w większości państw charakter społeczny (u nas Towarzystwa Kredytowe i Kasy Oszczędności). Tam gdzie nie-

ma ryzyka, inicjatywa prywatna nie ma wyższości nad instytucją społeczną.

3) Wobec niesłuchanie częstego załamывania się prywatnych banków, drobne oszczędności* składają dziś ludzie prawie że wyłącznie do instytucyj opartych o państwo lub samorządy, oczywiście w tych krajach, w których finansjery nie potrafiła powstania takich instytucyj udaremnić. *Banki prywatne schodzą coraz częściej do charakteru narzędzia kilku czy kilkunastu osób, które za ich pośrednictwem operują swemi kapitałami.* W myśl zasad narodowych powinny takie kapitały iść jednak wprost do produkcji w formie udziałów, istnienie więc tej kategorii banków staje się zupełnie zbędne.

4) W tych działach życia gospodarczego, w których ryzyko jest istotnie duże i udzielenie kredytu wymaga dokładnej znajomości stosunków lokalnych (rękodzieło, drobny handel i przemysł), banki prywatne zupełnie nie operują. Jedynie możliwe są tu spółdzielcze instytucje kredytowe, obsługujące własnych członków.

Instytucje kredytowe, czy to publiczne czy spółdzielcze, mają szereg wad wynikających niejako automatycznie z ich charakteru zbiorowego, jakoto nadmierną biurokratyzację, protekcyjność oraz ociężałość, niepozwalającą im obsługiwać życia gospodarczego z dostateczną sprężystością. Duża część tych wad da się jednak usunąć z chwilą gdy społeczeństwo zrozumie wagę zagadnień kredytowych i niebezpieczeństwo płynące z ich zaniedbania. Natomiast szereg wad tych instytucyj, i dużo zawodów na tej drodze, tłumaczy się poprostu demoralizującym przykładem banków prywatnych oraz celową akcją finansjery, skierowaną przeciw istnieniu społecznych instytucyj kredytowych. Zbyt kosztowna administracja zjada to, co się oszczędza, nie mając do opłacenia akcjonariuszy wołających o dywidendy. Dzieje się to skutkiem naśladowania poziomu plac, przyjętego w prywatnych instytucjach bankowych. Ale tu są zyski spekulacyjne, jest więc z czego płacić, a w instytucji o charakterze społecznym ten motyw odpada. Drugim

* Myśl narodowa uznaje ogromną wagę uruchomienia drobnych oszczędności dla celów produkcyjnych, ale banki prywatne bynajmniej tej funkcji obecnie w Polsce nie spełniają.

ważnym motywem niezadowolającego funkcjonowania społecznych instytucyj kredytowych jest fakt, że póki panuje w poglądach gospodarczych teza liberalna o odsetkach, instytucje te nie mają właściwie racji bytu i siedzą stale na dwu stołkach, w rozterce czy zabiegać o możliwie duże zyski czy o obniżenie stopy procentowej. Stąd szereg kompromitacyj i niepowodzeń.

Szkody wyrządzone przez banki prywatne, jako oficjalne instytucje do propagowania kredytu i śrubowania stopy procentowej, są tak olbrzymie, że usterki społecznych instytucyj kredytowych wydają się wobec nich zupełnie nikłe. Tembardziej że zależy tylko od społeczeństwa, czy zechce przez odpowiedni nadzór większość tych wad wykorzenić.

W ustroju narodowym wielkie przedsiębiorstwa będą „uspołecznione”. Jak wiemy stopień ich uspołecznienia zależy będzie od ich wagi społecznej. Wobec wielkiej wagi zagadnień kredytowych, oraz niebezpieczeństw grożących z ich zaniedbania, jest rzeczą jasną że instytucje kredytowe muszą być w wysokim stopniu „społeczne”.

Jaka forma „uspołecznienia” odda tu najlepsze usługi? Mamy obecnie bodajże tylko trzy banki będące w czysto polskich rękach. O strukturze Banku Polskiego mówiliśmy już, ale to bank o założeniach specjalnych, nie można więc jego ustroju generalizować. Pozostałe dwa banki (Bank Zw. Spółek Zarob. w Poznaniu oraz Bank Tow. Spółdzielczych w Warszawie) to banki spółdzielcze. Oba mają chlubne tradycje i wykazały na żywym przykładzie celowość tego typu instytucyj kredytowych. Jak wynika z badań prof. Radziszewskiego*, tradycje spółdzielcze w dziedzinie kredytu sięgają na ziemiach polskich początku ośmnastego wieku, i są starsze od tradycji banków prywatnych. W tej dziedzinie byliśmy jedyni z pierwszych, o ile nie pierwszymi w Europie. *Spółdzielczość w kredycie — to idea bardzo polska*, która w różnych odmianach zdała już u nas egzamin życia. Wystarczy przypomnieć choćby imponujący rozwój Kas Stefczyka.

* Henryk Radziszewski, *Polska Idea Ekonomiczna*, Warszawa, 1918.

Nie należy oczywiście wykluczyć i innych sposobów „uspołecznienia” w dziedzinie kredytu, lecz można z góry przewidzieć, że zapewne w tym właśnie dziale gospodarki spółdzielczość będzie święciła największe triumfy, gdyż przy kredycie chodzi przede wszystkim o rozłożenie strat i ryzyka. Banki prywatne asekurują się przeciw stratom śrubując stopę procentową w górę, a zarazem unikając pożyczania rękodziełu, oraz drobnym i średnim warsztatom. Oba te sposoby są społecznie zgubne, i *przekreślają wszelkie możliwe korzyści z kredytu jako środka pomocniczego w gospodarce*. Jedynie spółdzielczość może tu przyjść z pomocą.

Związanie spółdzielczych instytucyj kredytowych z ciałami zawodowymi* pozwoli uczynić z kredytu narzędzie rzeczywiście pomocne w gospodarce, a odbierze mu obecny jego charakter środka wywłaszczenia i wyzysku.

Banki czysto prywatne, ograniczone do właściwego im zakresu działania, mogłyby nadal odgrywać pożyteczną rolę w życiu gospodarczym. Niestety społeczeństwo nie jest apteką, w której można dowolnie mieszać dawki i saczyć lekarstwa po kropelce. Sprowadzenie banków do ich właściwej roli nie jest już wykonalne. Ich potęga stała się zbyt wielka i operuje z całą bezwzględnością, nie oglądając się na środki i sposoby. Dlatego albo finansjera zachowa nadal swą zabójczą potęgę, *albo banki prywatne należy znieść*.

Innej ewentualności nie ma.

*Zniesienie bankowości prywatnej, jako pierwszy krok do reformy kredytu w myśl zasad chrześcijańskich, musi być naczelnem hasłem każdego ruchu narodowego.*** Stanowić to będzie rewolucję w znaczeniu moralnem, lecz nie wywoła po-

* Patrz Rozdział poprzedni (Korporacje zawodowe).

** Geneza hitleryzmu była następująca: Inż. Feder wydał w r. 1920 broszurę pt. „Das Manifest gegen die Zinsknechtschaft” (Manifest przeciw pańszczyźnie odsetkowej). Hitler przeczytał tę broszurę, poszedł na odczyt Federa i ten epizod stał się punktem wyjścia całego ruchu. Po dojściu do władzy Hitler nie odważył się na podjęcie walki z finansjerą na odcinku kredytowym i to stanowi jeden z głównych motywów rozczerowania jego zwolenników, tembardziej, że problem lichwy łączy się w epoce deflacji ściśle z problemem waluty złotej, a bodajże na tym odcinku popełnił Hitler najcięższy błąd, dopomagając Żydom do zorganizowania bojkotu Niemiec przez kurczowe utrzymywanie marki na parytecie złota (patrz Rozdział XV, Pieniądz).

ważniejszych zaburzeń w życiu gospodarczym kraju takiego jak Polska, w którym sieć społecznych instytucyj kredytowych rozwinięta jest niezwykle szeroko. *Osoby będące wierzycielami banków prywatnych będą musiały przejąć udziały przedsiębiorstw finansowanych obecnie przez te banki.* Wysanuje się w ten sposób za jednym zamachem większość naszych przedsiębiorstw i odrobi anomalje, wynikające z zawieszenia działalności emisyjnej w Polsce przez szereg lat. Bieżąca działalność banków prywatnych przejmą istniejące obecnie banki państwowe, komunalne i spółdzielcze.

Ograniczenie swobody na odcinku kredytowym wywoła oczywiście pewne osłabienie rytmu życia gospodarczego (wiemy że wszelki zabieg sztuczny w ekonomji okupuje się obniżką stopy życiowej). Jednak zwolnienie całego społeczeństwa od gniotącej je zmiory lichwy wywoła takie ożywienie życia gospodarczego, że w krótkim czasie dodatnie skutki zniesienia banków prywatnych uzyskają przewagę nad szkodami.

Reasumując: Ogólne zasady narodowej polityki kredytowej będą następujące:

- 1) Wolne kapitały należy kierować do produkcji bezpośrednio (w formie udziałów), a nie za pośrednictwem banków.
- 2) Stopa procentowa, płacona od wkładów, powinna być tak niska, by przyciągać do banków społecznych tylko bieżące oszczędności drobnych ciułaczy, rezerwową gotówkę przedsiębiorstw oraz kapitały osób niezdolnych do osobistego interesowania się losem swych pieniędzy, i skłonnych skutkiem tego do przejadania swych kapitałów.
- 3) Kredyt winien mieć charakter wyjątkowego finansowania pewnych transakcyj, wykraczających poza normalne ramy działalności danego przedsiębiorstwa.
- 4) Celem działalności wszystkich społecznych instytucyj kredytowych będzie nie zysk, ale obniżenie do minimum stopy procentowej. Skutkiem tego powinny te instytucje pobierać tylko takie odsetki, które pokrywają odsetki

płacone wkładającym, koszta administracji i straty skutkiem niewypłacalności tego lub owego klienta. Tworzenie rezerw, będące doskonałym pretekstem do śrubowania odsetek, odpadnie, wobec oparcia tych instytucyj o państwo, samorządy i korporacje zawodowe.

- 5) Kredyt dla rolnictwa, handlu i przemysłu będzie skoncentrowany w spółdzielniach kredytowych o charakterze korporatywnym, czerpiących swe fundusze z wkładów bieżących własnych członków oraz z banków państwowych, samorządowych i społecznych. Ten system pozwoli na elastyczniejsze obsłużenie życia gospodarczego niżby to było możliwe, gdyby banki państwowe i komunalne, do których kieruje się u nas większość wkładów, chciały przejąć na siebie obsługę kredytową poszczególnych przedsiębiorstw, wykonywaną obecnie po części przez banki prywatne.

Niewątpliwie system ten funkcjonować będzie gładko jedynie wtedy, gdy społeczeństwo wydeleguje do niego dzielnych organizatorów i stale doglądać będzie sprawności jego działania. Ale ustrój narodowy nie jest, jak liberalizm, ustrojem kwietyzmu, lecz systemem ciągłego wysiłku. Z natury rzeczy największego trudu i baczenia wymagają odcinki najbardziej zagrożone, a takim odcinkiem, odwieczną rzeczą kolejną, będzie zawsze odcinek pieniądza, z jego pokusami w formie lichwy i kredytu.

G I E Ł D Y.

Giełdy towarowe mają swą rację bytu i powinny się ostać. Co do *giełd pieniężnych*, to zwyrodnienie ich doszło do tego stopnia, że choć mogłyby w niektórych rzadkich wypadkach oddawać pewne usługi, to jednak niebezpieczeństwa grożące z ich istnienia przeważają nad możliwemi korzyściami (analog. do banków prywatnych). Jako zaraźliwe ogniska chorobowe w życiu gospodarczem, centra oszustwa i spekulacji, *giełdy pieniężne należy znieść*. Handel udziałami i walutami, pozbawiony cech gorączkowej spekulacji, pozostanie w przyszłości domeną banków społecznych.

Zamknięcie giełd pieniężnych nie wywrze najmniejszego wpływu na życie gospodarcze Polski, gdyż giełdy te prowadzą od szeregu lat żywot wysoce anemiczny i pozbawione są jakiegokolwiek wpływu na naszą gospodarkę. Po okresie spekulacyjnej świetności za czasów inflacyjnych giełdy te czekają na jakiś ponowny okres zamieszania by ożywić swoje obroty. T. zw. sfery giełdowe — to zespół typowych pasorzytów, dla których nie będzie miejsca w zdrowym organizmie gospodarczym.

KREDYT ROLNY.

O ile kredyt w handlu i przemyśle, a więc w specyficznie dynamicznych formach gospodarczych, może w ograniczonym zakresie być pożyteczny, o tyle kredyt w rolnictwie jest środkiem ogromnie niebezpiecznym. Rolnictwo, jako najbardziej statyczna z wszystkich form gospodarczych, daje szczególnie niski dochód z pracy na warsztacie, mówiąc językiem ekonomii liberalnej daje specjalnie nikłe oprocentowanie kapitału użytego w produkcji. Dochód ten zależy przytem od urodzaju, klęski elementarnej i zarazy bydła zwiększając jeszcze ryzyko. Jako kompensatę ma rolnik pewność, że jego ziemia jest wieczna, i że jej wartość wzrasta stale, nie potrzebuje jej więc amortyzować. Najniższa stopa procentowa, po której może otrzymać pożyczkę, wynosi jednak 4% do 5%, a to przekracza przeciętny jego dochód.

Niewątpliwie o ile rolnik należy do ludzi przedsiębiorczych i zaradnych i użyje pożyczonych pieniędzy w sposób bardzo celowy, uda mu się zarobić i na odsetki i na spłatę pożyczki. Ale są to wypadki wyjątkowe. Jako regułę można przyjąć, że pożyczka wycieńcza siły rolnika zamiast je wzmacniać, i w większości wypadków prowadzi do wyzucia go z własności i do zniszczenia ogniska rodzinnego. Szkodliwe skutki kredytu w rolnictwie maskowane są często przez dewaluację pieniądza, zwracającą rolnikowi to co nadpłacił w formie procentów. Wielka wojna uratowała na ziemiach polskich poważną część rolników, którzy nie mieliby żadnych szans do utrzymania się na swej ziemi. Powojenna fala kredytów rolnych byłaby znowu wysadziła z warsztatu większość rolni-

ków, gdyby nie obecne moratorium na ich korzyść, z którego jedynym możliwym wyjściem będzie albo dewaluacja pretenzji, albo ich częściowe skreślenie.

Chłop nie spłaca swych długów z dochodu swego gospodarstwa, ale z zarobków ubocznych, idąc na robotę, dawniej na Saksy, obecnie do miasta. Jeśli dwór lub fabryka nie dadzą mu zarobku, staje się niewypłacalny. Zadłużony ziemianin jest z reguły niewypłacalny, a wierzyciel dochodzi do swych należności wyzyskując go z ziemi.

Można śmiało postawić tezę, że *kredyt jest zgubą rolnika*.

Dlaczego więc rolnicy pożyczają? Dlatego, że pożyczanie rolnikom stanowi dobry interes dla lichwiarzy żadnych odsetek, którzy wytwarzają cały system pokus i wmawiają rolnikom swoje pieniądze. Na roli pracują przeważnie ludzie mało zaradni, gospodarczo przeciętni, a Żyd z miasteczka chce chłopu pożyczyć pieniądze, a Towarzystwo Kredytowe czy Bank Rolny chcą emitować listy zastawne. W Polsce nawet państwo namawiało rolnika do pożyczania. Rolnik musiałby być nadczłowiekiem by się oprzeć tej zorganizowanej pokusie.

Udzielenie pożyczki rolnikowi leży w interesie wierzyciela. Jest to rodzaj lichwy zawierający w sobie najmniejsze ryzyko. Oczywiście tylko dla lichwiarzy. Spokojny burżuj kupujący listy zastawne z reguły na nich traci, ale zarabiają ci, którzy je emitują. W ich interesie leży zasugerować rolnika by pożyczył, i szeroką publiczność, by dała na to pieniądze.

O ile w handlu i przemyśle należy ograniczyć do minimum wypadki, w których kredyt staje się koniecznością, o tyle w rolnictwie powinien kredyt zupełnie zniknąć. Jako że ustawowe zakazy nie są celowe, powinno państwo utrudnić rolnikowi pożyczanie a wierzycielowi odbiór jego pieniędzy, i samo prowadzić w stosunku do rolnictwa politykę „antykredytową“.

Rozpatrzmy po kolei rozmaite formy kredytu rolnego:

- 1) Kredyt długoterminowy uznany jest przez ekonomistów za t. zw. „prawidłową“ formę kredytu. Trudno o większe nieporozumienie. Prawidłowym jest chyba tylko dlatego, że gwarantuje stałe pozbawienie rolnika owoców jego pracy, jest więc ortodoksyjnie zgo-

dny z założeniami kapitalizmu. *Kredyt długoterminowy jest oparty na fałszywych przesłankach gospodarczych i psychologicznych.*

Gospodarczych, bo nie istnieją inwestycje amortyzujące się w ciągu 40 lat. Maszyny używane w rolnictwie amortyzują się w ciągu 1 do 5 lat, nawozy sztuczne i nasiona w ciągu roku, meljoracje w ciągu kilku lat. Budynki gospodarcze stawiane do specjalnych celów amortyzują się również w ciągu kilku lat, a mieszkalne nie są inwestycją. Rolnik powinien je budować ze swych oszczędności, a jeśli ich nie ma, to sprzedając część swej ziemi. Zastępowanie starych budynków nowymi (najczęstszy wypadek) następuje z oszczędności bieżących; gospodarstwo, które na ten cel musi pożyczać, jest skazane na zagładę.

Psychologicznie kredyt długoterminowy oparty jest na zupełnem zapoznaniu motywów ludzkiej działalności. Człowiek w sile wieku, chcący poprawić swój byt, może przez kilka lat podwoić swoje wysiłki, zacisnąć zęby i dorobić się. Jeśli pożyczył, może przez kilka lat orać jak wół w jarzmie dla konkretnego celu, to jest dla spłacenia swej pożyczki. W swej wyobraźni widzi względnie blisko ten radosny dzień, kiedy będzie wolny od gniotącego go ciężaru.

A człowiek, który wziął pożyczkę na 25 lub 40 lat? Zaprzedał się na całe życie. Trzeba ogromnego hartu ducha, by przez całe życie pracować ze zwiększonym natężeniem. Przeciętny człowiek, wzięwszy pożyczkę na 40 lat, pracuje tyle samo co przedtem. Co gorzej, ponieważ pożyczka wydaje się mało uciążliwa, część z niej zawsze się „rozejdzie”, część tylko zostaje obrócona na zwiększenie siły produkcyjnej warsztatu. Gorzej jeśli się z tej pożyczki buduje dom lub rozszerza stary. Zwiększa to stopę życiową. Przez pierwszych kilka, nawet przez dziesięć lub piętnaście lat, jakoś się płaci. Ale powoli odsetki robią swoje, drażą gospodarstwo, odbierają rolnikowi spokój i chęć do pracy, targają mu nerwy. Koniec następuje automatycznie.

Człowiek, który opracowałby bezstronną statystykę losu majątków, które w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat pozycygały pożyczki długoterminowe, zasłużyłby się ogromnie społeczeństwu. Okazałoby się czarno na białem zgubne działanie kredytu długoterminowego, i skończyłby się może

wreszcie rozdzielić między teorią ekonomji, głoszącą zalety tego kredytu, a konkretną rzeczywistością, którą obserwujemy wszyscy na własne oczy.

- 2) Kredyt średnioterminowy, od dwóch do sześciu lub ośmiu lat, wydaje się być formą psychologicznie i gospodarczo zdrową. Potwierdza tę konkluzję życie, gdyż jest to forma pożyczki ulubiona przez chłopów. A chłop instynktownie wyczuwa co jest dla niego pożyteczne, a co groźne. Naturalnie długość terminu spłaty musi być ściśle związana z przeznaczeniem pożyczonych pieniędzy. Ośmioletnia pożyczka na wybetonowanie gnojarni jest szkodliwa, podobnie jak dwuletnia na trwałą meljorację gruntu.
- 3) Kredyt krótkoterminowy, kilkomiesięczny, jest najzdradliwszy dla rolnika. Pozornie wydaje się naturalne, że rolnik bierze nawozy sztuczne na kredyt i spłaca z nowych zbiorów. Późem bierze je znów na kredyt i spłaca z nowych zbiorów. Staje się to zwyczajem stałym, a odsetki drażą gospodarstwo. Rolnik bierze nasiona na kredyt, bo przejadł na przednówku całe swe zboże. Tu procent bywa zwykle lichwiarski. Bierze na kredyt węgiel, tytoń, podkowy, wódkę. Po kilku latach idzie z torbami.

UTRWALENIE USTROJU ROLNEGO.

Ustrój narodowy dopatruje się w zdrowem gospodarstwie chłopskiem podstawy społeczeństwa, i musi bronić tego gospodarstwa nie tylko przed siłami zewnętrznymi, działającymi na jego zgubę, ale i przed słabością samego właściciela.

Gospodarstwo rolne ginie:

- 1) przez uprzywilejowanie przemysłu (przedewszystkiem celne i podatkowe);
- 2) przez kredyt;
- 3) przez nadmierne rozdrobnienie gospodarstwa.

Pierwszy punkt omówimy w następnych rozdziałach. Obrońcą małego gospodarstwa rolnego przed niebezpieczeństwem płynącym z kredytu stanowi nie tylko czołowy postulat wszystkich społecznych szkół chrześcijańskich i narodowych, ale

znalazło nawet swój oddźwięk w społeczeństwach liberalnych w formie „Homestead Act”^{*} z roku 1839 w stanie Texas w St. Zjedn., oraz ustawy z roku 1909 we Francji. Obie te ustawy pozwalają właścicielowi gruntu ogłosić swą hipotekę raz na zawsze jako nieobciążalną, przyczem gospodarstwo nie może być sprzedane za długi niehipoteczne, zaciągnięte przez właściciela. Właściciel gospodarstwa, korzystającego z dobrodziejstwa tej ustawy, staje się niejako ordynatem i odpowiada za swoje długi jedynie swymi ruchomościami. Rzecz oczywista, że w tych warunkach nikt mu wiele nie pożyczy, ciągłość posiadania ziemi w rodzinie jest więc zagwarantowana i dochodzi się do ustabilizowania tej podstawowej komórki społecznej, „famille souche”, pnia, z którego w każdej generacji wylatują w świat jednostki zdrowe moralnie i fizycznie, związane więzami tradycji, rodziny i uczucia z ziemią ojczystą.

Cytowane wyżej ustawy nie dały oczekiwanych rezultatów, jako warunkowe tylko i niezupełne, przytem sprzeczne w samem swem założeniu z systemem liberalnym, w którym miały być stosowane. *Wprowadzenie takiego „Homestead Act”, ustawy o „Ojcowiznie włościańskiej” dla drobnych gospodarstw, stanowi jeden z głównych postulatów narodowego programu gospodarczego*^{**}. Ustawa taka utnie z punktu lichwę na wsi, gdyż ruchomości stanowią zabezpieczenie słabe, więc poważną gwarancją zwrotu pożyczonych pieniędzy będzie właściwie tylko uczciwość właściciela. A wiadomo, że im solidniejsza jednostka, tem mniej pożycza. Nie zapominajmy zresztą, że słowo „kredyt” znaczy tyle samo co zaufanie. Oparcie kredytu na możliwości egzekucji mienia, a nie na zaufaniu do uczciwości dłużnika, świadczy już samo przez się o spaceniu zastosowania kredytu.

* „Homestead” tłumaczy się mniejwięcej „ognisko domowe” lub „ferma rodzinna”.

** Jest to pierwszy i bodaj że jedyny ze społecznych postulatów narodowych, który Hitler wprowadził w życie w całej rozciągłości w pierwszym roku swych rządów (Reichserbhofgesetz z 29. IX. 1933).

Polski „Homestead Act“ musi być połączony z *reformą prawa spadkowego* odnośnie do małej własności rolnej. Reforma ta staje się palącą koniecznością, choćby dlatego, że tak intensywnie obecnie u nas prowadzona *komasacja* staje się *absurdem*, o ile nie jest zabezpieczona przeciw ponownemu rozdrobnieniu gospodarstw*. Taka ustawa spadkowa powinna być opracowana przy uwzględnieniu następujących zasad:

- 1) Minimum niepodzielnego rozmiaru gospodarstwa nie należy traktować szematycznie. Musi ono zależeć od jakości ziemi, oddalenia od miasta, stopnia kultury rolnej w danym okręgu i t. p., i powinno być poddawane rewizji w ściśle określonych odstępach czasu (np. co 30 lub 40 lat). Za duże minimum chybi celu, zrywając kontakt z ziemią setek tysięcy, które mogłyby śmiało na niej się ostać. Zbyt małe minimum sproletaryzuje chłopą.
- 2) Po ustaleniu niepodzielnego minimum zachodzić będzie często wypadek, że jeden z synów dziedziczyć będzie gospodarstwo w całości. Nie byłoby sprawiedliwe wykluczyć resztę dzieci od dziedziczenia, przypuszczam że można będzie obciążyć głównego spadkobiercę spłatą rodzinną w wysokości 25 % do 33 % wartości majątku. Byłby to jedyny wypadek, w którym zaciągnięcie pożyczki (średnioterminowej) na hipotekę chłopską powinno być dozwolone. Uprzywilejowany spadkobierca

* Obóz „postępu“ bardzo gorliwie propaguje i przeprowadza w Polsce komasację, ale nie chce absolutnie dostrzec konieczności zabezpieczenia skomasowanego gospodarstwa przed ponownym rozdrobnieniem. Trudno się przeto oprzeć podejrzeniu, że nie chodzi bynajmniej o dobro chłopą, lecz:

- 1) o wzięcie go w niewolę kredytową (kredyty meljoracyjne);
- 2) o wytworzenie w chłopie pojęcia, że ziemia jest rzeczą płynną, którą można bez przerwy zamieniać, dzielić, komasować, egzekwować itp. Chłopa łączą trwalsze więzy z ziemią, którą odziedziczył lub dostał w posagu, niż z przypadkowym kawałkiem gruntu, który mu przydzielił przy komasacji geometra. Dlatego należy komasację przeprowadzać oględnie i w taki sposób, by chłop czuł, że chodzi o zabieg absolutnie wyjątkowy i jednorazowy, a nie o rzecz, która będzie się musiała znów powtórzyć za dziesięć lub dwadzieścia lat.

będzie w stanie spłacić taką pożyczkę w ciągu 6 do 8 lat, drogą zdwojenia swych wysiłków.

- 3) Może jednak zająć wypadek, że właściciel długu nie spłaci i gospodarstwo pójdzie na licytację. Najbliżsi członkowie rodziny, w ustawowo określonym stopniu pokrewieństwa, powinni mieć wówczas prawo do kupna tego gospodarstwa, nie stając do publicznego przetargu, ale płacąc jedynie sumę ciążącą na hipotece.
-

Wpis obciążenia hipotecznego zarówno dla małej, jak i dla większej własności, powinien być dozwolony jedynie wówczas, gdy pożyczki udziela społeczna instytucja kredytowa. To zastrzeżenie pozwoli uniknąć pożyczek po lichwiarskiej stopie, bo instytucje społeczne albo udziela pożyczek po stopie godziwej, albo w razie braku środków ich nie udziela, co jest niewątpliwie lepsze dla rolnika niż pożyczka po stopie wygórowanej. Jeśli prywatna osoba będzie chciała udzielić pożyczki hipotecznej rolnikowi może to zrobić składając swe pieniądze do instytucji społecznej, względnie kupując listy zastawne tej instytucji, z tem zastrzeżeniem, że mają one służyć na pożyczkę dla określonej osoby.

Jeśli chodzi o większą własność rolną, to ograniczenie prawa do obciążenia hipoteki wyłącznie tylko do spraw spadkowych byłoby niecelowe, gdyż właścicielami są tu ludzie bardzo wykształceni i obrotni. O ile się ich przestanie karmić fałszywymi teorjami ekonomicznymi, potrafią się zapewne ograniczyć w pożyczaniu do najistotniejszych wypadków. Duży warsztat rolny jest swego rodzaju przedsiębiorstwem przemysłowem, musi w swej produkcji iść za konjunkturą i mieć większą swobodę ruchów.

Konieczne jednak będą następujące zastrzeżenia:

- 1) obciążenie hipoteki tylko za pośrednictwem instytucyj społecznych;
- 2) odpowiedzialność tylko ruchomościami za długi niehipoteczne; niemożność wystawienia majątku na licytację za te długi;

- 3) pożyczki hipoteczne należy zaciągać jedynie na spłaty przy dziedziczeniu, na trwałe meljoracje ziemi oraz na budowę budynków wzgl. zakup maszyn o specjalnem przeznaczeniu gospodarczem (ale nie na budowę budynków mieszkalnych); pożyczki wyłącznie średnio-terminowe; instytucja pożyczająca powinna uzależnić udzielenie pożyczki od wykazania, że ma ona być użyta na jeden z powyżej wymienionych celów.

KREDYT HANDLOWY.

Dwieście, a nawet jeszcze sto lat temu uchodziło za rzecz normalną, że kupiec jest właścicielem towarów, którymi handluje.

Dziś, drogą weksli i banków, które je dyskontują, doszliśmy do tego, że prawowitym właścicielem kołnierzyka, który kupuję w podrzędnym sklepiku prowincjonalnym, jest Kredit Anstalt rotszyldowski lub nowojorski Morgan. *Zabiedzony i zatroskany kupiec za ladą jest poprostu agentem, pracującym na oprocentowanie kapitałów wielkiej finansjery.* Kupiec jest w stokroć gorszym położeniu od przeciętnego urzędnika czy robotnika: ci pracują mięśniami lub głową, i biorą za to umówioną zapłatę. Kupiec nie tylko pracuje, lecz ponosi całe ryzyko, zabiega koło interesu, targa sobie nerwy, walczy z konjunkturą, pod ciągłą groźbą bankructwa i licytacji. A owoce jego pracy płyną do cudzej kieszeni w formie odsetek. Skutek jest jaki, że „obrotny“ kupiec stara się zarobić nie uczciwą pracą, lecz przez zręczne bankructwo.

W ustroju narodowym, przy ograniczeniu kredytu do minimum, kupiec mały czy duży musi być z zasady właścicielem towaru, który sprzedaje. Jeśli niema dostatecznego kapitału własnego, niech wchodzi w spółkę, ale niech nie pożycza.

Jak długo chodzi o drobnego kupca, większość czytelników zgodzi się zapewne na powyższą tezę. Ale co zrobić z wielką firmą handlową, która dziś potrzebuje kapitału na opłacenie paru okrętów pełnych towaru, jutro może nie potrzebować kapitału zupełnie, a pojutrze trafia jej się jakaś niespodziewana transakcja specjalnie korzystna? Gdyby chcieć zaopatrzyć taką firmę na stałe w kapitał, wystarcza-

jący na wszelkie ewentualności, wówczas przez część roku ten kapitał leżałby bezczynnie, z wielką szkodą dla ogółu; zaś przy obecnym systemie dziś ta firma potrzebuje kapitału, jutro inna, banki wyrównują między sobą zapotrzebowanie i wszystkie kapitały pracują bez przerwy produkcyjnie...

Odpowiedź: Nierównomierne zapotrzebowanie kapitału przez firmę handlową świadczy o jej złej organizacji (przeważnie jest skutkiem nastawienia spekulacyjnego). Zarówno przemysł, jak i handel, mają zaspokajać potrzeby ludzkie, a potrzeby te są stałe, wzgl. przekształcają się powoli. Firma handlowa, która stawia sobie za zadanie stałe obsługiwanie pewnej potrzeby, może bez trudności dostosować swój kapitał do rozmiaru zamierzonych obrotów, a nie powinna się łakomić na spekulacyjne transakcje jednorazowe, na które jej kapitał oczywiście nie wystarcza. Może zapewne zająć chwilowe zwiększenie obrotów, czy to w momencie specjalnie dobrej konjunktury, czy przy rozszerzaniu się firmy, zanim jeszcze zdąży powiększyć swój kapitał drogą nowych udziałów. Będzie to właśnie tym wypadkiem wyjątkowym, w którym myśl narodowa dopuszcza pożyteczność zaciągnięcia kredytu. Wypadki te powinny być jednak rzeczywiście wyjątkowe, *a obracanie kapitałem własnym musi pozostać zasadą.*

Reforma ustroju w sensie narodowym usunie obecne gwałtowne skoki konjunktury i umożliwi operowanie kapitałem stałym, zarówno w handlu jak i w przemyśle. Przy dzisiejszej histerji gospodarczej, będącej skutkiem agonizującej gospodarki kapitalistycznej, trudno się rzeczywiście obywać bez kredytu, gdyż kupiec czy przemysłowiec nie może absolutnie przewidzieć jakie będzie miał obroty za trzy miesiące.

To samo, co pisałem o koncentracji w przemyśle, odnosi się oczywiście i do koncentracji w handlu. Narodowa myśl gospodarcza zwalcza zarówno kolosy handlowe (np. domy towarowe sprzedające wszystko, od szpilki do samochodu), jak i sztuczne łączenie wytwarzania ze sprzedażą (np. biura handlowe różnych karteli, detaliczne punkty sprzedaży wielkich fabryk, restauracje finansowane przez browary i t. p.) Domy towarowe są u nas jeszcze mało rozpowszechnione, ale np. w Niemczech stały się prawdziwą plagą dla małego i średnie-

go kupiectwa. Zato monopolizowanie sprzedaży przez samych producentów przybrało ostatnio w Polsce rozmiary prawdziwej katastrofy społecznej, podrywając byt dziesiątek tysięcy rodzin kupców i agentów handlowych. Korzyści gospodarcze takiego łączenia handlu z produkcją są żadne, jeśli wziąć pod uwagę całokształt gospodarki (oczywiście zyski indywidualne mogą być duże i balansują się ze stratami setek tysięcy).

Natomiast straty społeczne są olbrzymie, i przesadzają problem.

Jeszcze jedna plaga obecnego systemu — to nadmiernie rozwinięte pośrednictwo. Jest to naturalny skutek ustroju opartego na zмовie i lichwie, i logicznie z niemi związanej spekulacji. Zdrowy system handlu i produkcji, oparty na godziwym systemie celnym i podatkowym, oraz na zdecydowanym przeciwdziałaniu lichwie oraz zмовom obliczonym na nadmierne zyski, wyeliminuje drogą naturalnej ewolucji pasorzytów społecznych, i pozostawi w handlu tylko tę niezbędną ilość ogniów pośrednich między wytwórcą a spożywcą, której wymaga racjonalne obsłużenie potrzeb gospodarczych społeczeństwa.

KREDYT PUBLICZNY.

„Będziesz pożyczal na procent wielu
narodom, lecz sam nie będziesz poży-
czał na procent od żadnego“.

(Deuter. XXVIII, 12).

Wkońcu słów kilka o kredycie publicznym. Kredyt zaciągany przez państwo lub samorządy jest niewątpliwie jeszcze zdradliwszy i mniej moralny od kredytu prywatnego. Gdy ja sam pożyczam i zobowiązuję się zapewnić komuś dochód bez pracy — moją własną pracą (w formie odsetek), to ostatecznie wyrządzam krzywdę tylko sobie. Gdy natomiast pożyczka państwo lub miasto, obiecuje ono dochód bez pracy temu, od kogo pożyczycyło, ale na dochód ten pracować mają

obywatele, bo to przecież oni płacić będą odsetki w formie podatków. W państwie takim jak Francja, gdzie $\frac{2}{3}$ budżetu idzie na oprocentowanie długów państwowych, 66% każdego podatku to są właściwie odsetki, które jedni obywatele płacą drugim. We Francji rzecz jest możliwa do zniesienia, jako że zachowało się jeszcze duże rozpowszechnienie własności, i obywatel często jedną ręką płaci podatki a drugą inkasuje kupony od pożyczek państwowych, nie zdając sobie właściwie z tego sprawy, że przelewa poprostu gotówkę z jednej kieszeni do drugiej. Ale w innych państwach rzecz jest o wiele groźniejsza, pożyczki państwowe stały się poprostu doskonałą lokatą dla wielkiego kapitału, który zaprzęga w ten sposób do pracy na swoją korzyść miliony podatników.

Podobnie jak prywatna osoba czy prywatne przedsiębiorstwo, *powinno państwo uważać pożyczanie za środek wyjątkowy, do którego się ucieka tylko w razie ostatecznej konieczności.* Tak bywało w ubiegłych wiekach. Wojny prowadziło się ofiarnością obywateli, pożyczki stanowiły tylko drobny ułamek kosztów wojennych. Dopiero nasza era wprowadziła prawdziwy przewrót. Wojnę światową toczono w lwiej części za pożyczone pieniądze. Głównym inicjatorem tego systemu był Lloyd George, któremu tę „złotą“ myśl zasugerowali zapewne jego żydowscy zauszynicy. Fantastyczne długi wojenne Anglii i Francji tuczą odsetkami niezłe falangi „finansistów“. Słyszałem, że w czeskich aktach mobilizacji finansowej na wypadek wojny figuruje również „genjalna“ myśl rozpisywania pożyczek „narodowych“ co szczęście miesiecy. Jedno nie ulega wątpliwości, że żydowskiej finansjerze spać nie daje myśl, że w polskim budżecie państwowym tak stosunkowo mało miejsca zajmują odsetki.

Bank dbający o swą płynność musi trzymać płynną gotówkę w kasie. Gotówka ta nie niesie odsetek! Myśl taka przejmuje poprostu grozą! Wohec tego wywiera się na państwo odpowiedni nacisk, i państwo wypuszcza bony skarbowe i pożyczki zewnętrzne i wewnętrzne. Takie bony, czy obligacje można trzymać w kasie i w razie potrzeby wymienić natychmiast na gotówkę, istnieje więc już pewność, że żaden grosz żydowskiego kapitału nie będzie leżał bezpłodnie, ale że będzie miał swój odpowiednik w pracującym na

odsetki Polaku. Kapitał „krajowy“ (czytaj żydowski) żądny zysków wyższych niż ustawowe odsetki od pożyczek, szuka i znajduje inne sposoby. Jako kapitał „zagraniczny“ przychodzi do Polski budować drogi, czy elektryfikować, przyczem odsetki są rzeczywiście lichwiarskie, maskowane pod formą niezwykle wysokich cen za wykonane roboty. By móc brać takie pożyczki tworzy państwo specjalne „fundusze“ o odrębnej osobowości prawnej. Cel zawsze i wszędzie jest tylko jeden: zaprzęgać wszystko i wszystkich do płacenia odsetek.

O ile przy kredycie wewnętrznym pozostaje jeszcze ta słaba pociecha, że wzamian za pracę dłużnika bogaci się wierzyciel w kraju, o tyle kredyt zagraniczny stanowi naogół czystą stratę dla gospodarki narodowej, i rzadkie bywają wypadki, by przyniósł prawdziwą korzyść (zdarza się to tylko w krajach kolonialnych o wyjątkowo dziewiczych warunkach gospodarczych). Klasyczną lokatą były przed wojną papiery tureckie, dlatego też Turcja pozostawała jednym z najuboższych krajów na świecie. Przez pierwszych dziesięć lat naszej niepodległości nie miały pewne czynniki spokoju, póki się nie zadłużymy po uszy zagranicą. Kredyt zagraniczny zachwalano nam jako zbawienie. Całe szczęście, że skutkiem światowego kryzysu nie zdążono nas jeszcze na tyle obdłużyć, jak to było w zamiarze. Pozostaje nam jednak taka nauka: zarówno w gospodarce publicznej, jak i w prywatnej, oglądać się tylko na własne zasoby. Naród może się rozwijać tylko pracą własnych obywateli, nigdy pracą rąk cudzych. Lecz powinien również baczyć, by praca swoich nie szła na wzbogacenie obcych. Stać nas od czasu do czasu na bezinteresowną wyprawę pod Wiedeń. Ale na codzień powinniśmy własną pracą kuć własne bogactwo, a nie iść na lep międzynarodowego kapitału, który chętnie widziałby nadal Polaków w roli białych murzynów, pracujących w pocie czoła na odsetki dla tych, co nie sieją ani orzą, lecz siedząc w Londynie lub w Nowym Jorku działają na naszą szkodę polityczną i gospodarczą.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ.

Istnieją w spółdzielczości dwie tendencje, z których jedna odpowiada poglądom narodowym, a drugiej — powiedzmy to otwarcie — należy wypowiedzieć zdecydowaną walkę.

Przykład tendencji pierwszej: wieś, w której mieszka stu chałupników szewskich, organizuje sobie spółdzielnię kredytową oraz spółdzielnię, mającą dostarczać chałupnikom skór i organizować w mieście sprzedaż wyrobionego przez nich obuwia.

Ten typ spółdzielni zasługuje na gorące poparcie.

Przykład tendencji drugiej (z życia wzięty): przychodzi do mnie chłop i radzi się, jak założyć we wsi spółdzielczy sklep spożywczy. Wieś o sześciuset mieszkańcach, ma sklep spożywczy katolicki, prosperujący znakomicie, i dogorywający sklep żydowski. Polska typu 1936. Pytam się: Dlaczego chcecie zakładać spółdzielnię? Jak wam mało jednego sklepu, to namówcie kogo, by założył drugi. Na założenie sklepiku spożywczego na wsi wystarczy sprzedać parę krów lub pół morgi ziemi. A założenie spółdzielni wymaga dużego wysiłku i człowieka bardzo zaufanego. Szkoda sobie zawracać głowę spółdzielnią na sprzedawanie soli, nafty i kaszy. — Słyszę odpowiedź: Ale ci sklepikarze na nas zarabiają, a my nie chcemy, żeby ktoś zarabiał.

A więc o to chodzi! Ta tendencja w spółdzielczości o miłą zalatuje marksizmem. Chodzi poprostu o to, *by się nikt nie uwłaszczał przy pomocy handlu.** Wszelkie inne argumenty odgrywają tu tylko rolę listka figowego. Nie spotkałem spółdzielczego sklepiku spożywczego, któryby sprzedawał taniej niż konkurencyjne sklepiki prywatne, a jeśli nawet któryś to czyni, to wyrównuje to z nawiązką przywilejami podatkowymi, z których korzysta. Rozdziela-

* Jest jeszcze cel uboczny. Klasowy ruch chłopski usilnie propaguje obecnie po wsiach spółdzielcze sklepy spożywcze. Tłumaczy się przytem chłopom, że to najskuteczniejszy sposób odżydzenia handlu. Znając przemienne wpływy masońskie wśród ludzi kierujących dziś (pod nieobecność Witosa) tym ruchem, trudno zrozumieć te zapędy antysemickie. Zdaje się, że zagadka ta tłumaczy się następująco: widząc, że nieda się uniknąć powstawania polskich sklepów, woła Żydzi z dwójga złego spółdzielnię, gdyż wiedzą z doświadczenia, że przynajmniej 90% detalicznych spółdzielni spożywczych upada po niezbyt długim czasie, zostawiając rozgoryczenie i teren na długo zapaskudzony dla polskiego handlu. Przytem można intryga, no i przekupstwem, upadek spółdzielni przyspieszyć (przykładów już było dość). Natomiast sklepik indywidualny, rozwijający się pomyślnie, jest nie do zwalczania, Żyd traci wtedy ostatnią nadzieję i musi definitywnie myśleć o emigracji.

nie zysków spółdzielni spożywczych między jej członków stanowi również bajkę o żelaznym wilku, a większość takich spółdzielni (mówię oczywiście ciągle wyłącznie o detalicznych spółdzielniach spożywczych) ginie w ten sposób, że sprytny funkcjonariusz kładzie spółdzielnię i dorabia się własnego sklepu.* Przy tych samych cenach, płaconych przez konsumentów, kupiec prywatny odkłada oszczędności, a spółdzielczy sklepik nie, gdyż zarząd zbiorowy kosztuje *w drobnem przedsiębiorstwie* zawsze drożej od wysiłku zainteresowanej jednostki. Stojąc na gruncie uwłaszczenia mas i własności prywatnej, musimy w tym wypadku stać naszymi sympatjami po stronie kupca, pod warunkiem oczywiście, by zdrowa konkurencja udaremniała wyzysk spożywców. Ale konkurencja w drobnym handlu naogół u nas dopisuje.

Kiedy natomiast spółdzielczość może odegrać rolę doniosłą?

Tam gdzie:

1) czynności są bardzo proste i o typie masowym (np. zakup skór, przędzy, mleka, jaj itd., sprzedaż standartowych towarów wytwarzanych przez licznych członków, udzielanie kredytu, organizacja podziału pracy o formach nieskomplikowanych i niezmiennych itp.);

2) członkowie spółdzielni oddają się temu samemu zawodowi;

3) istnieje jednostka lub jednostki ideowe, nadzorujące *bezinteresownie* działanie spółdzielni. -

Tylko przy równoczesnem spełnianiu się powyższych trzech warunków spółdzielnia może odegrać naprawdę błogosławioną rolę. Przy detalicznych spółdzielniach spożywczych obroty mają charakter zbyt różnorodny i o typie zmała masowym, więc spółnoty łącząca spożywców jest zbyt nikła i skutkiem tego spotyka się rzadko „apostofa”, który stanowi nieodzowny atrybut każdej sprawnej spółdzielni.

* Detaliczna spółdzielnia spożywcza bywa pożyteczna tam, gdzie niema wogóle jeszcze polskiego handlu. Wówczas zadanie tej spółdzielni polega na wyszkoleniu pracowników, którzy otworzą potem sklepy na własną rękę. Z tą chwilą rola spółdzielni jako sklepu detalicznego jest właściwie skończona i spółdzielnia powinna logiczną kolejną rzeczy przejść na handel hurtowy, gdzie zadanie jej może być trwałe.

Dlatego detaliczne spółdzielnie spożywcze naogół zawodzą. Przy spółdzielniach wytwórczych, największą trudność stanowią zmienne wymagania rynku i postęp techniczny, do czego dostosowuje się lepiej przedsiębiorca prywatny.* Natomiast bardzo wielką rolę powinny odegrać spółdzielnie w dziedzinie handlu hurtowego i kredytu. Ich ścisły związek z odpowiednimi korporacjami zawodowymi stanowić będzie gwarancję, że znajdą się pod kolegjalnym nadzorem zainteresowanych, a nie tylko spółdzielczej biurokracji.

W dzisiejszej Polsce istnieją dwa zespoły „pracowników społecznych”, do których opinia publiczna odnosi się nieprzychylnie: są to pracownicy ubezpieczeń społecznych, oraz wyższe sztaby funkcjonariuszy spółdzielczych. Legendarni stali się już „rewizorzy” „lustrujący” spółdzielnie. Dziesięciu takich panów nie zastąpi jednego ideowego człowieka, który z ramienia członków spółdzielni bezinteresownie nad nią czuwa.

Gyby się wśród czytelników mej książki znalazł jakiś kandydat na drugie wydanie blog. brata Alberta Chmielewskiego, to radziłbym mu założyć „zakon spółdzielców”. A może któryś z już istniejących zakonów poświęciłby się tego rodzaju pracy? Stanowiłoby to najszcześniejsze rozwiązanie pewnych problemów gospodarczych, z którymi nie może się uporać nasza epoka. Tak jak kilku braci Albertynów osiada w każdym większym mieście, i prowadzi dom noclegowy dla najuboższych, podobnie powinno być po kilku „braci spółdzielców” osiadać w każdej miejscowości, gdzie kilkuset ciemnych i bezradnych chałupników czeka na wy-

* Ze spółdzielni wytwórców, zakładanych w ciągu ostatnich stu-kilkudziesięciu lat po wielu krajach, nie utrzymało się na stałe prawie nic. Sławni wyjątek stanowią tu prosperujące zakłady optyczne Zeiss'a w Jenie. Ale mamy tu do czynienia z robotnikiem specjalnie wysoko wykwalifikowanym.

Dotychczasowe niepowodzenia można jednak w pewnej mierze usprawiedliwić faktem, że „klimat” kapitalizmu nie sprzyjał rozwojowi ideowych twórców gospodarczych. W Polsce mamy do zanotowania jako wytwór kryzysu kilka spółdzielni wytwórczych w dziedzinie szkła, rozwijających się podobno nieźle. Może „uspołecznienie” hutnictwa szklanego leży właśnie na linii spółdzielczości? Takie naturalne procesy zasługują na niezmiernie bacznej uwadze, z chwilą gdy się stanie na naszym stanowisku, że formy „uspołecznienia” powinny być różne dla różnych gałęzi wytwórczości.

bawienie od szajki pośredników-wyzyskiwaczy. Chesterton słusznie zauważył, że w wiekach średnich zakony robiły to, czego nikt inny w społeczeństwie nie chciał się podjąć. Niewątpliwie wraz z ponownym narastaniem chrześcijaństwa jednostki, które dziś określamy jako radykalne, to znaczy chcące narzucać swoje dziwactwa (wstręt do własności, wstręt do rodziny i życia erotycznego, wysoki stopień mistycyzmu, określany dziś jako „ideowość”) ogółowi społeczeństwa, zaczną się ponownie łączyć między sobą w zakony na podstawie wspólnych upodobań. I wówczas ich dziwactwa, które dziś zatruwają tylko atmosferę, odegrają ponownie rolę zbawczą. Wyluskać z ruchu spółdzielczego jednostki naprawdę ideowe, a nie tylko biurokratów czy karjerowiczów, i połączyć je w rodzaj bractwa czy zakonu — to byłoby *najpiękniejsze rozwiązanie sprawy chałupnictwa*, bardzo chrześcijańskie i zarazem bardzo polskie.

Bo nie zapominajmy, że każdy naród ustosunkowuje się inaczej do spółdzielczości. We Włoszech np. buduje się linie kolejowe przy pomocy spółdzielni wytwórczych, obejmujących wszystkich od łopaciarza do inżyniera i dyrektora, natomiast spółdzielnie spożywcze są niepopularne. U nas jak dotąd jest naodwrot. Wspominałem już, że spółdzielczość w kredycie stanowi wynalazek bodaj że polski*.

Przyszłość dopiero pokaże, jakie typy spółdzielni odpowiadają najlepiej właściwościom polskiego narodu. Chcąc się o tem przekonać, trzeba skończyć z uprzywilejowaniem ustawowem spółdzielni, słusznem tylko w społeczeństwie sterowanem ku socjalizmowi. Współzawodnictwo między spółdzielnią a kupcem czy przedsiębiorcą prywatnym powinno się odbywać *na równych prawach***. Jest to warunek nieodzowny, by z kolei około spółdzielni nie wytworzyły się kliki monopolistów i wyzyskiwaczy, i by korporacje

* Patrz str. 219. Niedawno ktoś mi opowiadał, że „gwarectwa węglowe” stanowiły podobno, w swem pierwotnem założeniu, oryginalną polską próbę rozwiązania problemu spółdzielni wytwórców w kopalnictwie węglowem. Nie miałem sposobności zbadać tej sprawy. Może uda się nawiązać projekty „uspołecznienia” górnictwa do idei gwarectwa?

** Żywotna spółdzielnia powinna mieścić w sobie pierwiastek ideowy oraz pewien współczynnik bezinteresownej pracy. Pobije wówczas łatwo konkurencję przedsiębiorczości prywatnej. W braku pierwiastka ideowego spółdzielnia traci rację bytu.

zawodowe oparte o spółdzielnie nie poprzemieniały się *w swoje kartele*. Ale spółdzielnia oparta o realne potrzeby i ludzi naprawdę ofiarnych wyjdzie z walki konkurencyjnej zawsze zwycięsko. I takie dopiero spółdzielnie, a nie cieplarniane twory socjalistycznego ducha, jakie aż nazbyt często zatruwają powietrze w dzisiejszej Polsce, spełniają wielką rolę, którą mają niewątpliwie do odegrania w go-dziwym ustroju.

A więc nie monopol dla spółdzielni, ale spółdzielnie jako ideowe korektywy przedsiębiorczości prywatnej.

Ruch klasowy chłopski głosi obecnie u nas hasła t. zw. „agraryzmu”*. Jest to dziwna mieszanina zdrowych instynktów polskiego chłopca z utopjami marksizmu. Samej nazwy zapożyczono od ruchu chłopskiego w Czechach (którego teoretykiem jest Hodža). Zapożyczono bezprawnie, gdyż „agraryzm” czeski wolny jest od jakichkolwiek naleciałości marksistowskich i stanowi poprostu wyraz trzeźwego chłopskiego egoizmu gospodarczego w ramach ustroju kapitalistycznego.

Agraryści polscy mówią sobie tak: dla nas wieś, a więc indywidualne posiadanie ziemi — dla marksistów handel i przemysł, a więc kolektywizowany przemysł, (wyłącznie tylko) spółdzielczy handel i (w miarę możliwości) spółdzielcze rzemiosło. Ogromnie to sprytnie pomyślane: to co chłop lubi (własność) to tylko dla niego, to czego nie lubi (kolektyw) to dla wszystkich innych. A przecież mówi przysłowie: nie życz drugiemu, co tobie niemiło... Ale kto na innych sidła zastawia, sam się na nie łapie, i gdyby taki stan miał się nawet w Polsce kiedy urzeczywistnić, to przypominałoby to tylko pierwsze stadium bolszewizmu, w którym ziemia była rzeczywiście w indywidualnym władaniu chłopów, póki sama nie została skolei — kolektywizowana. Proces kolektywizacji ziemi odbywa się zresztą już dzisiaj w umysłach najmłodszego pokolenia agrarystów,

* Patrz pracę Stanisława Miłkowskiego, *Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego*, z przedmową St. Thugutta, Kraków 1934.

wypowiadającego się zdecydowanie (np, kongres „Wici“ w Warszawie na jesieni 1935) za poniechaniem parcelacji, a na rzecz kolektywów rolnych.

Pomysły te zasługują zresztą na wzmiankę tylko z tego względu, że świadczą o tem, iż część polskich chłopów przejęła po szlachcie* jej odwieczną niechęć do handlu. Skoro nie Żyd, to niech będzie choć spółdzielnia, byle nie Polak! Podobnie rozumują często i robotnik i inteligent.

Chcąc wychować „pełny“ naród opowiada się idea narodowa zdecydowanie za równouprawnieniem handlu indywidualnego z handlem spółdzielczym. Lecz zasada musi tu być ta sama, którą precyzujemy w Rozdziale XVIII (Własność w Ustroju Narodowym). Im wyższe formy handlu, tem silniejsze powinno być jego *uspołecznienie*. Wielki handel wymagać będzie podobnie czujnego nadzoru społeczeństwa jak i skoncentrowane formy wytwórczości. Możliwe, że w najwyższych formach handlu (np. w handlu zagranicznym), tam gdzie „ktoś oddaje się handlowi... by nie zabrakło rzeczy niezbędnych dla życia ojczyzny“ — jak to pięknie powiedział Św. Tomasz — spółdzielczość wywalczy sobie prawo wyłączności.

* Co to jednak za niespożyta jedność — Naród — nawet w swoich przywarach...

ROZDZIAŁ XV.

PIENIĄDZ.

W swych ogłoszonych przed paru laty pamiętnikach przypomina Hipolit Korwin-Milewski czasy swej młodości, sięgające połowy XIX wieku, kiedy nie było jeszcze na Litwie banków, i ludzie przezorni a gospodarni, t. zw. wówczas na naszych Kresach „świnie“, oszczędności swoje składali do okutej skrzyni w postaci złotych rubli czy dukatów. Psychiczny stosunek tych ludzi do złota, uczucia budzone w nich przez połysk i brzęk złotego kruszcu, nie różniły się z pewnością w niczem od uczuć ludzi czasów starożytnych czy średniowiecza. Złoto było dla nich jednym z żywiołów, elementem bytu równie ważnym jak chleb, ogień czy woda, namacalnem i uchwytnem lekarstwem na większość dolegliwości codziennego życia, przedmiotem pożądania, dumy, rozkoszy, często zbrodni.

Czasy tak niedawne, a jakże odległe! Dla naszego pokolenia złoto jest już tylko tajemniczym symbolem, którym operują potężne ręce dla nieznanym nam bliżej celów. Pieniądza nie umiemy sobie wyobrazić inaczej niż w formie skrawka zadrukowanego papieru, oszczędności nasze składamy w banku, lub lokujemy w akcjach czy listach zastawnych. Żaden z nas nie nosił nigdy efektywnego złota w kieszeni, nie kupował za nie i nie brał w niem zapłaty. Z pobłażliwym uśmiechem przyjmujemy do wiadomości, że babcia albo stryj (znany w rodzinie dziwak) przechowują w głębi biurka przedwojenne złote monety.

Pieniądz ma trzy zadania: wymianę, przechowanie wartości i mierzenie wartości. Złoto jako środek wymiany wyszło już przed wojną z użycia, i zostało w społeczeństwach cywilizowanych zastąpione przez banknot. Człowiek chcący prze-

chować swój kapitał ma dziś sto innych sposobów do dyspozycji niż tezauryzację złota, uważaną słusznie za objaw szkodliwy i antyspołeczny. *Pozostaje więc tylko dziedzina mierzenia wartości, w której jest złoto jakoby niezastąpione.*

Przypatrzmy się temu w świetle cyfr. O ile przyjmiemy średnią cenę ogółu towarów (t. zw. indeks cen hurtowych) jako wartość niezmienną, i założymy, że złoto w roku 1850 miało wartość 100, to

w latach	złoto było warte
1807	49.5
09	41.7
14	66.7
18	48.8
34	82.0
39	69.5
50	100.0
73	69.5
83	94.5
96	127.0
1907	96.3
13	91.0
20	40.7
21	62.5
25	56.9
29	67.6
31	86.2
33	107.1
34	114.1
1935	116.8

W powyższem zestawieniu opieram się na wskaźnikach angielskich, które najlepiej odzwierciedlają poziom cen światowych. Zestawienie niezwykle ciekawe. Widzimy w niem dwa kataklizmy — wojny napoleońskie i wojnę światową — oraz falowania drugorzędne, z których każde odpowiada okresowi ożywienia gospodarczego lub depresji. Nie chcę tej książki przeciążać cyframi, ale łatwo udowodnić, że wartość złota wahała się w niemniejszych granicach niż wartość innych towarów masowej konsumpcji jak żelazo, zboże, węgiel, bawełna i t. p. (oczywiście o ile wyrazimy wartość tych

towarów również w cenach światowych w stosunku do indeksu cen hurtowych). Jednem słowem jest złoto, wbrew legendzie, która przedstawia je jako opokę niewzruszalną, takim samym towarem, jak i wszystkie inne, podległym tak samo falom zwyczajki i depresji.

Tegoż zdania był również Adam Smith*, który pisał: „Złoto i srebro zmieniają swą wartość jak każdy inny towar, raz są tańsze, raz droższe, czasem łatwiej je nabyć, a czasem trudniej“.

Stalność ludzkiego pożądanja dawała złotu w ubiegłych wiekach większą stalność wartości. Zmiany w sile kupna złotego kruszcu rozkładały się na lat dziesiątki i generacje. Ale w miarę jak zaczynamy tracić bezpośredni kontakt ze złotem, wahania jego stają się coraz częstsze i gwałtowniejsze. Z chwilą gdy złoto przestało być elementem wszechobecnym, gdy tępieje w nas atawistyczny zmysł skierowany ku złotu, stosunek nasz do tego metalu nabiera cech historycznie zmiennych. W pewnych okresach rzucają się wszyscy do kupowania złota, w innych wyzbywają się go na rzecz akcji i pożyczek państwowych.

W epoce handlu gotówkowego, kiedy kredyt i pożyczanie uchodziły za wypadki zupełnie wyjątkowe (przyczem większości pożyczek udzielano w naturze) wahania wartości złota były mało szkodliwe. Ale w nowoczesnej gospodarce, opartej w dużej mierze na kredycie, wszelkie silniejsze walnięcia w sile kupna pieniądza wywołują bolesne przesilenia gospodarcze.

Zerwanie bezpośredniego kontaktu jednostki ze złotem oraz rozrost kredytu w życiu gospodarczem—to dwa główne motywy, umniejszające pożyteczność złota, jako środka mierzenia wartości, a tem samem *dyskwalifikujące złoto jako podstawę pieniądza*.

Uczeni ekonomiści nie zamykają oczu na ujemne strony naszego ustroju pieniężnego, wynikające z wahań wartości złota, lecz twierdzą, że innego systemu pieniężnego być nie może. Złoto nie jest idealnym miernikiem wartości, powia-

dają, ale lepszego na świecie niema, musimy się przeto zadowolić tem co mamy pod ręką. Korzyści z użycia złota jako podstawy pieniądza są ogromne, a wahania jego mało nam szkodzą.

Rzeczywistość przeczy jednak tym poglądom. Okresy, w których złoto drożeje, czyli wszystkie ceny spadają, bywają dla ludzkości z reguły katastrofalne. Specyficzny paraliż ogarnia wszystkie działy ludzkiej wytwórczości, masowe bankructwa, samobójstwa i zaburzenia społeczne są na porządku dziennym. Ekonomia liberalna uważa te kryzysy za rzecz nieuniknioną i każe nam je znosić z pokorą jako dopust Boży, nie wdając się w głębsze analizy przyczyn i skutków. Kto przemyślał jednak narodowe zasady gospodarcze, ten wie, co o tem sądzić.

1) Gdy złoto tanieje, wszystkie ceny towarów wyrażone w złocie idą w górę, natomiast nominalna wartość kapitałów wypożyczonych na procent pozostaje bez zmiany. Jeśli więc ktoś wypożyczył swój kapitał na 5%, a ogół dóbr podrożał w ciągu tegoż roku również o 5%, wierzyciel w rzeczywistości nie zarobił nic, bo odsetki otrzymane przez niego stanowią tylko zwrot ubytku w wartości jego kapitału.

W ciągu całego roku dane społeczeństwo było więc wolne od haraczu odsetek. Rezultat — ożywienie gospodarcze, zanik bezrobocia, rozkwit starych przedsiębiorstw i powstawanie nowych, ogólna chęć do życia, uśmiechnięte twarze.

W okresie taniejącego powoli złota ludzkość żyje w moralnym ustroju gospodarczym. Złoto służy dobrze.

2) Złoto drożeje. Ceny wszystkich dóbr spadają. Siła kupna wypożyczonych kapitałów, czyli ich istotna wartość, idzie w górę. Jeśli ogół dóbr potaniał w ciągu roku o 10%, kapitał wypożyczony na 5% przyniósł w rzeczywistości 15%, czyli lichwę. Społeczeństwo ugina się pod nieznośnym ciężarem, oddając wierzycielom wszystko co zapracowało. Chęć do pracy i przedsiębiorczość zamierają, mnożą się bankructwa i samobójstwa. Jedynym dobrym interesem staje się pożyczanie na procent, przestają więc powstawać nowe przedsiębiorstwa, likwidują się starc. Bezrobocie ogarnia społeczeństwo, masy głośno wołają o zmianę ustroju. W tym okresie złoto staje się przekleństwem.

W tej chwili czytający moją książkę ekonomista wzrusza pogardliwie ramionami.

„System monetarny oparty na złocie wykazał stokrotnie swoje zalety” — powiada. „Nauka wyrzekła co do tego swoje ostatnie słowo. Dyskutowanie na temat jakichś innych systemów walutowych dowodzi albo manjactwa, albo, co gorzej, ekonomicznego nieuctwa. Dyskusje takie są poniżej godności szanującego się ekonomisty”.

Trudno się z tem zgodzić. W ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat zdołała już ludzkość zakosztować czterech różnych systemów pieniężnych: do końca XVIII wieku srebro było podstawą wszystkich walut, następnie obowiązywał „bimetalizm” (złoto i srebro równocześnie jako podstawa waluty), następnie system waluty złotej (goldstandard), wreszcie system dewiz wymienialnych na złoto (gold exchange standard). Każdy z powyższych systemów uważany był w swoim czasie za ostateczny wyraz postępu w dziedzinie monetarnej.

Logiczny stąd wniosek, że systemy inne są możliwe. Niewątpliwie każdy okres historyczny będzie miał swój własny system pieniężny, najlepiej dostosowany do potrzeb dnia.

— Dobrze. Znieśmy więc złoto jako podstawę waluty — powiada liberalny ekonomista. — Ale jedynie fakt, że ilość złota jest ograniczona, chroni nas przed nadmiernem rozwojem pieniądza. Przy jakimkolwiek innym systemie wcześniej czy później namnoży się pieniądza zbyt dużo, i nastąpi szybkie zmniejszanie się jego wartości. A zniżka pieniądza jest przekleństwem znacznie większem od najszybszego nawet drożenia złota.

Liberał niema racji. *Zniżka pieniądza jest wprawdzie społecznie szkodliwa, ale jest znacznie mniej szkodliwa od jego zwyczajki.*

Stwierdziłismy przed chwilą, że wolno postępujący spadek wartości pieniądza daje w zasadzie skutki moralne, gdyż znosi duszące działanie odsetek. Natomiast bardzo nawet powolny wzrost wartości złota wywołuje już objawy lichwy w całym życiu gospodarczem, co się wyraża w bankructwach i bezrobociu.

Natomiast zarówno szybko postępująca zniżka jak i silna

zwyżka wywołują katastrofę*. Katastrofa nie dotyka jednak w obu wypadkach tych samych ludzi. Zniżka siły kupna pieniądza uboży przede wszystkim szerokie rzesze Bogu ducha winnych emerytów i rentjerów, przeważnie ludzi starych lub chorych i nie zdolnych do pracy. Ich krzywda wynika jednak z tego, że poszli na lep kapitalizmu, pokupowali listy zastawne lub domy czynszowe, powypożyczali swoje pieniądze na procent, ubezpieczyli się na życie na zasadach odsetkowych, jednym słowem chcieli sobie zapewnić dochód spekulacyjny bez pracy. Ludzie ci dali się otumanić i teraz zato pokutują.

Zniżka pieniądza jest również wrogiem słusznej płacy. W czasach taniejącego pieniądza ceny zwyżkują szybciej niż płace. Obniża się częściowo stopa życiowa rzesz nieuwłaszczonych, a więc urzędników prywatnych i państwowych, oraz robotników zatrudnionych w przemyśle.

Komu zniżka pieniądza przynosi korzyść? Wszelkim kategorjom wytwórców, gdyż ich oddłuża. Zniżka pieniądza, to przesuwanie się majątku społecznego z rąk biernych i słabych w ręce czynne. Oczywiście część tego majątku przesuwa się przytem w ręce spekulantów, ale te ich zyski równoważą się ze stratami lichwiarzy, tak że struktura bogactwa społecznego niewiele na tem cierpi. Natomiast wzmocnienie gospodarcze warstw czynnych i produkujących, choć odbywa się naogół kosztem nędzy najślabszych i niezaradnych, daje w ogólnym bilansie pewien wcale nie pozorny rozkwit gospodarczy kraju. Zarówno Polska jak Niemcy i Francja w okresie powojennej fali tanienia pieniądza** rozbudowały się wcale nieźle. Polska zabiłżniła w tej epoce swoje rany wojenne, odbudowała zniszczone domy i koleje. Bezrobocie nie

* T. zw. inflacja wzgl. deflacja — to szereg zarządzeń z dziedziny polityki emisyj o - kredytowej, dających w rezultacie katastrofalną zniżkę lub zwyżkę wartości pieniądza papierowego. W niniejszych rozważaniach nie mówię o tych dwu objawach, lecz mówię wyłącznie o zniżce lub zwyżce siły kupna pieniądza spowodowanej wahaniami w wartości złota niezależnymi od polityki poszczególnego kraju, podczas gdy inflacja czy deflacja są poprostu objawami złej polityki wewnętrznej poszczególnych rządów.

** Póki proces zniżki pieniądza nie przeszedł w gwałtowną inflację

znaliśmy w tych czasach. Gdyby zrobić rachunek zysków i strat, to majątek społeczny napewno wzrastał.

A wyżka pieniądza? Żyjemy na pobojoisku pięcioletniego drożenia złota i widzimy tego skutki. W latach 1920—22, kiedy pieniądz taniał, żyli w Polsce dobrze rolnicy, oraz większość kupców i wytwórców po miastach, na sumę żyło nieźle jakieś osiemdziesiąt kilka procent naszej ludności. W czasach deflacyjnych żyje dobrze część ludności miejskiej, a reszta ludności miejskiej oraz ludność wsi żyją w nędzy. Powodzi się dziesięciu procentom, niepowodzi reszcie*. Wbrew deklamacjom niektórych „ekonomistów“, za czasów deflacyjnych następuje *dekaptalizacja*. Wystarczy otworzyć oczy i zobaczyć co się dzieje. Domy nieremontowane niszczej, niszczej inwentarze żywe i martwe na wsi oraz nieczynne fabryki, niszczej drogi, ubywa towarów na składach. Przybywa wprawdzie trochę wkładów po bankach i kasach oszczędności, ale ten przybytek tłumaczy się prosto likwidacją kapitałów obrotowych zamierających warsztatów, i nie wyrównuje ogólnych strat. Majątek społeczny kurczy się, a obok tego że się kurczy, przesuwają się również po części w inne ręce. W jakież to ręce? Oczywiście *znowu ze słabszych w brutalniejsze, bo takie jest żelazne prawo gospodarcze w każdej epoce zamętu. Jedynie w uporządkowanej gospodarce idea sprawiedliwości społecznej może się dopominać o swoje prawa*. Lecz o ile w czasach zniżki pieniądza korzystają głównie wytwórcy, co nosi w sobie pewne znamiona moralne oraz pomyślne zadatki na przyszłość, o tyle w epoce deflacji wszelki zysk płynie w stronę wierzyciela, a więc czynnika w najlepszym razie gospodarczo biernego, lecz często prosto pasorzytniczego. Ten, kto wypożyczył w Polsce

* Ten i ów odpowie mi na to, że w latach 1920—22 nie było na świecie kryzysu, a obecnie jest, nie można więc porównywać jednej epoki z drugą. Nie mogę się z tem zgodzić. Anglja związana jest bez porównania silniej niż my z gospodarką światową, lecz potrafiła w roku 1931 zerwać z deflacją i skutkiem tego zarówno poziom zamożności jak i bezrobocie wróciły u niej w r. 1934 do stanu z r. 1929. Pozostał u niej kryzys „angielski“, który trwa od chwili ukończenia wojny, ale kryzys „światowy“ należy obecnie w Anglii do przeszłości. Kryzys nie jest już dziś objawem ogólnym, lecz skutkiem złych rządów w poszczególnych krajach. Powody kryzysu są różne, lecz jednym z głównych powodów jest niewątpliwie drożenie złota.

swój kapitał lat temu pięć na 10% rocznie, ten zainkasował w ciągu pięciu lat 50% i ma obecnie kapitał o podwójnej sile kupna, czyli zarabiał przez pięć lat *po trzydzieści procent rocznie*. Nie robił przytem oczywiście nic, podczas gdy jego dłużnik zapracowywał się by te odsetki płacić, i mimo swej pracy znajduje się z roku na rok w sytuacji coraz to bardziej beznadziejnej.

Zarówno szybka zniżka jak i szybka zwyczajka pieniądza są katastrofami. Ale z dwojga złego lepsza jest zniżka. Na pytanie: na co szanowny pan woli chorować, na tyfus czy na gripę?— każdy normalny człowiek odpowie, że ani na jedno, ani na drugie. Ale jeśli nie będzie innej rady, wybierze chyba gripę.

U nas wybrano tyfus deflacji, i ogłoszono to za szczyt mądrości ekonomicznej. Dlaczego? Odpowiedź jest chyba jasna. O ile za czasów inflacyjnych baby wiejskie kupowały jedwabne pończochy, o tyle *w epoce deflacji odbywa się w Polsce masowe przewłaszczenie na rzecz Żydów*. Nic w tem dziwnego, Żyd jest przecież naogół wierzyicielem, często lichwiarzem, Polak jest w Polsce przeważnie dłużnikiem. A deflacja—to woda na młyn wierzyiciela. To też kamienice, fabryki i folwarki przechodzą masowo w ręce żydowskie. To jest ta sławna „kapitalizacja“, jako błogi rezultat stałości pieniądza.

Rząd, który dopuszcza do silnej deflacji popełnia podobny lub cięższy jeszcze błąd, niż gdyby tolerował inflację. Jeżeli czyni to rząd „silny“, to musi się narazić na zarzut, że nie zna się na prawach ekonomji. Co gorzej, może się spotkać z insynuacją, że na prawach ekonomji się zna, lecz że je ignoruje w czyimś oczywistym interesie...

Jaki z tego wniosek? *Jedynie wskazany jest taki pieniądz, którego wartość nie zmienia się w stosunku do ceny ogółu dóbr.* Jest to postulat optymalny. Jeśliby się wartość pieniądza miała jednak wahać, to tylko w dół a nigdy w górę. *Drożenie pieniądza musi być wykluczone w moralnym ustroju gospodarczym.*

Ustaliliśmy dwie zasady, na których powinien się opierać system walutowy. Wiemy już że pieniądz oparty na złocie

w okresach swego drożenia działa niemoralnie, musimy przeto wykluczyć w tych okresach system złoty. Czy jest możliwy system odpowiadający naszym postulatom?

Owszem, system taki jest już oddawna proponowany z różnych stron, i krystalizuje się powoli pod nazwą „systemu stałego poziomu cen” lub „systemu wskaźnikowego”. Odpędzany przez oficjalną ekonomję wraca uporczywie w obręb dyskusji, a nawet wkroczył już w szeregu krajów „nieoficjalnie” w dziedzinę praktyki. Pierwsza weszła na tę drogę ojczyzna Adama Smitha.

Wielki kryzys po wojnach napoleońskich opłaciła Anglja ruiną swego rolnictwa. Nauczona doświadczeniem porzuciła obecnie pierwszą system złoty. Zgodnie ze swym tradycyjnym obyczajem nie ujmuje jednak nowego stanu rzeczy w przepisy prawne, przeciwnie, zachęca nadal inne państwa by się trzymały kurczowo waluty złotej. Jakże dla niej wygodnie konkurować np. z węglem polskim kalkulowanym w złocie. Ale faktem jest, że *od roku 1931 funt szterling trzyma się dość ściśle na wskaźnikowym parytecie**.

Dlaczegoż więc wszystkie państwa nie idą za przykładem Anglji teraz, tak jak szły wtedy, gdy Anglja głosiła system złoty i liberalizm gospodarczy?

Bo Anglja była dość silna, by móc sobie pozwolić na dewaluację swego pieniądza, lecz słabszym państwom posiadacze i producenci złota na to niepozwalają. Bo zapasy i produkcja złota znajdują się w tych samych rękach, które nadają prawa społeczeństwu kapitalistycznemu, i które moc swoją i władzę opierają właśnie na posiadaniu złota.

* Na dowód parę cyfr. W następującem zestawieniu przyjąłem angielski wskaźnik cen hurtownych (wyrażony w funtach papierowych) w roku 1928 na 100, oraz wskaźnik kosztów utrzymania w Anglji w roku 1928 również na sto.

w roku	wskaźnik cen hurt.	wskaźnik koszt. utr.
1928	100	100
1931	74	89
1932	72	87
1933	72	86
1934	74	85
1935	75	86

„Odczepienie” waluty angielskiej od złota nastąpiło w roku 1931. Producent angielski bierze więc obecnie te same ceny i ponosi te same wydatki co w roku 1931. A polski rolnik marzy o tem samem po nocach bezsennych...

Dlatego inne państwa tak się ociągają z porzuceniem waluty złotej, a te, które to już uczyniły, odgrają się ciągle, że do niej powrócą.

Ale państwo rządzone według zasad narodowych nie będzie potrzebowało oglądać się na te czynniki. W swej pracy nad budowaniem od podstaw zdrowego społeczeństwa nie będzie mogło opierać gospodarstwa narodowego na złocie, wychodzącym z obiegu, środku wychodzących z obiegu ludzi. Nie będzie mogło do tego dopuścić, by organizm gospodarczy Narodu żył krwią, której źródła biją poza jego granicami, pod kontrolą mu wroga.

Nie łudźmy się: agonja złota będzie długa i ciężka. W świecie, w którym pieniądz stał się bóstwem, agonja złota staje się agonją ustroju. Na szczęście Polska należy do krajów, które nie posiadając złota ani w swym skarbcu — ani wśród swych narodowych ideałów — mogą tylko zyskać na jego upadku.

System „stałego poziomu cen“ w ogólnych zarysach wyglądać będzie następująco*: stałą miarą wartości będzie „index“, t. zn. „wskaźnik“ cen hurtowych danego kraju. Mówiąc popularnie, sporządzi się listę kilkunastu czy kilkadziesiątu najbardziej rozpowszechnionych towarów, w odpowiednich proporcjach odpowiadających ich przeciętnemu zapotrzebowaniu, i ustali się wartość tych towarów według cen, które obowiązują w danej chwili na rynku krajowym. Np. x ton węgla, y kg. cukru, a ctn. żyta, b pszenicy, owsa, jęczmienia, bawełny, cementu, surówki żelaznej (wszystko standardy), 1000 km biletu osobowego trzeciej klasy, n kg. benzyny i t. p. Powiedzmy, że ceny powyższych artykułów, podsumowane, wyniosą dziś tysiąc złotych. Ustala się więc, że tego rodzaju wzorzec ma stale kosztować tysiąc złotych. Ale ceny na rynku ulegają wahaniom. Przypuśćmy, że po miesiącu wzorzec przedstawia wartość tysiąca stu złotych. Wów-

* Niewątpliwie możliwe są różne rozwiązania, zapewniające stałość siły kupna pieniądza. Szkicuję tu system, który odpowiada obecnej strukturze polskiego aparatu emisyjno-kredytowego.

czas bank emisyjny, którego zadaniem jest piecza nad stałością waluty, zmniejsza emisję drogą podwyższenia stopy dyskontowej i większego przebicrania w materiale dyskontowanym i lombardowanym, póki wartość wzorca nie wróci z powrotem do tysiąca, co nastąpi niechybnie, gdyż przy malejącym obiegu spadają ceny. Analogicznie bank emisyjny, stosując odwrotne środki, powiększy obieg, o ile wartość wzorca spadnie poniżej tysiąca złotych. W praktyce rzeczy byłoby to stałym oscylowaniem wartości pieniądza koło indeksu, podobnem do dzisiejszego oscylowania waluty około t. zw. „punktu wywozu złota”^{*}. Pewność, że dzięki czujności banku emisyjnego korektura niechybnie nastąpi, niszczyłaby w zarodku wszelką spekulację, i zwalniałaby instytucję emisyjną od potrzeby ciągłej manipulacji.

(Uwaga: Wzorzec, służący do ustalenia „wskaznika”, powinien zawierać takie dobra i usługi i w takich ilościach, by wahania wartości tego wzorca odpowiadały z możliwie dużym przybliżeniem wahaniom w sile kupna pieniądza. Taki wzorzec nie jest trudny do ułożenia, omyłki w wyborze poszczególnych dóbr i usług i ich wzajemnej proporcji nie mają dużego znaczenia, byle ceny wstawione do obliczenia były rzeczywiste i łatwe do stałej kontroli. W miarę ewolucji stosunków gospodarczych można periodycznie zmieniać skład takiego wzorca, pod warunkiem, by suma cen na nowej liście wynosiła w dniu zmiany tyle samo, co suma cen na liście starej).

System ten, jak wszystko na tym świecie, ma swoje zalety i swoje wady. Ich szczegółowa analiza wymagałaby dzieła o kilkuset stronach. Ograniczę się więc do rzucenia kilku światła i cieni, dla uplastycznienia tego problemu w oczach czytelnika.

1) Czy bank emisyjny będzie miał dość siły, by drogą zwiększania wzgl. zmniejszania obiegu utrzymywać walutę na wskaźnikowym parytecie? Przeciwnicy tej reformy

^{*} „Punktem wywozu złota” nazywamy granicę wahań waluty złotej, powyżej której oplaca się już wywieźć złoto w sztabach do sąsiedniego kraju.

wykazują, na przykładach, że banki emisyjne są bezsilne wobec fluktuacji walutowych.

Zarzut poważny, i wymaga szczegółowego rozpatrzenia.

Istotnie banki emisyjne okazywały się nieraz bezsilne wobec wahań w sile kupna pieniądza. Ale wypadki te zachodziły w epoce gospodarki liberalnej, kiedy zarówno banki emisyjne jak i państwa były biernymi widzami żywiołowych procesów gospodarczych. Dziś natomiast zmieniła się sytuacja radykalnie: państwo nowoczesne jest, i będzie przez najbliższych kilkadziesiąt lat, przemożnym czynnikiem w życiu gospodarczym. O ile zrozumie, jak niesłychaną wagę społeczną ma problem uniknięcia wahań w sile kupna pieniądza, potrafi nowoczesne państwo niewątpliwie przeprowadzić reformę monetarną i pilnować jej wykonania, tembardziej, że większość banków emisyjnych jest obecnie całkowicie uzależniona od władz państwowych.

2) „Zmiana w ilości emitowanego pieniądza niekoniecznie wpływa na ceny” — powiada część ekonomistów. — „Może się zdarzyć, że bank emisyjny zmniejszy obieg, a ceny mimo to zachowają tendencję zwykłą. I vice versa”.

Jest to jeden z problemów niezupełnie jeszcze rozgryzionych przez ekonomję. Ekonomisci dzielą się dziś jeszcze na zwolenników „teorii ilościowej”, głoszącej, że ceny pozostają w pewnym stosunku do ilości krążących pieniędzy, oraz na zwolenników „teorii jakościowej”, według której decyduje nie ilość pieniędzy, ale ich jakość, zaufanie, które ludzie mają do stałości danego pieniądza, szybkość jego krążenia, zwyczaj danego społeczeństwa (np. rozmiary obrotu bezgotówkowego) i t. p.

Niewątpliwie i jedni i drudzy mają słuszość. Przy niewielkich zmianach w emisji trudno przewidzieć zmiany w sile kupna pieniądza. Może się naprzykład zdarzyć, że równocześnie ze zmniejszeniem obiegu zwiększa się obrót bezgotówkowy, następuje t. zw. „inflacja kredytu” i ceny mimo wszystko idą w górę. W społeczeństwie, w którym krążą dwie waluty, jak np. ostatnio w Polsce złoty i dolar, zmniejszenie obiegu jednej z nich przez miejscowy bank emisyjny (w tym wypadku zmniejszenie obiegu złotego) może pozostać bez żadnego wpływu na poziom cen. (Trzeba tu jednak zauważyć, że dwuwalutowość nie jest nigdy tolerowana w żadnym

zdrowem społeczeństwie, i jest u nas tylko objawem wysoce nienormalnych stosunków).

Ogólnie obowiązującą zasadę można sformułować w następujący sposób: *zmiana w sile kupna pieniądza nie jest proporcjonalna do zmiany w ilości obiegu; można jednak zawsze wymusić zmianę w sile kupna pieniądza przez zmianę w ilości jego obiegu.*

3) Bank emisyjny może wpływać na siłę kupna pieniądza nie tylko przez ilościową zmianę emisji, lecz również szeregiem innych sposobów będących do jego dyspozycji, jako to: zmianą stopy procentowej, naciskiem na inne banki w kierunku ograniczenia udzielanych przez nie kredytów, zmniejszeniem swego portfela wekslowego przy równoczesnym zwiększeniu kredytów zastawowych, zwiększeniem lub zmniejszeniem kredytów na finansowanie eksportu i importu i t. p. Bieżące wahania w sile kupna pieniądza wyrównywałoby się przy systemie wskaźnikowym środkami polityki bankowej, rezerwując brutalny środek zmniejszenia lub zwiększenia emisji na wypadek poważniejszych zmian w poziomie cen.

4) Ważna rola przypadłaby tu również państwu. *Zasada, że państwo nie może czerpać środków z emisji pieniędzy, musi nadal pozostać w mocy.* Ale w okresie wzrastających cen panuje zawsze ożywienie gospodarcze, państwo inkasuje w formie podatków z reguły więcej niż się spodziewało. Według obecnie przyjętych zwyczajów używa państwo tej nadwyżki na zmniejszenie swego zadłużenia (tak robią Francja i Anglja), albo, co gorzej, tę nadwyżkę wydaje (tak zrobiła Polska w roku 1927, sławne 560 miljonów). W pierwszym wypadku państwo, spłacając swe długi, zwiększa kapitały wolne na rynku, w drugim wypadku państwo zwiększa swe zakupy na rynku, zwiększając z kolei ożywienie tego rynku. W jednym i drugim wypadku przyczynia się państwo do dalszego wzrostu cen.

Wyobraźmy sobie teraz wzrost cen, z którym bank emisyjny mimo zmniejszenia emisji nie może sobie poradzić. Obowiązkiem państwa będzie wtedy ulokować swe nadwyżki budżetowe w banku emisyjnym, zmniejszając w ten sposób wydatnie obieg i paraliżując wzrost cen. Gdy z kolei pojawi się depresja i ceny zaczną spadać, państwo będzie łątało swe niedobory budżetowe i spłacało swe długi ze swej rezerwy

w banku emisyjnym, zwiększając w ten sposób obieg i przeciwdziałając niżce cen.

Łączy się to z zagadnieniem t. zw. kryzysów cyklicznych. Obecny kryzys ekonomiczny uznają ekonomiści zgodnie za wyjątkowy. Istnieją jednak kryzysy cykliczne, wracające periodycznie co kilka lat, których zdaniem ekonomistów uniknąć się nie da, gdyż odpowiadają najgłębszym właściwościom natury ludzkiej, i stanowią pewnego rodzaju autoregulację organizmu gospodarczego. Pogląd ten jest słuszny, z cykliczności wahań koniunkturalnych dadzą się jednakowoż wyciągnąć pewne wnioski. Im bardziej gorączkowe ożywienie gospodarcze, tem głębsza potem depresja. Nauka stąd, że w czasie dobrej konjunktury należy ostrzegać społeczeństwo, oblewać spekulację kubłami zimnej wody, powtarzać co pięć minut „pamiętajcie, że po czasach tłustych nadejdą czasy chude!” Analogicznie należy w czasie kryzysu unikać wszystkiego, coby ten kryzys jeszcze pogłębiało. Otóż smutna rola obecnego systemu emisyjnego przy zmianach cyklicznych konjunktury, jego „działanie pod włos“, bije poprostu w oczy. W okresie ożywienia gospodarczego ceny idą w górę, suma transakcyj wzrasta, z nią wzrasta obfitość dobrego materiału dyskontowego i emisja banków biletowych. Rządzący państwami uważają za swój obowiązek wydawać wszystkie dochody państwa, i robić wszystko co jest w ich mocy „byle nie hamować konjunktury“. Nierzadko zaciągają państwa w tym momencie pożyczki i zwiększają sumy wydawane na roboty publiczne. Powiększanie obiegu pieniężnego w chwili haussy i spekulacji jest tem przysłowiowem dolewaniem oliwy do ognia, nieda się jednak uniknąć przy obecnym systemie monetarnym. Podobnie zmniejszanie się obiegu w czasie kryzysu pogłębia jeszcze istniejące trudności. Należy stwierdzić, że system wskaźnikowy, zmniejszający automatycznie emisję w chwili wzrastania cen, a zwiększający obieg w chwili depresji, i wciągający z konieczności do tej akcji finanse państwa i samorządów, wprowadziłby w nasze życie gospodarcze ten element ostrzeżenia wzgl. zachęty, tę korekturę psychologiczną, której dotychczasowy brak odczuwamy tak boleśnie na naszej skórze.

5) Przy dzisiejszym systemie walutowym mamy w każdym budżecie, czy prywatnej osoby, czy państwa czy przedsię-

biorstwa, dwa rodzaje pozycji: pozycje niezależne od złota (ceny towarów kształtujące się na wolnym rynku oraz ceny usług nieusztynwionych taryfami), i pozycje wyrażone w złocie (długi, większość podatków, stałe opłaty jak np. pocztowe i kolejowe, ceny monopolowe i kartelowe, pensje urzędnicze, umowy o pracę usztynwione taryfami, renty, raty za pobrane towary itp.). Przy wahaniach wartości złota mamy przeto ciągłe zaburzenia w budżecie, skutkiem bezustannej zmiany w stosunku wzajemnym pozycji zależnych od złota i niezależnych. W życiu społeczeństw wyrażają się te tarcia w formie ciągłego manipulowania w górę czy w dół koło uposażeń robotniczych i urzędniczych, ciągłych zmian taryfowych i podatkowych, przyczem okresy drożenia złota zaznaczają się jako kryzysy gospodarcze, gdyż ciężar pozycji wyrażonych w złocie daje się obniżać tylko częściowo i bardzo wolno, co prowadzi do zatamowania gospodarczej równowagi i tragizmu sytuacji takich, jak przeżywana przez nas obecnie.

6) Obecna histerja złota uniemożliwia poprostu jakąkolwiek racjonalną gospodarkę w państwie, absorbując czas i siły rządzących na bezpłodną i niekończącą się walkę z rozpętanymi żywiołami zmian konjunkturalnych. Większości tych trudności uniknęłoby się przy systemie wskaźnikowym. Przypuśćmy że obowiązywałby on w Polsce już od szeregu lat: wówczas tragiczne nożyce pozycji „usztynwionych” i „nieusztynwionych”, w których się dławi obecnie gospodarstwo polskie, nie byłyby się zupełnie rozwarły, proporcja między dochodami a wydatkami np. rolnika pozostałaby naogół niezmieniona, i kryzys miałby przebieg o wiele łagodniejszy, o ile wogóle by się zaznaczał.

7) System wskaźnikowy da nam również elastyczność walutową, konieczną dla rozrachunku między poszczególnym gospodarstwem narodowym a resztą świata. System złoty regulował zadowalniająco międzynarodowe stosunki gospodarcze, poki istniała zupełna swoboda w wymianie towarów i kapitału. Jeszcze dwadzieścia lat temu stanowiła nasza planeta jednolity organizm gospodarczy, w którego żyłach, regularnie i niewidocznie dla oka, krążyła złota krew, napływając wzmożoną falą tam gdzie pulsowanie życia gospodarczego zaczynało słabnąć. Przyszła wojna

i zburzyła ten misterny organizm. Bezpośrednio po wojnie przypominał świat dziwaczne ciało, w którym serce przelewa się od krwi, a wszystkie arterje są podwiązane. Wielki lekarz — międzynarodowa finansjera — czuwał u łóżka chorego z ogromną strzykawką, którą czerpał krew złotą z serca i strzykał w obumierające kończyny, biorąc honorarium w lichwiarskich wekslach dogorywających pacjentów. Była to heroiczna era wielkich pożyczek międzynarodowych. Dziś weksle są w proteście, wielki lekarz zagrożony ruiną wypuścił szprycę ze swych żydowskich rąk. Krew złota rozsadza serce wywołując ataki paralizu i palpitacje, a pacjenci leżą tknięci śmiertelną anemią, oczekując zmiłowania Bożego.

Czas już skończyć z tą tragifarsą. Swoboda krążenia kapitałów należy do przeszłości, w jej braku system złoty stracił rację bytu. Problem państwa o biernym bilansie płatniczym czeka obecnie na nowe rozwiązanie, którego w ramach złota już nie znajdzie. Waluta wskaźnikowa przyjdzie tu z pomocą. Jej kurs będzie się układał na międzynarodowym rynku zgodnie z prawem popytu i podaży. Waluta państwa o gospodarstwie nazewnątrz deficytowem będzie się obniżała (nie zakłócając jednak wewnętrznego mechanizmu wymiany danego państwa) tak długo, póki zwiększony eksport i zmniejszony import nie doprowadzą do zrównoważenia bilansu płatniczego.

Tę niewątpliwą zaletę systemu wskaźnikowego atakują jego przeciwnicy, twierdząc że to, co będzie z korzyścią dla niektórych państw, stanie się zgubą gospodarki światowej, doprowadzając w konsekwencji do zubożenia wszystkich bez wyjątku.

Argument poważny, ale polemika z tym argumentem jest dziś szczególnie ułatwiona. Lepsza uczciwa huśtawka walutowa od tego co się dzieje obecnie, tych central dewizowych, clearingów, kontyngentów, załamań walutowych, preferencyj itd. mających na celu utrzymanie w danym kraju tej mizernej resztki złota, uciekającej tem paniczniej, im więcej się nią opiekować. Zresztą to nie system wskaźnikowy godzi w gospodarkę światową, lecz przeciwnie, system ten narzuca się dlatego że gospodarka w skali światowej przestała istnieć. Waluta wskaźnikowa, reprezentująca zdrowe

gospodarstwo narodowe, nie będzie mogła podlegać silnym wahaniom, gdyż zmiana jej wartości o kilka procent będzie już dawała tak silny impuls do eksportu, że napływające zeń dewizy automatycznie wpłyną na poprawę kursu waluty. Dopiero po pewnym okresie wahań, gdy poszczególne gospodarstwa narodowe wysanują się i dojdą do równowagi na nowych podstawach, gdy każda waluta znajdzie swój „przyrodzony” poziom, zacznie powstawać nowy system gospodarki światowej. Nic nie będzie stało wówczas na przeszkodzie wprowadzeniu jednolitej waluty wskaźnikowej dla wszystkich państw świata—poza temi samymi przeszkodami, które uniemożliwiały do tej pory utworzenie jednolitej międzynarodowej waluty opartej na złocie.

8) Ze zwiększenie obiegu w okresie spadających cen zostanie przy systemie wskaźnikowym skrupulatnie przeprowadzone, nie ulega wątpliwości, choćby z tego powodu, że będzie to droga najmniejszego oporu i w interesie wszystkich. W ten sposób nasza zasada, że drożenie pieniądza musi być wykluczone, zostanie zagwarantowana w praktycznym zastosowaniu. Co będzie jednak z zasadą stałości pieniądza? Czy w okresie wzrastających cen znajdzie bank emisyjny dość hartu ducha by hamować tę zwyżkę? System wskaźnikowy to pokusa do rozwadniania pieniądza, pokusa tem groźniejsza, że istnieje przecież teoria głosząca, iż prawdziwe ożywienie gospodarcze może panować tylko w okresie wzrastających cen. Wprawdzie w systemie wskaźnikowym działać będzie t. zw. „premja techniczna”, polegająca na tem, że ceny ogółu produktów nie będą ulegały zmianie, podczas gdy koszt ich wytwarzania dzięki postępom techniki będzie malał. Ale ta premja działa powoli, a życie gospodarcze będzie się głośno domagało silniejszych impulsów. Tu leży sedno problemu.

Odpowiedź na ten zarzut może być tylko jedna: żaden system i żadne przepisy nie są w stanie ochronić pieniądza przed sfalszowaniem, o ile władza się na to decyduje. Pieniądz srebrny czy złoty był fałszowany zawsze i wszędzie, przez królów i cesarzy, dyktatorów i republiki. Historia monetarna ludzkości jest nieprzerwaną opowieścią o poczynaniach inflacyjnych i rozwadnianiu monety. Nie możemy wymagać, by system wskaźnikowy chronił przed pewnymi

odwiecznymi właściwościami natury ludzkiej. Wystarczy, by był lepiej przystosowany do wymagań dnia od systemu złoto-gotowego. Że tu i ówdzie nie ochroni przed gorączką inflacji, to pewne. Ale i to dużo znaczy, że będzie nas zabezpieczał przed paraliżem i lichwiarskimi skutkami opadających cen.

Wszechświatowy system waluty złotej wyrażał może najdoskonalej główną cechę ustroju liberalnego—jego *automatyzm*. Droga automatycznego krążenia kapitałów regulowanego przez automatyczne fluktuacje stopy procentowej oraz automatyczne przesuwanie się zapasów złota z kraju do kraju, miało się rozstrzygać niezależnie od świadomej woli człowieka na jakie kontynenty skierują się miliony wychodźców, gdzie będą ośrodki poddaństwa (centra rolnicze) a gdzie ośrodki władzy (centra finansowe i przemysłowe).^{*} Automatyczne krążenie złota miało przesądzać o upadku społeczeństw starych i o improwizowaniu się imperjów nowych.

W sprawie złota przejawiało się najdobitniej to, co można by nazwać *mistycyzmem liberalizmu*. Wspominaliśmy już o zasadzie gospodarczej zastępowania jednych towarów przez drugie. Skoro np. zabraknie ropy naftowej na pokrycie wszystkich potrzeb ludzkości i skutkiem tego cena jej zacznie zwyżkować, wówczas albo się wyłonią towary mogące tę ropę zastąpić (benzyna syntetyczna), albo ludzkość zastąpi motory spalinowe innym typem energii. Zasada zastępowania jednych dóbr przez drugie stanowi wentyl bezpieczeństwa w gospodarce, a zarazem najskuteczniejszą ochronę przed zmonopolizowaniem i monopolem. Otóż jedynym dobrem, wyłączonym z pod działania tej zasady, miało być w systemie liberalnym złoto. Jego ilość miała się stosować jakimś nadnaturalnym sposobem do każdorazowego zapotrzebowania ludzkości. Bez względu na tempo mnożenia się ludzi i szybszy lub wolniejszy wzrost ich potrzeb gospodarczych, ilość wydobywanego złota miała „cudownym” trafem odpowiadać stale jego zapotrzebowaniu. Prostu Opatrzność — jedyny to wypadek, w którym liberał wierzył bodaj w Jej istnienie — miała czuwać nad tem, by złota było na świecie w sam raz tyle ile trzeba, by w organiz-

^{*} Patrz Rozdział XVI.

mie gospodarczym świata nie wytwarzało się nigdy „nadcisnienie” złotej krwi ani anemia pernicioza.

My wierzymy w istnienie Opatrzności, ale nie wierzymy by Opatrzność regulowała wydobycie złota, zwalniając tem samem człowieka od troski o jakość i ilość jego codziennego narzędzia wymiany. Złoto może człowiekowi służyć — w tym celu zostało stworzone przez Boga. Ale człowiek musi złoto kontrolować. Wiemy już, że złoto jest takim samym towarem jak i wszystkie inne towary. *W okresach stałej lub zniżającej powoli wartości złota służy nam ono doskonale jako narzędzie mierzenia wartości.* Natomiast w okresach, w których złoto drożeje, zachowanie go jako miernika wartości prowadzi do katastrofy. Oczywiście można w tych razach pocieszać się nadzieją, że złoto przewycięży się samo, i że po latach przesilenia i nieszczęścia wróci znowu ta chwila, gdy złoto się ustabilizuje i zacznie służyć zamiast szkodzić. Ale idea chrystjanizmu jest ideą walki ze złem, a nie poddawania się*. Idea narodowa jest w jeszcze wyższej mierze ideą walki i zaradności. Jesteśmy realistami, nie odrzucamy przeto w zasadzie usług złota, jak to czynią niektórzy utopijni moralisci. Ale zachowujemy w stosunku do niego wolną rękę. Możliwe że na każde trzydzieści lat — w ciągu lat dwudziestu złoto służy dobrze. Ale przez pozostałe dziesięć lat, kiedy złoto miałoby wywoływać katastrofalne skutki, musimy mieć w rezerwie teoretyczną i praktyczną możność wyzwolenia się od jego usług.

Zasada stałego poziomu cen — bez której nie można myśleć o sprawiedliwości społecznej — nie wyklucza systemu waluty złotej. Ale wymaga zerwania ze złotem we wszystkich okresach, w których zbyt raptowne jego wahania wprowadzają w życie gospodarcze bezmiar krzywdy i niestuszości.

* Patrz Rozdział I.

ROZDZIAŁ XVI.

GOSPODARSTWO NARODOWE A RESZTA ŚWIATA.

Teorja liberalna zaleca zupełną swobodę krążenia ludzi i towarów (a co za tem idzie i kapitałów, które mają swój odpowiednik w towarach) po całym obszarze naszej planety. Rezultatem dłuższego okresu takiej swobody musi być zanik państw i narodów oraz zmieniony rozkład ludności na kuli ziemskiej. W okolicach specjalnie bogato uposażonych przez naturę mieszkaliby ludzie najbardziej przedsiębiorczy, oddając się specjalnie lukratywnym zajęciom. Okolice ubogie i o surowym klimacie zostałyby opuszczone przez ludzi; jeżeli zaś ilość mieszkańców świata będzie nadal wzrastała i nie zmieści się w okolicach uprzywilejowanych przez naturę, do okolic ubogich spychane będą elementy ludzkie niezaradne i upośledzone, zmuszone skutkiem tego do zadowolenia się niższą stopą życiową. Znajdą się tam również zwolennicy powrotu do natury à la Jean Jacques Rousseau, amatorzy polowania i lordowie trawieni spleenem.

Tyle teoria liberalizmu. Na pierwszy rzut oka widać, że doktryna ta jest utopją nie liczącą się z dwoma drobiazgami: uczuciami narodowymi oraz przywiązaniem człowieka do ziemi, na której się urodził. Próba wprowadzenia w życie tej teorii, podjęta częściowo w XIX wieku, skończyła się rychło hermetycznym zamknięciem wszystkich granic dla imigracji, i niema żadnych widoków na rychłą zmianę obecnego stanu rzeczy.

Widząc bankructwo swej zasadniczej tezy, myśliciele liberalni ograniczają się obecnie do propagowania pełnej swobody krążenia już tylko dla towarów i kapitałów, a to w formie zniesienia wszelkich stawek celnych i całkowitego otwarcia granic dla wymiany międzynarodowej.

Wyobraźmy sobie, że wszystkie państwa świata wprowadzają tę zasadę w życie. Każdy naród uzyska premję dla tego działu wytwórczości, do którego ma w obecnej fazie swego rozwoju specjalne dane. A więc narody osiadłe na bogatych ziemiach o wysoko rozwiniętem rolnictwie i ludności zaniwlowanej w pracy na roli, uzyskają rychło monopol zaopatrywania świata w płody rolne, niszcząc rolnictwo w krajach przemysłowych. Narody o silnie rozwiniętem przemyśle mające przyrodzone dane do jego rozwoju (siły napędne, rudy, łatwość komunikacji) oraz ludność wdrożoną od wieków do tego rodzaju pracy, zaleją świat wytworami swego przemysłu, niszcząc istniejący obecnie przemysł w krajach rolniczych. Niemcy upodobnią się w swej strukturze gospodarczej do współczesnej Anglii, Polska ograniczy się do rolnictwa i kopania węgla, Rumunja do pszenicy i kukurydzy, Węgry do wołów i papryki. Przeciętna stopa życiowa wszystkich narodów podniesie się, przy równoczesnem bankructwie milionów ludzi w każdym kraju. Gwałtowne przetasowanie ludzi i zawodów wywoła coraz to bardziej wzrastający ferment społeczny. Żadne społeczeństwo nie potrafi zmusić ludzi o żyłce bardziej przedsiębiorczej, by pracowali na roli, jak również utrzymać zdrową strukturę społeczną bez ludności rolniczej. W każdym kraju ludzie mający wrodzone skłonności do pracy w takim dziale, który jest dla nich w danem państwie niedostępny, będą stanowili element niepokoju, starając się przedostać przez granicę do sąsiada, którego ludność oddaje się właśnie takiemu rodzajowi pracy, jakiej oni szukają. Sąsiad, zagrożony napływem taniej robocizny, będzie coraz szczelniej zamykał swoją granicę. Społeczeństwa przemysłowe, zdolne każdej chwili do wystawienia nowocześnie uzbrojonej armji, i trawione chronicznem bezrobociem, będą łakomie spoglądały na bezbronne kraje rolnicze. Skończy się na wojnach, w których kraje przemysłowe przywrócą swoją równowagę społeczną anektując kraje rolnicze, poczem zamkną swe granice wałami celnymi, nie chcąc narażać ponownie swej równowagi gospodarczej okupionej krwią i żelazem.

Swoboda krążenia towarów, przy równoczesnem zamknięciu granic dla krążenia ludzi, prowadziłaby do spaczenia struktury społecznej każdego kraju, której rezultatem musia-

łaby być albo wojna albo rewolucja. Na szczęście nie dochodzi do tych skrajnych możliwości, gdyż narody miały zawsze wrodzoną dążność do samostarczalności gospodarczej; o ile zaskorupianie dochodziło do form przesadnych, albo z takich czy innych względów kraj wydawał się zbyt rzadko zaludniony, granice otwierały się na pewien czas, by się potem zamknąć tem dokładniej. Klasycznym przykładem takiego rozwoju są Stany Zjednoczone A. P., które nie wyłamały się z powyższej zasady, mimo że ich kierownicy byli gorącymi wyznawcami doktryny liberalnej.

A więc „Der geschlossene Handelsstaat“ à la Fichte, państwo szczelnie zamknięte i całkowicie samostarczalne? Prawda życiowa jak zwykle leży pośrodku, unikając doktrynerskich skrajności. Umiarkowana ochrona własnej wytwórczości i własnego rynku pracy, przy zachowaniu pewnej swobody dla międzynarodowej wymiany ludzi i towarów, cechowała zawsze politykę mądrych narodów i prawdziwych mężów stanu. Zdrowy, wszechstronnie rozwinięty organizm narodowy nie obawia się kontaktu z resztą świata, ani pod względem duchowym ani gospodarczym. Zatamowanie dopływu świeżego powietrza jest równie szkodliwe, jak otwarcie okien na wszelkie przeciagi.

HARMONJA USTROJU GOSPODARCZEGO.

W poprzednim ustępie doszliśmy do wniosku, że naturalnym biegiem rzeczy narody dochodzą zawsze do ochrania swjej wytwórczości przy pomocy odpowiedniej polityki celnej i populacyjnej. Stwierdzenie, że tak się dzieje, nie zwalnia nas jednak od obowiązku wytłomaczenia dlaczego się tak dzieje? Czy działa tu mądrość narodów, czy po prostu ich złe instynkty, które należałoby wykorzenić?

Odpowiedź znajdziemy łatwo, sięgając do chrześcijańskiej koncepcji świata (np. dalekiej od wszelkich doktrynerskich uproszczeń tak pociągających dla umysłów pewnego typu, a dających tak gorzkie rozczarowania w swem zastosowaniu praktycznem). Ludzkość w pojęciu chrześcijańskiem opiera się na jednostce wewnątrznie wolnej, włączonej w hierarchiczną budowlę społeczną, której cementem jest dyscyplina.

Gmach społeczny ludzkości składa się z szeregu nawarstwień, niejako pięter, z których każde ma swoją rolę do odegrania. A więc u podstawy jednostka; nad nią rodzina, zawód, stan, naród, ludzkość. Zależnie od okresu historycznego widzimy jeszcze przeróżne stopnie pośrednie. Gmach ludzkości jest silny i zdrowy, gdy wszystkie czynniki, składające się na całość, funkcjonują sprawnie. Wyłączenie jednego z koniecznych ogniw, jego zła organizacja czy wadliwe działanie, niszczy równowagę ustroju i paraliżuje funkcjonowanie całości.

Naród nie jest tworem przypadku, czy wymysłem złośliwych nacjonalistów. Wynika z woli Opatrzności, że na pewnych obszarach mieszkają ludzie o pokrewnych cechach, mówiący tym samym językiem i związani na skutek tysiącleci wspólnego bytowania całym systemem wspólnych tradycji i obyczajów.* Możliwe że kiedyś, w dalekiej przyszłości, różnice między ludźmi wszelkich ras i kolorów zatrą się, że granice zanikną, a pojęcie narodu należeć będzie do przeszłości. Jeśli to nastąpi, nie będzie to skutkiem przeorganizowania świata na zasadach podyktowanych przez jakąś wymyślną doktrynę, ale drogą organicznego rozwoju zgodnego z przeznaczeniem ludzkości. Ewolucja świata odbywa się pod wpływem działania moralności chrześcijańskiej, a ostateczny triumf hasła „Kochaj bliźniego twego jak siebie samego” zbiegnie się może z zatarciem granic i antagonizmów między narodami. Ale droga do tego celu jeszcze daleka. Chwilowo znajdujemy się w stadium historycznym, w którym naród zorganizowany w państwo stanowi jedno z pięter w gmachu ludzkości; zdrowa organizacja poszczególnych narodów stanowi przeto nieodzowny warunek porządku na tym świecie.

* Śmieszne są wszelkie próby (podejmowane nieraz nawet przez duchownych zarażonych ideologią „postępu”) wykazania jakiejś zasadniczej sprzeczności między chrześcijaństwem a ideą narodową. *Jest faktem niezbitym, że narody istnieją.* Faktowi temu nie zaprzeczy najzarliwszy członek międzynarodówki. Twierdzi on tylko, że *narody nie powinny istnieć*, podobnie jak twierdzi, że *nie powinna istnieć rodzina*. Dla chrześcijanina jest jasne, że skoro narody istnieją, to istnieją z woli Bożej, obowiązkiem przeto chrześcijanina jest dbać o godziwy rozwój swego narodu.

Czemże jest naród? Nie wolno upraszczać sprawy twierdząc, że jest to poprostu tyle a tyle milionów jednostek. Naród jest organizmem wysoce skomplikowanym, składa się zarówno z żywych jak i z umarłych, wszystkie jego urządzenia tkwią swymi korzeniami w dalekiej przeszłości i formują przyszłe pokolenia. Jak każdy organizm wyższego rzędu może spełniać swoje funkcje zadowalniająco tylko pod warunkiem, że wszystkie jego organa działają sprawnie, i że wszystkie jego istotne potrzeby są stale zaspokajane. Ale naród składa się z ludzi: ich potrzeby są jego potrzebami, ich nieszczęścia jego nieszczęściami. Danie maximum szczęścia doczesnego (w sensie zarówno duchowym jak i materialnym) swoim obywatelom, stanowi cel najwyższy polityki narodowej. Osiągnięcie tego celu jest możliwe tylko przy daleko idącym zróżniczkowaniu życia i jego urządzeń. Szczęście jednego może być nieszczęściem drugiego. W każdym pokoleniu rodzi się pewien odsetek ludzi biernych, i pewien odsetek ludzi przedsiębiorczych; ci mają pociąg do pracy na roli, tamci do ryzyka związanego z handlem; jedni mają pociąg do kontemplacji, inni do abstrakcyjnej spekulacji myślowej, inni odznaczają się żyłką awanturniczą i nadmiarem sił żywotnych, i domagają się słusznie, by społeczeństwo nie wsadzało ich w czambuł do więzienia, lecz by zużytkowało ich przyrodzone właściwości z pożytkiem dla ogółu. Polska nie miała floty ani kolonij, mimo to mieliśmy w każdym pokoleniu jednostki które my uważaliśmy za dziwaków, ale które w większości innych narodów byłyby pomnożyły pomysłność i potęgę swego kraju. Beniowski na Madagaskarze, wyprawa kilku Warszawiaków do Konga w drugiej połowie XIX wieku, żywiołowa potrzeba morza u Conrada - Korzeniowskiego, wspaniałe wyprawy eksploracyjne Polaków w służbie rosyjskiej na terenie Azji: tyleż przykładów, że nie przez upraszczanie problemów życia, ale przez wszechstronne wykorzystanie nieskończonej różnorodności zdolności tkwiących w poszczególnych ludziach, naród dochodzi do pełnego rozwoju swych możliwości i do harmonijnej budowy swego organizmu.

Dlatego sztuczne zwichnięcie struktury pewnego narodu, czy to polityczne (np. zakaz utrzymywania armji), czy gospodarcze, w sensie ograniczenia wytwórczości do pewnych tyl-

ko dziedzin (w myśl teorii liberalnej), musi zakłócić prawidłowe funkcjonowanie organizmu narodowego, dając skutki opłakane, odwrotne od zamierzonych i obliczonych przez t. zw. „mężów stanu”. Tworzy się w takich razach wrzód złożony z ludzi nie znajdujących ujścia dla swych wrodzonych, niewątpliwie twórczych i godziwych skłonności. Wrzód ten nabiera i zatruwa powoli cały organizm, burząc do reszty i tak już zwicliniętą równowagę. Koniec bywa opłakany, nie tylko dla danego narodu, ale i dla jego sąsiadów.

Polska usiłowała w XVIII wieku obywać się bez handlu, bez rządu i armji: straciła swą niepodległość, wywołując przez to zaburzenia polityczne, trwające do dziś dnia, i zatruwające od dwu wieków atmosferę całej Europy. W XIX wieku zabórca zmusił Polaków do ograniczenia się do rolnictwa, zaopatrując ich w produkta własnego przemysłu (to samo do czego nas namawiają obecnie liberałowie); w rezultacie wywędrowało z polskich ziem kilka milionów najtęższych ludzi, jałowiać naród z najlepszych i najbardziej przedsiębiorczych sił przez dwa pokolenia. Po całym świecie Polacy pracowali w dziedzinach, które w kraju były dla nich niedostępne, walczyli w cudzych armjach, kierowali cudzym przemysłem, wykładali w cudzych uczelniach; bogacąc swą pracą i inicjatywą obcych, jałowili własny kraj. Skutek był taki, że Polska w chwili swego zmartwychwstania zacořana była w szeregu kierunków normalnego rozwoju, i że wynikająca stąd jej słabość uniemożliwia jej do dzisiejszego dnia odegranie tej zbawczej roli w najbardziej drażliwym punkcie Europy, której odegrania słuszenie cały świat się od niej domaga. Naród — kaleka stanowi zarówno groźbę jak i pokusę. Przeto rozwiniecie wszystkich działów twórczości duchowej i gospodarczej, których zarodki tkwią w ludności danego kraju, nie stanowi postulatu próżności narodowej, wybujałego nacjonalizmu czy szkodliwego doktrynerstwa: jest to poprostu warunek zdrowego rozwoju żywego organizmu, z wielkim pożytkiem dla zdrowia otaczających go narodów.

Jeszcze jedna uwaga. Liberalizm kapituluje przed naturą, każąc stosować ściśle wytwórczość danego kraju do jego przyrodzonych warunków gospodarczych. Świadczy to o niedocenianiu możliwości, tkwiących w pracy i zmyśle organizacyjnym człowieka. Na przebogatych rolach Ukrainy panuje nę-

dza; na piaskach brandenburskich wyrosły potęga i bogactwo. Praca i wytrwałość człowieka dokazują cudów. Dlatego naród, dążący do wszechstronnego rozwoju, czasem naprzekór swym danym geograficznym i brakom swej ziemi, może być pewien że zwiększonym wysiłkiem napewno okupi zwiększone rezultaty. Dokładając może chwilami do pewnych mniej rentownych działów swego gospodarstwa, wywalcza sobie *najcenniejsze z wszystkich dóbr: harmonję swego ustroju*. A wewnętrzna równowaga poszczególnych narodów nie może prowadzić do zubożenia całej ludzkości. Przeciwnie, musi doprowadzić do wyrównania dążności odśrodkowych, do zmniejszenia wzajemnych tarć i wzrostu wzajemnego poszanowania między narodami. Jest to bodaj że jedyna droga do zapewnienia ludzkości spokoju i dobrobytu.

Jednostronne nastawienie gospodarki czy to na przewagę przemysłu czy na przewagę rolnictwa, pociąga za sobą złe skutki innego jeszcze rodzaju: prowadzi w danym narodzie do zwichnięcia moralności gospodarczej. Jest to motyw, który nie trafi do przekonania żadnemu liberałowi, lecz ma swą wagę dla każdego, kto przemyślał poglądy Św. Tomasza i zgodnie z jego doktryną uznaje istnienie dwu rodzajów zysku: zysków godziwych, i zysków opartych na „żądzy“.

Wiemy już, że tym dwom rodzajom zysków odpowiada zgrubsza podział wytwórczości na część statyczną, w której ludzie dążą naogół do zysków proporcjonalnych do włożonego wysiłku — oraz na część dynamiczną, w której zysk przybiera często charakter spekulacji, poprostu gry na loterii życia.

Wiemy również, że oba te rodzaje ludzkiej działalności są konieczne dla normalnego rozwoju społeczeństwa, i że przerosł czy to jednego czy drugiego odbija się fatalnie na przyszłości narodu. Zupełne zahamowanie możliwości „zysku“ prowadzi do sztucznego zatamowania rozwoju gospodarczego, z którego to stanu bywa przebudzenie ciężkie i bolesne. Z drugiej strony zdynamizowanie całego społeczeństwa prowadzi do katastrofalnych skutków społecznych, a przede wszystkim wytwarza psychozę zysku, związaną z nadmiernym rozwojem handlu i przemysłu, i dewaluując rzetelną pracę.

A uprzywilejowanie zysku na niekorzyść pracy daje w rezultacie ustrój gospodarczy, który stoi w jaskrawej sprzeczności z zasadami sprawiedliwości społecznej, godziwego podziału dóbr i godziwego podziału praw.

Mówiąc lapidarnie a obrazowo: *społeczeństwo jest zdrowe gdy trzech rolników patrzy na palce jednemu człowiekowi zajętemu w handlu czy w przemyśle*. Jego nadmierna żądza zysku rozbija się zawsze o „tępy” opór tamtych trzech młotów. Rezultat: równowaga gospodarcza, niema bezrobocia, utrudniony wyzysk, spekulacja wyjątkiem a nie regułą. Naród zdrowy psychicznie i gospodarczo.

Czterech kupców i przemysłowców i jeden rolnik — to współczesne kraje anglosaskie. Wiemy, co o tem sądzić.

Czterech zbożnych rolników i nic więcej, to była dawna Polska. Jest to stan nie do utrzymania. Do czterech zbożnych rolników przyłącza się niebawem typek w jarmółce.

Dlatego *hasło samostarczalności, w sensie harmonijnego rozwoju wszystkich działów wytwórczości, ma znaczenie nie tylko dla struktury społecznej i niezależności politycznej kraju: jest również nieodzownym warunkiem zdrowia moralnego*. Takie czy inne cło wydaje się na pierwszy rzut oka kwestją dość błahą. W perspektywie historycznej przekształca jednak całe narody i kontynenty, i przeważa szalę na korzyść materjalizmu lub idealizmu.

OCHRONA CELNA.

Problem zapewnienia wszechstronnego rozwoju możliwościom wytwórczym narodu wymagałby obszernego omówienia, zahaczającego o kwestje społeczne, polityczne i wychowawcze. Przekracza to ramy tej rozprawy. Ograniczę się przeto do rozważenia problemu ochrony celnej, jako decydującego o powodzeniu całej akcji a zarazem fatalnie obecnie zagmatwanego, zarówno w ekonomicznej teorii jak i w polskiej praktyce.

Zdecydowawszy się na ochronę celną mamy nieskończoną gamę możliwości, poczynając od nieznacznych stawek na ograniczoną ilość towarów, aż do kompletnego wału celne-

go o tak wysokich stawkach, że równają się w praktyce generalnemu zakazowi przywozu.

Częściowa ochrona celna, a więc stawki chroniące niektóre tylko dziedziny wytwórczości, równają się popieraniu tych dziedzin kosztem wszystkich innych rodzajów produkcji. Działanie jest takie same, jak gdyby pobierać dodatkowy podatek z całej ludności i wypłacać gotówkowe premje poszczególnym wytwórniom. Ze względów praktycznych wolą jednak państwa udzielać tych subsydjów w formie ochrony celnej, gdyż jest to podatek niewidoczny, mniej drażniący obywateli.

Ten system częściowej ochrony celnej przyjęty był w Polsce w latach 1919 — 1928. Celem jego był rozwój przemysłu kosztem rolnictwa*. Rezultaty osiągnięto duże, aż za duże, gdyż przemysł rozwinął się pomyślnie, uzyskał dobry poziom sprawności technicznej i organizacyjnej, co za tem idzie duże wpływy polityczne w państwie, a rolnictwo gremjalnie zbankrutowało. Był to sygnał ostrzegawczy że przeciągnięto strunę.

Poczynając od roku 1928 zaczyna się proces odwrotny. Ochronę celną rozciąga się również i na rolnictwo. Skutek jest początkowo żaden, gdyż ceny płodów rolnych nie stosują się do stawek celnych, lecz do cen światowych.

Wprowadza się przeto premje eksportowe dla niektórych płodów rolnych. Mogłoby się więc zdawać, że obecnie rolnictwo jest uprzywilejowane kosztem przemysłu. Tak jednak nie jest, gdyż surowce włókiennicze oraz nasiona oleiste, których import stanowi zabójczą konkurencję dla krajowego rolnictwa, są naogół wolne od cła, a szereg eksportujących działów rolnictwa nie korzysta z premij. W rezultacie obecny nasz system ochrania wszystkie działy naszej wytwórczości, przyczem ochrona przemysłu jest nadal wyższą niż ochrona rolnictwa.**

* Produkty pochodzenia roślinnego i zwierzęcego oraz inne surowce obciążone były cłami w wysokości 0 — 5% ad valorem (od wartości), natomiast fabrykaty chronione były murem celnym o przeciętnej wysokości 35—40% ad valorem. Patrz Rocznik Min. Skarbu za lata 1927 — 30, str. 226 i nast.

** Poczynając od roku 1930 Ministerstwo Skarbu bardzo przeźornie nie ogłasza rozdziału wpływów celnych na poszczególne grupy towaro-

Doszliśmy więc do tego stanu ochrony celnej, który ekonomja liberalna uważa za absurdalny. Można ochraniać, powiada liberał, pewne działy produkcji kosztem całego kraju. O ile się komuś tak podoba. Ale ochraniać wszystko kosztem wszystkich, znaczy tyle samo co nie ochraniać nikogo. Korzyści niema żadnych, pozostają tylko straty wynikające z ogólnego podniesienia poziomu cen ponad poziom cen światowych, i utrudnienia w ten sposób eksportu. Skutkiem generalnej ochrony celnej będzie więc ogólne obniżenie stopy życiowej w danym kraju, rezultat, którego napewno nie zamierzano.

Rozprawmy się z temi argumentami po kolei:

1) Celem naszym jest osiągnięcie wszechstronnego rozwoju wszystkich działów gospodarki. Jest to cel natury polityczno-moralnej, warto więc poświęcić dla niego pewien ułamek swej stopy życiowej, gdyż korzyści innego rodzaju zrównoważą nam to poświęcenie. Należy jednak zorganizować ochronę w taki sposób, by kosztem możliwie małych strat osiągnąć zamierzone skutki.

2) Gdyby ceny wszystkich towarów na rynku krajowym równały się cenom światowym *plus* cło, cel nie byłby oczywiście osiągnięty, i poświęcenie nasze szłoby na marne. Ale nigdy tak nie bywa.

a) Mamy pewne działy produkcji, które będąc jeszcze w zaczątkach nie mogą pokryć całego zapotrzebowania kraju. Działy te nie sprzedadzą oczywiście swych produktów poniżej ceny światowej *plus* cło i wykorzystają w pełni przyznaną im ochronę.

b) Mamy działy produkcji eksportujące stale, t. zn. że ich zdolność produkcyjna przekracza zapotrzebowanie wewnętrznego rynku. Cechy ich będą się kształtowały na poziomie cen światowych lub chwilami nieznacznie wyżej (np. ceny zbóż w Polsce 1929 - 1930 mimo ochrony celnej, a przed wprowadzeniem premji).

we importu. Skutkiem tego niezmiernie trudno wyrazić w cyfrach obecny stan naszej ochrony celnej, tembardziej, że obok zasadniczych stawek nowej taryfy celnej z 1932 roku istnieje cały system kontyngentów wwozowych o niższych stawkach, zwolnień od cła udzielanych indywidualnie przez Min. Skarbu, zakazów przywozu itd. Ale w stosunku do stanu z roku 1928 otaczający nas mur celny niewątpliwie wzrósł.

c) Istnieją wreszcie działy, powiedziałbym normalne, których wytwórczość odpowiada mniej więcej pojemności rynku krajowego, i do tej pojemności się stosuje w swej polityce inwestycyjnej. Do tej kategorii należy u nas większość przemysłu. O ile władza nie dopuści do zmowy wytwórców, poziom cen będzie się tu wahał, zgodnie z prawami konkurencji, między poziomem cen światowych a cenami światowymi *plus* cło. Naogół te gałęzie przemysłu będą jednak wykorzystywały ochronę celną tylko częściowo.

Widzimy więc, że kategorie b) i c) będą łożyły pośrednio na rozwój kategorii a). Drogą naturalnego rozwoju, kategoria a) będzie się więc rozwijała szybciej od dwu pozostałych. Z chwilą gdy dojdzie do pełnego zaspokojenia potrzeb rynku krajowego, ceny w dziale a) spadną również poniżej poziomu cen światowych *plus* cło, i dany dział wytwórczości przestanie automatycznie korzystać z pomocy społeczeństwa. Po dłuższym okresie działania wszechstronnej ochrony ogólny poziom cen znajdzie się poniżej poziomu światowego *plus* cło, przyczem ceny będą o tyle niższe, o ile dany rodzaj produkcji będzie bardziej prężny i przedsiębiorczy. Stale korzystać będą z ochrony działy, które są specjalnie słabe ze względu na specyficzne warunki danego kraju, oraz rodzaje produkcji nowo powstające, będące jeszcze w swych początkach.

Powyższy system funkcjonuje sprawnie, o ile władza jest dość silna, by przełamać znowę wytwórców. (Tu zaśmieje się liberał. „Zmowy” — powiada — „zawsze były i zawsze będą. Kartelów i monopolów nie zwalczyć”). Nie jest to jednak argumentem przeciw ogólnej ochronie celnej. O ile pewien dział wytwórczości potrafi uzyskać takie wpływy w państwie, że może je wykorzystywać dla uzyskiwania niesłusznych cen, każdy najlepiej obmyślany system ekonomiczny musi zawieść. Nawet przy zupełnem zniesieniu granic celnych rządzący przemysłowcy potrafiliby sobie również zapewnić korzyści, czy to na polu podatkowym, czy zniżek taryf kolejowych, subsydjów bezpośrednich, premij i t. p. Rzeczą władzy jest niedopuszczyć do specjalnego uprzywilejowania pewnego działu wytwórczości.

Premje wywozowe i zwroty ceł paczą również system jednolitej ochrony celnej i w normalnych warunkach gospodarczych muszą być wykluczone, pozostając wyjątkową bronią

dla poparcia jakiegos działu produkcji, który się znajdzie przejściowo w sytuacji katastrofalnej.

3) Dlaczegoż więc, zapyta liberał, nie przyjąć jako zasady całkowitego skasowania ceł, popierając tylko kilka nie-licznych działów wytwórczości, które chcemy hodować? Dając im ochronę celną, premje lub innego rodzaju pomoc?

Dlatego, że stosunki gospodarcze zmieniają się w tak szybkim tempie, że musielibyśmy ciągle manipulować koło ceł i moglibyśmy narobić więcej szkody niż pożytku. Nikt nie potrafi bodaj dziś powiedzieć, które działy wytwórczości potrzebują w Polsce ochrony, a które nie. Czy większej ochrony potrzebuje len czy węgiel, czy produkcja parowozów czy papieru gazetowego? Zresztą to co potrzebuje ochrony dziś, może jej już nie potrzebować za rok lub dwa. Nie wiemy nawet co obecnie ochraniać, przemysł czy rolnictwo. Oba działy mają dziś wytwórczość globalną mniej więcej równej wartości. Który słabszy, który silniejszy? Państwo musi dążyć do stałości stosunków gospodarczych i równej miary dla wszystkich.

4) A więc system celny obowiązujący obecnie w Polsce jest trafny?

Nie jest trafny, bo opiera się na widzimisię referentów ministerjalnych, którzy uważają że wełna ma być wolna od cła, a bawełna nie, że jeden rodzaj zegarów ma opłacać wyższe cło a inny niższe, i t. p.

a) Przy obecnym systemie, wobec braku jakiegokolwiek jednolitej normy, wysokość stawki celnej jest kwestją targów między danym przemysłem a władzą. Decydują nie-tylko względy słuszności (przeważnie niemożliwe w praktyce do ustalenia), ale przede wszystkim polityczne wpływy za-interesowanych przemysłowców wzgl. ich „obrotność“.*

b) Im słabszy dział wytwórczości, tem więcej potrzebuje

* Nikomu nie przyszłoby na myśl, że stawki podatku dochodowego mogą być inne dla fabrykanta kaloszy niż dla fabrykanta parasolów. Natomiast opinja publiczna dziwnie spokojnie znosi fakt, że radca ministerjalny decyduje o stawkach celnych, a więc tem samem i o dochodach poszczególnych działów wytwórczości, według swego zupeł-
nie swobodnego uznania.

ochrony, tem mniejsze ma jednak wpływy polityczne, tem więc niższą stawkę celną*.

c) Płynność stosunków personalnych i politycznych nie pozwala przewidzieć na kilka lat naprzód, który dział wytwórczości będzie górą w tabeli celnej, a który będzie pogiębiony. Uniemożliwia to racjonalny rozdział kapitału krajowego, który powinienby płynąć do działów niedorozwiniętych gospodarczo, a w rzeczywistości płynie do działów wpływowych politycznie. Zdrowy rozwój gospodarczy wymaga ustabilizowanej na długie lata taryfy celnej.

*Wszechstronny, zdrowy rozwój gospodarstwa narodowego wymaga ochrony celnej o jednakowej wysokości (ad valorem) od wszystkich towarów**.* Wykluczy to wszelkie niezdrowe targi i mylne oceny oraz umożliwi racjonalny rozwój produkcji, opartej na pewnych przewidywaniach przyszłości, a nie na spekulacji.

* Importujemy różne produkty, które przy odpowiedniej ochronie celnej znalazłyby się w kraju. Produkcja tych dóbr z braku ochrony celnej nie może się rozwinąć; jak długo niema produkcji, niema i producentów; w braku producentów nie ma się kto starać o uzyskanie ochrony celnej. Jest to typowe błędne koło. Znam np. fabrykę wyrobów ceramicznych, która sprowadza za kilkadziesiąt tysięcy złotych rocznie różnego rodzaju glin, kaolinu, krzemu, piasku kwarcowego itp. Sprowadza z zagranicy, przeważnie z Czech. Zupełnie przypadkowo odkryto już w Polsce złoża kilku tych surowców. Gdyby na te produkty nałożono cła, fabryce opłaciłoby się zaangażować kilku mineralogów, którzy w ciągu roku lub dwu znaleźliby niewątpliwie na obszarze ziem polskich większość tych produktów. Byłaby z tego nie tylko korzyść gospodarcza ale niezależnilibyśmy się od zagranicy na wypadek wojny.

Zwalnianie od cła importu surowców jest ciężkim błędem, gdyż nie daje zachęty do szukania środków zastępczych na terenie kraju.

** Przed wielką wojną hodowaliśmy na ziemiach polskich 4,5 milionów owiec, obecnie hodujemy 2,5 miliona. Dlaczego zboże korzysta u nas z ochrony celnej, a wełna nie, to stanowi tajemnicę, której nie przeniknie rozum normalnego człowieka. Nie chcę przypuszczać, że chodzi tu o kieszeń niektórych przemysłowców o obrzezanej moralności.

Pozwoliłem sobie zestawić następującą tabelę (cyfry w milionach obejmują przywóz do polski wzgl. wywóz z Polski wszelkich produktów pochodzenia zwierzęcego i roślinnego z wyjątkiem drzewa i jedwabiu naturalnego):

rok	przywóz	wywóz
1928	1551	980
1932	436	447
1933	422	346

Z cyfr powyższych, które zaczerpnąłem z Roczników Handlu Zagra-

Jednolitej ochrony celnej nie należy fałszować przez różnolite traktowanie poszczególnych działów wytwórczości pod względem podatkowym i taryfowym (koleje!). Przemysł potrzebujący subsydjum powinien je otrzymywać z kieszeni w której się znajduje portfel, przy świadkach, a nie pokrywając z kieszeni od kamizelki*.

Naród, decydujący się na wprowadzenie jednolitej ochrony celnej dla wszystkich towarów, staje wobec pytania: jak wysoka ma być ta ochrona (czyli ile procent ad valorem ma wynosić cło?).

Możnaby ustalić stawkę tak wysoką, 100% lub 200% wartości towaru, że równałoby się to w praktyce zupełnemu przerwaniu stosunków gospodarczych między danym krajem a resztą świata. Rozważmy zyski i straty z takiego zarządzenia.

Zyski:

1) Przymusowa samostarczalność, w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

2) Całkowite uniezależnienie gospodarcze i finansowe od zagranicy,

3) Wyeliminowanie wszelkiego ryzyka dla wytwórczości,

nicznego Gł. Urz. Stat. wynika, że jesteśmy krajem w zasadzie deficytowym pod względem produkcji rolnej. Przeto gdybyśmy prowadzili racjonalną politykę celną, mogłoby się nasze rolnictwo oderwać całkowicie od kryzysu światowego, jak to uczyniło rolnictwo czeskie i niemieckie. *Kryzys rolny nie stanowi w Polsce nieubłaganej konieczności, lecz jest w głównej mierze skutkiem nierównomiernej ochrony celnej.*

* Myśl narodowa zwalcza „czysty” automatyzm w gospodarce, nie może się więc zadowolić szematycznym stosowaniem jednolitej stawki celnej dla wszelkiego rodzaju towarów. Jednolita ochrona winna stanowić zasadę, od której będą oczywiście potrzebne nieraz wyjątki. Lecz wyjątki te nie mogą być ustanawiane w ciszy gabinetów. Właściwe rozwiązanie narzuca się tu samo, i zostało zastosowane z powodzeniem w Anglii w formie *specjalnego trybunału celnego*, przed który ma prawo udać się zupełnie oficjalnie każdy wytwórca żądny wyższej ochrony celnej. Trybunał ten przeprowadza publiczną rozprawę i wydaje decyzję co do podwyższenia istniejącej stawki celnej wzgl. co do wprowadzenia cła na towary dotychczas niechronione.

płynącego z przewrotów politycznych i gospodarczych zagranicą, a ryzyko takie niewątpliwie utrudnia wszelkie przewidywania gospodarcze.

Straty:

1) „Splendid isolation” gospodarcza pociąga za sobą izolację polityczną i kulturalną, z jej wszystkimi ujemnymi skutkami zarówno dla rozwoju wewnętrznego kraju (zaskorupienie), jak i dla jego znaczenia i wpływów zagranicą.

2) Uniemożliwienie wszelkiego eksportu, nie tylko skutkiem wysokiego poziomu cen wewnątrz kraju, ale przede wszystkim dlatego, że inne kraje nie wpuszczają towarów państwa któremu nic nie mogą sprzedać.

3) Silne obniżenie stopy życiowej skutkiem konieczności obrócenia ogromu wysiłków na produkcję towarów, które możnaby drogą znacznie mniejszego wysiłku nabyć w innych krajach, a których produkcja w danym kraju niema istotnego znaczenia dla harmonijnego rozwoju gospodarki narodowej.

4) Zahamowanie rozwoju własnego przemysłu, który, nie będąc zagrożony konkurencją zagraniczną, korzystałby ze swego monopolowego stanowiska zamiast dążyć do ulepszania swej organizacji i swej wytwórczości.

5) Ogromnie ciężkie przejście z obecnego stanu ograniczonej wymiany do stanu zupełnej samostarczalności; związane z tem bankructwa, bezrobocie i zaburzenia społeczne i gospodarcze.

6) Katastrofalne wahania cen w działach wytwórczości takich jak rolnictwo, które w niektórych latach nie mogą uniknąć nadprodukcji, a nie byłyby w stanie wyeksportować swych nadwyżek.

(Nadprodukcja w skali światowej zdarza się rzadko, natomiast lokalna nadprodukcja pewnego towaru w pewnym kraju jest zjawiskiem codziennem, i nie wywołuje katastrofalnych skutków tylko dzięki możliwości wchłonięcia nadwyżki przez któryś z sąsiednich krajów, odczuwający właśnie brak tego towaru).

Jak widzimy z powyższego zestawienia, straty przewyższają zyski, toteż całkowicie w sobie zamknięty system gospo-

darczy nie był i nie będzie nigdy zrealizowany. Stawka celna, uważana przez ekonomię za celową, waha się w granicach od 15% do 30%. Cyfry te zdają się odpowiadać swemu celowi i umożliwiają wychowanie zdrowego, harmonijnego organizmu gospodarczego, nie tamując nadmiernie wymiany i nie zmuszając poszczególnych krajów do rozwijania u siebie rodzajów produkcji, których forsowanie byłoby oczywistym absurdem.

Dlaczego 15% do 30%? Są to cyfry empiryczne, podanie definitywnych obliczeń na ich poparcie byłoby rzeczą zawodną i nie przekonywującą. Ograniczę się więc tylko do zwrócenia uwagi na dobre strony takiej, a nie innej wysokości ochrony celnej.

1) Nietylko rolnictwo, ale i szereg działów przemysłu w jednych latach ma nadwyżki eksportowe, w innych latach niema ich wzgl. wykazuje deficyt, który należy załatać importem. Różnica w cenie tych towarów będzie się więc wahać stale w granicach ochrony, to jest o 15% do 30%. Stanowi to maksimum wahań dopuszczalnych w normalnej kalkulacji przemysłowej. Wahania większe pociągają za sobą katastrofalne zaburzenia gospodarcze i masowe bankructwa w danych działach wytwórczości.

2) Przy tym poziomie ochrony celnej ogólny wskaźnik cen w danym kraju będzie wyższy od wskaźnika cen światowych o 10% do 20% (wobec tego że szereg dóbr nie będzie w pełni wykorzystywało ochrony celnej).

Taka różnica pozwala jednak skutecznie eksportować wszystkim tym działom wytwórczości, które mają w danym kraju rzeczywiście korzystne warunki rozwoju. Wyższe stawki celne zabijają już wszelki, najzdrowszy nawet eksport.

3) Mimo wszelkich wysiłków władzy może się jednak zawsze zdarzyć, że ten czy ów przemysł (czy to drogą zmonopolizacji czy faktycznego monopolu) będzie wykorzystywał w pełni ochronę celną, mimo że jego zdolności produkcyjne przekraczają pojemność wewnętrznego rynku w danym kraju. Przy rozpiętości cen 15% do 30% między ceną krajową a ceną światową może taki przemysł eksportować,

dając zarobek krajowym siłom roboczym, o ile swoje stałe* koszta produkcji pokryje sprzedażą wewnątrz kraju, a w eksporcie szuka jedynie pokrycia swych kosztów zmiennych** plus zysku. Naogół wynoszą jednak koszta stałe 15% do 30% ceny towaru. Ochrona celna w tej wysokości umożliwia więc eksport takim działom przemysłu, które nastawiwszy się na ochronę wynoszącą 50% lub 100% ciągnęłyby nadmierne zyski nie dając wzamian społeczeństwu korzyści płynących z eksportu.

4) Szereg państw udziela zazwyczaj zachęty do eksportu drogą niżek taryfowych, zwrotów cła, zwolnień od podatków, premij eksportowych itp. Zarządzenia takie paczą międzynarodową wymianę dóbr i powinny być zwalczane, trudno jednak, by zagrożone państwo w każdym poszczególnym wypadku manipulowało koło swych stawek celnych. Te zachęty dla eksportu obracają się zazwyczaj w granicach od 10% do 30% wartości towaru, ochrona celna w tej wysokości jest więc pewnego rodzaju buforem, chroniącym krajowy przemysł przeciw nielojalnej konkurencji zagranicznej.

Obok zasadniczej, jednolitej stawki celnej, powinna (jak to zazwyczaj bywa) istnieć druga stawka, znacznie wyższa, przeznaczona do celów „karnych“, to znaczy do uzyskania godziwego traktowania swego eksportu w innych krajach oraz do doraźnych represyj za specjalnie jaskrawy dumping, przekraczający granice bieżącej godziwości w wymianie międzynarodowej. System celny powinno się jednak ograniczyć tylko do tych dwu zasadniczych stawek, a nie należy wprowadzać coraz to innych stawek zależnie od wypadku. System stawki minimalnej i maksymalnej przez długie lata obowiązywał we Francji i wykazał swe dobre strony, robiąc z Francji jeden z najbardziej scharmonizowanych organizmów gospodarczych świata.

* Koszta zarządu, koszta amortyzacji maszyn i budynków niezależne od rozmiarów produkcji, oprocentowanie kapitału itp.

** Koszta surowców, robocizny, i koszta amortyzacji zależne od rozmiarów produkcji.

„SAMOSTARCZALNOŚĆ”.

Sens „samostarczalności gospodarczej” jest oczywiście inny dla każdego kraju, zależy od jego położenia, potrzeb i warunków naturalnych. O ile postulat harmonijnej struktury obowiązuje każdy naród, który pragnie zachować swą niepodległość i swój ład społeczny, o tyle środki prowadzące do tego celu będą inne, zależnie od wypadku. Naród, stawiający pierwsze kroki na drodze do swego uprzemysłowienia, zadowolony się częściową ochroną celną przemysłu; naród wszechstronnie rozwinięty stworzy ochronę ogólną, w której ramach będzie się jego rozwój kształtował samoczynnie. Wielkie imperja pewnie swego prymatu nie będą się obawiały otwarcia swych granic na cztery wiatry.

Można śmiało twierdzić, że mało który kraj ma tyle warunków do osiągnięcia zdrowej „samostarczalności” co Polska. Z zasadniczych surowców brak nam jedynie rudy żelaznej, bo surowce włókiennicze możemy zastąpić produkcją własną (wełna, len, sztuczny jedwab). Podobnie możemy zastąpić importowane obecnie surowce oleiste. Mamy zato cynk, ropę i sole potasowe, których posiadaniem mało narodów może się poszczycić, mamy jeszcze względnie zdrową strukturę społeczną oraz przemysł, w ogólnych zarysach wystarczający na nasze obecne potrzeby.

Nasze rolnictwo przestanie eksportować skoro się zatakuje przywóz surowców włókienniczych i nasion oleistych, i gdy ludzie w Polsce przestaną chodzić głodni. Podobnie ma się rzecz z eksportem węgla. Eksport ten ustanie, gdy ludzie zaczną u nas palić w piecach.

Nasz przemysł w niektórych działach jest przeinwestowany, w innych niedorozwinięty. Będzie rzeczą najbliższych dziesiątków lat wyrównać te braki.

Gdy przestaniemy pożyczać zagranicą na lichwiarskich warunkach, problem naszego bilansu handlowego i płatniczego straci na znaczeniu, a dopływ uczciwego kapitału zagranicznego będzie nam pomagał do spłacania obecnych naszych długów, póki wzmocnienie naszego organizmu gos-

podarczego nie pozwoli nam wziąć tego ciężaru na własne barki.

Sytuacja nasza jest więc pomyślna. Należy jedynie złożyć ster naszej polityki gospodarczej w ręce powołane i oprzeć tę politykę na zdrowych zasadach ekonomji narodowej.

XVII

ROZDZIAŁ XII.

PODATKI.

„Wysokie progresywne podatki” (drugi punkt programu komunistycznego, zawartego w broszurze Marksa i Engelsa pt. Manifest komunistyczny, Londyn 1848.

„Demokratyczny program nakładania wysokich progresywnych podatków bezpośrednich...” Prof. Krzyżanowski, Nauka Skarbowości, 1923, str. 420.

„Przypadkowym” zbiegiem okoliczności stał się Marks wyrocznią w sprawach podatkowych dla społeczeństw t. zw. „demokratycznych”, to znaczy rządzonych przez wielki kapitał i masonerję. Rotszyldowie i ich koledzy z chwalebną skwapliwością realizują program nieboszczyka Marksa, mimo że te wysokie progresywne podatki mają jakoby płynąć z ich kieszeni. Co za szlachetność, co za filantropja! Aż się przyjemnie robi na myśl, jak wspaniałomyślni ludzie rządzą światem w którym żyjemy...

Trudno o lepsze ujęcie współczesnego programu podatkowego niż powyższa definicja prof. Krzyżanowskiego.* Każde słowo ma tu swą wagę, jest samo dla siebie całym programem.

a) Dlaczego podatki powinny być *wysokie*? Bo są przeznaczone nie tylko na pokrycie potrzeb zbiorowych społeczeństwa, lecz mają również wyrównywać krzywdy i zmieniać rozkład dochodu społecznego. Wysokie podatki, to poprostu dobroczynna ręka przenosząca pieniądze z sakiewek tych, którzy ich mają za dużo, do dziurawych kieszeni potrzebujących.

* Nie jest to bynajmniej program zalecany przez prof. Krzyżanowskiego. Cytuję podaną przez niego definicję jedynie w tym celu, by uniknąć zarzutu, że zbieżność między programem podatkowym komunistycznym i masoniskim jest moim wymysłem.

b) Dlaczego podatki *progresywne*? Bo im człowiek za-
możniejszy, tem większy odsetek swego dochodu wydaje
na przyjemności i rzeczy zbędne, tem większy przeto pro-
cent powinien płacić społeczeństwu. Kto zarabia t. zw. „mi-
nimum egzystencji“, nie powinien płacić nic. Kto zarabia
miljony, powinien oddawać na podatki prawie wszystko.
Wymaga tego sprawiedliwość społeczna.

c) Dlaczego podatki *bezpośrednie* (a więc w pierwszym
rzędzie dochodowy i spadkowy) mają być słuszniesze od
pośrednich (t. zn. obrotowych, spożywczych i t. p.)? Bo po-
datki bezpośrednie wymierza się w stosunku do majątku
i dochodu, dają więc idealną możność sprawiedliwego ob-
ciążenia obywateli, podczas gdy podatki pośrednie trafiają
na ślepo, i może się zdarzyć że ubogi zapłaci tyleż sanio
co bogaty, choć ubogi konsumuje całość swego dochodu a bo-
gaty kupuje kamienicę po kamienicy i folwark po folwarku.

Zrobiłem duży wysiłek, by przedstawić czytelnikowi
w obiektywnym skrócie „ideologję“ podatkową naszych
czasów. Staralem się nawet odtworzyć wiernie demago-
giczny styl tej masonsko-demokratycznej frazeologii. Obec-
nie obrócimy ten medal i rzucimy niedyskretne spojrzenie
na jego odwrotną stronę.

Ad a) *Wysokie* opodatkowanie ma jakoby służyć do
częściowego wyrównywania różnic majątkowych i naprawy
krzywd w rozdziale dochodu społecznego. Naprzykład prze-
mysłowiec płaci zbyt nisko swego pracownika; państwo
zabiera temu przemysłowcowi w formie podatku nadmiar
jego zysków i zwraca je temuż pracownikowi w tej formie,
że zaspokaja bezpłatnie różne jego potrzeby, zwiększając
tem samem pośrednio jego dochód...

Czy państwo naprawdę to robi? Wszyscy widzimy że
nie. Widocznie hasło o wyrównywaniu różnic majątkowych
przy pomocy podatków jest tylko parawanem, za którym
kryje się coś innego. Podejrzenie to nasuwa się jeszcze
z dwu innych względów.

Przedewszystkiem hasło wysokich podatków realizowane
jest w państwach, w których notorycznie rządzi wielki ka-
pitał, jakoto we Francji, w Anglii i t. d. Ponieważ hasło to

godzi wprost w kieszenie najbogatszych, wydaje się dziwne, że właśnie ci bogaci a rządzący z takim zapalem je realizują.

Po drugie, pocóż sięgać do tak nieudolnej broni jak podatki, skoro możnaby zreformować ustrój i zapewnić w ten sposób o wiele sprawiedliwszy rozdział dochodu społecznego niż to może uczynić najbezsronniejsza nawet władza? Że możnaby ten ustrój w godziwy sposób zreformować, o tem wiemy dobrze nietylko my, ale i rządzący ludzie z finansjery i masonerji. Dlaczegoż więc wolą to robić — jakoby — przy pomocy wysokich podatków, niż przy pomocy szeregu innych o wiele skuteczniejszych środków, które każdy rząd ma do dyspozycji? Krzywdzący rozdział majątku i dochodu społecznego następuje codziennie przy milionach transakcyj między poszczególnymi ludźmi. Reformując ogólne zarysy organizacji społecznej uzyskamy ten rezultat, że miliony transakcyj odbywać się będą godziwie. Czy nie jest fantazją, lub jak kto woli naiwnością, przypuszczać, że rząd może przy zielonym stoliku tak kierować poborem i zużyciem podatków, by wpływały jak balsam kojący w te niezliczone miejsca gdzie zachodzi jakaś krzywda? Wręcz przeciwnie, podatki mają wrodzoną skłonność do opryskiwania błogim majowym deszczykiem ludzi rządzących i ich satelitów. Chyba że rządziłby św. Franciszek z Assyżu — możnaby wtedy snadnie przypuszczać, że będzie hydrantem podatkowym opryskiwał murawę, na której się pasą jego owieczki...

Wniosek nasuwa się bez trudu: *wysokie podatki nie są bynajmniej przeznaczone do wyrównywania krzywd społecznych, lecz są narzędziem służącym do zupełnie innych celów.*

Zobaczmy za chwilę jakie to są cele.

Ad b) *Progresja* ma jakoby również wyrównywać różnice majątkowe. Zgódźmy się nawet prowizorycznie na tezę, że im kto zamożniejszy, tem większy odsetek swego dochodu wydaje na przyjemności. W takim razie progresja powinaby podchodzić coraz to bliżej do 100% dochodu. Ten kto zarabia sto milionów rocznie powinienby płacić conajmniej 99% na podatek dochodowy.

„Przypadek“ chce, że nie płaci tych 99%, lecz zależnie od kraju 20 % do 50 %. W Polsce progresja zatrzymuje się na 40 % dla osób fizycznych. *Dla osób prawnych (czytaj dla anonimowego kapitału) progresja ustaje już przy 25%.* Naj-

bogatszy człowiek nie płaci na podatek dochodowy więcej niż 40% swego dochodu. Dzieje się to dlatego, że postulat, by ściągać w formie podatku 99% dochodu byłby utopią. Zainteresowani albo przestaliby wogóle zabiegać koło swych interesów i zarabiać, albo, co prawdopodobniejsze, przekupywaliby urzędników skarbowych w tak skandaliczny sposób, że zdeorganizowaliby z punktu cały aparat podatkowy państwa.

W powodzi argumentów, mających uzasadnić współczesny system podatkowy, ten jeden argument jest niewątpliwie słuszny: więcej niż 30% czy 40% czyjegoś dochodu nie uda się zabrać na podatki (oczywiście przez opodatkowanie bezpośrednie. Przy pomocy kombinowanego działania podatków bezpośrednich i pośrednich można na krótki przeciąg czasu wycisnąć bodajże 50% czyjegoś dochodu).

Ale wobec tego odpada główna racja progresji, skoro wielki kapitał musi być de facto wyjęty z pod jej logicznego zasięgu. Utopijna teoria nie da się przeprowadzić w praktyce.

Żądanie, by ktoś oddawał prawie całość swego dochodu w formie podatku, wypływa z tego samego ducha doktrynerskiego z którego wypłynęła np. prohibicja amerykańska. *Charakter przeciętnego człowieka (a do niego przykrawać się przecież musi wszelkie ustawy) ma pewne granice wytrzymałości, powyżej których obciążać go nie wolno, pod groźbą ruiny najwartościowszych jednostek w społeczeństwie, które z pełnem zaparciem się siebie będą usiłowały wykonać przepisy ustawy. Każda ustawa zbyt wymagająca — to woda na młyn jednostek szkodliwych i zdemoralizowanych, to ruina najlepszych — na rzecz gangsterów. Nadmiernie wysokie podatki — to niszczenie ludzi uczciwych, a rozpanoszenie się tych, którzy przez przekupstwo, bankructwo, fałszowanie ksiąg i t.p. uchylają się od płacenia. Żądanie, by ktoś oddał państwu w czasach pokojowych połowę swego dochodu, jest antyspołeczne. Cóż dopiero mówić o wyższej progresji!*

Nadmiernie wysokie podatki — to selekcja negatywna, tępienie jednostek moralnych i ideowych na rzecz hodowli szkodników. W społeczeństwie, w którym istnieje pewna grupa ludzi o podwójnej moralności gospodarczej, niezwiązana uczuciem z krajem który zamieszkuje, zmaterializowana i pozabawiona ideałów narodowych oraz patriotyzmu — wy-

sokie podatki prowadzić muszą do szybkiego przesuwania się własności z rąk ludności rdzennej, usiłującej wypełnić sumiennie swe zobowiązania podatkowe, w ręce przybyszów pozbawionych skrupułów. *Wysoka progresja, to cenna premia w walce konkurencyjnej na korzyść Żydów.*

Istnieje jeszcze inna furtka, przez którą żydowski kapitał ucieka przed skutkami progresji, zwalając cały jej ciężar na barki aryjskie. Nieocenioną przysługę oddają tu anonimowe formy posiadania.

Naprzykład: niewątpliwy aryjczyk jest właścicielem kilku tysięcy morgów dobrej ziemi. Płaci podatek według wysokiej stawki progresji.

Wątpliwy Aryjczyk ma równie duży majątek, ale złożony wyłącznie z akcji na okaziciela. Zeznaje dochód, jaki mu się podoba zeznać, gdyż nikt nie może skontrolować, ile właściwie wynosi jego majątek. Płaci ile zechce, płaci oczywiście mniej, i według niższej stawki progresji.

Drugi przykład: niewątpliwy Aryjczyk posiada następujące obiekty majątkowe: folwark, kamienicę i przedsiębiorstwo przemysłowe. Dochody tych trzech obiektów sumuje Urząd podatkowy, i wymierza podatek według wysokiej stawki progresywnej.

Wątpliwy Aryjczyk jest równie szczęśliwym posiadaczem kilku obiektów majątkowych, ale formy jego własności są anonimowe (spółki z ogr. odp., akcje, obligacje, kapitały administrowane przez banki i t. p.). Każde z źródeł jego dochodu jest wprawdzie opodatkowane, ale z osobna, według niższej stawki. Śmieje się z progresji.

Któż więc ją płaci? Wielki kapitał płaci progresję w stopniu o wiele słabszym, niżby powinien według utopijnych rozważań o „sprawiedliwości podatkowej“. Szerokie masy nie płacą progresji wogóle (gdyż nie płacą podatku dochodowego, a przy podatkach pośrednich progresji zastosować nie można).

Progresję o pełnem natężeniu płaci tylko średnia własność, i to nie anonimowa (a więc aryjska). Progresja, to młyn do miażdżenia rdzennych warstw średnich, genialny wynalazek, by z biegiem czasu doprowadzić do stanu o którym marzył

*Marks: z jednej strony masy bez własności, z drugiej wielki kapitał i biurokracja oddana bezwólnie na jego usługi **

By skończyć z problemem progresji, wróćmy jeszcze na chwilę do sławnego argumentu, że bogaty ma więcej do wydania na przyjemności, powinien więc płacić na podatki *niestosunkowo* więcej. Czytelnik, który przemyślał gospodarcze poglądy narodowe, zrozumie bez trudu, że i ten argument jest fałszywy (za to bardzo demagogiczny). Każdy stan ma swoje nieodzowne potrzeby i swoje równie nieodzowne rozrywki. Najuboższy chłop czy wyrobnik wydaje naogół ten sam procent swego dochodu na przyjemności co i człowiek zamożny. Często chodzi głodny, byle mieć na wódkę i papierosy. Złoty młodzieniec z arystokracji idzie na bal i wydaje 100 złotych, złoty młodzieniec wiejski idzie na festyn i wydaje dwa złote. Wesela i imieniny celebrowane są „stosownie do stanu“, ale w każdym stanie. Podarki dla ukochanej stanowią potrzebę serca również w każdym „stanie“.

Co innego z ludźmi tak bogatymi, że żyją już właściwie poza wszelkim stanem. Ci ludzie musieliby popełniać szaleństwa i rozrzucać pieniądze garściami, chcąc wydać na przyjemności ten sam odsetek dochodu jaki wydają normalne stany. Te szaleństwa popełniają rzeczywiście niektórzy z milionerów amerykańskich. Naogół jednak bardzo bogaci ludzie wydają tylko ułamek swych dochodów, a resztę „lokują“ produkcyjnie, z mniejszym lub większym pożytkiem dla społeczeństwa. Obciążenie tych ludzi progresywnymi podatkami nie byłoby zasadniczo niesprawiedliwe — cóż

* Chcąc miażdżyć warstwy średnie w obęgach progresji i mieć pretekst do pobierania od tych warstw wysokich podatków, musiał „obóz postępu“ narazić również i wielki kapitał na opłacanie kilkudziesięciu procentów podatku dochodowego. Była to konieczność przykra, lecz konieczna dla osiągnięcia „wyższych celów“ masonskich. Tę niedogodność wynagradza obóz „postępu“ wielkiemu kapitałowi przez odpowiednią politykę taryfową i celną, przez tolerowanie zmywy, fałszywych bilansów i pozornych obciążeń kredytowych odciąganych od zysku. Od wszystkich tych ułatwień rdzenne warstwy średnie są oczywiście wyłączone, przeto nie tylko płacą progresję o pełnem natężeniu, lecz niewątpliwie ich obciążenie podatkowe nawet w cyfrach procentowych dochodu jest wyższe niż obciążenie skoncentrowanego kapitału.

kiedy odpowiednio wysoka progresja, jak to widzieliśmy, zastosować się do nich nieda, a mała progresja chyba zupełnie celu jako środek fiskalny ze względu na znikomą ilość ludzi bardzo bogatych, i stanowi tylko demonstrację demagogiczną, to co Proudhon nazwał trafnie a obrazowo „joujoux démocratiques” (zabawki demokratyczne).

Często wysuwany bywa jeszcze inny argument w obronie progresji: twierdzi się, że zamożniejsi korzystają w społeczeństwie kapitalistycznym z wydatniejszej opieki państwa, powinni przeto odpowiednio więcej płacić na jego utrzymanie.

Argument to typowo talmudyczny, wysuwany z upodobaniem przez szkołę marksistowską. Odpowiedź na ten argument prosta: każda warstwa społeczna stara się ciągnąć jaknajwięcej korzyści z państwa, a zarazem usiłuje płacić mu jaknajmniej. Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Każdy stan społeczny płaci podatki w odwrotnym stosunku do swej siły politycznej. W dawnej Polsce podatki ciążyły wyłącznie na chłopach i mieszczaństwie, szlachta była od nich wolna. *W dobrze zorganizowanym społeczeństwie każdy stan powinien korzystać z takiej samej opieki państwa i powinien płacić na podatki taką samą część swego dochodu.* Żądanie, by podatki wzrastały w tym samym stopniu co przywileje, jest szkodliwą utopją. Ci, którzy to żądanie wysuwają, nie czynią tego w dobrej wierze, lecz w doskonale pojętym interesie swych zakulisowych mocodawców.

Reasumując: 1) W praktycznem zastosowaniu progresja niszczy rdzenne warstwy średnie, bez których nie może istnieć zdrowe społeczeństwo.

2) Tam, gdzie progresja byłaby może słuszną, t. zn. w stosunku do najbogatszych, konsekwentnie przeprowadzić jej niemożna.

3) Wszelka progresja, to dowolność, bo pozostanie zawsze do dyskusji, jak szybko ma wzrastać progresja i na jakiej stopie ma się zatrzymać; a dowolność, to sposobność do nadużyć.

Thiers powiedział: „Proporcjonalność jest zasadą, progresja dowolnością”. Trudno mu odmówić słuszności.

4) Każdy stan wydaje na rzeczy zbędne mniej więcej ten sam ułamek swego dochodu.

5) W godziwie zorganizowanym społeczeństwie każdy stan korzysta z tej samej ochrony i z takich samych świadczeń państwa, powinien więc w tej samej mierze przyczyniać się do dochodów państwa.

Wniosek: *Podstawą ustroju podatkowego winna być proporcjonalność, a nie progresja.*

Ad c) Zanim przystąpię do rozpatrzenia problemu podatków *pośrednich i bezpośrednich*, i rzekomej „wyższości społecznej” tej drugiej kategorii, muszę uprzednio wprowadzić tych z moich czytelników, którzy mało są obeznani z ekonomją, w teorię t. zw. „przerzucania podatków”.

Laikowi nie przychodzi naogół nawet do głowy, że często ktoś inny płaci podatek, a ktoś inny go „ponosi”. Przeważnie uważamy, że podatek gruntowy płynie z kieszeni właściciela gruntu, podatek obrotowy z kieszeni kupca lub fabrykanta i t. d. W rzeczywistości zdarza się to bardzo rzadko, by ten sam człowiek, który płaci podatek, równocześnie w całości go „ponosił”. *Jako ogólną zasadę można przyjąć, że większa lub mniejsza część każdego podatku ulega „przerzuceniu”,* to znaczy że ten, kto podatek płaci, spycha całość lub część tego podatku na cudze barki, a to przez podniesienie ceny sprzedawanego przez siebie towaru lub oddawanych usług, względnie przez obniżenie płac wypłacanych swemu personelowi i t. p. Wyobraźmy sobie np. fabrykanta zapalniczek benzynowych, na którego państwo nakłada pewną specjalną opłatę, tyle a tyle złotych od każdej zapalniczki. Fabrykant będzie się starał przerzucić ten ciężar na swych klientów. Najprościej byłoby podwyższyć cenę zapalniczki o wysokość podatku, wtedy fabrykant nie płaciłby już niczego z własnej kieszeni, byłby tylko niejaką poborcą podatkowym, który zbiera opłaty od poszczególnych ludzi i wpłaca je hurtem do kasy państwowej.

Lecz po pewnym czasie okazuje się, że wobec podwyższenia cen zapalniczek zmniejszył się ich zbyt, zmniejszyły się przeto również zyski fabrykanta. Nie udało mu się więc przerzucić podatku w całości na konsumentów, lecz część tego podatku musi ponieść sam, a to w formie zmniejszonych zysków. W praktyce życiowej wygląda to tak, że fabrykant przewidzi z góry zmniejszenie się zbytu i nie podwyższy ceny zapalniczek o całą wysokość podatku, tylko o jego część, biorąc do-

browolnie na swoje barki resztę tej opłaty. Inna rzecz że z tej reszty będzie się starał przerzucić jeszcze pewien ułamek na swych pracowników (obniżka płac), na kamienicznika, w którego domu mieszka (obniżka czynszu) i t. d. Z kolei jego pracownicy i jego gospodarz poczynią pewne oszczędności, zapewne odmówią sobie kupna nowej zapalniczki. Tem samem przerzucają z powrotem pewien ułamek podatku na barki fabrykanta. Lecz nie tylko na fabrykanta. Jego pracownicy o obniżonych pensjach odmówią sobie nie tylko nowej zapalniczki, ale i całego szeregu innych rzeczy. W ten sposób opłata skarbową od zapalniczek rozejdzie się po wszystkich prawie bez wyjątku członkach danego społeczeństwa. Każdy obywatel kraju poniesie taki czy inny, choćby najmniejszy ułamek tego podatku. Nakładając podatek wrzuca rząd niejako kamień w wodę. Od tego kamienia rozchodzą się koncentryczne fale, coraz dalej i dalej, teoretycznie biorąc w nieskończoność, z tą może różnicą, że fala wodna zamiera na brzegu stawu czy morza, a fala podatkowa przerzuca się nieraz nawet i poza granice kraju. Jeśli rząd angielski nałoży podatek na cukier lub bekony, to część tego podatku zapłacą Polacy, Duńczycy i t. d. W świecie nowoczesnym każdy podatek rozchodzi się falą bez względu na granice państw czy nawet na oceany dzielące kontynenty.

Lecz nie wyczerpaliśmy jeszcze wszelkich tarapatów podatkowych naszego fabrykanta zapalniczek. Widzieliśmy że sobie jakoś poradził, zarabia teraz trochę mniej, gorzej płaci pracowników, ale część podatków przerzucił i jakoś żyje. Lecz w ojczyźnie naszego fabrykanta instaluje się, dajmy na to, monopol zapalczany. Ten monopol postanawia wyeliminować niewygodną konkurencję zapalniczek i wywiera zakulisową presję na rząd, by podwyższył opłaty od zapalniczek. Następuje drastyczna podwyżka podatku od zapalniczek. Fabrykant zapalniczek musi znacznie podwyższyć ceny, nie chcąc pracować z deficytem. Zapalniczki stają się bardzo drogie, i naraz okazuje się, że po tej cenie niema już na nie nabywców. Ludzie przestają używać zapalniczek i wracają do zapalek, niebawem rozwija się przemysł zapalniczek i pokątny wyrób. Rezultat: fabrykant zapalniczek bankrutuje, państwo niema już z tego tytułu żadnych wpływów podatkowych. Na placu zostaje monopol zapalczany jako jedyny triumfator. Naszego fabrykanta zlicytowali. Jego kolegów również.

Ubył w kraju pewien dział wytwórczości. Z pośród zbankrutowanych fabrykantów kilku strzelił sobie w łeb, reszta weźmie się do innego sposobu zarobkowania. Niektórzy obejmą za protekcją posady w Kasie Chorych i Magistracie, bardziej rzutcy założą jakieś inne wytwórnie, może drożdży lub guzików. W piętnaście lat po nałożeniu podatku na zapalniczeki efekt podatku rozszedł się już po kościach, murawa porosła na mogiłach samobójców, a ci co jeszcze żyją złożyli już zapomnieć, że kiedyś fabrykowali zapalniczeki. Szkodę poniosło społeczeństwo jako całość, rozłożyła się ona na wszystkie warstwy i zawody w tej formie, że wszyscy inni obywatele muszą obecnie płacić wyższe podatki, i to podatki wyższe o sumę, którą dawniej płacili fabrykanci zapalniczek. Żadnej indywidualnej krzywdy już niema, *podatek został w całości przerzucony, lecz z równoczesną ruiną całego działu wytwórczości*. Pół biedy, jeśli chodziło tylko o ruinę fabrykantów zapalniczek, ale skutki podatków bywają niekiedy katastrofalne dla struktury całej gospodarki narodowej. W XVIII wieku głosili fizjokraci tezę, że podatki winne obciążać wyłącznie rolnictwo. Tezę tę przejął po nich Adam Smith (choć wychodził z innych założeń teoretycznych). Skutki nie dały na siebie długo czekać. Rolnictwo angielskie nie mogło obciążających je podatków przerzucić na inne działy gospodarstwa przez zwyżkę cen, gdyż ceny jego zależne były od cen światowych, a z żadnej ochrony celnej nie korzystało. W ciągu kilkudziesięciu lat rolnictwo w Anglii formalnie zginęło. Podatki obciążające rolnictwo zostały więc de facto „przerzucone” na resztę społeczeństwa, w tym sensie, że rolnictwa niema, więc żadnych podatków nie płaci, a inne działy gospodarcze płacą podatki odpowiednio wyższe. Dzisiaj nie krzywdzą te podatki już nikogo. Ale cały rozwój społeczny i gospodarczy Anglii został zwichnięty, umysłowość gospodarcza i struktura narodu zostały spaczzone, i Anglija usiłuje dziś z wielkim mozołem wyhodować z powrotem rolnictwo i odrobić choć po części zło, wyrządzone przez nieopatrzną doktrynę ekonomiczną.

Niektórzy fanatycy teorii przerzucania twierdzili, że podatki przerzucane bywają z reguły na najslabszych, inni twierdzili, że na najsilniejszych. Oba twierdzenia mijają się z prawdą. W każdym społeczeństwie istnieje pewien stan rów-

nowagi gospodarczej: poszczególne stany, działy gospodarcze czy jednostki mają pewien udział w dochodzie społecznym. Ci, którzy wyzyskują, wyzyskują w miarę swych sił. Gdyby byli silniejsi, wyzyskiwaliby więcej, ale wobec tego, że dysponują siłą polityczną taką a taką, wyzyskują w takiej a takiej mierze. To samo z wyzyskiwanymi: cierpią, ale na tyle mają jeszcze siły, by się niedać wyzyskiwać więcej. Istnieje przeto równowaga sił.

Nałożony zostaje nowy podatek. Powiedzmy, że nałożony zostaje na wyzyskujących. Czy uda im się przerzucić ten podatek w całości na barki wyzyskiwanych? Oczywiście że nie, gdyż znaczyłoby to zmianę równowagi sił, a przecież w równowadze politycznej i gospodarczej nic się w tym czasie nie zmieniło. Nowo nałożony podatek musi się przeto dopasować do istniejącego układu stosunków, czyli musi się rozłożyć (drogą „przerzucenia”) między wyzyskiwanych i wyzyskujących w dotychczasowym stosunku ich wzajemnych sił gospodarczych. To samo musiałoby nastąpić z podatkiem, nałożonym wyłącznie tylko na wyzyskiwanych. Część z niego zostanie przerzucona na wyzyskujących.

Mają więc dużo racji ci ekonomiści, którzy twierdzą, że jest naogół obojętne czy nałożyć podatki na klasy posiadające czy na pozbawiony własności proletariąt, na przemysłowca czy na robotnika. Tak czy owak, podatki te rozłożą się przez przerzucenie, stosownie do istniejącego układu społecznego. Jeśli ten układ jest wadliwy, jeśli dochód społeczny leje się grubym strumieniem w jedno kieszenie a skąpo sączy się w inne, to trzeba zło leczyć u korzenia, a nie wyczekiwać wyrównania krzywd społecznych przy pomocy podatków. Mówiąc nawiasem mądry ustawodawca będzie się jednak zawsze starał liczyć jaknajmniej na „przerzucenie”, i z góry będzie usiłował rozłożyć obciążenia podatkowe na wszystkie warstwy i działy wytwórczości możliwie w proporcji do ich siły gospodarczej, gdyż proces przerzucenia prowadzi wprawdzie z biegiem czasu do wyrównania rozkładu obciążeń podatkowych, lecz bywa przeważnie bolesny i drażniący, odbywa się przy akompaniamencie strajków i bankructw najuczciwszych „płatników”, i często paczy harmonję organizmu gospodarczego. Im wolniejsza gospodarka, tem elastyczniej i sprawniej odbywa się przerzucenie. Im gospodarka bardziej usztywniona, im

podatki bardziej zmienne i częściej podwyższane, tem proces przerzucenia jest trudniejszy, choć i w tym wypadku ostatecznie dochodzi do skutku. Tam gdzie stosunki gospodarcze są bardzo statyczne (jak np. w rolnictwie) proces przerzucania podatku trwa niekiedy przez całe pokolenia.

Z teorii przerzucenia płynie oczywisty wniosek: *każdy niski podatek jest sprawiedliwy, każdy wysoki podatek jest krzywdzący*. Dlaczego? Bo żadnego podatku nie uda się nigdy nałożyć zupełnie sprawiedliwie ze względu na to, że niema dwóch ludzi, którzy żyliby w identycznie podobnych warunkach, a podatek musi być szematyczny. Lecz każdy niski podatek, choć wadliwie nałożony, stanie się szybko sprawiedliwy przez „przerzucenie”. Natomiast wysoki podatek, choć też z biegiem czasu ulegnie przerzuceniu, zrujnuje uprzednio najuczciwszych obywateli, a nierzadko całe działy wytwórczości*.

Widzimy więc, że w świetle „teorii przerzucania” dylemat—„podatki pośrednie czy bezpośrednie”—traci na znaczeniu społecznem. Tą drogą nie wyrównamy żadnych krzywd. Narzędzie podatkowe jest zbyt brutalne, nie można siekierą naprawiać zegarka. Pośredniość czy bezpośredniość podatków ma tylko dużą wagę z punktu widzenia łatwości poboru i „moralności podatkowej” społeczeństwa. W społeczeństwie takim jak angielskie podatki bezpośrednie nie są szkodliwe, gdyż nadużycia są małe, a podatki te są bardzo wydajne. Wśród ludności zdemoralizowanej podatkowo prowadzi opodatkowanie bezpośrednie do większych nadużyć i gorszych nierówności od podatków pośrednich, od których trudniej się uchylić.

Skoro tak—zapyta czytelnik—to skąd ten hałas i to zachwalanie podatków bezpośrednich jako lekarstwa na zły układ społeczny?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta. *Chodzi o zupełnie coś innego, a mianowicie o możliwość zastosowania progresji jako środka do przebudowy świata w myśl życzeń Marksa. Niema progresji bez podatków bezpośrednich. Do podatków pośrednich nie można progresji zastosować.*

* Prof. Krzyżanowski pisze (loc. cit. str. 180): „Doświadczenie historyczne wymownie stwierdza, że tylko niezbyt wygórowane podatki mogą być sprawiedliwie rozłożone”.

Oto wszystko. Choć nie, jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze cel drugi. Reklamując podatki bezpośrednie wysunięto na pierwszy plan podatek spadkowy, najskuteczniejszy z wymyślonych dotąd środków na osłabienie rodziny, przytem *rozszna premia dla anonimowego posiadania*. Umierający kupiec żydowski osładza sobie rozstanie z tym światem błogą myślą, że większość jego majątku będzie dla urzędu podatkowego zupełnie nieuchwytna (akcje, udziały, kapitały i t. p.).

*Reforma podatku spadkowego, przy zupełnem zwolnieniu od jego placenia dzieci, rodzeństwa, małżonków i rodziców nieboszczyka, stanowi jeden z postulatów programu narodowego**.

Jest jeszcze trzeci cel, uboczny, którego spełnieniu służą podatki bezpośrednie. Stwierdziliśmy przed chwilą, że mądry ustawodawca będzie się zawsze starał liczyć jaknajmniej na „przerzucenie”, natomiast będzie usiłował rozłożyć obciążenie podatkowe na wszystkie warstwy i działy wytwórczości możliwie w proporcji do ich siły gospodarczej. Otóż jedno nie ulega wątpliwości: sternicy kapitalizmu są ludźmi mądrymi. Jeśli forsują progresywne podatki bezpośrednie, to niewątpliwie pragną, by te podatki rzeczywiście ponosili tylko ci, którzy je uczciwie płacą (a więc rdzenne warstwy średnie). A nie pragną, by te podatki zostały przerzucone na szerokie masy (gdyż w razie prawidłowego przerzucenia podatków bezpośrednich ustałoby natychmiast niszczące działanie progresji i podatku spadkowego).

Ale w jaki sposób zapobiec przerzuceniu? Recepta na to prosta. *Przerzuceniu zapobiega się w taki sposób, że warstwy, na które jakiś podatek mógłby zostać przerzucony, obciąża się równocześnie jakimś innym podatkiem i to o tym samym stopniu natężenia*. Jeśli więc w społeczeństwie angielskiem stosunkowo nieliczna grupa płaci $\frac{2}{3}$ budżetu w formie podatków bezpośrednich, a ogół narodu płaci tylko $\frac{1}{3}$ w formie podatków pośrednich, to szerokie warstwy narodu angielskiego muszą być chyba obciążone jakimiś innymi niewidocznymi formami podatków?

Temi niewidocznymi formami podatków są odsetki i zyski o charakterze monopolowym, płacone przez masy na rzecz

* Zniesienie podatku spadkowego dla najbliższej rodziny nieboszczyka było jednym z pierwszych zarządzeń Mussoliniego po objęciu władzy.

wielkiego kapitału. Istnieje w Anglii poprostu podział na „sferę eksploatacji”: wielki przemysł eksploatuje masy, a „państwo” (czyli w naszej epoce biurokracja i pewne grupy inteligencji) eksploatuje warstwy średnie. Państwo robi to w sposób widoczny, przy pomocy podatków przede wszystkim bezpośrednich, i w ten sposób bierze całe odjuz na siebie. Wielki kapitał stara się korzystać jaknajmniej z kasy państwowej, by nie ściągać na siebie podejrzeń, i eksploatuje masy po cichu. Do swoich celów musi mieć jednak całe rzesze pomocników, którzyby mu utrzymywali w ryzach społeczeństwo. Ci pomocnicy rekrutują się w naszej epoce z pośród urzędników państwowych i samorządowych, oraz z grona pracowników przeróżnych instytucyj półpaństwowych i społecznych (jak kolej, poczta, Kasa chorych, społeczne instytucje kredytowe i t. d.). Tym to swoim adjutantom odstąpiła finansjera progresywną eksploatację rdzennych warstw średnich, odnosząc z tego potrójną korzyść: po pierwsze ma sztab oddanych współpracowników, których płaci z cudzej kieszeni; po drugie, odciąża z podatków szerokie masy, których może dzięki temu tem lepiej sama wyzyskiwać; po trzecie, finansjera wie, że biurokracja i radykalna inteligencja są zawsze nienasycone, istnieje więc *pewność*, że zamęczą krowę, którą im przydzielono do dojenia (t. zn. rdzenne warstwy średnie każdego narodu). A oto przecież tylko chodzi.

Nazywa się to po angielsku „to kill two birds with one stone” (zabić dwa ptaki jednym kamieniem). Dzięki tak subtelnej grze społeczeństwo dojrzewa szybko do „wielkiej przemiany”, która stanowi przecież ostateczny cel tej bolesnej zabawy.

Oglądnęliśmy problem podatkowy z różnych stron, i wyjaśniliśmy już sobie wiele rzeczy. Możemy więc teraz przystąpić do definitywnego wyjaśnienia kwestji: dlaczego państwo masonskie (czyli t. zw. „demokratyczne”) nakłada tak wysokie podatki?

Dlaczego podatki mają być wysokie, bardzo wysokie?

Dlatego, że system podatkowy ma dopomagać do zmiany struktury społecznej zgodnie z wytycznymi polityki judeomasonskiej, a to przy pomocy: wysokiej progresji (miażdżenie rdzennych warstw średnich); wysokiego podatku spadko-

wego (niszczenie rodziny); opłacania z pieniędzy publicznych usług licznych rzesz pomocników „postępu” (biurokracji i części inteligencji; stworzenia premii konkurencyjnej dla bardziej zmaterializowanej i mniej patryjotycznej części ludności, oraz odciążenia podatkowego szerokich mas (by mogły tem skuteczniej być eksploatowane przez wielki kapitał). Ze względu jednak na możność przerzucenia podatków i uniknięcia w ten sposób zamierzonych skutków gospodarka musi być usztywniona, podatki muszą być zmienne, stale podwyższane, a przede wszystkim bardzo wysokie.

Tu tkwią przyczyny współczesnego systemu podatkowego. Są to przyczyny zakulisowe, Niewąpliwie w realizowaniu tego systemu dopomogła naiwna wiara niektórych doktrynerów, że przy pomocy podatków będzie można wyrównać krzywdy społeczne. Obok złudzeń doktrynerów dopomogła do śrubowania podatków zupełnie zrozumiała dążność „inteligencji”, która pozbawiona przez „postęp” możliwości dojścia do własnego mienia w sposób godziwy, widzi w strumieniu podatkowym jedyną okazję do wyłowienia dla siebie jakiejś złotej rybki.

W ten sposób cykl się zamyka. Czego Francuzom czy Anglikom nie odbierze finansjerja (odsetki) lub wielki kapitał przemysłowy (zyski monopolowe) — to im odbiera państwo, żądając jeszcze wzamian, by obywatel wpłacał swój ostatni grosz z uniesieniem patryjotycznym. Nowoczesny człowiek pracuje i płaci, płaci i pracuje z coraz większem natężeniem, podnosi na kredyt swą stopę życiową, bo tego wymaga czyjś interes, kupuje na weksle samochód, bo ktoś musi na tem zarobić, ubezpiecza się na starość na warunkach lichwiarskich, bo wie, że w młynie kapitalizmu nie zdoła dojść do własnego mienia, którego widok umiliłby mu ostatnie dni życia. Pracuje w ciągłym napięciu i niepewności czy tej pracy nie straci, czy mu się nie zawali na głowę sztuczny gmach jego życia, jego weksli i pożyczek, zaległych rat i zaległych podatków. Pracuje pod naciskiem państwa, które coraz to więcej od niego wymaga a równocześnie zwęża jego pole do pracy i zarobku. Państwa (czytaj masonerji), której już nie wystarczają ani jego pieniądze, ani jego życie, ale która kontroluje jego

potrzeby i jego myśli, która mu się wdziera w głowę przez oczy i uszy, plakatem wyborczym i głośnikiem radjowym. Masonerji, która go wiedzie z zimnem wyrachowaniem do jeszcze straszniejszej pańszczyzny jaką będzie bolszewizm, i każe mu za to płacić — i z sobą „współpracować“.

Cykl się zamyka. Reakcja poczęta w XVI wieku, poprzez pańszczyznę XVII i XVIII wieku doprowadziła nas do pańszczyzny wieku dwudziestego. Krótka chwila wytchnienia w XIX wieku posłużyła tylko do zastąpienia batoga ekonomą przez o ileż subtelniejsze narzędzie — teczkę pod pachą komornika czy egzekutora. Egzekucja stała się synonimem naszych czasów, koszmarem spędzającym sen z powiek ludzi uczciwych. Płać, pracuj, płac — i tak cię w końcu zlicytujemy!

Ale egzekucja nie jest męczarnią równą dla wszystkich. Jest pewna różnica między wyrzuceniem kogoś z ziemi, na której gospodarzyli jego przodkowie, a zlicytowaniem sklepu na rogu ulicy. Można przecież przepisać towar na żonę i założyć taki sam sklep o dwie ulice dalej. *Egzekucja jest męczarnią dla człowieka osiadłego, dla Aryjczyka.* Dla Żyda jest niekiedy przykrością, a nie rzadko sposobnością do zarobku. *Oto główny skutek wysokich podatków: przesuwanie się własności w ręce żydowskie.* Kto podatki lepiej obchodzi i kto mniej się lęka egzekucji — ten na wysokich podatkach zarabia, gdyż jest poprostu w lepszej sytuacji od swego aryjskiego współzawodnika.

Jakich zasad w nakładaniu podatków trzymać się będzie Państwo Narodowe?

Dobry gospodarz nie będzie się starał reformować społeczeństwa przy pomocy podatków, lecz będzie jedynie do tego dążył, by podatki pobierane były w wysokości niezbędnej do zaspokajania potrzeb zbiorowych społeczeństwa, i by podatki rozłożone były sprawiedliwie, to znaczy obciążały wszystkich o ile możliwości równomiernie. Nakładając podatki będzie Rząd Narodowy przestrzegał kilku odwiecznych zasad:

1) *Podatki winne być proporcjonalne* (patrz ustęp poprzedni).

2) *Podatki winne być możliwie nieczmienne.* Canard, lau-

reat Instytutu francuskiego z roku 1801, autor dzieła p. t. „Zasady ekonomji politycznej“ twierdził, że każdy stary podatek jest dobry, a każdy nowy—zły. Brzmi to paradoksalnie, mieści jednak w sobie głęboką prawdę. Stary podatek już się rozłożył przez przerzucenie—obciąża więc ludzi sprawiedliwie. Nowy podatek krzywdzi i uciska na wszystkie strony, jak nowy but, który się stanie dopiero wygodny, gdy się go rozchodzi.

3) *Podatki winne być różnorodne.* Podatek „jedyny“ — słynny „impôt unique“—marzenie doktrynerów wszystkich czasów, prowadziłby w praktyce życiowej do tego, że jedni płaciliby za dużo, a inni uchylaliby się całkowicie od płacenia. Różnorodność (bez przesady) niewysokich podatków daje ten rezultat, że każdy obywatel w takiej czy innej formie coś płaci, a niesprawiedliwości poszczególnych podatków nawzajem się wyrównują.

4) *Podatki winne być niskie,* a to z dwu względów:

Po pierwsze, gdyż tylko niskie podatki rozkładają się sprawiedliwie, wysokie zaś podatki są zawsze niesprawiedliwe (patrz ustęp poprzedni).

Po drugie, ponieważ Państwo Narodowe, nie cierpiące na przerost funkcji charakteryzujący państwo przed-bolszewickie, nie będzie potrzebowało wysokich podatków, gdyż odstąpi inicjatywie społeczeństwa cały szereg zadań, które współczesne państwo wzięło niesłusznie na swoje barki.

Przypominam naszą zasadę „dwutorowości“ życia zbiorowego w Państwie Narodowym (patrz Rozdział XIV). Tor „społeczny“ — i tor „państwowy“, organizm narodowy żyjący w ścisłym oparciu o gmach państwa, lecz kształtujący się w atmosferze wolnej gospodarki, zdala od urzędów i paragrafów.

W myśl tej koncepcji nie możemy się zgodzić, by władza miała być tą pompą wysysającą ze społeczeństwa w formie podatków wszelkie zasoby, i rozprowadzającą je z powrotem w obrębie tegoż społeczeństwa według swego dowolnego—a jakże często nietrafnego—wyboru. *Podatki nie tylko dlatego muszą być niskie, by były sprawiedliwe; muszą one być niskie również i dlatego, by społeczeństwu pozostawić do dyspozycji pewne środki, któremi mogłoby dysponować na potrzeby zbiorowe, ale dysponować niezależnie od*

władzy czy to państwowej czy samorządowej, i niezależnie od wszelkiego przymusu.

Jaką winna być globalna suma obciążenia podatkowego? Problem odwieczny, i niezmiennie trudny do ujęcia w cyfry. Według bezspornych obliczeń państwo, samorządy oraz działy gospodarki przymusowej (kolej, poczta, przedsiębiorstwa państwowe, ubezpieczalnie społeczne) zabrały w Polsce w roku 1934 około 40% dochodu społecznego, z czego samo państwo zabrało około 30%. Są to cyfry charakterystyczne. Przed wielką wojną krajem najmniej opodatkowanym była Belgja, która oddawała na podatki 8% swego dochodu. Najwięcej opodatkowane (ale skutkiem tego bardzo biedne) Włochy płaciły 18%. Francja i Angja płaciły po kilkanaście procent, lecz Anglja utrzymywała z pieniędzy podatkowych ogromne imperjum dające jej obywatelom szerokie możliwości zarobku, a demokracja francuska zwracała wyborcom lwią część pieniędzy podatkowych w formie różnego rodzaju subsydjów, które rozdzielały się mniej więcej równomiernie po całym obszarze kraju, gdyż każdy z posłów francuskich uważa za najważniejszy swój obowiązek bezustanne dreptanie po urzędach i ministerjach w poszukiwaniu korzyści dla swego okręgu wyborczego. O ile można w tych sprawach ryzykować cyfry, to 10% stanowi zapewne optimum podatkowe, tę słynną „dziesięcinę“ na którą zawsze narzekano, ale która stanowi prawdopodobnie górną granicę nieszkodliwego opodatkowania. W granicach kilkunastu procent musiałyby się mieścić wszelkie zarówno jawne jak i ukryte formy podatków nietylko na rzecz państwa, lecz i na rzecz wszelkich przymusowych organizacji o charakterze publicznym.

W tem miejscu czytelnik chwyci się za głowę. „To znaczy”—zapyta—„że mielibyśmy zmniejszyć w Polsce nasze wydatki publiczne o dwie trzecie? Ależ to jawnie niewykonalne“.

Owszem, to jest wykonalne. Odciążając państwo i samorządy z szeregu funkcji, które do nich absolutnie nie należą, nawracając do pięknej staropolskiej tradycji bezpłatności pewnych urzędów, kasując szereg instytucyj, które służą u nas interesom różnych międzynarodówek, wreszcie czyszcząc gospodarkę publiczną z jawnych i ukrytych subsydjów na rzecz

rozlicznych protegowanych ludzi i organizacyj— doszlibyśmy łatwo do zmniejszenia naszych budżetów publicznych o 20% do 30%, nawet przy polepszeniu bytu funkcjonariuszów państwowych, związanem z radykalnem zmniejszeniem nadmiernej ich liczby. Są jednak pewne wydatki, których wydatnie zmniejszyć się nie da, jak np. wydatki na obronę państwa. Ale nie zapominajmy, że nasz dochód społeczny jest obecnie katastrofalnie niski, wskutek lat wyzysku kapitalistycznego i eksperymentów „postępowych”. Budżet nasz jest natomiast dość sztywny, t. zn., że wydatki nie zmniejszają się proporcjonalnie do spadku dochodów społeczeństwa, lecz nie pójdą również proporcjonalnie w górę, gdy przeciętny dochód każdego Polaka wzrośnie. Przy obcięciu obecnego budżetu o trzecią część wystarczy podwojenie naszego dochodu narodowego, by budżet państwa odpowiedział 10% normie, którą uważamy za słuszną. A zwielokrotnienie naszego dochodu społecznego, wobec tak katastrofalnego poziomu jaki obecnie osiągnęliśmy, będzie kwestją niewielu lat, z chwilą gdy ster naszej gospodarki znajdzie się w rękach narodowych. Nie zapominajmy bowiem, że podwoić nasz dochód społeczny — to znaczy dojść do stanu z roku 1925, a Polska ani nie była wtedy bardzo bogata, ani szczególnie dobrze rządzona.

*jako Zmniejszenie Państwa i Emulacja Bytu
wtedy w Włoszech*

ROZDZIAŁ XVIII.

PROBLEM WŁASNEGO DOMU.

Według teorii liberalnej domy czynszowe dzielą los kapitałów pożyczonych na procent. To znaczy, że w miarę narastania kapitałów szukających lokaty buduje się coraz to więcej domów czynszowych, aż wreszcie czynsze spadają do tak niskiego poziomu, że dochód z kamienicy po potrąceniu podatków i amortyzacji budynku winien pokrywać już tylko odsetki od zainwestowanego kapitału. A że odsetki w bogacącym się społeczeństwie liberalnem zbliżają się jakoby coraz bardziej do zera—przeto dom nie powinienby dawać właścicielowi żadnego dochodu bez pracy...

Gdyby się tak rzeczywiście działo, narodowa myśl gospodarcza nie miałaby tu nic do zarzucenia. Niestety jak wiemy liberalizm degeneruje w kapitalizm, w którym pewne uprzywilejowane formy własności dają dochód bez pracy (następuje to z chwilą, gdy ich właściciele uzyskują wpływ na rządy w państwie). Tak było przed wojną w stosunku do domów czynszowych. Po wojnie nastąpiło w Polsce w obozie „kamieniczników” rozdwojenie. Właścicielom domów przedwojennych, *przeważnie Aryjczykom*, narzucono ustawę o ochronie lokatorów, dzięki której przeciętny właściciel takiego domu w ostatnich dwudziestu latach niewątpliwie więcej stracił niż zarobił. Właściciele nowych domów, *przeważnie Żydów*, obdarzono przywilejami*, dzięki którym korzystają nadal z dochodów należnych „klasie panującej”. W społeczeństwach zachodnich, w których wojenne ustawy o ochronie lokatorów przestały obowiązywać już oddawna, dochód z domów czynszowych stał się ostatnio tak problematyczny, że finansjera przecho-

* Zwolniono ich od płacenia wszelkich podatków i od ograniczeń w eksmisji lokatorów.

dzi do budowania na wielką skalę domów jednorodzinnych, sprzedając je na długoletnie słono oprocentowane spłaty. Kalkulacja jest trafna, bo w ten sposób wyłącza się ryzyko, że mieszkanie mogłoby od czasu do czasu stać próżne, i wprzęga się nowe miliony ludzi do stałej pracy na rzecz wielkiego kapitału. Obywatele każdego kraju oddając na każdym kupionym na raty towarze, na własnym domu, na swem zajęciu zawodowym, na wszystkim czego się tkną po kilka procent rocznie, są skutecznie a niewidocznie eksploatowani przez złotą międzynarodówkę.

Wiąże się z tem jeszcze inna sprawa. Finansjera w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych już dawno buduje, a nasze „czynniki gospodarcze” jak dotąd — dopiero zamierzają budować — domy jednorodzinne *seryjnie*. W standaryzowanym domu ma mieszkać standaryzowana rodzina. W ustroju narodowym każda rodzina budować będzie sama w sposób, który jej najlepiej dogadza. Cały system gospodarczy nstawiony będzie na uwłaszczenie — ale swoją własną formę uwłaszczenia się wybierać będzie każdy człowiek według własnego upodobania. Ustrój narodowy będzie ustrojem żywych ludzi, a nie systemem standaryzowanych manekinów. Stosunek między człowiekiem a jego własnością nabiera dopiero wtedy cech dodatnich, gdy właściciel nie tylko zapłacił za posiadany przedmiot pewną sumę pieniędzy, lecz włożył w ten przedmiot także trochę własnej duszy — przemodelował go w pewnej mierze na swoje podobieństwo. Dlatego drzewo, posadzone własnoręcznie we własnym sadzie, będzie zawsze bardziej godziwą formą własności niż samochód Forda. A dom seryjny, kupiony na raty od anonimowej spółki akcyjnej, nie stanie się nigdy w tym stopniu „ogniskiem rodzinnem” co skromny domek, budowany według własnego pomysłu, a często i własnymi rękoma.

Współczesna kwestja mieszkaniowa jest w pierwszym rzędzie sprawą „słusznej płacy” i odsetek. Dopiero ustrój, który rozwiąże te dwa problemy, zapewni automatycznie każdemu *naprawdę własny* dach nad głową.

Własny dom mieszkalny dla każdej rodziny, to postulat nieodłącznie związany z hasłem uwłaszczenia mas. Należy stwierdzić, że Polska znajduje się pod tym względem w sytuacji lepszej od większości państw europejskich. Blisko trzy

czwarte naszej ludności mieszka jeszcze w domach własnych. *W ciągu jednego pokolenia każda rodzina w Polsce może dojść do własnego mieszkania — trzeba jedynie do tego jasnej doktryny społecznej, wolnej od naleciałości kapitalistyczno-socjalistycznych*, dla których miasto i koszary mieszkalne (dla jednych czynszowe, dla drugich kolektywne) stanowią nadal „ideał” społeczny.

Do praktycznego rozwiązania tego zagadnienia przystąpi ustrój narodowy w myśl tej samej koncepcji, którą zastosuje do skoncentrowanego przemysłu: pozostawiając na wymarcie obecnie już istniejące formy, starać się na przyszłość robić lepiej. Zaś to „lepiej” może polegać jedynie na budowaniu domów, których właścicielami będą wyłącznie ludzie je zamieszkujący.

Zgodnie ze swą ideologią będzie ustrój narodowy popierał w pierwszym rządzie budowę domów jednorodzinnych. Lecz musimy się z tem liczyć, że część mieszkańców miast będzie nadal wołała zamieszkiwać domy wielomieszkania, jak również, że w handlowych dzielnicach miast istnieć będą nadal duże budynki, mieszczące w sobie liczne lokale biurowe. Niema jednak żadnego powodu, dla którego i tu nie mogłoby nastąpić rozpowszechnienie własności, zwalnijące zainteresowanych od płacenia odsetek i monopolowych zysków do cudzych kieszeni. Obecnie każda kamienica stanowi niepodzielny obiekt hipoteczny, a lokatorzy opłacać się muszą właścicielowi. *Myśl narodowa propaguje spółdzielczość w budownictwie domów wielomieszkańczych*. Nie jest to idea ani nowa ani utopijna i wykazała już wielokrotnie swe praktyczne zalety. W tego typu spółdzielczej kamienicy każde mieszkanie stanowi oddzielną własność hipoteczną, a wydatki związane z utrzymaniem całego domu rozkładają się na właścicieli poszczególnych lokali według raz na zawsze ustalonego klucza.

A kredyt na budowę domów? O ile będzie po stopie go-dziwej, jest niewątpliwie bardziej celowe by ktoś budował na kredyt, niż by płacił przez całe życie czynsz, pozostając

stale bezdomnym proletariuszem. Spotkamy się tu z zarzutem, że uważamy kredyt na budowę domów mieszkalnych w rolnictwie za niebezpieczny, zalecając go dla ludzi pracujących w innych zawodach. Postawienie takiego zarzutu dowodzi nieznamomości warunków życia na wsi. Rolnik ma swoją ziemię, może materiały przeznaczone na budowę powoli kompletować na swoim podwórzu, wreszcie przystępuje do budowy, wykonując ją przeważnie własnoręcznie, przy pomocy rodziny i sąsiadów. Własnymi końmi zwozi piasek, często ma własne drzewo i sam wyrabia potrzebną sobie cegłę. Dom mieszkalny stanowi część jego warsztatu. W innych zawodach sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Wszystko odbywa się za gotówkę, dom budować należy odrazu, conajwyżej można nabyć parcelę na kilka lat naprzód.

Skoncentrowanie wszelkich wkładów, funduszy sierocych, depozytów i t. p. w społecznych instytucjach kredytowych, przy silnem ograniczeniu kredytów udzielanych rolnictwu, umożliwi skierowanie poważnych kapitałów na cele budowy domów po stopie nieprzekraczającej 3% do 4% rocznie. Termin spłaty takich pożyczek może być trochę dłuższy, 10 do 15 lat, miesięczne spłaty nie wyniosą więcej od obecnego czynszu. Przy odpowiednim wysiłku całego społeczeństwa, w ciągu jednego pokolenia każda normalnie pracująca rodzina powinna dojść do posiadania własnego domu lub mieszkania.

Reasumując: ustrój narodowy dążyć będzie do zapewnienia każdej rodzinie własnego mieszkania, a to przy pomocy następujących środków:

a) sprawiedliwego rozdziału produkowanych przez społeczeństwo dóbr, umożliwiającego każdej pracującej jednostce dojście do własności nieruchomości;

b) zdecydowanego przeciwdziałania urbanizacji, i związanemu z tem narastaniu monopolów położenia ziemi*;

c) wykorzystania funduszy, deponowanych w bankach społecznych, do finansowania budownictwa domów jednorodzinnych i spółdzielczych po godziwej stopie procentowej;

* Patrz Rozdział VI.

d) myśl narodowa sprzyja przede wszystkim budowie domów jednorodzinnych, lecz propagować będzie również spółdzielcze budownictwo domów wielomieszkaniowych, z wykluczeniem ustawowego czy kredytowego poparcia na rzecz budowy kamienic czynszowych.

UWŁASZCZENIE INTELIGENCJI.

Powstanie „inteligencji“, jako samoistnej warstwy społeczno-gospodarczej, jest skutkiem:

a) kapitalizmu

b) wadliwego systemu kształcenia.

Ad a). W myśl podanej w Rozdziale X definicji, t. zw. „inteligencja“ — to pracownicy umysłowi, odcięci nie tylko od środków produkcji, lecz nawet od możliwości uwłaszczenia się. Człowiek o średnim lub wyższym wykształceniu, pracujący na własnym warsztacie, według utartych u nas pojęć nie jest „inteligentem“. Inteligent — to proletariusz umysłowy, którego widzimy się jego szefa może każdej chwili pozbawić posady. Człowiek żyjący z miesiąca na miesiąc, w zależności nieledwie niewolniczej.

Podobnie jak proletarijat fizyczny, tak samo i proletarijat umysłowy jest smutnym „wykwitem“ epoki kapitalistycznej*. Uwłaszczenie mas — czyli koniec kapitalizmu — będzie równoznaczne ze zniesieniem proletarijatu rąk i mózgu i włączeniem „inteligencji“ w zdrowe, produkcyjne warstwy narodu.

Ad b). Dążenie obozu „postępu“, by przy pomocy „wiedzy“ usunąć religię z serc i głów**, doprowadziło do karykaturalnego rozwoju szkolnictwa, oderwanego całkowicie od rzeczywistości dnia codziennego, i przeznaczonego wyłącznie do chaotycznego nabijania głów ludzkich stekiem wiadomości o posmaku masońskim. Ten system szkolenia wydał rzeczy-

* Istnienie proletarijatu nie jest stałym objawem w historii. Jest to wytwór epok kapitalistycznych, upadku cywilizacji greckiej i rzymskiej i naszych czasów. Nawet chłop w epoce pańszczyźnianej nie był odcięty od środków produkcji, przeciwnie, był dziedzicznie związany z warsztatem pracy.

** Pierwszym nowotworem Wielkiej Rewolucji francuskiej była „religia rozumu“ (la religion de la raison).

wiecie zamierzone skutki; wywołał pomieszanie pojęć, którego skutkiem był częściowy upadek wiary, oraz stworzył warstwę ludzi, którzy dzięki nieodpowiednio pokierowanemu wykształceniu stracili kontakt z życiem, i jako element rozgoryczony i wykołejony stanowią podatny materiał na organizatorów „rewolucji“ w myśl życzeń Narodu Wybranego.

Daleko sięgająca reforma szkolnictwa w duchu programu narodowego, a przede wszystkim związanie szkolnictwa z ciałami zawodowymi*, skończy raz na zawsze z plagą ludzi zbyt ogólnie i nieproduktywnie wykształconych i przywróci pracownikowi umysłowemu zdrowy kontakt z prawdziwym a nie tylko „biurowym“ życiem.

Reforma studjów i reforma ustroju gospodarczego stworzą nowoczesny typ człowieka, pracującego umysłowo na własnym warsztacie. Typ ten nie będzie w niczem przypominał dzisiejszego „inteligenta“**. Brzydkie to słowo wymażemy zdecydowanie z polskiego słownika.

Ale co się stanie z obecnymi rzeszami inteligencji? Zgoda, społeczeństwo przestanie produkować inteligentów. Ale ci, którzy już są, i to nie z własnej winy, mają przecież ludzkie prawo do szczęścia i życia.

Owszem, mają. *Ale muszą wydobyć z siebie wielki wysiłek, muszą się przeuczyć i dostosować do nadchodzącej epoki.* Dla wszystkich, którzy dzielni i przedsiębiorczy, którzy zdecydują się porzucić przestarzałe pojęcia „biurowe“ i wypuścić beznadziejne „pióro“ z ręki, w ustroju narodowym otworzy się szerokie pole do pracy. Setki tysięcy stanowisk i placówek gospodarczych, zajmowanych obecnie przez Żydów, stanie dla nich otworem. Rozkwitający Naród będzie potrzebował jak-najwięcej ludzi twórczych, myślących i wykształconych. Dla zatrudnienia starszych, którym zasadnicze przestawienie życia jest już niemożliwe, wystarczy stanowisk zajmowanych obecnie nieprawnie przez różne młode kreatury, które zamiast wchodzić w życie twórczo, wolą karierę swoją budować na

* Patrz Rozdział XIII (Korporacje zawodowe).

** Ani t. zw. burżuja. Burżuazja może powstać i tuczyć się jedynie w ustroju indywidualistycznym, w którym indywidualne bogacenie się, słynne „enrichissez vous“, stanowi oficjalny cel życia każdego człowieka.

kombinacjach politycznych i na wystugiwanie się wpływom masońskim.

A to co bezradne, zgniłe, ostatecznie już wykolejone? Dla którego nie ma życia poza „urzędowaniem”? Dla którego jedynym możliwym warsztatem pracy byłyby statystyczne instytucje w państwie komunistycznym?

Ci niech biedują dalej, tak jak dotychczas. Stajemy do budowania zdrowego Państwa Narodowego, a nie przytułku dla niedołęgów.

W ustroju narodowym pozostaną trzy kategorie pracowników umysłowych, nie pracujących bezpośrednio na własnych warsztatach produkcyjnych. Będą to:

- a) urzędnicy państwowi i samorządowi;
- b) pracownicy umysłowi w większych przedsiębiorstwach prywatnych i w przedsiębiorstwach uspołecznionych;
- c) część ludzi oddających się t. zw. „wolnym zawodom” (a więc lekarzy, adwokatów, inżynierów i t. p.).

W jaki sposób uwłaszczać się będą powyższe kategorie pracowników)?

ad a). Każdy pracownik, mający prawo do emerytury, powinien mieć możność skapitalizowania swej emerytury, i otrzymania jednorazowo należnego mu kapitału*. W ten sposób wysłużony pracownik będzie mógł nabyć nieruchomości, lub założyć jeszcze na stare lata samodzielny warsztat pracy.

ad b). Problem ten omówiliśmy już w Rozdziale XII. Uwłaszczenie tej kategorii pracowników następować może w formie kapitalizacji rent ubezpieczeń społecznych, analogicznie do kapitalizacji emerytur urzędniczych.

ad c). Miałem już kilkakrotnie sposobność mówić o obecnej nędzy wolnych zawodów, spowodowanej nieunormowaniem dopływu i wykształcenia młodzieży, wprzagnięciem wolnych zawodów w służbę skoncentrowanego kapitału (prywatnego lub publicznego) oraz zgubnymi metodami współzawodnictwa, wprowadzonymi przez element żydowski. Usunięcie powyższych braków w ustroju narodowym, wraz

* System ten zastosowano w Polsce do rent inwalidzkich z bardzo dobrym skutkiem.

z ogólnem podniesieniem się dobrobytu, pozwoli wolnym zawodom odzyskać swoją godność naprawdę *wolnych zawodów w wolnem społeczeństwie*. Nie trzeba chyba udowadniać, że w godziwym ustroju dla przeciętnie zdolnego adwokata, lekarza czy inżyniera droga do uwłaszczenia się nie będzie stroma, i nie będzie wymagała, jak obecnie, chodzenia na czworakach.

WŁASNOŚĆ W USTROJU NARODOWYM.

Obawiam się, że czytelnik, który przegryzł się żmudnie przez szereg poprzednich rozdziałów, traktujących o uwłaszczeniu mas, odniósł wrażenie pewnego chaosu. Przyzwyczajony myśleć prostolinijnymi kategorjami doktryny liberalnej czy socjalistycznej („świętość“ własności wzgl. „precz“ z własnością) nie wczuł się może jeszcze dostatecznie w to, co stanowi najgłębszą bodaj prawdę narodowych też gospodarczych — w ich powiedziałbym „wielostronność“, dostosowanie się do bogactwa zjawisk występujących w życiu codziennem. Myśl narodowa ogłędnie nagina istniejące formy ludzkiej działalności gospodarczej do pewnych zasad — a odrzuca rozwiązania tak brutalne, a zarazem tak zawodne dzięki swym dążeniom do upraszczania życia, jak tezy głoszone stale przez demagogję „czerwonej“ czy „złotej“ międzynarodówki.

Boję się czy czytelnik przy rozpatrywaniu poszczególnych problemów nie zatracił linii przewodniej, która cementuje wielość szczegółów w zwartą doktrynę. Przystanę więc na chwilę i postaram się skupić rozproszone światła i cienie w jasny i możliwie zrozumiały obraz.

Przypominam: według pojęć chrześcijańskich i narodowych, *posiadanie daje prawa i nakłada obowiązki. Właściciel jest powiernikiem społeczeństwa, powołanym do zarządzania swoją własnością dla dobra ogółu.*

Tyle doktryna

Rzecz prosta, iż chłop, rzemieślnik, właściciel małej wytwórni lub sklepiku, ma tak skąpy przydział własności, że przy jej pomocy może drogą ciągłej pracy zarobić jedynie

na utrzymanie swoje i swej rodziny. Niczego od nikogo nie potrzebuje, ale też poza sporadycznym datkiem na ubogich nikomu swą własnością pomóc nie może.

Do tej kategorii należy przeważająca większość posiadających. Ich „misja społeczna” ogranicza się przeto do nich samych. Są to ludzie przeciętni, są wśród nich jednostki dodatnie i ujemne. Ich wady czy zalety nie mają jednak ogólniejszego znaczenia. Gospodarując źle lub dobrze, pracując dużo lub mało — szkodzą lub pomagają tylko sobie.

Myśl narodowa nie podziela złudzeń obozu „postępu” co do wrodzonej jakoby szlachetności natury ludzkiej. Dlatego dąży do uwłaszczenia mas, to jest do stworzenia jaknajwiększej ilości drobnych placówek gospodarczych bez „misji społecznej”, bo w tej kategorii posiadania, własność nie może wydać innych skutków jak tylko dobre, a jednostka ujemna nie może nadużyć swej własności na szkodę społeczeństwa.

Powiernikami społeczeństwa, we właściwym tego słowa znaczeniu, są więc tylko posiadacze większych warsztatów pracy. *Mają oni obowiązek dać możliwość zarobku jaknajwiększej ilości niewłaszczonych lub niedostatecznie uwłaszczonych współobywateli.* Oczywiście im większy kapitał w czyjemś ręku, tem większe obowiązki. Właściciel wielkiej wytwórni przestaje już być osobą prywatną, a staje się osobą publiczną, niejako „urzędnikiem społecznym”. Nietylko sposób, w jaki zarządza swym kapitałem, ale nawet jego życie prywatne nie są już dla ogółu obojętne. Stąd wniosek, że *ustrój narodowy nie może tolerować na czele wielkich przedsiębiorstw ludzi niemoralnych, spekulantów, ani jednostek wrogich Narodowi.* Ten wniosek nie osłabia zasady własności prywatnej, przeciwnie wzmacnia ją, gdyż chroni jej konieczny prestiż przed jaskrawem nadużyciem.

W społeczeństwie żydowskiem obowiązywała przez długie wieki zasada t. zw. roku „jubileuszowego”. Co pięćdziesiąt lat skreślali wierzyciele długi swym dłużnikom, przeprowadzając w ten sposób periodyczne uzdrowienie stosunków gospodarczych i korekturę w rozłożeniu własności.

Instytucja „roku jubileuszowego” nie utrzymała się, gdyż

Żydzi obmyślili rychło dostateczną ilość sposobów do obejścia jej postanowień. Zresztą doświadczenie dziejowe uczy, że rozłożenie własności w społeczeństwie reguluje samo życie w sposób doskonalszy, niżby to mogła uczynić najlepiej obmyślana ustawa. Pewne niesprawiedliwości w rozkładzie posiadania narastają codziennie, lecz w perspektywie lat wykazuje własność stałą tendencję do przesuwania się w ręce najpracowitsze. Trzeba dopiero nadzwyczajnych zaburzeń gospodarczych, lub wieków działania fałszywych tez ekonomicznych i supremacji politycznej jednych warstw społecznych nad innymi, by doprowadzić do tak wadliwego rozłożenia własności, że równowaga gospodarcza nie da się przywrócić bez jednorazowego przewłaszczenia na szerszą skalę. A nawet w takich wypadkach należy dokonać jedynie tych niezbędnych przesunięć własności, bez których prawidłowy rozwój procesów gospodarczych nie byłby na przyszłość zapewniony. Z chwilą, gdy się to uczyni, należy pozostawić samemu życiu usunięcie drugorzędnych krzywd gospodarczych. Tych krzywd, które powstały jako „pochodne” kilku głównych, już usuniętych przyczyn. Gdy odwalimy te sztuczne zapory i zapewnimy sprawne działanie godziwego ustroju gospodarczego, wartki prąd życia sprawiedliwiej przeprowadzi miliony drobnych poprawek w stanie posiadania niżby to mógł uczynić najgenialniejszy ustawodawca.

W Polsce:

- 1) krążenie ziemi przez cztery wieki było zatamowane;
- 2) wpływy polityczne skoncentrowanego kapitału w naszych oczach zmieniają radykalnie rozkład dochodów w społeczeństwie, a tem samym i rozkład własności.

Ustrój narodowy wprowadzi w życie godziwe zasady gospodarcze i liczy na to, że drogą naturalnych procesów ekonomicznych najbliższe dziesiątki lat przyniosą uwłaszczenie mas i sprawiedliwe rozłożenie dochodów i posiadania na poszczególne jednostki i stany. By ten proces umożliwić musimy jednak zrobić jednorazowo porządek we wspomnianych wyżej dwu dziedzinach, których wadliwa struktura mogłaby działać w dalszym ciągu pacząco i hamująco na prawidłowy rozwój gospodarki narodowej. Stąd wypływa nasze żądanie:

- a) rychłego dokończenia naprawy ustroju rolnego;
- b) radykalnego przerwania dalszej koncentracji kapitału,

oraz unarodowienia i uspołecznienia istniejących obecnie skoncentrowanych form kapitału.

Chodzi tu o reformę jednorazową, która ma odrobić kilka wieków fałszywie skierowanego rozwoju. Żywimy nadzieję, że po właściwym nastawieniu procesów gospodarczych jakiegokolwiek gwałtowne zabiegi w dziedzinie rozkładu własności raz na zawsze staną się zbyteczne.

Ogromna władza, którą daje posiadanie dużych kapitałów, i nieczmierna waga związanej z tem „misji społecznej” — prowadzą do nieustających dyskusyj na temat, czy społeczeństwo może wogóle liczyć na to, że drogą dziedziczenia czy też „dorobienia się” będą dochodzili odpowiedni ludzie do wypełniania tej „misji”. Czy też wobec małego prawdopodobieństwa, że znajdzie się tu zawsze „odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu”, nie byłoby celowiej te skoncentrowane formy produkcji przejąć na własność państwa, zachowując w ten sposób dla rządu możność mianowania dostatecznie tęgih ludzi na tak odpowiedzialne stanowiska?

O ile kapitalizm odpowiada na to pytanie zawsze „nie”, a kolektywizm odpowiada zawsze „tak”, to ustrój narodowy rezerwuje sobie odpowiedź zależnie od wypadku. Pamiętamy argumenty Św. Tomasza na korzyść własności prywatnej. Zgadzały się z niemi zupełnie. Ale widzimy dokoła siebie pewne formy gospodarcze, w których własność „prywatna” staje się zupełną fikcją. Pozatem obserwujemy, że w pewnych działach gospodarki zarząd zbiorowy robi szkody więcej, w innych szkodzi mniej. Mówiąc o tem w jednym z poprzednich rozdziałów określiliśmy je jako pionierskie, drugie jako zrutynizowane. Można by je też określić jako dynamiczne i statyczne. *Oddawanie przedsiębiorstw dynamicznych w ręce zbiorowości zwalczamy kategorycznie. Jeśli chodzi jednak o działy gospodarcze zrutynizowane i zbiurokratyzowane, o tak poważnym zasięgu wpływów i znaczenia, że tworzą niejako księstwo feudalne w państwie nowoczesnem — bez wahania opowiadamy się za oddaniem ich w ręce państwa lub samorządu.*

Ojciec Św. Pius XI pisze w Encyklice „Quadragesimo Anno”: „Słusznie się twierdzi, że pewne formy własności na-

leży zastrzec dla państwa, jako że dają zbyt wiele sposobności do sprawowania władzy, by je można było pozostawić jednostkom prywatnym bez szkody dla ogółu". Ojciec Św. idzie trochę dalej od myśli narodowej. Uważa, że kryterjum nadmiernej władzy wystarcza, by uzasadnić upaństwowienie pewnego działu produkcji. My uważamy, że *jedynie te działy produkcji winne przejść pod bezpośredni zarząd państwa, które nie tylko dają wielką władzę polityczną, ale mają przytem charakter wybitnie statyczny, to znaczy mogą się obejść bez energii i przedsiębiorczości, którą jednostki zawsze górować będą nad biurokracją.*

Jeśli chodzi o wielkie przedsiębiorstwa o typie dynamicznym, to nie rezygnujemy z ich „uspolecznienia”, ale szukać będziemy form uspołecznienia bardziej elastycznych niż „upaństwowienie”, form, łączących własność prywatną z kontrolą społeczną.

Posiadającą jednostkę musi zbiorowość ująć w pewne karby, by nie uchylała się od związanych z własnością obowiązków społecznych, i by używała umiarkowanie przewagi płynącej z posiadania. Do tego celu służyć będą ciała zawodowe. Za ich pośrednictwem jednostka włączona będzie w organizm zbiorowy Narodu. Dzięki ciałom zawodowym własność czysto nawet indywidualna będzie jednak w pewnej mierze „uspoleczniona”.

Stopień „uspolecznienia” własności będzie w ustroju narodowym tem wyższy, im większy będzie rozmiar i zasięg przedsiębiorstwa. Im silniej skoncentrowana produkcja, tem *kierownictwo* będzie bardziej „społeczne”, aż wreszcie przy pewnych nielicznych kolosach już nawet *własność* utraci swe cechy indywidualne na rzecz zbiorowego posiadania za pośrednictwem władzy samorządowej czy też państwowej.

Stopniowanie „uspolecznienia”, od własności czysto indywidualnej, poprzez przedsiębiorstwa podległe początkowo luźnym, następnie coraz to ściślejszym formom kontroli publicznej — aż do integralnego „uspolecznienia” w rękach państwa — oto gama form posiadania, która zapewni dostateczne bogactwo możliwości dla swobodnego, lecz zarazem godziwego rozwoju gospodarki narodowej.

Z narodowych pojęć o pracy i własności wypływa wniosek, że właściciel obowiązany jest *pracować* przy pomocy posiadanego kapitału. Klasycznym sposobem uchylania się od tego podstawowego obowiązku społecznego jest wypożyczanie swego kapitału, i ciągnięcie zysków bez pracy drogą pobierania odsetek. *Lichwa stanowi najjaskrawszy grzech przeciw narodowym zasadom posiadania*, namacalny dowód, że właściciel nie tylko nie potrafi sam użyć produktywnie posiadanego kapitału, lecz że co gorsza używa swego kapitału innym w sposób skrajnie egocentryczny a nie społeczny. Tem się tłumaczy wielka waga, którą myśl narodowa przywiązuje do sprawy lichwy i kredytu. Na tym też punkcie rozegra się główna walka między chrześcijańsko - narodową a żydowsko - liberalną koncepcją życia gospodarczego *

* Pierwszemi jaskółkami nowego porządku rzeczy są — mnożące się u nas obecnie jak grzyby po deszczu — *kasy bezprocentowe*, nawiązujące do tradycji średniowiecznych „banków pobożnych“. Miarodajne czynniki bronią się przeciw tym kasom przy pomocy taktyki „przewlekania“ (subsydując równocześnie z funduszy państwowych analogiczne kasy żydowskie, których mamy dziś w Polsce przeszło siedemset).

ROZDZIAŁ XIX.

UBODZY.

„Wolno człowiekowi, znajdującemu się w skrajnej potrzebie, wziąć czy to jawnie czy skrycie to, co inni mają w nadmiarze“.

(S. Th. 2, 2 LXVI).

W klasycznym ustroju liberalnym, śmierć z głodu stanowi karę za próżniactwo. Ludzie, którzy z takich czy innych względów nie pracują (nie dysponując przytem żadnym kapitałem), muszą być przygotowani na tę ostateczność. Czysta doktryna liberalna potępia wszelkie zapędy do wspomagania ubogich, uważając je za paczenie praw ekonomicznych, rządzących rynkiem pracy.

Sprawiedliwość nakazuje uznać, że w najbardziej liberalnych społeczeństwach akcja pomocy ubogim stała przezwaznie na wysokim poziomie, tak że potworność moralna samej doktryny nie miała pola do popisu. Jest to jeden z dowodów więcej, że liberalizm był możliwy tylko w społeczeństwach przesiąkniętych do głębi zasadami moralności chrześcijańskiej.

Jakież jest stosunek narodowej myśli gospodarczej do tego problemu?

Znamy już chrześcijańską definicję prawa własności. Dobra tego świata pozostają pod zarządem indywidualnym, ale mają służyć do użytku wszystkich. Każdy człowiek ma więc prawo do swej części w spożyciu.

Znamy również chrześcijańską definicję pracy. W pracy każdego człowieka mieści się część, przeznaczona na wspomnienie ubogich.

Reasumując, w ogólnej masie dóbr, w nieustającym nigdy obrocie towarów wytwarzanych i spożywanych, mieści się stale pewien ułamek przeznaczony dla tych najuboższych, których wspomóżenie stanowi obowiązek chrześcijańskiego miłosierdzia.

W każdym społeczeństwie istnieje pewien odsetek ludzi, z takich czy innych względów (choroby, pijaństwo, niedorozwój umysłu czy charakteru, t. zw. pech życiowy na stare lata itd.) niezdolnych do utrzymania minimalnej nawet stopy życiowej, istniejącej w danej chwili w tem społeczeństwie. Ludzi tych możnaby określić jako „grupę upośledzonych“. Grupa taka będzie istniała zawsze i wszędzie, nie możemy więc dążyć do takiego ustroju, w którym nastąpiłby jej zanik, gdyż to byłoby utopją. *Musimy tych ludzi uznać za stały składnik normalnego społeczeństwa, i stale się nimi opiekować.*

BEZROBOTNI.

Poza „grupą upośledzonych“, która niestety zawsze była i zawsze będzie, pojawiły się w naszych czasach nowe zastępy ludzi pozbawionych środków do życia. Są to „bezrobotni“, ludzie zdolni i chętni do pracy, lecz nie mogący jej znaleźć.

Bezrobocie jest bodaj że większem nieszczęściem dla dotkniętych niem ludzi niż t. zw. ubóstwo, mające swe powody zazwyczaj w samym dotkniętym niem człowieku, podczas gdy powody bezrobocia leżą poza człowiekiem, w stosunkach na które sam bezrobotny niema wpływu.

Według doktryny chrześcijańskiej potrzebna jest człowiekowi praca nie tylko w tym celu, by się mógł wyżywić, lecz również dla jego równowagi psychicznej i moralnej. Mówiąc popularnie, praca potrzebna jest do szczęścia. Dając zasilek, pomagamy bezrobotnemu żyć, lecz pozostaje on nadal człowiekiem wykołejonym. *W stosunku do bezrobotnego ma więc społeczeństwo nie tylko obowiązek wsparcia, lecz ma przede wszystkim obowiązek zapewnić mu pracę.*

Jakież są powody współczesnej plagi bezrobocia?

1) Bezrobocie pojawiło się w formie jaskrawej dopiero w wieku dwudziestym, ale jest bezpośrednim skutkiem procesów społecznych i gospodarczych, zapoczątkowanych w wieku XIX. Adam Smith nie znał jeszcze problemu bezrobocia. Oblicza on, że narody podwajają swą ludność w ciągu 500 lat (!). Od czasów Smitha tempo wzrosło, szereg narodów podwoiło swą ludność, wzgl. podwaja nadal w ciągu kilkudziesięciu lat. To tempo przyrostu ludzi, wraz z szybkim postępem techniki, wyrzuca z natury rzeczy stale na brzeg społeczeństwa pewien zastęp ludzi zdolnych do pracy, lecz niemogących znaleźć zajęcia. Prostu maszyna społeczna kręci się zbyt szybko, by móc pracować dokładnie i lokować precyzyjnie każdego człowieka na jego właściwym miejscu w mechanizmie gospodarczym.

2) Znamy jednak maszyny, które kręcą się szybko, a mimo tego pracują precyzyjnie. Są to maszyny obmyślane celowo. Natomiast mechanizm gospodarki kapitalistycznej przypomina wadliwie skonstruowany siewnik, który w uprzywilejowane bruzdy sieje co grubsze ziarno, a resztę pola obsiewa cieniutką warstwą pośladu. Taka maszyna tem gorzej pracuje im szybciej się kręci. Przy współczesnej dynamice gospodarczej wadliwy mechanizm rozdziału dóbr, cechujący kapitalizm, doprowadził już do tego, że część społeczeństwa została zupełnie pozbawiona swego przydziału. Są to właśnie bezrobotni.

3) Rozbicie rodziny, będące jednym z celów obozu „postępu“, pomnożyło ilość rąk roboczych ponad gospodarczo uzasadnioną miarę. Kapitalizm i komunizm dążą zgodnie do tego, by rodzina mogła dopiero wtedy się utrzymać, gdy pracują w fabryce i mąż, i żona, i dzieci. Rezultat: nędza i bezrobocie.

4) Przejście z gospodarki w skali światowej do samostarczalności gospodarczej poszczególnych narodów. Jest to objaw pomyślny, lecz sam okres przejściowy musi być bolesny i pociąga za sobą przejściowy wzrost bezrobocia.

5) Niechęć wielkiego kapitału do skracania czasu pracy. Jest rzeczą oczywistą, że w miarę jak człowieka zastępują coraz to liczniejsze konie parowe, część ludzi musi iść na zieloną trawkę jako bezrobotni, o ile nie wyciągamy logicz-

nego wniosku i nie każemy wszystkim ludziom pracować odpowiednio krócej.

6) Zbyt szybka i oparta na mylnych obliczeniach mechanizacja wytwórczości. Kalkulacja, prowadząca do zastąpienia ludzi maszyną, opiera się zazwyczaj na tem, że koszt obsługi, napędu i amortyzacji maszyny będzie mniejszy od płacy robotników, którzy mogliby wykonać ręcznie tę samą pracę. Na oko rachunek wydaje się bez zarzutu. Lecz człowiek zwolniony z pracy potrzebuje pewnego czasu, zanim znajdzie sobie nowe zajęcie. Społeczeństwo musi go utrzymywać przez kilka miesięcy, czasem przez kilka lat. Od oszczędności, wynikającej z zastąpienia człowieka przez maszynę, należy przeto odjąć kwotę przeznaczoną na utrzymanie tego człowieka przez czas jego bezrobocia. O ile pracownik był wykwalifikowany w pewnym zawodzie, lecz skutkiem mechanizacji nie może ponownie znaleźć pracy w tym samym fachu, traci społeczeństwo kapitał, włożony w jego fachowe wykształcenie. Mechanizacja wytwórczości pociąga za sobą jeszcze szereg innych minusów natury psychicznej i społecznej. Dopiero gdybyśmy uwzględnili te wszystkie czynniki, moglibyśmy orzec, czy zastępując człowieka maszyną zrobiliśmy interes dobry czy zły. Zamiast oszczędności okaże się często strata. Większość posunięć „kapitanów” wielkiego przemysłu nie wprowadza do kalkulacji tych czynników ubocznych, i dlatego skutki mechanizacji wyrażają się coraz częściej we wzroście bezrobocia.

Jakie środki zaradcze przeciw bezrobociu zastosuje ustrój narodowy?

1) Zmniejszenie obecnej dynamiki społecznej, a to przez harmonijne ustosunkowanie w gospodarce elementów statycznych i dynamicznych; zwolnienie obrotów maszyny gospodarczej pozwoli na sprawiedliwszy rozdział zarówno pracy jak i dóbr.

2) Regeneracja rodziny, przywrócenie zasady, że polem pracy kobiety zamężnej jest jej dom, a nie biuro czy fabryka; wykluczenie pracy najemnej dzieci poniżej 16 lat.

3) Z chwilą wprowadzenia w życie zasady harmonijnego

rozwoju narodowej wytwórczości, i związanej z tem reformy celnej i monetarnej, odpadną współczesne kryzysy gospodarcze, które są bezpośrednim skutkiem liberalnej gospodarki na skalę światową; organizmy gospodarcze poszczególnych narodów się skonsolidują, a stosunki na rynku pracy ustabilizują się. Wten sposób znikną obecne fluktuacje w stanie zatrudnienia, a jest to jedna z głównych przyczyn bezrobocia.

4) Czas pracy dostosuje się do postępów w mechanizacji wytwórczości, co pozwoli zatrudnić dodatkową ilość rąk.

5) Maszyna w ustroju narodowym przestanie być fetyszem, rodzajem bóstwa, do którego modlą się wyznawcy „religii postępu”. Wróci ona do swej właściwej roli pożytecznego narzędzia, straci swe monstrualne proporcje i monstrualne skutki. Tam gdzie maszyna będzie pożyteczna, znajdzie zastosowanie, lecz będzie się stosowała do potrzeb społeczeństwa, będzie szukała człowieka w jego małym warsztacie, a przestanie wreszcie wyrwać tego człowieka z domu i rodziny, burzyć istniejący porządek społeczny i tradycyjne formy gospodarcze. Z chwilą gdy przestaniemy tworzyć fabryki-kolosy i zagłębia proletarjackie, znikną również armie bezrobotnych.

6) Ponowne zorganizowanie społeczeństwa w formy stanowe i korporatywne, oraz zahamowanie pogoni za zyskiem i nawrót do zdrowej koncepcji życia — oto dalsze środki do usunięcia bezrobocia*.

7) Liberalizm zwalcza szybki przyrost ludności, uważając go za jedną z głównych przyczyn bezrobocia. W tym celu, propaguje sztuczne ograniczenie rozrodczości.

* Jednym z powodów bezrobocia jest również kartelizacja przemysłu, która doprowadziła do tego, że połowa fabryk w Polsce stoi, biorąc za to grube „przestojowe”. Jedyny poważny kartel, który uległ do tej pory rozwiązaniu przez rząd, to kartel cementowy. Rozwiązano go w pierwszym półroczu 1933. Skutkiem rozwiązania kartelu spadła cena cementu z dziewięciu złotych na trzy złote za sto kg., a produkcja wzrosła z górą o 100% (w r. 1932—354.000 t., w r. 1934—716.000 t.). Ilość robotnikogodzin, przepracowanych przy produkcji w cementowniach, wzrosła o 62,8% (r. 1935 w stos. do r. 1932), a ilość zatrudnionych robotników wzrosła z 1651 (r. 1932) do 2620 (r. 1935), to jest o 58,7%. Obecnie, pod obojętnem okiem władz, następuje ponowna cicha kartelizacja przemysłu cementowego..

Ideologia narodowa, idąc po linii Kościoła katolickiego, odrzuca stanowczo tego rodzaju propagandę. Silna rozrodczość jest niewątpliwie jednym z powodów bezrobocia, lecz tylko w ustroju kapitalistycznym, z jego sztywną koncentracją wytwórczości i kapitału, częstymi kryzysami i chaosem społecznym. Chcąc uniknąć bezrobocia, wynikającego z szybkiego przyrostu ludności, należy tak zorganizować społeczeństwo, by się rozrastało bez wstrząsów gospodarczych. *Dopiero uwłaszczenie mas da nam tę niezbędną elastyczność gospodarczą*, która w każdej generacji pozwoli na samorzutne powstawanie odpowiedniej ilości nowych placówek gospodarczych, i to w miejscu, gdzie nadliczbowy przybysz szuka możliwości do życia i pracy, a nie tam gdzie w swych niezbadanych, a jakże często omylnych wyrokach, finansjera zechce mu wystawić fabrykę, standardowy domek mieszkalny, szkołę, szpital i więzienie.

Sw. Tomasz przyznaje człowiekowi, będącemu w koniecznej potrzebie, prawo do zaopatrzenia się legalnie lub nielegalnie w niezbędne środki do życia. Mimo to żaden normalny ustrój nie może w tych sprawach tolerować samowoli, gdyż prowadziłoby to do tysięcy nadużyć i do kompletnej dezorganizacji społeczeństwa. Odbierając ludziom prawo do „samozaopatrzenia“, musi społeczeństwo dać im wzamian środki niezbędne do zachowania życia.

Najlepszym niewątpliwie rozwiązaniem tego zagadnienia jest dobrowolne wsparcie ubogich, wynikające z gorącego uczucia miłosierdzia u wszystkich zamożniejszych członków społeczeństwa. Miłosierdzie idzie jednak w parze z uczuciami religijnymi. Intensywność tych uczuć znacznie w ciągu ostatnich wieków osłabła. Możemy żywić i żywimy nadzieję, że się znowu podniesie, ale jako ludzie świeccy nie mamy na to dużego wpływu, i musimy te sprawy pozostawić działalności Kościoła. Nie wolno nam więc liczyć, jak się to działo w średniowieczu, na indywidualną pomoc dla ubogich, lecz musimy oddać tę akcję w ręce społeczeństwa.

Taki punkt widzenia jest zresztą zgodny ze stanowiskiem samego Kościoła, wyrażonem w Encyklice „Rerum Novarum“. Kościół zaleca obecnie i popiera zorganizowaną akcję

społeczną, mającą na celu wyrównywanie niesprawiedliwości naszego ustroju gospodarczego.

Przyznanie stałego prawa do zaopatrzenia ubogim i bezrobotnym jest jednym z głównych postulatów moralnego ustroju.

Olomuzje

Tym, którzy twierdzą, że uczciwe i śmiało przeprowadzenie takiego postulatu musi szybko zrujnować każde społeczeństwo, wystarczy przypomnieć przykład Anglii. Od czasów królowej Elżbiety (XVI wiek) każdy Anglik, nie mający środków do życia, ma ustawowe prawo do zaopatrzenia, a fundusze potrzebne do tego celu ściągały dawniej parafje, a obecnie ściągają samorzady w formie specjalnego podatku. Jest to t. zw. „Poor Law” (Ustawa o pomocy ubogim). W czasie obowiązywania tej ustawy, która nie była nigdy martwą literą ale rzeczywiście była wykonywana, Anglja wyrosła na najbogatszy i najpotężniejszy kraj świata. Oczywiście ubogi czy bezrobotny musi dostawać wsparcie mniejsze od zarobków ludzi pracujących, wymaga tego zarówno sprawiedliwość, jak i celowość w organizacji społeczeństwa. W dzisiejszej Polsce bezrobotny w mieście dostaje zasiłek wyższy od zapłaty za rzeczywistą pracę na wsi. Jest to anomalia wynikająca z uprzywilejowania zażydzonych miast i żydowskiego przemysłu w stosunku do rdzennie polskiego rolnictwa. W tych warunkach, kiedy duża część ludności wiejskiej żyje w skrajnej nędzy, hasło ustawowego wsparcia dla wszystkich potrzebujących wydawać się może absurdem i demagogją. Ale w narodowym ustroju gospodarczym stopy życiowe wsi i miasta wyrównają się, a bezrobocie zniknie. Gdy przyjdzie wreszcie chwila, że w godziwym ustroju każdy znajdzie swe miejsce do pracy i do życia, nie będzie już nad siły społeczeństwa dbać i o tych najuboższych, których życie wydziedziczyło, a którym kapitalizm odmawia prawa do istnienia.

ROZDZIAŁ XX.

IMPONDERABILJA W GOSPODARCE.

Szerzy się dzisiaj przekonanie, że niema w gospodarce żadnych niezmiennych zasad, i że każdy naród, każda epoka muszą sobie na własne ryzyko szukać swoich własnych rozwiązań. Pogląd ten, mający niestety swe źródło w zupełnej rozbieżności między tem, czego uczy życie, a oficjalną teorią ekonomiki, nie jest słuszny. Natura ludzka podlega niewątpliwie pewnym niezmiennym prawom, może nielicznym, może czasem trudnym do wyśledzenia poprzez zmieniające się jak w kalejdoskopie warunki ludzkiego bytowania, tem niemniej prawa te działają i nieliczenie się z nimi prowadzi na manowce.

Ale samo sformułowanie i stosowanie tych zasad nie wystarcza, by współzycie ludzi układało się harmonijnie. Zasady te są „ogólnoludzkie“, wypływają bowiem z prawa naturalnego, wspólnego dla całego rodzaju ludzkiego. Ale grzeszą ciężko ci, którzy uważają człowieka tylko za człowieka. Człowiek jest ponadto katolikiem czy mahometaninem, jest Polakiem, Anglikiem, Hindusem... Jest rzeczą znaną w hydrotechnice, że można regulować łóżysko rzeki, lecz tylko do pewnych granic. Zbyt radykalne próby przesunięcia koryta rzeki, nie liczące się z naturalną tendencją jej prądu, dają ujemne skutki. To samo z życiem społeczeństwa: *ustrój jego, by mieć cechy trwałości, musi być naturalny.*

Ustrój polityczny i gospodarczy w Polsce powinien uwzględniać:

1) prawa naturalne współzycia ludzi w dziedzinie rządów i gospodarki;

2) „klimat“ katolicki psychiki i obyczaju w Polsce;

3) odwieczne właściwości narodowe Polaków (t. zn. nie tylko zalety ale i wady). Nie znaczy to, by Naród miał re-

zygnować z prób korygowania przy pomocy swego ustroju pewnych zastarzałych wad. Lecz usiłowania te powinny być ostrożne i stopniowe. Kazać żyć przeciętnie grzeszemu człowiekowi tak, jak gdyby był kandytatem na Świętego, prowadzi do groteskowych, ale bardzo przytem bolesnych nieporozumień. Ustrój doskonały na papierze, lecz oparty na wierze w „nowego“, doskonałego człowieka, da w rezultacie znacznie mniejszą sumę indywidualnego i zbiorowego szczęścia, niż ustrój mądrze wyrozumiały dla ułomności żywych ludzi.

Dlatego wydają mi się utopistami ludzie, którzy stawiają sprawę następująco: Naród polski doszedł, dzięki błędom wiekowym, spotęgowanym aż do karykatury w ciągu ostatniego okresu niepodległości, do tak opłakanego stanu, że należy sobie poprostu powiedzieć: mamy na obszarze państwa polskiego 35 milionów ludzi i urządzamy się całkiem od nowa, nie oglądając się nato, co było dotychczas. Oczywiście ludzie, rozumujący w ten sposób, chcą urządzić nowy ustrój na podstawie kombinowanych wzorów, wwiezionych z zagranicy. Na zarzut, że utworzone w ten sposób społeczeństwo przestałoby być *polskie*, odpowiadają (o ile się uważają za nacjonalistów), że indywidualność Narodu jest tak przemożna, iż nawet „narodowy komunizm“, zaszczerpiiony w Polsce, nabrałby rychło cech tak swojsko polskich, że przestałby przypominać swe zagraniczne pierwowzory.

Zgadzam się z tem. Pójdę jeszcze dalej w mojej wierze w indywidualną odrębność Narodu i wyrażę moje głębokie przekonanie, że jakikolwiek ustrój nadamy Polsce dziś — czy to będzie klasyczny ustrój liberalny czy też klasyczny kolektywizm — to ewolucja tak się potoczy, że za dwieście lat ustrój Polski będzie w obu wypadkach mniej więcej identyczny. Ale skoro tak — to dlaczego zadawać straszliwy gwałt całemu szeregowi pokoleń, narzucając im obce formy ustrojowe, które będą dopiero musiały być w pocie zbiorowego wysiłku przerobione na polskie kopyto? Czy nie lepiej ograniczyć się do rewolucyjnych przemian jedynie w tych dziedzinach, w których wystąpiły *sztuczne zahamowania*, a pozatem prowadzić Naród polski po linii, obserwującej skrupulatnie jego katolickie i naro-

dowe właściwości, wykorzystując jego zalety, a starając się stopniowo usuwać jego wady? Konkretny przykład: osiemdziesiąt kilka procent Polaków jest uwłaszczonych wzgl. wymagałoby niewielkiego dowłaszczenia. Integralna kolektywizacja byłaby aktem całkowitego zaprzeczenia dzisiejszego stanu naszego Narodu, stanu mimo wszystko nie przypadkowego, lecz będącego pewną logiczną konsekwencją jego właściwości i upodobań. Natomiast zdecydowany kurs w kierunku upowszechnienia własności stanowiłby — z dziesięciokrotnie mniejszym bólem i w bez porównania krótszym czasie — poprostu wyciągnięcie wniosków ze społecznych zasad katolickich (do których Polacy od wieków nawykli), oraz z tych cech natury polskiej, które stanowią odwrotność koszarowego ducha pruskiego socjalizmu (obojętne czy marksistowskiego czy narodowego) lub też azjatyckiej tyranji kolektywnej, bez której — jak się zdaje — czułby się Moskal jak łódź bez żagla i busoli.

Obok tych *imponderabiljów trwałych*, zaznaczających się stale w życiu politycznem i gospodarczem Narodu, jakimi są jego formacja religijna oraz jego właściwości narodowe, występują jeszcze *imponderabilja przejściowe*, oddziaływujące z niesłychaną siłą na rozwój stosunków gospodarczych. Do takich imponderabiljów należą przedewszystkiem zniechęcenie lub entuzjazm. Niemal prawie rzeczy niemożliwych dla Narodu ogarniętego entuzjazmem, z tem jednak zastrzeżeniem, by traktować entuzjazm jako środek do osiągnięcia pewnego niezbyt odległego celu (np. szybkiego przysposobienia Narodu do obrony lub szybkiego dokonania pewnych zasadniczych przemian ustrojowych) a *niejako stale tworzywo ustrojowe*.^{*} Do takich imponderabiljów zalicza się również genialny człowiek, który może, siłą swego geniuszu, poprowadzić Naród na drogi zupełnie nieraz sprzeczne z jego przeznaczeniem. Ale historia uczy, że

* Co innego entuzjazm, który trudno podsycać w nieskończoność, a co innego szeroko w masach rozpowszechnione uczucie zadowolenia, wynikające z dobrze dopasowanego ustroju. Uczucie takie potęguje niezmierznie twórczość zbiorową, i należy niewątpliwie do imponderabiljów trwałych.

bywają to epizody bardzo krótkotrwałe. Pozostawili po sobie owocne ślady tylko ci wielcy ludzie, których działalność szła po linii naturalnych dążeń ich narodu. Zewnętrzno-polityczna działalność Napoleona zawałiła się jak domek z kart, gdyż była czysto osobista, oderwana od potrzeb narodowych Francji. W swej działalności administracyjnej i ustawodawczej potrafił natomiast Napoleon wyczuć rytm potrzeb swego narodu. I dlatego wielkość jego zaczyna się przesuwac coraz bardziej z pól bitew na posiedzenia Rady Stanu, i dlatego sto lat po jego zgonie Francja zachowała nadal w ogólnych zarysach organizację, którą jej nadał.

Im sztuczniejszy ustrój, tem potrzebne większe „naciśnienie“ dyktatora lub klikki rządzącej, tem sprawniej muszą działać G. P. U. czy policje polityczne, tem więcej trzeba stosować zarządzeń wyjątkowych, gdyż zwykłe ustawy już nie wystarczają.* Tem trudniej wywołać imponderabilia, które mogłyby pobudzić Naród do zwiększenia wysiłków, przedewszystkiem na polu gospodarki.

Naród polski czuje dziś wyraźnie, przez skórę, że zbliża się godzina wielkich dziejowych rozstrzygnięć, godzina, w której wypadnie mu równocześnie bronić swej wolności,

* Doktryna katolicka głosi, że dobra materialne zostały stworzone do użytku wszystkich ludzi. Istotnie dobra te rozłożone są po całym świecie i wszyscy ludzie stykają się z niemi na codzień i używają ich (choć używają ich często w charakterze najemników a nie właścicieli). Naturalnym ustrojem będzie przeto ustrój, w którym własność rozłoży się mniej więcej porówni na ogół, oczywiście z uwzględnieniem naturalnych różnic, wynikających z hierarchji uzdolnień (i wypływających z niej różnic w dziedziczeniu). Z chwilą gdy skupianie się własności przekroczy miarę naturalnej hierarchji uzdolnień, *ustrój staje się sztuczny*. Kapitalistom, skupiającym w swych rękach coraz większe porcje własności, zaczynają odpowiadać — na odwrotnym biegunie — coraz liczniejsze rzesze wywłaszczonych. Społeczeństwo przypomina wówczas człowieka, który naciąga koldrę coraz wyżej na głowę, obnażając coraz dalej nogi. Idealnie sztucznym ustrojem jest czysty kolektywizm, w którym wszyscy ludzie mają dobra pod nosem, a nikt niczego z tych dóbr nie posiada. Ustrój taki musi być chroniony niesłychanie silnemi tamami przymusu. Z chwilą ich osłabienia społeczeństwo będzie dążyło do ustroju naturalnego, tamy zaczną przeciekać, z czasem się przerwą i własność znów się rozleje po ogóle ludzi. Oczywiście nie należy tu zapominać o różnicach narodowych. Naród polski wyciekłby zapewne znacznie prędzej spod kolektywizmu niż rosyjski lub niemiecki. Naród włoski, po pierwszych próbach kolektywizacji, stanął dęba i zdobył się na faszyzm.

odkazać swego ducha i przebudowywać z gruntu swój ustroj polityczny i swą gospodarkę. Rewolucyjne przeobrażenia, mające na celu zrzucenie jarzma prywatnych przywilejów gospodarczych i politycznych, stanowią zazwyczaj dla Narodu katastrofalne wręcz przeżycie, ze względu na to, że beneficjentami tych przywilejów bywają z reguły warstwy historyczne, przodujące od wieków w danym Narodzie. Warstwy te trzeba albo częściowo zgładzić (zmuszając resztę do emigracji) jak to zrobiły rewolucje francuska i bolszewicka — albo Naród wierci się niespokojnie, lecz bezradnie pod uciskającym go jarzmem nie odpowiadającego mu ustrojowi. Żaden bodaj jeszcze naród nie był w tem szczęśliwem położeniu, w którem w niedługim czasie znajdzie się Polska, że dziewięćdziesiąt kilka procent „kapitalistów”, obcych nam krwią i duchem, opuści nasz kraj. *Zastąpić tych ludzi Polakami, a nie pokusić się przy tej sposobności o gruntowną przebudowę ustroju, bezkrwawą i stosunkowo mało bolesną, byłoby grzechem, którego nie darowałyby nam przyszłe pokolenia.* Idzie chwila dziejowa osobliwa, w której nie będzie nam wolno zrobić żadnego błędu. W chwili tej, uzbrojeni w gruntowną znajomość naturalnych praw zbiorowego spółzycia ludzi, w pełnem zrozumieniu potrzeb katolickiego społeczeństwa i polskiego Narodu, będziemy musieli, poza przesłankami rozumowemi, wykrzesać jeszcze z polskich mas wszystkie te *imponderabilia ofiarności, poświęcenia, samozaparcia i entuzjazmu*, bez których współdziałania nie można montować ani dobrego ustroju politycznego ani godziwej gospodarki.

O PRZEWROT W SERCACH I UMYŚLACH.

Wprowadzenie w życie narodowych zasad gospodarczych nie wymaga wielkich zmian w obowiązujących obecnie ustawach, ani daleko sięgających przeobrażeń w istniejących instytucjach. Nasza struktura prawna i społeczna wywodzi się z czasów, gdy naród polski był chrześcijański z ducha i ustroju. Każdy ustroj musi się jednak dostosowywać drogą ewolucji do zmieniających się warunków życia. W życiu polskiem ewolucja ta została zahamowana przez trzy

wieki. Po części skierowano ją sztucznie na tory fałszywe. Nie obejdzie się przeto bez raptownej modernizacji działów zdecydowanie zacofanych w swym rozwoju, oraz bez zasadniczych reform w tych dziedzinach, w których zapanowały już instytucje wojującego materjalizmu. Ale zręby budowy społecznej mamy jeszcze w ogólnych zarysach zdrowe.

Trudność leży gdzieindziej. Koszmarny paradoks współczesnej polskiej rzeczywistości polega na strukturze pozornie chrześcijańskiej i narodowej, wypełnionej treścią nam wrogą i obcą. Czarę przeznaczoną na szlachetne wino zaczyna wypełniać międzynarodowa szabasówka. Ten rozdźwięk między formą a treścią musi rychło znaleźć swe rozwiązanie. Albo bolszewickie, które dostosuje formy do panujących obecnie prądów społecznych i intelektualnych, albo narodowe, które na istniejących już tylko formalnie zrębach zbuduje moralne i potężne społeczeństwo, chrześcijańskie i polskie nie tylko w literze, ale i w duchu swych ustaw i urzędów.

Formy polityczne, społeczne i gospodarcze stanowią nierozdzielą całość, będącą funkcją panującego ducha. Nie ludźmy się przeto, jakoby nawrót do godziwego ustroju gospodarczego mógł się odbyć drogą naprawy naszych ustaw i instytucyj ściśle gospodarczych, bez równoczesnej zmiany stosunków w dziedzinie społecznej i politycznej. Przewrót musi się odbyć w całej rozciągłości, częściowe poprawki nie miałyby ani sensu ani celu.

Lecz przewrót ten musi się rozegrać wewnątrz nas samych. Musi się odbyć w naszych sercach i umysłach. Z chwilą, gdy zrozumiemy, gdy się nam otworzą oczy — i gdy pocujemy w sobie odwagę — odpadnie jak zeschłe liście na jesieni to wszystko, co stoi na przeszkodzie do powstania i rozkwitu Godziwej Polski.

Z chwilą gdy zrozumiemy...

Ale jak to zrobić, byśmy mogli zrozumieć? Staralem się podać w drugiej połowie tej książki zarysy narodowego ustroju gospodarczego w Polsce. Wolę uprzedzić zarzuty. Zasady które głosimy są niewątpliwie słuszne. Ale zdajemy sobie sprawę, że są one jeszcze zbyt teoretyczne i wyrozumowane, zbyt uniwersalistyczne, poprostu w zbyt słabym stopniu narodowo-polskie.

Powód w tem, że żyjemy w Polsce od trzech wieków w atmosferze narzuconej nam przez obcy system myślenia i odczuwania. Skażono w nas polskość, musimy ją dopiero odgrzebywać w sobie. Póki się z tych obcych wpływów nie wyzwolimy, póki się nie odseparujemy murem ochronnym od moral insanity i pseudointelektualnego szwargotu, póki z naszego życia zbiorowego nie wyłączymy tych, którzy to życie świadomie i celowo rozkładają — póty nie potrafimy sobie nadać praw naprawdę polskich. Póty każdego z nas będzie palił wstyd, że na różnych punktach przestaliśmy już widzieć polskie rozwiązania i odczuwać polskie potrzeby. Że uległ w nas zagłuszeniu głos własnej krwi. Że nasiąknęliśmy obcym duchem i że pozwalamy, by na nasze losy wpływały obce siły.

Jakież są te siły?

Są to ci ludzie, obcy nam zarówno z pochodzenia jak i z ducha, którzy rozsiedli się na naszej ziemi i opanowali nas gospodarczo i politycznie. Wiedzą oni, że prawdziwa niepodległość Polski byłaby równoznaczna z końcem ich władzy i ich wyzysku. Oni to byli zawsze wrogami naszej niepodległości*. Oni wyteżyli wszystkie siły, gdy przywrócenie Polsce niezależnego bytu nie dało się dłużej uniknąć, by ta niezależność była tylko pozorna, i by w traktatach „mniejszościowych“, któremi nas omotano, mieściły się dostateczne gwarancje, że ta niepodległość nie potrwa długo, w każdym razie nie dłużej niż ich władza nad nami.

* Każdego myślącego Polaka musiało nieraz zastanowić pytanie, dlaczego z pośród wielkich narodów nowożytnej Europy jedynie Polska utraciła swą niepodległość. Nasza historjografia zajmowała się skrzętnie tym problemem (np. słynna „szkoła krakowska“), lecz uniknęła skrupulatnie rozpatrzenia właściwych przyczyn naszego upadku. Nie można się dziwić, historycy są tylko ludźmi — bali się. My się nie boimy, wykryliśmy już przeto, że *powodem upadku Polski był fakt, iż poczynając od XVII wieku ziemie polskie zostały wybrane na centralny rezerwat (światowy ośrodek dla zachowania czystości rasy i religji) narodu żydowskiego.*

Badania nad rolą Żydostwa i służącej mu masonerii w dziejach degeneracji (wieki XVII i XVIII) i upadku Polski zostały zapoczątkowane dopiero niedawno, lecz wydały już rezultaty zupełnie rewelacyjne. Patrz „Zmierzch Izraela“ Rolickiego oraz „Źródło Rozbioru Polski“ Kazimierza Morawskiego. Otwiera się tu wdzięczne pole dla badań całego pokolenia polskich historyków.

Ci ludzie wiedzą dobrze, że żaden naród nie kupuje niepodległości na raty. Wiedzą, że *Polska musi zrobić następny krok naprzód i zdobyć sobie rzeczywistą niezależność duchową i gospodarczą, albo musi ponownie stracić swą niepodległość*. W ich planach leży ta druga ewentualność.

Do tego celu służy rozkład naszej wiary i moralności. Do tego celu służy tak niezwykle bezwzględne, nawet jak na tych ludzi, przykręcenie śruby lichwy i kapitalistycznego wyzysku, które musi szybko i niezawodnie doprowadzić nas do ruiny i rewolucji.

Niestety tym ludziom służą liczni Polacy. Na szczęście większość ich służy nieświadomie. Po części przez oportunizm i karjerowiczostwo, po części przez snobizm intelektualny. Niektórzy z nich zbyt silnie związali swe losy z obecnym systemem, i niema już dla nich powrotu. Większość z pośród nich, ludzie uczciwi, nie zdaje sobie sprawy z tego czemu służą, i wcześniej czy później nawróci na właściwą drogę.

Dla tych Polaków przeznaczona jest ta książka. Oni to muszą zrozumieć, że uzdrowienie gospodarcze Polski, możliwe tylko zgodnie z zasadami moralności chrześcijańskiej i przy uwzględnieniu szczególnych potrzeb naszego Narodu, nieda się przeprowadzić bez równoczesnego wyzwolenia od politycznych i intelektualnych wpływów Żydostwa.

Od tych Polaków zależeć będzie, czy ta przemiana odbędzie się jeszcze na czas, by uratować polską niepodległość, czy już zapóźno.

Katastrofa gospodarcza, którą przeżywamy, ma swoje złe i dobre strony. Polak, kiedy jest głodny, staje się zły. Niejeden dopiero wtedy zaczyna myśleć.

A ci, którzy myślą, zawrócą z fałszywej drogi i pójdą z nami.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I. CHRZEŚCIJAŃSKIE ZASADY GOSPODARCZE.

	Str.
Rozdział I	
Liberalizm	3
Kapitalizm	4
Religja „Postępu”	5
Rozdział II	
Trochę historii	8
Homo oeconomicus	10
Gospodarka wolna czy planowa	14
Rozdział III	
Sprawiedliwość wymienna i rozdzielcza	19
Praca	20
Własność, ziemia i kapitał	22
Zysk	27
Rozdział IV	
Odsetki	32
Rozdział V	
Zysk z kapitału	57
Monopol oparty o władzę	66
Monopol oparty na zмовie	69
Monopole samorządne	70
Rozdział VI	
Renta z ziemi	72
Rozdział VII	
Uwłaszczenie mas	80
Rozdział VIII	
O człowieku aryjskim i postępie chrześcijańskim	84

CZĘŚĆ II. NARODOWY USTRÓJ GOSPODARCZY W POLSCE.

Rozdział IX	
Uwłaszczenie mas	97
Własność prywatna i własność „społeczna”	98
Dwa oblicza żydostwa	102
Maszynizm i kolektywizm	109
O wolności	114
O „zacofaniu” Polski	117
Rozdział X	
Uwarstwienie gospodarcze mas	119
Rękodzieło, drobny handel i drobna wytwórczość	120
Rozdział XI	
Naprawa ustroju rolnego	124

Rozdział XII	
Trwale i przejściowe formy gospodarcze	143
Wielki przemysł	144
Koncentracja ludzi	146
Koncentracja kapitału	150
Dostosowanie produkcji do konsumpcji	154
Anonimowość posiadania	154
Uspołecznienie wielkich przedsiębiorstw	156
Unarodowienie skoncentrowanego kapitału	163
Dekoncentracja wytwórczości	165
Uwłaszczenie pracowników wielkich przedsiębiorstw	170
Rozdział XIII	
Śluzna płaca	172
Godziwa cena	174
Współzawodnictwo	178
Spółczeństwo jako organizm	181
Korporacje zawodowe	188
Stany	194
Państwo narodowe w roli gospodarza i rozjemcy	198
Rozdział XIV	
Lichwa	207
Kredyt konsumpcyjny	212
Banki	213
Giełdy	222
Kredyt rolny	223
Utrwalenie ustroju rolnego	226
Kredyt handlowy	230
Kredyt publiczny	232
Spółdzielczość	234
Rozdział XV	
Pieniądz	241
Rozdział XVI	
Gospodarstwo narodowe a reszta świata	260
Harmonja ustroju gospodarczego	262
Ochrona celna	267
„Samostarczalność”	277
Rozdział XVII	
Podatki	279
Rozdział XVIII	
Problem własnego domu	298
Uwłaszczenie inteligencji	302
Własność w ustroju narodowym	305
Rozdział XIX	
Ubodzy	311
Bezrobotni	312
Rozdział XX	
Imponderabilja w gospodarce	318
O przewrót w sercach i umysłach	322

3006
62
**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 313700



000-313700-00-0